



TWARZ GRETY DI BIASE

MAGDALENA
KNEDLER

Opowieść o miłości,
pasji i sztuce.
I o zagadce zaszyfrowanej
w kilku obrazach.

NOVAE RES

Magdalena Knedler

TWARZ
GRETY
DI BLASE



NOVAE RES

Wszystkim tym, którzy uważają, że świat bez miłości i sztuki, a także bez miłości do sztuki, jest martwym światem.

Spis treści

CZEŚĆ I

1. Dwie Grety
2. Dni ciszy
3. Roberto i Valentina
4. Figury w szeregu i twarze na płótnach
5. Chodzi o wstyd
6. Sny, wspomnienia i kłamstwa

CZEŚĆ II

7. Plany i to, co z nich wynika
8. Pierwotna potrzeba
9. Razem jest zawsze trochę łatwiej

CZEŚĆ III

10. Prawie spokój
11. Zaułki
12. Puste miejsce, żywa tkanka
13. Razem jest zawsze...
14. Dlaczego
15. W domu Grety

CZEŚĆ IV

16. Kto ze wstydu przełyka łzy?
17. Wewnętrzne lato i zewnętrzna zima
18. Samotność ma zawsze jakąś barwę

OD AUTORKI

CZEŚĆ I

1. Dwie Grety

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

Temat: Dwie Grety

Szanowny Panie!

Zdecydowałam się napisać do Pana osobiście, kiedy Roberto Savio przesał mi Pana ostatnią wiadomość. We wcześniejszej korespondencji często pytał Pan o moje obrazy i wykazywał duże zainteresowanie nimi, ale Roberto twierdzi, że jeszcze nigdy aż tak szczegółowo i w takim tonie. Podobno porównał Pan nawet „Gretę w srebrnym welonie” do dzieła „La Donna Velata” Rafaela! Panie Adamie, bardzo dziękuję i jestem zaszczycona, ale to chyba komplement na wyrost. Inna technika, inne płótno i pędzle, nowoczesne farby, a przede wszystkim – talent zdecydowanie nie ten. Pisze Pan o niezwyklej subtelności, świetnej kompozycji, świetle, barwach, realistycznie oddanych detalach, o wrażliwości artystki, wreszcie o głównej bohaterce – postaci z krwi i kości, żywej, oddychającej, takiej, która zdaje się patrzeć wprost na oglądającego. Ponownie bardzo dziękuję i ponownie uważam, że pochwały są na wyrost. Byłoby z mojej strony fałszywą skromnością twierdzić, że nie mam talentu i nie potrafię posługiwać się pędzlem. Oczywiście potrafię. Jestem jednak malarką zaledwie dobrą i to, co robię, wolę określać mianem rzemiosła niż sztuki. Być może właśnie fakt, że tak wiele wiem o malarstwie i tak wiele jeszcze nie wiem – a muszę tutaj

zaznaczyć, że wszystkiego uczyłam się zupełnie sama – każe mi myśleć o sobie w ten sposób. „La Velata” Rafaela znajduje się w Gallerii Palatina we Florencji. Był Pan tam? Jeśli nie, koniecznie musi Pan pojechać. Mnie i Rafaela dzieli przepaść. Wiem to, choć sama nigdy do Florencji nie dotarłam...

Dalej pisze Pan o „Grecie nad jeziorem Iseo”, że jest jak z obrazów najlepszych impresjonistów. Wcześniej wspominał Pan o podobieństwie jednego z moich malowideł do dzieł Maxa Ernsta i chwalił mnie za wszechstronność i umiejętność posługiwania się różnymi technikami. Czy nie widzi Pan, że właśnie w tym tkwi problem? Że dlatego moje obrazy, jak Pan to ujął, „nie zdobią ścian najświetniejszych światowych galerii”, a są sprzedawane jedynie w takich miejscach, jak Pańskie? Proszę mnie źle nie zrozumieć. Uwielbiam małe galerie, które nie mają wielkich pretensji, a w których można znaleźć prawdziwe perełki. To Pan źle mówi o swojej pracy. I o miejscu, w urządzenie którego włożył Pan na pewno wiele wysiłku. Może zacytuję? „Niewielka, średniej klasy galeryjka, do której prawdziwi znawcy zaglądają nieczęsto, a jeszcze rzadziej zwracają na coś uwagę. Gdzie niedouczeni i pozbawieni wrażliwości, ale za to dość bogaci, pracownicy korporacji, adwokaci, lekarze, właściciele salonów fryzjerskich i kosmetycznych, gabinetów masażu i odnowy biologicznej oraz dobrze prosperujących restauracji zaopatrują się w obrazy, dobierając je pod kolor ścian i kafelków”. To Pana słowa. niesprawiedliwe i uogólniające. Naprawdę takie właśnie ma Pan zdanie o własnej galerii i klientach? Zdjęcia, które dla zilustrowania problemu przesał Pan do Roberta, rzeczywiście nie ukazują wybitnych dzieł, ale są to obrazy bardzo dobre, dobre i dość dobre, a na pewno trzyma Pan u siebie jeszcze lepsze rzeczy. Chciałabym odwiedzić kiedyś Pana we Wrocławiu, zobaczyć galerię, wypić z Panem kawę i może zjeść jakieś dobre ciastko. Ale przede wszystkim – porozmawiać. Niestety, to niemożliwe.

Jeszcze jedno – wydaje mi się, że ci naprawdę dobrzy i naprawdę bogaci właściciele firm i restauracji, którzy starają się pozyskać naprawdę dobrych i naprawdę bogatych klientów, wieszają jednak na swoich ścianach niezłe obrazy. Czasami wynika to z faktu, że rzeczywiście kochają sztukę i wreszcie

ich na nią stać. A czasami ze zwykłego snobizmu.

Miałam zamiar do Pana napisać już po pierwszej wiadomości, którą przesłał Pan Robertowi. Było to przed kilkoma miesiącami, dopiero zaczęliśmy ze sobą współpracować. Kupił Pan ode mnie dwa obrazy – „Dies Irae” i „Il Braghettone”. Był Pan zaskoczony, już wtedy, że chcemy je sprzedać do małej galerii, zamiast szukać rozgłosu. Moje obrazy trafiają do nabywców od kilku lat, ale po raz pierwszy ktoś napisał do nas w takim tonie. Zdarzały się oczywiście zachwyty, nie przeczę. Wie Pan jednak, jak to jest. Ktoś, kto kieruje się jedynie swoim gustem – nawet świetnym – a nie specjalistyczną wiedzą, odbiera obraz na poziomie emocjonalnym, mówi o „pięknie”, „niezwykłości”, „kolorach”, „głębi”. Ale póki ktoś mu nie powie wprost: „To jest arcydzieło”, ograniczy się do powieszenia płótna na ścianie i cieszenia nim oczu. I tak po prostu wyszło, że przez kilka lat (prawie siedem), odkąd moje obrazy pojawiają się w małych galeryjkach i szukają kupców w internecie, nie znalazł się nikt, kto powiedziałby: „To jest arcydzieło”. Sami też nie szukamy takich ludzi. Dlatego Pana wiadomość nas zaskoczyła. Tamta pierwsza, potem kolejne, i wreszcie – ostatnia. Ale skoro już do Pana napisałam, wróćmy do tych dwóch pierwszych transakcji. Pytał Pan o nie Roberta i chyba nie uzyskał satysfakcjonujących wyjaśnień. Postaram się to teraz naprawić.

Najpierw „Majtkarz”. Przekaz wydaje się bardzo czytelny, prawda? „Il Braghettone” po włosku znaczy „majtkarz”, a każdy, kto choć trochę orientuje się w historii sztuki, będzie wiedział, kim jest główny bohater obrazu i co robi. Ma Pan rację. Człowiek obrócony plecami do patrzącego to Daniele da Volterra, malarz, uczeń Michała Anioła. W dłoni trzyma pędzel, a jego gest wyraża wahanie. Ma przed sobą „Sąd Ostateczny” Michała Anioła, niedawno sformułowano postanowienia Soboru Trydenckiego, i teraz należy tylko... zamalować intymne części ciała nagich postaci stworzonych przez Mistrza. Nagość jest przecież czymś złym, ciało to źródło grzechu, fizyczność musi ustąpić miejsca duchowości. W miejscu świętym nie przystoi pokazywać genitaliów. Michał Anioł przedstawił prawdziwych ludzi, którzy nie tylko się modlą, ale po prostu żyją. Są zbudowani z pulsujących tkanek, a ich ciała odbierają bodźce i na nie reagują. Czy można było lepiej ukazać

„Sąd Ostateczny”? W końcu za co człowiek jest rozliczany po śmierci? Za to, jak reaguje na bodźce. Jak balansuje pomiędzy duchem i ciałem, na ile sobie pozwala, w jakich sytuacjach daje się ponieść emocjom, a w jakich dopuszcza do głosu zdrowy rozsądek. Za słabość i siłę. Ale postanowienia Soboru były takie, a nie inne. Trzeba zamalować penisy i waginy. Udawać, że nie istnieją. I tak to się działo przez wieki. Na pewno widział Pan setki kamiennych, seksownych młodzieńców, kipiących od sił witalnych, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami, pięknych – i przerobionych na eunuchów. Mnóstwo mężczyzn z odlupanym przyrodzeniem, które ktoś uznał za źródło grzechu. Antyczni mistrzowie przewracają się w grobach. Ale wróćmy do obrazu „Il Braghettonne”. Daniele da Volterra musi domalować przepaski i listki figowe, choć moim zdaniem wcale tego nie chce. Stąd wahanie, uniesiona dłoń z pędzlem, nieruchoma poza. Przecież on wie, że za chwilę zniszczy arcydzieło! Co musi czuć człowiek postawiony w takiej sytuacji? Głęboko mu współczuję. Dlatego właśnie namalowałam go zgarbionego, w pozie, jaką przyjąłby ktoś złamany i zrezygnowany. Za moment dotknie pędzlem dzieła Michała Anioła, dorobi jego postaciom niefortunne majtki i na wieki – adekwatnie do okoliczności – otrzyma przydomek Majtkarza. Panie Adamie, niech Pan wpisze w Google’a hasło „majtkarz” – po włosku, a później w swoim języku. I co się pojawia jako pierwsze? Notka biograficzna Daniele da Volterra w Wikipedii. Biedny człowiek.

Mówi Pan, że doskonale odtworzyłam fragment „Sądu Ostatecznego” w pomniejszeniu. Dziękuję. Miło mi, że Pan tak uważa. Przyznaję – nigdy nie byłam w kaplicy Sykstyńskiej i nie widziałam fresku na żywo. Korzystałam z katalogów. Poza tym pokazałam tylko trochę powierzchni „Sądu”, zaledwie kilkanaście centymetrów. I ma Pan rację. Staralam się namalować to w miarę realistycznie, z dbałością o detale. Mój Majtkarz jest już ukazany nieco inną techniką, bardziej impresjonistycznie. To dlatego, że wszyscy tak dobrze znamy „Sąd”. Fresk należy do całej ludzkości, każdy uważa go za swój. Jest dobrem wspólnym. A Daniele na tym obrazie należy tylko do mnie. To moje wyobrażenie postaci, która miała się wymykać konkretnym czasom. Z jednej strony Daniele jest człowiekiem swojej epoki, a z drugiej – po prostu jednostką postawioną w sytuacji bez wyjścia. Która musi zrobić coś wbrew

sobie, bo nie zawsze można powiedzieć „nie”. Uważam, że wielu ludzi na świecie przynajmniej raz w życiu czuło się tak jak on, kiedy malował te nieszczęsne majtki.

A teraz „Dies Irae”. I tutaj rzeczywiście interpretacja jest trudniejsza. Myślę, że niełatwo odgadnąć, czym się inspirowałam, i szczerze mówiąc – nie spodziewałam się, że ktokolwiek sobie z tą zagadką poradzi. Ale Pan sobie poradził. Bardzo mnie korciło, by napisać już wtedy, kilka miesięcy temu, kiedy zadał Pan Robertowi to pytanie. „Czy chodzi o sacco di Roma?”. Jak Pan na to wpadł? Tak, chodzi o sacco di Roma, ten tragiczny moment w historii Rzymu, kiedy na miasto najechały niemiecko-hiszpańskie wojska Karola V i doszczętnie je złupiły i zniszczyły. To był prawdziwy koniec. Rzymu, pewnej epoki, mnóstwa dzieł sztuki, kultury, dobrobytu, i wreszcie życia wielu ludzi. Można powiedzieć, że miasto zostało zmasakrowane, mieszkańcy zdziesiątkowani, obrazy, rzeźby i freski – na zawsze unicestwione. To właśnie wtedy skończył się rzymski renesans. A ja zawsze myślałam o ludziach, zwykłych kobietach i mężczyznach, którzy każdego dnia uczciwie pracowali, zajmowali się bliskimi, przyrządzali posiłki, chorowali i zdrowieli, kochali i nienawidzili, modlili się i grzeszyli. Byli podobni do nas. Nic ich nie obchodziła wielka polityka, a i tak zostali w nią wciągnięci. Każdy mógł paść ofiarą – jak bohaterka mojego obrazu. Ma Pan rację, to szesnastowieczny Rzym, co daje się poznać po stroju, meblach i tle. Ale pierwszy plan jest prozaiczny, bardzo plebejski, należy w całości do sfery profanum. Taki temat nie znalazłby uznania wśród włoskich mistrzów, którzy mało się zajmowali zwykłym życiem. Co widzimy? Kobieta przy stole, na którym stoją jeszcze talerze po dopiero zakończonej kolacji. Błat pokrywają okruchy chleba i plamy po winie. Sztuce są brudne, przy dzbanku leży zmięta serweta. Kobieta leniwym gestem rozpuszcza włosy, suknię zsunęła już z ramion, oczy ma przymknięte ze zmęczenia. To zwykły wieczór, przeżyła już dziesiątki podobnych. Ale w tle widnieje otwarte na oścież okno, przez które do pomieszczenia już za chwilę wleje się tłum rozwścieczonych mężczyzn, uzbrojonych w pochodnie i noże, zdolnych do wszystkiego. I każdy wie, co się stanie z tą kobietą. Nawet jeśli jakimś cudem przeżyje, podniesie się, zbierze strzępy zakrwawionej sukni i zdoła się ukryć, nigdy się nie otrząśnie. Widok

stołu i resztek po kolacji, okruchów i plam po winie nie będzie już przyjemnie znajomy i związany z oswojoną przestrzenią. A ona nie przestanie czuć wstydu, nawet jeśli w niczym nie zawiniła.

Nie, nie myli się Pan. Kobieta na obrazie to Greta. Ta sama Greta, której portrety właśnie Pan kupił.

I tu przechodzę do dwóch ostatnich kwestii. Nie zabiegam o to, by mnie zauważyli w dużych galeriach i muzeach, ponieważ uważam, że brak mi talentu i celu. Nie potrafię się określić, próbuję różnych środków wyrazu, maluję w rozmaitych stylizacjach. Pan uważa to za zaletę, ja za wadę. Jestem niedookreślona. A przecież jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego, prawda? Człowiek powinien spojrzeć na obraz i od razu widzieć w nim cechy charakterystyczne dla konkretnego artysty, wyraziste, nie do podrobienia. A ja? Nie mam swojego stylu. Byłaby ze mnie może dobra kopistka, ale zdecydowałam się realizować autorskie pomysły. Takie są efekty. Dlatego zostańmy przy tym, co jest. Proszę mnie do niczego nie namawiać. Mam nadzieję, że Pan nie straci zainteresowania moją twórczością. Ani Pan, ani pozostali nabywcy, również właściciele niewielkich galeryjek, w których sprzedaje się dzieła dobre i w rozsądnych cenach, a nie arcydzieła warte miliony. Powiedziałam prawdę – nikt jeszcze nie zainteresował się moimi malowidłami w takim stopniu jak Pan.

Na koniec nawiążę do Pańskich pytań o Gretę z obrazów i moją anonimowość. Przyznaję, że właśnie te pytania ostatecznie skłoniły mnie, by napisać osobiście. Pyta Pan, dlaczego się nie ujawniam i nie pokazuję, a sprzedaję obrazów zajmuje się Roberto Savio. To proste. Po pierwsze – nie sądzę, by moje „bywanie w świecie” i „pokazywanie się” miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdybym była wielką artystką – może by miało. Po drugie – nie znam się na dystrybucji, a Roberto znajduje mi zawsze dobrych nabywców. Jestem zadowolona ze współpracy z nim i nie planuję zmian. Wszystko zostaje po staremu i to z Robertem proszę się kontaktować w sprawie kupna obrazów. Poprosiłam go, by ofertę wysyłał zawsze najpierw do Pana, a dopiero później do pozostałych nabywców. Cieszę się, że to właśnie Pan kupił obie Grety! Bardzo mnie Pan ujął swoją opinią o mojej pracy.

I wreszcie – Greta. Pyta Pan, czy „piękna Greta o mlecznobiałej cerze

i wielkich ciemnych oczach, której włosy skrywa ciężki welon i której sylwetka odcina się na tle wód jeziora Iseo” to ja. Panie Adamie! Czy naprawdę uważa Pan, że mogłabym odpowiedzieć na to pytanie? Uśmiecham się, kiedy to piszę, i mówię: Proszę się domyślić! I uszanować moją anonimowość.

Wiem od Roberta, że dobrze Pan zna język włoski, dlatego pozwoliłam sobie na tak długi e-mail. Jeśli nadużyłam Pana cierpliwości – przepraszam.

Łączę pozdrowienia

Greta di Biase

*

Adam wydrukował list od Greta di Biase, starannie złożył i wsunął do przegródki w portfelu. Zamknął laptopa i pozbierał swoje rzeczy z biurka. Każdego dnia kusiło go, by zostawić bałagan, ale nigdy tego nie zrobił. Nie miał wprawdzie nad sobą żadnej kontroli, bo galeria, którą nazwał z włoska Chiara, należała tylko do niego. Był tu więc panem i władcą, mógł ustawić na zapleczu piramidę z brudnych kubków i drugą – z równie brudnych talerzy. Mało tego, mógł nawet przenieść wszystko na wystawę i udawać, że to sztuka współczesna. Niewielu by się zorientowało. Dziewczyna, która od poniedziałku do piątku sprzątała w Chiarze, nigdy niczego nie komentowała, ale Adam widział, jak raz przejechała palcem po blacie biurka i uniosła brwi ze zdziwienia. Na pewno nie zapracowywała się tutaj na śmierć.

Ostatni raz obrzucił krytycznym spojrzeniem pomieszczenie, sprawdził, czy alarm jest włączony – choć przecież zawsze był – i sięgnął po pęk kluczy. Upewnił się, czy zamknął drzwi do galerii, a następnie wyszedł od strony podwórka. Zerknął na tabliczkę przy domofonie, tak jak to robił każdego dnia. Wpatrywał się przez chwilę w wypisane na niej dwa słowa: „Galeria Chiara”. Pomyślał to samo, co zawsze – że nazwa mu się nie udała, choć przecież imię Chiara, po włosku „jasna”, jest piękne. Prawie wszyscy wymawiali je jednak źle, z inicjalnym „ch” zamiast „k”, jak powinno brzmieć. A to już, zdaniem Adama, nie dawało dobrego efektu. I wiedział

też, że prawdopodobnie on jeden przejmował się tutaj takimi sprawami.

Przymknął na chwilę oczy, po czym odwrócił się i ruszył w stronę parkingu. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie w stanie zdobyć się na trwałe zmiany. Nie posprzątać w biurze, nie pozmywać naczyń, zjeść częściej obiad w Rynku lub coś zamówić, zamiast przygotowywać w domu kanapki i zawsze taką samą sałatkę, nie przejrzeć przed wyjściem wszystkich papierów, nie sprawdzić alarmu, nie upewnić się, czy zamknął drzwi, nie przeczytać słów na tabliczce przy domofonie i nie zastanawiać się nad spolszczoną wymową imienia Chiara. Od kilku lat wszystkie jego działania miały określony porządek, którego prawie nigdy nic nie zakłócało. Po opuszczeniu Chiary jechał na Jezierskiego, parkował na końcu uliczki, pod drzewami, zawsze w tym samym miejscu, jeśli to było możliwe, zamykał auto i sprawdzał, czy na pewno jest zamknięte, czy wyłączył światła i zaciągnął ręczny, szedł do swojego mieszkania w starej, niskiej kamieniczce, otwierał drzwi, zaczynając od górnego zamka, zrzucał buty i marynarkę, nigdy nie zdejmował najpierw marynarki, wyciągał laptopa z torby i kładł go na stole, mył ręce i nastawiał wodę na herbatę. Siadał na kanapie i wpatrywał się w ścianę z odsłoniętych czerwonych cegieł. I tak prawie dzień w dzień – prawie, bo przecież czasem musiał zrobić jakieś zakupy, spotkać się z klientem lub pójść na piwo z Zygmuntem, malarzem, od którego kupował obrazy i z którym się zaprzyjaźnił, czego zupełnie nie planował. Te właśnie małe odstępstwa od normy utwierdzały go w przekonaniu, że jeszcze nie cierpi na silną nerwicę natręctw, tylko jest po prostu dziwakiem. Za każdym razem jednak, kiedy coś zakłócało rytm dnia, czuł się niekomfortowo. Jak gdyby włożył na siebie dopasowaną i wygodną koszulę z uwierającym kołnierzykiem.

Tego dnia również tak się czuł. A wszystko za sprawą e-maila od Grety di Biase. Adam wrócił do domu, oddał się swoim małym, irytującym rytuałom, nastawiał wodę na herbatę i usiadł na kanapie z wydrukowanym listem, tylko zerknąwszy na czerwone cegły. Od rana zdążył go już przeczytać wielokrotnie, a kilku zdań nauczył się na pamięć. To był właśnie element, który się nie zgadzał, zaburzał rutynę i uwierał jak ten kołnierzyk. Z drugiej strony – sam był sobie winien. To on sprowokował Gretę di Biase.

Kiedy wysyłał do Roberta Savia długą wiadomość, w której wyraził swój zachwyt nad dwoma nowymi obrazami przedstawiającymi tajemniczą i piękną Gretę, nie przypuszczał jeszcze, że wywoła do odpowiedzi samą autorkę. Przyszło mu to do głowy dopiero później. Jeśli di Biase miała bezpośredni kontakt z Saviem i on przekazywał jej całą korespondencję z nabywcami – lub ją o niej informował – musiała zabrać głos. Adam odniósł się do kwestii, których nie mogła pozostawić bez odpowiedzi, a zrobił to w sposób świadczący chyba o... zaangażowaniu. Zastanawiał się przez chwilę nad tym słowem i uznał, że jest odpowiednie. Rzeczywiście w wiadomości do Savia, pisząc o obrazach przedstawiających Gretę, dał wyraz swojemu zaangażowaniu. Już wcześniej zachwycał się umiejętnościami di Biase, ale kiedy dotarły do niego *Greta w srebrnym welonie* i *Greta nad jeziorem Iseo*, przez kilka dni chodził jak struty, nie potrafił zebrać myśli. Oczywiście widział je już na dobrej jakości zdjęciach i właśnie dlatego kupił, a jednak to nie było to samo. Na żywo wywierały inne wrażenie, wyczuwał w nich coś niezwykłego i nieuchwytnego, czego nie potrafiłby opisać w kilku prostych zdaniach ani tym bardziej zamknąć w fachowych, podręcznikowych określeniach. Adam szukał podobieństw i przyszedł mu do głowy Rafael, a później impresjoniści. Jednak szukał dalej, po czym spróbował swoje refleksje ubrać w słowa. Jego e-mail do Savia był nieporadny, niemal szkolny. Tak uważał. Nie mógł się zmusić do powiedzenia niczego ambitnego, mądrego, świadczącego o erudycji. Właśnie dlatego, że to coś, czym się zachwycał, patrząc na obie Grety, nie dawało się opisać. Toteż wolał opowiedzieć o samym zachwycie. O sobie patrzącym na obrazy. I o tym, że zafascynował go nie tylko talent malarki, ale też kobieta z portretów. Bo to była ta sama modelka. Jej twarz wydawała się piękna i zarazem osobliwa, a Adam nie potrafił określić źródła owej osobliwości. W twarzy i oczach Grety czaiła się po prostu jakaś tajemnica. Dostrzegł ją już wcześniej, na płótnie *Dies Irae*, na temat którego tak się rozwodziła. Wtedy jednak nie mógł przypisać modelce żadnego imienia, nie wiedział nawet, czy jej twarz nie została w całości wymyślona przez autorkę.

Dlatego właśnie zadał to pytanie. Czy Greta z obrazów jest jednocześnie Gretą di Biase? Musiała się do tego odnieść, bo milczenie wiązałoby się

z ryzykiem. Była artystką anonimową, a wszystkie sprawy załatwiał za nią Roberto Savio. Z pewnością niewielu nabywców interesowało się jej tożsamością, bo przecież w galeriach takich jak Chiara osoba malarza stojącego za dziełem nie miała większego znaczenia. Obrazy trafiały na ściany w biurach i nad kominki w podmiejskich willach. A przynajmniej Adam tak to sobie wyobrażał. Ci, którzy znali się trochę na sztuce i mieli odpowiednie fundusze, zadawali szczegółowe pytania i rzadko coś u niego kupowali, szli tam, gdzie sprzedawano rzeczy droższe i lepsze. U Adama można było znaleźć głównie obrazki poprawne, grzeczne i „ładne”, od początku do końca oczywiste, bo takie cieszyły się największym zainteresowaniem. Rzeczy trudniejsze, niepoddające się łatwym interpretacjom i stworzone przy użyciu nietypowych środków wyrazu wisiały w galerii miesiącami albo i dłużej, czekając na klientów, którzy mieli nie tylko odpowiednio wyposażony portfel, ale także wrażliwość i inteligencję. A tacy owszem, czasem się trafiali, lecz zbyt rzadko, by mogli stanowić jedyną grupę klientów Chiary. Zawsze więc starał się balansować między kiczem a sztuką, natomiast z każdym dniem wyraźniej widział, co się lepiej sprzedaje. Neutralne i poprawne pejzaże, panoramy miejskie, portrety, martwe natury i sceny marynistyczne. Awangarda rzadziej. Inwestował jednak również w obrazy, które uważał za bardzo dobre i na które jednocześnie było go stać. Pracował na swoim, niejednokrotnie szedł z samym sobą na kompromisy i rezygnował z nieopłacalnych finansowo ambitniejszych projektów. Ale miewał także powody do dumy.

Twórczość Grety di Biase wydawała się wyjątkowa. Wiedział, że to nie są obrazy nad kominek ani do biura, a jednak były w stanie przykuć uwagę zarówno odbiorców obytych ze sztuką, jak i tych poszukujących „czegoś ładnego”. Tak mu się przynajmniej wydawało. On sam nie potrafił im się oprzeć. W tej chwili miał u siebie kilka jej obrazów, a przed paroma miesiącami sprzedał *Dies Irae* i *Il Braghettone*, za które wziął całkiem niezłe pieniądze. Wszystkie płótna były wyjątkowe i pokazywały ogromny talent di Biase, ale dopiero twarze Grety uznał za rzeczy ponadprzeciętne. Uważał, że powinny się znaleźć w innym miejscu, gdzieś, gdzie zostaną naprawdę docenione – i odpowiednio wycenione – a jednocześnie z trudem wyobrażał

sobie rozstanie z nimi. Kiedy przeglądał katalogi aukcyjne, nie bez zaskoczenia odkrywał, że Grety w niczym nie ustępują choćby *Modelce Weissa*, *Dziewczynie Fałata*, a nawet *Portretowi Zosi Wyspiańskiego*, który w sierpniu na aukcji w Rempexie pójdzie pewnie za ponad osiemdziesiąt tysięcy. Wcześniej myślał już podobnie o *Dies Irae*, *Il Braghettone*, *Genueńczyku*, *Pożarze w Voltri*, *Z głębi*, przedstawiającym nurkujące łabędzie, i o *Wyspie*. Było coś nieuchwytnego w jej stylu, czego nie potrafił nazwać. Rzeczywiście nie wydawał się on do końca ukształtowany, a di Biase wciąż próbowała ustalić, kim jest jako malarka. Ale Adam nie uważał również, by patrząc na obrazy, nie dało się w nich dostrzec pewnych cech charakterystycznych tylko dla niej. Nie wiedział, czy chodzi o pociągnięcia pędzla, dobór kolorów, tematy i sposób ich przedstawienia, czy raczej o aurę tajemnicy, której źródła nie dało się ustalić. Był jednak pewien, że zasługiwała na sukces. Po tym, jak ujrział „Grety”, nie miał już żadnych wątpliwości.

Greta di Biase jednak nie szukała rozgłosu. Prosiła, by do niczego jej nie namawiać i uszanować jej anonimowość. Nie planowała zmian. Adam był w stanie to zrozumieć, ale nie krył zdziwienia i uważał, że marnowała wielki talent. Ostatecznie jednak nie miał prawa się wtrącać. Napisała mu o tym, by zawczasu zdusić w zarodku wszelkie pomysły na ewentualną „reklamę”, którą mógłby jej zrobić. Prosiła, a może raczej zażądała przez Roberta, by „nie polecać Grety di Biase na szerszą skalę, bo to, co jest, w zupełności wystarczy”. Doskonale rozumiał, co próbowała powiedzieć, nawet jeśli wyrażała się w sposób elegancki i powściągliwy. Jej styl był nieco staroświecki, zdania rozbudowane, każde słowo użyte świadomie, cała wypowiedź w uprzejmym tonie, żadnych skrótów i emotikonów. Jak gdyby pisała tradycyjny list. Ile miała lat? Kim była? Dlaczego nigdzie nie natrafił na żadną fotografię? Na żadną dłuższą wzmiankę o niej, poza kilkoma zdaniami o obrazach Grety di Biase, które można kupić w jakiejś podrzędnej galerijce, gdzieś w Czechach, Niemczech, Austrii i we Włoszech?

Czy to właśnie ona była Gretą z obrazów? Powiedziała, żeby się domyślił. I domyślił się, uważał, że z płócien patrzyły na niego jej oczy. Że widział jej twarz, odtworzoną dzięki sprawnym pociągnięciom pędzla.

Dlaczego jednak tylko w taki sposób pokazywała się światu?

*

Adam nie wypił herbaty, nie zjadł kolacji, nie czytał przed snem, nie sprawdził pogody na następny dzień i nie wyprasował sobie ubrań, których później nie powiesił na wieszaku przy łóżku. Wrócił do Chiary i nie podnosząc rolet, długo siedział przed obrazami przedstawiającymi Gretę. Czuł przyspieszone bicie serca, ucisk w gardle i suchość w ustach. Wiedział, czym to grozi, bo kilka razy w życiu miał już wątpliwą przyjemność doświadczyć ataku paniki, więc starał się zapanować nad oddechem i zająć myśli czymś innym. Codzienna rutyna legła w gruzach i Adam sam się sobie dziwił, że tak długo zachował względny spokój. List od Grety stał się jednak jego nową obsesją, a obrazów nie potrafił wyrzucić z pamięci.

Teraz wpatrywał się w *Grete w srebrnym welonie*, próbując dociec, dlaczego płótno od razu skojarzyło mu się z *La Velata*. Dzieło Rafaela było sztandarowym przykładem malarstwa renesansowego, portretem emanującej spokojem, elegancko odzianej i gładko uczesanej damy o klasycznej, dostojnej urodzie, z odsłoniętym dekoltem i długą łabędzią szyją, przyozdobioną oprawnymi w złoto bursztynami. *Greta* natomiast ukazywała współczesną dziewczynę w ciemnym golfie, z burzą czarnych nieujarzmionych loków i umalowanymi na czerwono ustami, która rzuca odbiorcy wyzywające spojrzenie, jak gdyby chciała zwrócić jego uwagę na coś innego niż przepiękna twarz modelki. Na coś, co tkwi we wnętrzu tej kobiety. Na ból, który w sobie nosi. Adamowi wydało się, że wreszcie coś zrozumiał. Greta na tym portrecie nie była szczęśliwa. Co więc łączyło ją z damą Rafaela? Z początku uznał, że chodzi właśnie o welon, ale to nie było tylko to. Welon kobiety Rafaela idealnie wpisywał się w całą kompozycję, a srebrny na głowie Grety zdawał się na obrazie elementem z innego świata, niemal surrealistycznym. Gęsty, marszczony, bogaty, nie pasował ani do ciemnego golfu, ani do czerwonej pomadki. Podobieństwo polegało raczej na tym, że di Biase również zastosowała technikę *sfumato*, dzięki której postać

wyłania się jakby zza mgły, a kontury są rozmyte. Być może chodziło także o historię spoza ram obrazu. Modelce Rafaela przypisuje się przecież tożsamość Margherity Luti, ale przez całe stulecia nikt tego nie potwierdził w stu procentach. A zatem z tym obrazem, podobnie jak z *Gretą w srebrnym welonie*, wiązała się tajemnica.

Adam przeniósł wzrok na *Gretę nad jeziorem Iseo*. Tutaj ta sama czarnowłosa kobieta z burzą loków przedstawiona była z profilu, na tle szmaragdowej wody i błękitnego nieba. W oddali jawiły się kolorowe prostokąty lombardzkich domków, zbudowanych ciasno jeden przy drugim i przyklejonych do górskiego zbocza, a na jeziorze bieleły się trójkątne puszyste żagle. Tym razem nosiła jasną bluzkę z odkrytymi ramionami, nie rzucała wyzywających spojrzeń, a ust nie miała pomalowanych na krzykliwy kolor. Uśmiechała się. Była szczęśliwa. Kontrast między obrazami wydawał się bardzo wyraźny. Adam miał jednak pewność, że nawet za tym optymistycznym portretem ukazującym Gretę nad jeziorem kryje się szczególna historia. Czy di Biase chciała, by ją poznał? Igrała z nim, zwodziła go lub na swój sposób kokietowała? Robiła to, bo była znudzona i chciała zapewnić sobie rozrywkę? Szukała nowych doznań? A może naprawdę chciała pozostać anonimowa i nie spodziewała się, że będzie tak dociekliwy? Może kontakty z nim zamierzała ograniczyć do tej jednej, długiej, ale uprzejmie powściągliwej wiadomości? I nie planowała odezwać się ponownie nawet słowem?

Adama zaskoczyła nagle myśl, że nie chce na to pozwolić. I jeszcze jedna – że od dawna niczego nie czuł tak mocno. W ogóle niczego nie czuł. W nic się nie angażował, wszystko robił na pół gwizdka, stracił zapał do pracy, pasję, zainteresowanie światem i ludźmi i – tak po prostu – chęć do działania. A przecież, jak na absolwenta historii sztuki, studiów, które nie dają konkretnego fachu i pod względem finansowym słabo rokują na przyszłość, mógł powiedzieć, że mu się w życiu udało. Sprzedał mieszkanie odziedziczone po babce akurat wtedy, kiedy sytuacja na rynku była bardzo sprzyjająca, i wszystkie pieniądze zainwestował w galerię. Wynajął nieduży lokal na wrocławskim Rynku, kupił na początek kilka przyzwoitych, poprawnie „ładnych” landszaftów – góry, morze, jakieś łąki – i dość szybko

znalazł nabywców. Chiara funkcjonowała od prawie dziesięciu lat, czasy bywały lepsze lub gorsze, ale nigdy nawet nie otarł się o bankructwo. Powinien czuć się w miarę spełniony i usatysfakcjonowany. A jednak wcale się tak nie czuł. Zrutynizował swoje życie, poddał je ścisłej kontroli, myśląc chyba, że jeśli zaplanuje każdy krok, nic go nie zaskoczy i nie przerazi. Nie wiedział, skąd brał się osobliwy lęk przed tym, co nieznanne. Ale wiedział co innego – że właśnie teraz na powrót budzi się w nim chęć do życia. Do konkretnego działania, które nie byłoby zwykłym czekaniem, aż rzeczy tak po prostu wydarzą się same.

Z trudem oderwał wzrok od *Grety nad jeziorem Iseo* i sięgnął do kieszeni po smartfona. Nie wziął ze sobą laptopa, musiał więc pisać z telefonu. Tylko kilka słów, krótka, konkretna wiadomość. Powinien zdobyć się na to teraz, zanim impuls minie i ponownie górę weźmie irracjonalny lęk przed tym, co niezaplanowane, niezrutynizowane i skłaniające do podejmowania nowych wyzwań. Ręce miał wilgotne od potu, kiedy wystukał ostatnie zdanie. Dostosował się do konwencji *Grety* i pisał tak, jak gdyby był to tradycyjny list. Przeczytał cały tekst dwa razy i wcisnął „wyślij”, a później, kiedy niczego nie mógł już zmienić, długo wpatrywał się w ekran telefonu. Odpowiedź nie nadchodziła.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Czy jedna z nich jest szczęśliwa?

Szanowna Pani,

bardzo mnie ucieszył Pani list. Zapewniam, że komplementy nie są ani trochę przesadzone. Nadal uważam, że marnuje Pani talent, ale szanuję Pani decyzję i nie będę już o tym wspominał. Dużo myślałem o obu Gretach. Także o Pani odpowiedzi na moje pytanie – a raczej o jej braku. Czy Greta na obrazach to Pani? Miałem się domyślić. A zatem mówię: Tak, to Pani.

Kobieta z burzą ciemnych włosów, na jednym płótnie nieszczęśliwa, wyzywająca, usiłująca jakoś zmanifestować swój ból, który pozostaje głęboko ukryty i nie może znaleźć ujścia. Nie daje mi spokoju srebrzysty welon. Dlaczego Greta go nosi? Czy tego również mam się domyślić?

Technikę sfumato opanowała Pani do perfekcji. Greta jest nie tylko za mgłą – ona jest za mgłą własnego cierpienia. Ale nad jeziorem Iseo sytuacja się zmienia. Widzę nos Grety, jeden policzek, fragment czoła, włosów i szyi. Nie patrzy na mnie, lecz przed siebie. Na coś, co wywołuje uśmiech na jej ustach. Nie widzę połowy twarzy Grety, ale wiem, że tutaj jest już szczęśliwa.

Jedno mnie martwi – wpisała Pani ten sam rok na obu płótnach. Nie wiem, który obraz powstał jako pierwszy. Czy Greta najpierw była nieszczęśliwą kobietą w srebrnym welonie, a później nastąpił okres błogości nad Iseo? Czy może odwrotnie – jej szczęście zostało czymś brutalnie przerwane? Czuję, że nie odzyskam spokoju, jeśli się tego nie dowiem. Piękna Greta stała się czymś w rodzaju mojej obsesji. Chciałbym ją bliżej poznać.

Nawiązując jeszcze do Rafaela – mówi Pani, że wiele jej do niego brakuje. A ja zaczynam się zastanawiać, czy moje porównanie było słuszne. Może chodzi o tajemnicę – nie do końca ustaloną tożsamość Margherity Luti, która najpewniej pozowała do „La Velaty”. Na kilku innych obrazach Rafaela także można zobaczyć tę samą twarz. Interesujące jest takie tropienie modelek. Kiedy zobaczyłem Pani nowe portrety, od razu pomyślałem o „Dies Irae” – to było prawie jak dostrzeżenie w tłumie twarzy przyjaciela. Chciałbym zobaczyć jeszcze Gretę, obserwować ją w różnych sytuacjach. I nabieram pewności, że pospieszyłem się z tym Rafaelem. A to dlatego, że on próbował tworzyć ideały. Poprawiał naturę, dawał ludziom na płótnach coś, czego nie otrzymali w rzeczywistości. Wierzył, że tkwi w nich dobro, które powinno się uzewnętrznić w pięknych rysach. On sam był – podobno – bardzo dobrym, miłym człowiekiem. Tylko wtedy, gdy ktoś zamawiał u niego portret, stawał się malarzem realistą. Jestem bardzo ciekawy, czy robił to z przyjemnością, czy raczej w poczuciu wewnętrznego przymusu. Gdzie wtedy podziwiała się ta jego chęć tworzenia ideału? Zawsze zastanawiałem się nad charakterem malarzy i jego uzewnętrznianiem się w obrazach. Uprzejmy, miły, dobry Rafael i jego piękne, doskonałe, spokojne madonny

o nieskazitelnych rysach. Złośliwy, pyskаты, wredny Michał Anioł i jego pełne pasji, skręcone, muskularne sylwetki, w których krew zdaje się wrzeć. Co Pani o tym myśli? Jaka Pani jest? Na razie wiem tyle, że sylwetki na Pani płótnach żyją. Jest w nich niepokój, nawet Greta nad jeziorem, teraz wyciszona, musiała przeżyć coś silnego, zanim udało jej się tak złagodnieć. Bo tego typu ukojenie zawsze przychodzi po czymś, nie bierze się znikąd. Mam rację?

Proszę mi wybaczyć śmiałość.

Adam

2. Dni ciszy

Greta di Biase milczała. Adam powrócił do dawnej rutyny, która nie dawała mu już jednak iluzji bezpieczeństwa. Kilka razy z rzędu zapomniał o kanapkach i sałatce, raz nie sprawdził alarmu i dwa razy tego, czy wyłączył światła w samochodzie. O ile przed wysłaniem wiadomości do Greta przez chwilę czuł, że znowu żyje, o tyle teraz wszelki entuzjizm opadł w nim na dobre. Z całych sił starał się wtłoczyć w dawne ramy, by odzyskać przynajmniej szczątkowe poczucie komfortu.

Dwudziestego trzeciego maja musiał ponownie odstąpić od rutyny, i to w sposób znaczący, bo zepsuło mu się auto. Na myśl o tym, że konieczna będzie wizyta u mechanika, a wcześniej – jazda tramwajem, oblał go zimny pot. Jak zawsze w podobnych chwilach. Takie sytuacje boleśnie przypominały mu o tym, że jednak jest inny, wyróżnia się na tle pozostałych, „normalnych” ludzi, u których niespodziewane wypadki i wizyty u mechanika nie wywołują dreszczy, mdłości i zawrotów głowy. Usiłował zracjonalizować sobie całą tę sprawę, przetrwać w wyobraźni, potraktować jak coś, co po prostu trzeba załatwić. Wiedział przecież, że nie wiąże się to z żadnym zagrożeniem. W takich momentach sam sobie wydawał się śmieszny i tragiczny zarazem. Po kilku nieudanych próbach skontaktowania się z najbliższym warsztatem odsunął myśl o mechaniku i postanowił zadzwonić do warsztatu później. Świadomość, że prawie każdą taką sytuację podsumowywał słowem „później”, wzbudzała w nim złość. Mógłby oczywiście pójść do pracy piechotą, długi spacer w piękny majowy poranek nie wydawał się złą perspektywą, ale nie miał już na to czasu. Powinien otworzyć galerię za pół godziny, a przedtem zamierzał jeszcze porządnie

wywietrzyć pomieszczenie oraz tu i ówdzie zetrzeć kurz. Jak co dzień. Poza tym obiecał sobie, że właśnie dziś zawiesi wreszcie na ścianach dwie Grety, które dotąd trzymał na zapleczu, bojąc się wystawić je na widok publiczny. Zawłaszczył dla siebie te obrazy, karmił się i zadręczał ich widokiem, pogłębiał swoją obsesję na punkcie ciemnowłosej kobiety, przeżywającej na płótnach skrajnie różne emocje, i nie potrafił przestać. Pomyślał, że jeśli sprzeda Grety, być może choć częściowo odzyska spokój. Nawet za cenę paralizującej zazdrości o tych, którzy przyozdobią nimi swoje domy, nieświadomi historii Grety di Biase i tajemnicy ukrytej w ciemnych oczach, srebrnym welonie, czerwonej pomadce i łagodnym profilu na tle wody.

Adam uśmiechnął się sam do siebie i ruszył na przystanek. Próbował się oszukać. Wiedział, że jeśli pozbędzie się *Gret*, nie odzyska spokoju, a raczej straci go już na zawsze. Nigdy nie zapomni o płótnach i ukazanej na nich twarzy, będzie o nich myślał każdego dnia, zadręczał się pytaniami o ich los i o ludzi, którzy weszli w ich posiadanie. Czuł się tak, jakby miał komuś oddać najcenniejszą pamiątkę, na zawsze, bez prawa do cofnięcia swojej decyzji. Czy mógł dokonać innego wyboru? Nie powinien przecież zatrzymywać dla siebie obrazów, bo wtedy byłby stratny, musiałyby, tak czy inaczej, w jakiś sposób zapełnić dziurę w firmowym budżecie. „Jakiś sposób”. „Jakiś inny sposób”. Jaki? Istniały sytuacje, w których mało konkretne sformułowania wydawały się szczególnie irytujące. Spojrzał w okno, na przesuwane się za szybą drzewa parku Szczytnickiego. Para siedząca przed nim rozmawiała właśnie o wybuchu bomby na koncercie Ariany Grande w Manchesterze, chłopak stojący nieopodal dołączył do dyskusji, a już po chwili wywiązała się kłótnia między zwolennikami i przeciwnikami przyjmowania do Polski uchodźców z Syrii. Jak gdyby jedno z drugim miało coś wspólnego. Ktoś argumentował, że szczegóły tego zdarzenia nie są znane i że nie należy z góry posądzać muzułmanów, ktoś inny krzyczał, że zawsze winni są muzułmanie, jeszcze ktoś, że nie wszyscy muzułmanie są źli i trzeba się po prostu nauczyć odróżniać złych od dobrych. Tak, wokół działały się różne rzeczy. Wszędzie zachodziły zmiany. Dotyczyły ludzkości w ogóle, a zatem także jego. Powinien wykazać zainteresowanie. Powinien... coś myśleć, czegoś doświadczać. Istniał przecież świat,

w którym należało jakoś żyć.

Adam poczuł dławienie w gardle, a koszula przylepiła mu się do pleców. Gdyby postanowił zabrać głos, powiedziałaby, że tu nie chodzi o muzułmanów, ale ogólnie o ludzi, wśród których trzeba nauczyć się odróżniać dobrych od złych, zaraz jednak pomyślał, że nie istnieją jasne podziały, a postrzeganie dobra i zła mocno zależy od kontekstu i punktu widzenia. Dlatego nie powiedział nic. Takie tematy pogłębiały jego wewnętrzny lęk przed nieznanym. Przerazały go rzeczy, na które nie miał wpływu, które tak po prostu się działy i powodowały mniejsze lub większe katastrofy. Ktoś wsiada do samolotu i już z niego nie wysiada, ktoś jedzie samochodem na konferencję naukową i nigdy nie dociera do celu, ktoś udaje się na rutynowe badania i dowiaduje się o śmiertelnej chorobie. Dzieciaki idą na koncert modnej wokalistki i już nie wracają. Mężczyzna patrzy na wymalowaną na obrazie twarz kobiety i ma wrażenie, że przegrał życie. Dlaczego? Czy można było zrobić cokolwiek, by temu zapobiec? Czy fakt, że w plastikowym pudełku Adam wiozł do pracy taką samą jak zawsze sałatkę i kanapkę z takim samym jak zawsze białym serem, przed czymkolwiek chronił? To był tylko jego prywatny sposób na zaklęcie rzeczywistości. Uzależniający, ale nic niewart.

Kiedy wysiadł z tramwaju, koszulę miał mokrą, a włosy wilgotne na skroniach. Zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień, więc pogoda zupełnie nie pasowała do jego stanu ducha. Starał się zatem ignorować światło i skupić na tym, co zawsze. Tabliczka, domofon, klucze, zaplecze, małe biuro, laptop, który trzeba wyjąć z torby, prowiant, który trzeba umieścić w lodówce, woda, którą trzeba nastawić, okna, które trzeba otworzyć, kurz... Adam otworzył szafkę i sięgnął po puszkę z kawą. Została najwyżej jedna łyżeczka. Za mało. Ten widok zupełnie wytrącił go z równowagi. Popsuty samochód i podsłuchana rozmowa o wybuchu w Manchesterze były oczywiście ważniejsze, ale brak kawy przybił Adama w momencie, kiedy czuł, że brakuje mu już siły. Za dużo tego wszystkiego, za dużo naraz, pomyślał. Patrzył bezradnie na parujący czajnik i prawie pustą puszkę. Powoli przeszedł do biura i zatrzymał wzrok na dwóch płótnach ustawionych pod ścianą.

Mokra koszula przylepiła mu się do pleców, a żołądek podszedł do gardła, kiedy ciszę przeszył dźwięk domofonu. Łapczywie zassał powietrze i na miękkich nogach ruszył z powrotem na zaplecze. Po chwili stał już przed Zygmuntem. Malarz ubrał się dziś w coś, co przypominało lekarski kitel, na szyi miał srebrny wisior, a na nosie lenonki. Adam nie znał się na modzie.

– Miałeś do mnie zadzwonić – oznajmił tamten na powitanie. – Przez ciebie musiałem wziąć dzisiaj urlop na żądanie, a powinienem skończyć projekt. Na wczoraj.

– I nie skończysz go właśnie przeze mnie?

– Tak, bo mnie denerwujesz.

Zygmunt Markiewicz. Przede wszystkim malarz, ale także grafik, bo przecież stałe źródło dochodu to pożądana rzecz. Bardzo go uwierała świadomość, że jeszcze nie może żyć tak, jak wyobrażał sobie życie prawdziwych artystów. Biuro zabija moją kreatywność, powtarzał jak mantrę. Adam przesunął się w progu i niechętnie wpuścił Zygmunta do środka.

– Zaraz muszę otwierać, nie mam czasu...

– No to otworzysz, w czym ci przeszkadzam? I tak nikt na razie nie przyjdzie – przerwał mu bezlitośnie malarz. – Dostanę kawę?

– Właśnie się skończyła.

Dopiero w tym momencie naprawdę zainteresował się Adamem. Zlustrował go od stóp do głów i spoważniał.

– Pójdę kupić kawę i jakąś koszulkę, żebyś mógł się przebrać.

– Koszulkę?

– Widziałeś się w lustrze? Jeśli nie, to zerknij. Zaraz wracam. Oczywiście nawet nie spojrzaleś na wizytówkę, którą ci ostatnio dałem?

Nie czekał na odpowiedź. Adam został w galerii sam. Zerknął na zegarek i – nadal niepewnie stawiając kroki – powlókł się otworzyć Chiare. Wiedział, że Zygmunt się nie myli. Nikt tu na razie nie zajrzy, a już na pewno nie pojawią się tłumy. Podniósł rolety, otworzył drzwi, po czym wpatrzył się w zalany słońcem Rynek i grupkę turystów zbitych przed budynkiem ratusza. Przewodnik wskazał właśnie zegar słoneczny i wszystkie głowy uniosły się jak na komendę. Wyglądało to całkiem zabawnie. Adama od zawsze

fascynował widok turystów łąpczywie chłonących widoki, które jemu całkiem spowszedniały. Odetchnął porannym powietrzem. Przez chwilę świat wydawał mu się nieco piękniejszy i lepszy, a on sam sobie – mniej niewydarzony. Zrobił dwa kroki do przodu i uśmiechnął się na widok staruszki o włosach koloru mleka. Szła powoli, zgarbiona i drżąca, a w dłoni ścisnęła siatkę ze świeżym pieczywem. Nie proponował pomocy, bo wiedział, że tego nie lubiła. Mieszkała w sąsiedniej kamienicy i mimo postępującego reumatyzmu wciąż wchodziła na trzecie piętro o własnych siłach. Powiedziała, że z Rynku kiedyś na pewno się wyprowadzi i zamieszka gdzieś, gdzie będzie jej wygodniej. Po śmierci.

– Dzień dobry, Adasiu!

Skinął głową.

– Sprzedałem już prawie wszystko – powiedział, mrużąc oczy od słońca.

– Cieszyły się dużym wzięciem.

– Wpadnij po pracy, to coś sobie znowu wybierzesz.

– Bardzo chętnie – zapewnił i wycofał się do wnętrza galerii.

Joanna Rogucka, kobieta o mlecznych włosach, pokazała mu pewnego dnia swoje hafty, a on kupił kilka na próbę i później całkiem nieźle sprzedał. Miała niezwykły, naturalny talent, dużo wolnego czasu i zapał do pracy. A także to, co najważniejsze – pasję. Kiedy na nią patrzył, odnosił wrażenie, że tak naprawdę jest od niego młodsza.

Stanął na środku Chiary i rozejrzał się. Nie stał kurzu, jak zamierzał, nie przewiesił kilku nowych płócien w inne miejsca, by je lepiej wyeksponować, i przede wszystkim – pozostawił obie Grety w biurze. Kręciło mu się w głowie, szczęka zaczęła lekko drętwieć, a dłonie drżeć. Po chwilowym spokoju, który odczuł, kiedy rozmawiał z Rogucką, nie został nawet ślad. Chyba rzeczywiście przestawał sobie z tym radzić. Pomyślał o wizytówce, którą wspomniiał Zygmunt i na której wypisane było nazwisko terapeuty. Adam oczywiście podarł ją i wyrzucił. Był dziwakiem, nie świrem. Wciąż to sobie powtarzał.

Usiadł na wysokim krześle za kontuarem i ułożył kilka długopisów w równym rzędzie, pod nimi umieścił notes, a obok terminal. Terminalu używał codziennie, notesu – rzadko. Miał przecież laptopa, elektroniczny

terminarz i wszystkie ważne kontakty zapisane w telefonie. Zerknął do komórki, do komputera i do tego nieszczęsnego notesu, żeby sprawdzić, czy nic stamtąd jakimś cudem nie zniknęło. Wiedział, jakie to wszystko jest beznadziejne i bezcelowe – i że po prostu nie musi tego robić. Chwilami brakowało mu już sił. Do zwykłych, codziennych obsesji dołączyła jeszcze uporczywa myśl o Gretach. Albo o Grecie, która wciąż milczała. Czuł niepokój, kiedy przypominał sobie jej smutną twarz na obrazie z welonem i przymknięte ze zmęczenia powieki na tle *sacco di Roma*. Idący tłum wściekłych mężczyzn i niczego nieświadoma kobieta, która właśnie zjadła kolację. Żaden człowiek nie zna swojej przyszłości... Czy właśnie to tak naprawdę chciała powiedzieć?

– No, jestem! – rozległ się głos Zygmunta, który zdawał się wypełniać swoją osobą całą przestrzeń galerii. – Lavazza, tak jak lubisz. Z koszulki to nie wiem, czy będziesz zadowolony, ale nie miałem czasu chodzić i się zastanawiać, więc wziąłem coś najbardziej neutralnego. Proszę.

Zygmunt wcisnął Adamowi do rąk dużą papierową torbę. Lenonki, które wetknął teraz na czubek głowy, zginęły pod burzą blond loków, bynajmniej nie naturalnych. Zygmunt doskonale znał się na wałkach i lokówkach, o czym wiedziało niewiele osób. Swój wizerunek artysty z blond grzywą – takiego trochę barokowego kupidyńka – lansował bardzo konsekwentnie i dobrze na tym wychodził. Był wyrazisty i rzucał się w oczy, zwyczajnie nie dało się nie zwrócić na niego uwagi. Oczywiście miał też talent. Właśnie przygotowywał się do całkiem sensownej wystawy w Muzeum Współczesnym i Adam wiedział, że niebawem nie będzie go już stać na obrazy Zygmunta. W tej chwili w Chiarze został tylko jeden – zapewne ostatni.

– Dancer, ja rozumiem, naprawdę. Jestem bardzo przystojny, to jasne, ale nie gap się, tylko idź się przebrać, bo wyglądasz, jakbyś włożył na siebie mokrą ścierkę. – Nazwisko Adama wymawiał z angielska, w znaczeniu „tancerz”, czym zawsze bardzo go denerwował. – Aha, i miałem rację co do wizytówki? Nawet na nią nie spojrzalesz?

Adam nie odpowiedział. Odwrócił się i ruszył na zaplecze. Zaniósł kawę do kuchni, po czym z koszulką pod pachą zamknął się w biurze. Łyknął dwie

ziołowe tabletki na uspokojenie, dostępne bez recepty i zupełnie nieskuteczne, po czym przebrał się w biały T-shirt. Był zaskoczony, że Zygmunt faktycznie wybrał rzecz tak neutralną, zamiast wcisnąć mu jakąś tunikę vintage z lumpeksu. Pewnie chciał, ale nie znalazł. Zawsze uważał, że właściciel galerii z dużego miasta powinien nosić się inaczej niż prowincjonalny księgowy.

Portrety stały nieruchomo pod ścianą. Adam był dumny z tego, że zerknął na nie zaledwie dwa razy. Kiedy skierował się do drzwi, zatrzymał się jednak przy *Grecie w srebrnym welonie* i... delikatnie położył palec na czerwonych ustach. Zaklął w duchu. Pewnie źle zrobił, drąc tę wizytówkę. Może jednak wcale nie był zwykłym dziwakiem, tylko naprawdę mieszało mu się w głowie?

Przestrzeń galerii wypełniały teraz dźwięki *Wiosny* Vivaldiego, a Zygmunt poruszał dłońmi, jak gdyby dyrygował.

– Dlaczego nigdy nie puszczasz tu muzyki? Zwłaszcza takiej? Dałem ci płytę, nawet nie rozpakowałaś z folii. Nie dostaniesz już ode mnie żadnego prezentu. A jeśli nie lubisz klasyki, to może coś alternatywnego? Gdybyś zmienił styl ubierania...

– Ile mam ci oddać za koszulkę? – Adam poczuł się nagle bardzo zmęczony. Tymczasem dochodziła dopiero dziesiąta i miał jeszcze przed sobą cały dzień, a nade wszystko powrót do domu, piechotą lub ponownie tramwajem.

Zygmunt przestał dyrygować i nadąsał się.

– Niech będzie, że ta koszulka to już naprawdę ostatni prezent ode mnie. Wolałbym zapomnieć, że ją kupiłem. I że tak ci w niej do twarzy, co nie świadczy dobrze ani o tobie, ani o koszulce. Posłuchaj tylko tego pieprzonego Vivaldiego, chociaż przez cholerną chwilę! Muzyka klasyczna też całkiem korzystnie wpływa na takich... jak ty.

O Vivaldim faktycznie można to było powiedzieć, ale na przykład o takim *Marszu żałobnym* Chopina już nie do końca. Adam ulokował się na powrót za kontuarem. Musiał przyznać, że *Wiosna* mu nie przeszkadzała – wręcz przeciwnie – choć płyty rzeczywiście nie odpakował.

– Może wróćmy do celu mojej wizyty – kontynuował Zygmunt. –

Miałeś zadzwonić.

Adam przypominał sobie o tym, kiedy się przebierał. Miał do niego zadzwonić w sprawie pewnego obrazu, co do którego tamten nie był pewien, czy powinien się znaleźć na planowanej wystawie w Muzeum Współczesnym. Adam obiecał, że się zastanowi. Znał ten obraz, widział go wielokrotnie i uważał za bardzo dobry, choć najmniej awangardowy w dorobku przyjaciela. A cała wystawa miała, zdaje się, dotyczyć nowych środków wyrazu w jego twórczości. Prawda była taka, że Adam nie wiedział, co mu doradzić.

– Przepraszam, zapomniałem – powiedział tylko i zajął się przekładaniem długopisów, które następnie ustawiał od nowa w rzędzie.

– Zapomniałeś? Dancer. Spójrz na mnie.

– Patrę.

– Tak, na długopisy.

Niechętnie uniósł głowę.

Zygmunt splótł ramiona.

W tle nadal grał Vivaldi.

– Ty o niczym nie zapominasz, bo wszystko masz pozapisywane w osiemnastu miejscach i jeszcze poprzyklejane na lodówkę, a do tego każdą rzecz sprawdzasz sto razy.

– Musiałem gdzieś zawieruszyć notatkę.

– Powiedziałbym, że to dobry znak, że może normalniejsz i zaczniesz być roztargniony jak inni zwykli ludzie, ale widzę, co się dzieje. Jeszcze chwila i będziesz mógł się zaangażować do roli zombie w jakimś serialu na Netflixie, i to wcale nie dlatego, że masz talent aktorski.

– Nigdy nie rozumiałem twojego poczucia humoru.

– Niczyjego nie rozumiesz. Co się dzieje? Oprócz tego, co zawsze.

Adam zacisnął powieki i przyłożył dłoń do czoła. Ręce miał lodowate. Pod kopułą czaszki ulokował się ból, który zdawał się zwiększać z każdym kolejnym dźwiękiem *Wiosny*. A jednak Vivaldi sprawił, że poczuł nagle dziwną tęsknotę za czymś nieuchwytnym, jak cierpienie *Grety w srebrnym welonie*. Zanim się zastanowił, co właściwie robi, machnął ręką w stronę zaplecza.

– Zaparz kawę, dla mnie też, skoro już kupiłeś – powiedział. – A później idź do mojego biura i obejrzyj obrazy. Dwa, stoją pod ścianą. To powinno ci sporo wyjaśnić.

– Czyje obrazy? Znam?

– Greta di Biase.

– Tej od *Dies Irae* i *Majtkarza*? Faktycznie jest dobra. Aż żał było sprzedawać tamte dwa. Niemniej di Biase nie namalowała chyba nagle czegoś, co sprawiło, że wyglądasz... tak jak wyglądasz?

– Po prostu rusz się i tam idź.

Zygmunt przewrócił oczami i ruszył we wskazanym kierunku, wciąż z nadąsaną miną. Po drodze mrucał coś jeszcze pod nosem, ale Adam już go nie słuchał. Otworzył laptopa z zamiarem sprawdzenia w Google’u okolicy, w której mieszkał Roberto Savio, reprezentant Greta di Biase. Przesyłki i korespondencja przychodziły zawsze z Bergamo, niedużego miasta w pobliżu Mediolanu. Ale czy właśnie tam mieszkała Greta? Mogła się przecież znajdować w każdym innym miejscu na świecie, Adam podejrzewał jednak, że jej relacja z Saviem była dość bliska i że kontaktowali się często. Czy łączyło ich coś więcej niż interesy? Byli partnerami, kochankami, przyjaciółmi? Poczł ukłucie zazdrości. Zawsze je czuł, kiedy wyobrażał ich sobie razem. Bo przecież Greta ufała temu człowiekowi, oddała w jego ręce wszystko, co miała najcenniejszego. Swój wielki talent. Nie powierzyłaby tego byle komu.

Roberto Savio... Adam wpisał nazwisko w Google’a i natychmiast wyświetliły mu się wyniki. Zerknął na otwarte drzwi galerii. Jakaś kobieta stanęła przed wystawą i przez chwilę patrzyła na obrazy, po czym oddaliła się wolnym krokiem. Poczł ulgę i ponownie przeniósł wzrok na ekran. Przejrzał parę stron, fotografii i wpisów kilku osób o tym samym nazwisku, zamieszczonych na różnych portalach społecznościowych, po czym natrafił na witrynę niewielkiego butik w Bergamo, który mieścił się przy skrzyżowaniu via San Lorenzo z via Gambito, na parterze starej trzypiętrowej kamieniczki. Nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że to właśnie pod tym adresem mieszkał znany mu Roberto Savio. Adam otworzył kilka zakładek i przez chwilę czytał informacje o butik, który nosił nazwę

Signorina Savio. Nie mogło być mowy o pomyłce. Wcześniej nie sprawdzał tego adresu, bo zwyczajnie nie czuł takiej potrzeby. Podczas spisywania umowy Roberto przysłał mu wszystkie potrzebne dane, numer dowodu, PESEL i adres zameldowania – jakie to miało znaczenie, co jeszcze mieściło się w kamienicy, w której mieszkał? Adam kliknął w zakładkę „Galeria” i obejrzał zdjęcia butiku, a później w ostatni link – „O mnie”. Właścicielką sklepu była Valentina Savio, kobieta mniej więcej w jego wieku, czyli koło czterdziestki, bardzo atrakcyjna i zupełnie nie w typie włoskim. Miała brązowe półdługie włosy, jasną cerę usianą piegami, co akurat bardzo jej pasowało, i zielone oczy. Na zdjęciu została uwieczniona w dużych czerwonych okularach retro i jasnej sukience z haftowanym dekoltem. Zajmowała się krawiectwem i ubrania, które sprzedawała w butiku, były jej projektu, a niektóre także przez nią wykonane. Interes prowadziła od pięciu lat.

Adam zamierzał dokładniej zgłębić temat, ale w Chiarze pojawili się potencjalni klienci, kobieta i mężczyzna, a z zaplecza wysunął się blady jak ściana Zygmunt. Grety musiały wyrzucić na nim spore wrażenie. Adam uśmiechnął się pod nosem i zeskoczył z krzesła. Tego się właśnie spodziewał. Kiedy podchodził do klientów, ze zdumieniem zauważył, że oddycha głęboko i spokojnie, a ręce przestały mu drżeć. Nawet ból głowy odrobinę ustąpił. Kto mu pomógł? Greta? Czy Valentina Savio? A może Vivaldi?

– Dzień dobry – przywitała się kobieta. – Na wystawie zauważyliśmy taki ładny zachód słońca nad morzem. Chcieliśmy zapytać o cenę. To akwarela?

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa. Musiał na moment zapomnieć o Gretach, skupić się na pracy i wysilić na uprzejmość, zwłaszcza wobec osoby, która zadała sensowne pytanie. Skinął głową.

– Tak, akwarela. A ten widok to Półwysep Helski...

Kątem oka dostrzegł, że Zygmunt wychodzi na zewnątrz i w pośpiechu zapala papierosa.

*

Zdarzały się takie dni, kiedy do galerii nie przychodził nikt. Adam przeglądał wtedy rachunki i faktury, wysyłał zaległe e-maile, aranżował wystawę, przewieszał obrazy, zamawiał nowe katalogi, czytał oferty, a później książki, artykuły w internecie i posty znajomych na Facebooku. Facebook wydawał mu się bardzo bezpieczny, ograniczał kontakt z drugim człowiekiem do „lajkowania” wpisów i zdjęć, komentowania, udostępniania i od czasu do czasu wrzucania czegoś od siebie, by zaznaczyć swoją obecność. Żadnej rozmowy twarzą w twarz, która wymusza spontaniczną – a więc niezaplanowaną – akcję i reakcję, umawiania się na kawę i piwo, uścisków i całusów w policzki, chodzenia do kina i teatru, w ogóle żadnego zakłócania rutyny. Facebook był w komórce, tablecie, laptopie. Niczego nie zaburzał, a stanowił jakieś okno na świat, w pewnym sensie poszerzał horyzonty i pozwalał pozostawać w różnych kwestiach doinformowanym. Adam wiedział, że jego życie towarzyskie nie istniało, ale bał się zmian. Tak jak każdy człowiek potrzebował czasem czyjegoś dotyku i znalazł na to sposób, który dał się wpasować w przyjęte przez niego ramy. Podobnie było z rozmową, tą „prawdziwą”. Spotykał się po prostu z Zygmuntem, od czasu do czasu także z Joanną Rogucką, i to mu wystarczało. Kontakty z klientami, uśmiechanie się, silenie na uprzejmość, niekiedy długie objaśnianie wielu kwestii związanych z obrazami, i tak zanadto go wyczerpywały. Ale nawet to wpisywało się w ramy. Jak dziś.

Ponieważ dziś klienci dopisali i w galerii panował duży ruch. Po tym, jak sprzedał akwarełę, Adam nie zajrzał do internetu nawet na chwilę, nie zerknął, czy Roberto i Valentina Savio mają konta na Facebooku ani – co gorsza – przez kilka godzin nie zamienił słowa z Zygmuntem, który pod Chiarą wypalił chyba ze dwie paczki papierosów. Sprzedał za to pięć nie najtańszych obrazów, kilka niedużych grafik, ostatnie dwa hafty Roguckiej i ręcznie wykonane karty pocztowe. Połowę kupujących stanowili niemieccy turyści. Był zadowolony z utargu.

Ostatni klient opuścił galerię pół godziny przed zamknięciem. Zygmunt

wbiegł nerwowo do środka, ciągnąc za sobą chmurę papierosowego dymu. Adam skrzywił się i demonstracyjnie przestawił bliżej siebie odświeżacz powietrza.

– Rozumiem, że postanowiłeś pozostałych potencjalnych klientów odstraszyć tym smrodem? – zapytał, przecierając załzawione oczy. – Mam alergię na dym.

– Na ludzi też masz alergię, a jakoś musisz się z nimi czasem dogadywać.

– I też to zawsze odchorowuję.

Zygmunt niecierpliwie machnął ręką i wetknął sobie do ust miętową gumę do żucia.

– Myślałem, że rzuciłeś palenie – odezwał się znowu Adam.

– Rzuciłem.

– Oczywiście.

– Skończmy już to głupie gadanie, bo nie mam czasu.

– I dlatego siedzisz tu cały dzień.

– Są sprawy ważne i ważniejsze. Chcesz? – Wyciągnął w stronę Adama piersiówkę, w której na pewno była czysta wódka. Zygmunt niczego innego nie pił, prawdopodobnie nawet wody. Chyba że kawę po turecku, z ośmioma łyżeczkami cukru. – Nie widziałem nigdzie twojego auta, więc możesz sobie chlapać, i moim zdaniem powinieneś. Tylko wtedy jesteś do życia.

Adam wahał się przez chwilę, po czym skapitulował i pociągnął duży łyk. Przełknął, zakasłał i poczuł palenie w przełyku. Pociągnął kolejne dwa. Bardziej by się sobie przysłużył, idąc do jakiegoś terapeuty i robiąc porządek w swoim życiu, ale wódka smakowała lepiej i działała szybciej. Poza tym nie pił znowu aż tak często. Dziś jego nastrój zmieniał się jak w kalejdoskopie i sam siebie miał już dosyć.

Zygmunt wydawał się zadowolony.

– Dobrze, to teraz pogadajmy.

– Nie wiem, czy powinieneś wystawić ten obraz w Muzeum Współczesnym. Naprawdę, przepraszam, że ci nie doradzę, ale nie mam zielonego pojęcia. Jest dobry, tylko... – Adam urwał. Nie wiedział, co powinien właściwie powiedzieć po „tylko”.

– Pieprzyć obraz, jakieś tam, kurwa, chabry, maki i inne bzdety, przecież wiadomo, że im tego nie dam! To ma być prezentacja nowych środków wyrazu, wielki pokaz mojej pieprzonej indywidualności, a nie obrazów, które można by zbiorowo zatytułować: *Zapłacili mi za kwiatki, to je namalowałem, bo kwiatki są zawsze ładne.*

– W takim razie po co tu przyszedłeś?!

– Ktoś cię musi od czasu do czasu przypilnować, żebyś za bardzo nie świrował. Zadzwoniłeś do ojca? Tak myślałem, że nie. A minął już prawie rok. Rok, Dancer! Jutro to zrobisz i prześlesz mi screen historii połączeń, żebym widział, ile rozmawialiście. Kiedy widziałeś się z Nitą?

– Miesiąc temu. I nie będziesz mi mówił...

– Równno?

– Nie. W piątek...

– Aha. I nie ma szansy, żebyś odstąpił od swojego posranego planu i zapytał, czy możesz wpaść dzisiaj? Już się napiłeś, więc będzie ci łatwiej.

– No...

– Świetnie, zrób to teraz. Szybko, bo trzeba jeszcze porozmawiać o jednej sprawie.

Zygmunt wetknął Adamowi do rąk komórkę i splótł ramiona. Adam upił jeszcze dwa łyki wódki, chrząknął i wybrał numer. Zdziwiła go autentyczna chęć, by odebrała. Poczł się dziwnie pobudzony.

– Nita? – odezwał się, kiedy usłyszał w słuchawce niski kobiecy głos. – Znajdziesz dla mnie chwilę? Tak, dzisiaj. Tak, wiem, że byliśmy umówieni na piątek. Ale... piątek też może zostać. Nie, nie żartuję. Dobrze, będę za trzy godziny.

Wetknął telefon do kieszeni i spojrzał wyzywająco na Zygmunta.

– Zadowolony?

– Ja? To ty masz być zadowolony, ja tam z tobą nie pójdę. Chociaż trochę szkoda i w razie czego jestem otwarty na propozycję. A teraz do rzeczy. Skąd, do kurwy nędzy, wzięłeś te obrazy?

– Greta di Biase je namalowała. Pamiętasz?

Adam miał słabą głowę i jeszcze słabsze nerwy, więc po kilku łykach czystej wódki poczuł się trochę pijany. Być może dlatego mu powiedział.

Oczywiście nie wszystko, bo nie chodziło o to, by pozbywać się każdej tajemnicy czy próbować ubrać w słowa coś, czego chyba się w nie ubrać nie dało. Ograniczył się do faktów. Że nawiązał korespondencję z Gretą, co sądził o rzeczywistej wartości obrazów, i jeszcze o tym, że ona nie chciała rozgłosu. Dla siebie zachował całą resztę. Przede wszystkim – zachował dla siebie Gretę. Tę z obrazów i e-maili, tę, przez którą od kilku nocy nie mógł spać. Osobę – miał nadzieję – z krwi i kości. Ani słowem nie wspomniał o swoich emocjach, zupełnie nowych, z którymi przestawał sobie radzić. I o ich porozumieniu, które mogło być urojone. Miał mu powiedzieć, że Greta wykazała się oryginalnym poczuciem humoru, kiedy wspomniała o Majtkarzu, i wielką wrażliwością, kiedy pisała o cierpieniu zwykłych ludzi podczas *sacco di Roma*? Nie powiedział.

Zygmunt dokończył wódkę i spojrzał tęsknie na paczkę papierosów.

– Czyli ona tak po prostu sama ci te obrazy zaproponowała? Akurat tobie?

– Nie ona, tylko Savio. Wtedy, kilka miesięcy temu, to na pewno był przypadek. Rozsyłał oferty do małych galeryjek, takich jak moja, i akurat ja się odezwałem. Zaczęliśmy współpracować. A później ja wykazałem większe zainteresowanie obrazami Grety niż inni, i dlatego dostaję ofertę jako pierwszy. Szczerze mówiąc – mam nadzieję, że w tej chwili tylko ja dostaję od nich oferty. I tak biorę wszystko, co mi proponują. Dlatego mam też Grety.

– Dobrze, teraz je masz. I dostajesz oferty jako pierwszy. A jednak wcześniej sprzedawała swoje obrazy także innym i przecież ktoś na pewno się zorientował, że ma wielki talent. Musiał. Nie uważasz?

– Niektórzy się pewnie nie zorientowali, a niektórzy może tak. Nie wiem. Może nie mają interesu w tym, by reklamować obrazy kogoś, kogo w ogóle nie znają, skoro jej samej na tym nie zależy. Zresztą ona mówi, że sprzedaje swoje obrazy od kilku lat, czyli nie jest w tej branży długo. Może jeszcze nie przyszedł jej czas. Albo te wcześniejsze płótna nie są takie dobre. Nie widziałem wszystkich.

– Pewnie sporo ich wisi nad jakimiś kominkami.

– Pewnie tak. Ona zarabia na tym trochę pieniędzy, które widocznie jej

wystarczają. I może więcej nie potrzebuje albo zwyczajnie ich nie chce.

– Myślisz, że faktycznie jesteś w tej chwili jedynym nabywcą jej obrazów? A może tobie proponuje po prostu te najlepsze?

– Przyszło mi to do głowy. Ale jeśli mam być szczerzy – nie wiem. Czy faktycznie jestem jedyny, a jeśli nie jestem – jak dobre są te płótna, które proponuje innym nabywcom. Nie mogę przecież prześledzić jej całej kariery. Owszem, podpatrywałem to i owo w internecie, ale mam niemal stuprocentową pewność, że wielu obrazów zwyczajnie nie da się tam znaleźć. Tak jak powiedziałeś – wiszą teraz u kogoś w domu, a może w galerii, która nie ma witryny w sieci...

– Podpatrywałeś to i owo, bo jesteś zazdrosny o wszystkie obrazy Greta di Biase, które nie powędrowały do ciebie.

– Oczywiście, że tak! A ty byś nie był? Natrafiłem na kilka galerii, w których można odnaleźć płótna podpisane jej nazwiskiem. I tak się składa, że te galerie to jeszcze gorsze dziury niż moja Chiara.

– Twoja Chiara nie jest dziurą.

– Nie chce mi się kłócić. W każdym razie to, co udało mi się zobaczyć w sieci, jest bardzo dobre. Doskonałe. Jak wszystkie inne jej autorstwa, co dotąd widziałem. Ale mam wrażenie, że w obrazy, które trafiają do mnie, wkłada najwięcej emocji.

– Czyli miałem rację, dostajesz to, co najlepsze. Albo po prostu wyobrażasz sobie za dużo...

Adam z niecierpliwością machnął ręką.

– Nie rozumiesz. Wcześniej tak się po prostu chyba ułożyło, że kupiłem akurat te obrazy, które jej samej wydawały się najlepsze i może znaczyły dla niej najwięcej.

– Dzięki czemu uznała cię za odbiorcę modelowego swoich dzieł. Do tego zmierzamy?

– Chyba tak. Mogę się mylić, ale kiedy patrzę na Greta, wydaje mi się, że jednak mam rację. Choć naprawdę trudno to wszystko w prosty sposób wyjaśnić. Greta di Biase sprawia wrażenie bardzo skomplikowanej, tajemniczej i inteligentnej, a przy tym dość zdystansowanej. Wyraża się w sposób elegancki, daje do zrozumienia, że pisanie do mnie sprawia jej

przyjemność, a jednocześnie...

– Nie chce się za bardzo spoufalać.

– Takie odniosłem wrażenie.

– Nie będę udawał, że ją rozumiem. To absurd, że nie chce się wybić.

– Na pewno są jakieś powody. Może nie ma wykształcenia, jest samoukiem, dlatego brak jej pewności siebie? Wiesz, o czym mówię. Zero dyplomu, zero kontaktów, zero znajomości rynku. Nie ma się czym pochwalić w CV, nie ma na swoim koncie żadnych osiągnięć, jej prace nie były nigdzie wystawiane. Albo nie dostała się na studia? Ktoś jej wmówił, że jest słaba? Skrytykował jej obrazy na tyle mocno, że przestała w siebie wierzyć? Masz przecież świadomość, jak łatwo podciąć skrzydła komuś, kto nie jest pewny własnego talentu i umiejętności. A może... jest już stara?

– Myślisz, że jest stara? – Zygmunt zmierzwił swoje loki. – To mi nie przyszło do głowy. Chociaż nie sędzę. Maluje z takim nerwem, ekspresją... To wszystko jest żywe, pulsujące, nieco chaotyczne, można powiedzieć – namiętne i pełne pasji. Twórczość starszych artystów cechuje się większą dojrzałością, uporządkowaniem, spokojem. Oczywiście nie zawsze tak jest, ale...

– Rozumiem i zgadzam się z tobą. Ja również nie sędzę, by była stara. Ale powiedziałem tak, bo przecież wszystko jest możliwe i niczego nie powinniśmy wykluczać. Nie wiem, jakie relacje łączą ją z Saviem, i jak oni się między sobą dogadują. Wszystkie papiery wymieniam z nim. Więc równie dobrze to on sam może malować te obrazy i dorabiać do nich otoczkę. Sugerować, że stoi za tym tajemnicza artystka, która chce pozostać anonimowa. Wszystko razem całkiem ciekawie brzmi i podnosi wartość płócien, przynajmniej w oczach pasjonatów. Takich jak ja.

– Ale wolałbyś, żeby to jednak nie był Roberto Savio z Bergamo, tylko piękna, powabna, zabawna i inteligentna kobieta. Która wygląda tak jak Greta z obrazów. Prawda?

– Prawda.

– Myślisz, że ona faktycznie namalowała siebie? I że naprawdę nazywa się Greta di Biase?

– Nie wiem. Savio pisał, że lubi swoje imię i często używa go

w tytułach obrazów, dla zabawy i z przekory. Ale ona sama nie przyznała jednoznacznie, że maluje siebie – powiedział Adam i uciekł wzrokiem.

Dzięki wódce wyciszył się i odprężył, ale kłamać nadal nie umiał. Nie był w stanie przyznać, że zapytał ją o to wprost i że zadał jeszcze inne pytania, które Grecie mogły się wydać niedyskretne i impertynenckie. Nie powiedział też, że ona kazała mu się domyślić prawdy. Nie potrafił wyłożyć tej historii w prostych słowach przed Zygmuntem, a nawet przed sobą samym. Bo to by wymagało nie tylko wyjawienia tajemnicy, lecz także przekroczenia wewnętrznych granic i złamania blokad, wkroczenia w sferę bardzo intymnych przeżyć, w których poruszał się jeszcze po omacku.

Malarz zasepił się i ponownie potargał swoje loki.

– No, niezależnie od tego, kim jest i ile ma lat – podjął – jej obrazy są doskonałe. Ja sam nigdy w życiu bym czegoś takiego nie namalował. A wiesz, że jestem zadufanym

w sobie narcystycznym, egocentrycznym dupkiem, który uważa się za lepszego od innych.

– Wiem.

– Właśnie. Czyli sam przyznajesz, że Greta jest jednak lepsza ode mnie?

– Jest inna. I chyba właśnie określiłeś, na czym polega ta jej inność.

– Na tym, że ona nie wydaje ci się narcystycznym, egoistycznym dupkiem?

– A dokładnie – że wydaje mi się kimś całkowicie odmiennym.

– Zbyt skromnym i pokornym jak na swój talent.

– I niedającym sobie szansy.

– Tak... Co planujesz?

– Nie mam pojęcia.

– Ciężko ci będzie je sprzedać, prawda? Nie musisz odpowiadać i silić się na jakieś wydumane kłamstewko, przecież widzę. Skręca cię na samą myśl, że ktoś kupi twoje Greta i będzie sobie na nie codziennie patrzył.

Adam nie odpowiedział, ale obaj wiedzieli, że Zygmunt ma rację.

– Mógłbym kupić od ciebie jeden. Wyceniłeś już je? Pewnie będą kosztowały dużo mniej niż są warte, ale i tak na oba mnie nie stać. Nie teraz. Może po wystawie. To jak? Ile byś wziął za tę w welonie? Siedem tysięcy?

Sześć? Dla mnie z małą zniżką? Bo to będzie twoja górna półka, prawda? Nie jak te akwarelki za kilka stów. Oczywiście obie *Grety*, jak powiedziałem, są warte więcej, ale...

– Muszę się zastanowić – odparł szybko.

– Ty naprawdę zamierzasz je zatrzymać? Wiem, że masz tendencję do robienia takich głupot, bo już ci się zdarzało. Stąd w twoim mieszkaniu kilka niezłych obrazów, ale tylko jedno krzesło, stara kanapa, na której sypiasz, biurko ze sklejki i lodówka z epoki wczesnego Bieruta.

– Przesadzasz.

– Człowiek idzie do łazienki i naprawdę jest przekonany, że zobaczy tam pralkę Franię. Nie obraż się, ale za takie *Grety*, nawet po odliczeniu kosztów, które już poniosłeś, mógłbyś kupić sobie w Ikei kilka nowych krzeseł. I fotel. Stół. Nowe biurko. Albo normalne łóżko, żeby spać jak człowiek. No, coś byś na pewno wybrał. Ewentualnie lodówkę, średniej wielkości, z zamrażalnikiem na wódkę.

– Ty potrzebujesz zamrażalnika na wódkę, nie ja.

– Taką lodówkę – ciągnął Zygmunt – która porządnie chłodziłaby ci przynajmniej twaróg i pomidory, bo nic innego nie jesz.

– Jem.

– Makaron. Nie potrzebuje lodówki.

– Pomidory też nie, bo tracą smak. Może już z tym skończymy?

– Naprawdę nie widzisz problemu?

Adam oparł się o kontuar i spojrzał na wejście do galerii. O tej porze, późną wiosną i przy takiej pogodzie, niebo wydawało się prawie różowe, a do środka raz po raz wpadały podmuchy wieczornego wiatru. Zerknął na zegar i uznał, że czas zamykać. Kiedy przekręcił w zamku ostatni klucz i upewnił się – zrobił to nawet mimo lekkiego

zamroczenia alkoholowego – czy alarm jest włączony, odwrócił się w stronę Zygmunta i wzruszył ramionami.

– Po prostu są takie obrazy, których nie umiem się pozbyć. Przecież nie zdarza się to znowu aż tak często.

– To zarabiaj więcej i wtedy będziesz się mógł bawić w kolekcjonera. Całkiem niezłe hobby. Później założysz muzeum albo fundację, zyskasz

sławę, będziesz wypożyczał obrazy na wystawy. Zacziesz od jednego płótna, najlepiej jakiś mały format albo pastel. W sierpniu w Rempexie wystawią Leona Wyczółkowskiego...

– Wiem, *Wnętrze lasu*.

– Wywoławcza jedenaście tysięcy.

– Pójdzie za dwadzieścia.

– Obstawiam, że za osiemnaście, na więcej nawet nie jest wyceniony.

Pastel i tusz na papierze, czterdzieści trzy na trzydzieści dwa centymetry. Mały, no ale to Wyczółkowski. I szkic bardzo w twoim stylu – las, gęsto rosnące drzewa, cienie, gałęzie na siebie zachodzą, aura tajemnicy... Passe-partout, rysunek ładnie wyeksponowany...

– Opuść już sobie. Nie kupię Wyczółkowskiego.

– Ale zatrzymasz Gretę di Biase, dwa wielkie płótna, sporo warte, na których mógłbyś zarobić. A jednak wolisz nie zarobić. Podobnie jak ona. Naprawdę, jesteście sobie warcami. Tyle że w tej chwili zaborczość względem niektórych płócien to twój najmniejszy problem.

– Nie chce mi się teraz o tym gadać.

– Nigdy ci się nie chce. Z nią jest najtrudniej, co? Nigdy dotąd nie było tak trudno. Nie wyobrażasz sobie, że wypuścisz ją z rąk. Nie, nie odpowiadaj. Bo i po co?

– Muszę tu trochę posprzątać, więc...

– Nie musisz. O szóstej rano przychodzi Aneta, chyba że coś się zmieniło.

– Nie zmieniło się. Ale nie mogę przecież zostawić tutaj...

– Możesz, za coś jej płacisz. Jutro rano posprząta twój nieziemski burdel, czyli pół milimetra kurzu i przekrzywione krzesło. Tak naprawdę tylko podłoga wymaga mycia, reszty nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie zauważy. Chyba że jest tobą. Jak długo zamierzasz się namyślać?

– W związku z czym?

– W związku z Gretami, nie udawaj głupka.

– Dam ci znać.

– Tak samo jak dałeś znać w sprawie moich chabrów i maków – rzucił z przekąsem Zygmunt.

– Przecież co do chabrów i maków sam już podjąłeś decyzję! Nie sądziłem, że uważasz ten obraz za, jak to ująłeś, bzdet. Mówiłem ci, że jest dobry, przypomina mi trochę *Maki* Moneta – odparł Adam i ruszył na zaplecze, gdzie zaczął zbierać swoje rzeczy z biurka.

Starął się nie patrzeć na płótna pod ścianą, ignorować je zupełnie tak samo, jak kilka razy w życiu ignorował kobiety, które mu się podobały, ale których jednocześnie nie potrafił zainteresować swoją osobą. Dopiero po chwili zorientował się, że Zygmunt przygląda mu się bez słowa.

– Poprawiłeś już po raz pięćdziesiąty tę reprodukcję na biurku? Na pewno schowałeś laptopa do torby? Umyłeś szklankę? Tak? Wszystko jest na swoim miejscu?

– Zmierzasz do czegoś?

– Tak, do cholernych *Maków*. Tu jest właśnie problem. Moje chabry i maki są podobne do pieprzonych maków Moneta, czyli jednocześnie są trochę nie moje. Jakbym nie ja je malował, tylko ktoś, kto chce być Monetem. Kiedyś faktycznie chciałem nim być. Ale już nie. Teraz chcę być sobą.

Adam drgnął. Zarzucił torbę na ramię i omiótł wzrokiem Greta. Serce zabiło mu szybciej i ogarnęło go to znane już i dziwne uczucie, jakby w środku cały się trząsł i nie mieścił we własnej skórze, która rozciągała się do granic możliwości, usiłując pokryć napięte mięśnie. Coś podobnego napisała mu Greta di Biase. Że nie ma własnego stylu, jest niedookreślona i lepiej by zrobiła, zostając zręczną kopistką. Na tym chyba polegała sztuka – na odnalezieniu własnej drogi lub przynajmniej na jej szukaniu. Może nawet błędzeniu. Nic dziwnego, że żaden szanujący się twórca nie chce, by jego wartość wyznaczano poprzez porównywanie do innych. Zygmunt odnalazł własną drogę i dlatego miał wątpliwości względem swoich „bzdetnych” chabrów. A Greta? Ona przecież również ją odnalazła. Portrety były od początku do końca autorskimi dziełami, nawet jeśli sama jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Musiało ją spotkać coś naprawdę złego, coś, po czym przestała wierzyć w swoją wyobraźnię i moc własnych rąk. Coś, po czym zyskała pozorny spokój, jak Greta nad Iseo, ale nigdy nie doszła ze sobą do ładu. Tak właśnie czuł.

– Rozumiem – powiedział i ku swojemu zdziwieniu uśmiechnął się. – I naprawdę dam ci znać, co postanowiłem. A w kwestii chabrów masz rację.

– Nie zgadzaj się już lepiej ze mną tak ochoczo, bo sobie pomyślę, że coś kombinujesz. Ale mówię ci. Sprzedaj Grety i kup chociaż tanią lodówkę, łóżko i kilka półek, bo książki zalegają ci w stosach na podłodze.

– Rozumiem, że to twoje przesłanie pożegnalne?

Zygmunt wyplątał z loków swoje okulary i wcisnął je na nos, choć kiedy wychodzili z Chiary od strony podwórka, słońce już zaszło. Być może zrobił to po to, by Adam nie widział jego oczu, kiedy znowu się odezwał. Starał się mówić lekkim tonem, ale i tak brzmiał poważnie.

– Tak naprawdę to się o ciebie po prostu martwię. Wpadnij na wystawę. Równy miesiąc od dziś otwarcie, będzie bankiet. Jest jeszcze parapetówka, u mnie na Bujwida, ale kiedy ci o niej ostatnio wspomniałem, uprzejmie zignorowałeś tę informację.

– Zignorowałem?

– Czeka, czekaj...

Zygmunt sięgnął do kieszeni po smartfon i przesunął palcem po wyświetlaczu. Skrzywił się, pokręcił głową, a potem teatralnie westchnął. Kiedy wymamrotał coś o „wartości muzealnej”, „prywatnej kolekcji”, i że „to w końcu Michałowski”, Adamowi nie potrzebne były już żadne wyjaśnienia. W pewnych kwestiach po prostu się nawzajem rozumieli. Chodziło o dzisiejszą aukcję w Polswiss Art, na której wystawiano między innymi *Głowę konia* Piotra Michałowskiego, średnich rozmiarów płótno, utrzymane w ciemnej kolorystyce, faktycznie o wartości muzealnej. Na powierzchni malowidła widać było delikatne rysy i spękania. Poza głową konia na tym obrazie nie ma nic, tylko szare, lekko rozświetlone w centralnym punkcie tło. Ale zwierzę jest piękne. Swoje brązowe, namalowane idealnie oko kieruje wprost na widza. Kiedy Adam patrzył na ten obraz, miał wrażenie, że Michałowski musiał kochać tego konia i z miłością właśnie oddawać każdy detal. Sama technika i doświadczenie nie mogły wystarczyć. Potrzebne były jeszcze emocje. Licytacja *Głowy konia* miała się rozpocząć od czterystu pięćdziesięciu tysięcy złotych. A za ile ostatecznie poszła, kiedy stuknął młotek? Zygmunt wzruszył ramionami i ponuro oznajmił:

– Siedemset tysięcy.

Adam poczuł ukłucie zazdrości. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł sobie pozwolić na kupno obrazu za kilkaset tysięcy złotych – takiego, który miał swój wiek i swoją historię. Tę cholerną wartość muzealną, rysy i pęknięcia.

Zanim zdążył się odezwać, Zygmunt odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę Rynku. Jego biała sylwetka rysowała się wyraźnie na tle ciemnych ścian okolicznych kamienic. Ani razu nie się nie obejrzał. Adam odprowadził go wzrokiem i poczuł się nagle całkiem trzeźwy, ale i dziwnie samotny. Nawet przez sobą z trudem przyznawał, że kontakt z innymi ludźmi był mu jednak od czasu do czasu potrzebny. I że naprawdę zdarzały się takie chwile, kiedy chciał całkowicie zmienić swoje życie. Ale wtedy musiałby cofnąć się do punktu, w którym to wszystko się zaczęło. Jego lęki, obsesje i emocjonalny chłód. A tego bał się jeszcze bardziej niż zmian.

Sięgnął po telefon, by sprawdzić, ile czasu zostało mu jeszcze do spotkania z Nitą. Na ekranie wyświetlił się jeden nieprzeczytany SMS i jeden e-mail. SMS-a wysłała Nita. Napisała, że „jakby co” już jest wolna, bo skończyła wcześniej.

Nadawcą e-maila była Greta di Biase.

*

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

Temat: Greta wcześniej, Greta później, ja...

Drogi Panie Adamie,

nie wiedziałam, co napisać, dlatego tak długo zwlekałam z odpowiedzią. Pyta Pan, czy Greta najpierw cierpiała, a później była szczęśliwa. I jeszcze pisze, że chciałby ją lepiej poznać. To bardzo trudne kwestie. Po pierwsze – dlaczego sądzi Pan, że Greta naprawdę przeżyła te dwa stany, które ukazałam na obrazach? Widzi Pan mnie samą w modelkach, a ja prosiłam,

by się Pan tego domyślił, więc teraz ani nie powinnam mieć pretensji, ani nie mogę utwierdzić Pana w tym przekonaniu. Niepewność jest jednak w wielu sytuacjach piękniejsza, proszę mi wierzyć.

Jaką dać Panu odpowiedź? Bo przecież nie mogę nie udzielić żadnej, skoro tak Panu na niej zależy. Otóż Greta... przeżywa te dwa stany na przemian. Raz jest, jak Pan pisze, za mgłą własnego bólu, innym razem znów uśmiecha się, delektuje słońcem i zapachem. Wie Pan, że Iseo ma specyficzny zapach? Który nasila się zawsze wieczorem i po deszczu. A może tak jest z każdym jeziorem? Nie wiem, nie widziałam ich w życiu zbyt wielu. Greta bardzo lubiła to jezioro, a zwłaszcza spacerować wzdłuż via Garibaldi w Sarnico, która ciągnie się wzdłuż Iseo aż do pomostu i promenady. Spoglądała na jachty, ciemną i gładką taflę wody, w której odbijają się promienie słoneczne, i na łańcuch górskich szczytów, osłaniających ją jak parawan. Czasami siadała na ławce. Nic wtedy nie robiła, tylko wciąż patrzyła. Malarz musi patrzeć, ale też słuchać – tego, co mówią ludzie, i jak bardzo ich słowa przeczą temu, co naprawdę czują. I jeśli ma talent, odda te subtelności na obrazie. Skoro napisał Pan to wszystko o Grecie, to znaczy, że udało mi się ukazać o niej choć cząstkową prawdę. Jak już powiedziałam – Greta przeżywa te dwa stany na przemian, a niekiedy jednocześnie. Raz jest kobietą w srebrnym welonie, raz uśmiecha się na tle Iseo. I może tylko wyobraża sobie te spacerowanie, które są czymś częstym i powtarzalnym? Może tak naprawdę znajduje się gdzie indziej, w miejscu, do którego skurczył się cały jej świat? Może jeden jedyny raz widziała nurkujące łabędzie, górskie szlaki i szczyt z żelaznym krzyżem? Roberto wspomniał, że podobał się panu ten obraz. To Croce Gosnell, w Località Rocca, w Sarnico. Być może Grecie wystarczyło wspiąć się tam tylko raz, by namalować widok? „La Vista”. Tak właśnie zatytułowałam obraz. A może w ogóle się tam nie wspięła?

Pyta Pan, jaka jestem, pisze o sympatycznym Rafaelu, złośliwym Michale Aniele, odbiciach ich charakterów w obrazach. Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że wszystko się przenika. Osobowość artysty wpływa na obraz, uprawianie sztuki wpływa na artystę – komuś, kto nigdy jej nie uprawiał, nigdy też się nie uda wyobrazić sobie tej frustracji, złości, poczucia rezygnacji, jakie rodzi się pod wpływem oporu materii, i radości,

jaka się wyzwala pod wpływem jego pokonania. Sztuka wywołuje skrajne emocje w twórcach i odbiorcach, ale przecież Pan to wie. Niemiecki malarz podpalił z zazdrości obraz Rafaela, Władysław Podkowiński pociął nożem swój własny „Szał”, Steve Wynn przypadkiem przebił łokciem „Sen” Picassa, „Straż nocną” Rembrandta pociął nożem bezrobotny nauczyciel, a później kwasem siarkowym oblał pacjent zbiegły ze szpitala psychiatrycznego, Maximo Caminero rozbił wartą milion dolarów wazę chińskiego artysty o nazwisku Ai Weiwei, sprzeciwiając się wspieraniu przez Pérez Art Museum w Miami jedynie międzynarodowych twórców. I wreszcie – Laszlo Toth, również chory psychicznie, zaatakował młotkiem „Pietę watykańską” Michała Anioła, i wrzeszcząc, że jest Jezusem Chrystusem, zadał jej kilkadziesiąt ciosów. Wszystko to działania podyktowane szaleństwem, zazdrością, nieodwzajemnioną miłością, frustracją, poczuciem niespełnienia. Emocjami, które nie sposób powściągnąć i które albo rodzą się pod wpływem nagłego impulsu, albo dojrzewają długo, aż wreszcie muszą znaleźć ujście. Mnóstwo dzieł sztuki zaginęło w wyniku wojen i kradzieży. Być może ktoś gdzieś wciąż na nie patrzy, a może już dawno przestały istnieć. Od zawsze mnie to fascynowało. Artysta pracuje nad obrazem długie miesiące, może lata, nie dosypia, nie dojada, a później tnie płótno nożem. „Pieta” stoi w tym samym miejscu od kilku wieków, a jeden człowiek, przy pomocy jednego młotka, usiłuje zniszczyć coś unikatowego, całkiem osobnego i nie do podrobienia. Jedno zdarzenie może wszystko zmienić, prawda?

Wiele razy wyobrażałam sobie atak na „Pietę”. I myślałam o ludziach, którzy później usiłowali ją na powrót poskładać w całość. Na pewno wie Pan o tym, że kiedy Toth uderzył w marmur, sporo odłamków upadło na posadzkę, po czym zostały tak po prostu ukradzione przez osoby ze zgromadzonego dookoła tłumu. Wielu nigdy nie zwrócono. Jak musi się czuć konserwator, który do pięćsetletniej rzeźby usiłuje dopasować nowy element? A jak osoba, która z Bazyliki Świętego Piotra wynosi fragment pięćsetletniego marmuru, z myślą o tym, że kiedyś dotykały go palce Michała Anioła? Czy kiedykolwiek dopadły ją wyrzuty sumienia? Namalowałam kiedyś taki obraz. Młoda kobieta z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, na których leży kawałek marmuru. Ma długie proste włosy, dopasowany w talii zielony płaszcz, jej

ręce są blade, palce chude, a oczy – nienaturalnie duże. Patrzy nie na odbiorcę, ale na to, co trzyma w dłoniach, i jest przerażona. Zatyłowałam ten obraz „Pieta”. Namalowałam jeszcze inny – „Matkę”. Kobieta o ciemnej, gładkiej skórze i dużych ustach, w błękitnym zawoju na głowie. Napracowałam się, żeby uzyskać ten szczególny kontrast między brązem i błękitem, tak by oba kolory się ze sobą nie gryzły, tylko tworzyły harmonijną całość. To był dla mnie szczególny, bardzo ważny obraz. Zawsze uważałam, że moja matka pięknie wygląda w błękicie, a ona nigdy nie chciała go nosić. Włożyłam w to płótno swój dziecięcy strach, wspomnienie dawnych koszmarów, nagle przerwanych snów, chłodnej podłogi pod bosymi stopami, ciemnego korytarza, zapachu brzoskwiniowego balsamu, który unosił się w sypialni, i wsłuchiwania się w jej oddech. Bałam się, że kiedyś go nie usłyszę.

To dziwne uczucie, kiedy malarz oddaje komuś wykonany przez siebie obraz. Jedyne w swoim rodzaju. Pisarz pisze książkę i oddaje ją czytelnikom, tracąc prawo głosu na jej temat, ale może w każdej chwili zerknąć na swoje słowa, wejść do księgarni i kupić owoc swojej pracy. Nie traci książki z zasięgu wzroku, jeśli tylko tego nie chce. Muzyk daje swój utwór orkiestrze i może go słyszeć – w czyimś wykonaniu lub na nagraniach. I mimo różnic w interpretacjach to wciąż ta sama melodia. A obraz? Malarz, oddając go, traci swoją pracę z oczu. Kopia i zdjęcie obrazu to przecież nie to, co setki tysięcy egzemplarzy tej samej książki. Słowa można przepisać i skserować, ale obraz jest tylko jeden.

„Matkę” sprzedałam za pośrednictwem przyjaciółki. Jest teraz własnością prywatną. Ktoś patrzy na brązową skórę mojej matki i na błękitny zawój. Ale ten ktoś nie wie o moich nocnych lękach i wsłuchiwaniu się w jej oddech, nie ma też pojęcia o brzoskwiniowym zapachu ani o tym, że kobieta z obrazu nie lubiła koloru niebieskiego. Ciekawe, prawda? Każdego dnia zastanawiam się nad tym, czy „Matka” wciąż istnieje. Czy nikt nie pociął jej nożem ani nie przedziurawił łokciem.

Moja „Pieta” uległa zniszczeniu. Została spalona.

Niekiedy wystarczy doświadczyć czegoś raz lub dwa razy, by tak naprawdę doświadczać tego przez całe życie – albo wręcz sprowadzać swoje

życie do tych wydarzeń. Nie twierdę, że to dobrze, ale niektórzy nie mają wyboru. Tak jak nie miał go choćby Majtkarz. Greta również nie ma wyboru, a przynajmniej tak twierdzi. Może go po prostu nie dostrzega. Może widzi tylko jedno wyjście i od lat z niego korzysta? Boi się ludzi i tego, że będą ją oceniać? Znalazła więc złoty środek. Cierpi i cieszy się na przemian, maluje i patrzy na jezioro. A od niedawna myśli o Panu. Bo przecież skoro zadaje Pan takie pytania, to musi sporo rozumieć.

Przyznam się do czegoś. Zrobiłam to, co robią teraz wszyscy – znalazłam Pana w internecie. Niewiele tego jest, zaledwie kilka zdjęć i powtarzająca się notka biograficzna, strona galerii, profil firmowy na Facebooku. Na żadnym zdjęciu Pan się nie uśmiecha. Przypomniały mi się obrazy i fotografie cesarzowej austriackiej Sisi. Proszę się nie śmiać! Sisi na każdym zdjęciu ma zaciśnięte usta – podobno to dlatego, że miała nieładne, krzywe zęby. Ale Pana sekret nie może być taki przyziemny. Musi tkwić w czymś innym. Na zdjęciach ma Pan poważny wyraz twarzy i napięte mięśnie, oczy szeroko otwarte, jak gdyby się Pan czemuś dziwił. Nie lubi Pan obiektywu? Ja też go nie lubię, dlatego w sieci nie znajdzie Pan moich fotografii. Ale na pewno nie o to chodzi – raczej o coś głębszego i ważniejszego. Mam rację?

I dlatego teraz ja pytam – czy istnieją zdjęcia, na których się Pan uśmiecha?

Zacytuję: „Proszę mi wybaczyć śmiałość”.

Greta

PS Roberto nie wie o naszej korespondencji, wspomniałam mu jedynie o pierwszym e-mailu. I może niech tak zostanie. Nie chciałabym, abyśmy między sobą omawiali jakiegokolwiek kwestie handlowe. Bo przecież nie do kupna i sprzedaży sprowadzają się nasze rozmowy. Niech to się dzieje gdzieś obok.

Adam stał przed galerią okrągłą godzinę i odczytywał wiadomość wciąż od początku, a później wracał do poszczególnych fragmentów. Ostatkiem sił powstrzymał się przed powrotem do biura i wydrukowaniem e-maila, tak jak to zrobił z poprzednim. Wiedział, że będzie się to wiązało z powtórzeniem całej procedury otwierania, zamykania, sprawdzania, upewniania się, i po prostu zabrakło mu energii. Oparł się o drzwi i wpatrywał w ekran telefonu, aż zapiekły go oczy, a bateria prawie się rozładowała. Niechętnie ruszył na przystanek i wszedł do tramwaju, który zawiózł go na Nadodrze. Umówił się przecież z Nitą, zarezerwowała sobie dla niego czas, nie mógł jej w ostatniej chwili zawieść. Nie do końca rejestrował to, co się wokół niego działo, wszystkie gesty wykonywał automatycznie, oddychał ciężko, jak gdyby paliło go w płuca gorące powietrze, wyobrażał sobie jezioro Iseo i ławeczkę, na której przesiaduje Greta, samą Gretę wreszcie – w ciemnym golfie, jasnej bluzce, w renesansowej sukni zsuniętej z ramion, cierpiącą i szczęśliwą. Był już prawie pewny, że nigdy nie wyrzuci z głowy tego obrazu.

Napisała mu, że musi wiele rozumieć, skoro zadaje takie pytania, i sama pytała, czy kiedyś się uśmiechał. Oczywiście, rozumiał. I uśmiechał się, nie tak jak do klientów, nawet nie tak jak do Zygmunta, tylko naprawdę. Było to dawno temu. Doszedł już jednak do perfekcji w niemyśleniu o przeszłości, i dotąd wydawało mu się, że – w przeciwieństwie do Grety – nie sprowadził swojego życia do jednego zdarzenia. Ale przecież tak było. Stąd wziął się cały repertuar jego absurdalnych zachowań. Nie myślał o przeszłości, ale zapłacił za to wysoką cenę, zmienił się w kogoś, kogo nie lubił. Był pewien, że Greta już to dostrzegła. A jakie dwa wydarzenia zdefiniowały jej życie? I przede wszystkim – czy mógł sprawić, by mu o nich opowiedziała?

„Niekiedy wystarczy doświadczyć czegoś raz”. „Może widzi tylko jedno wyjście i od lat z niego korzysta?”. I jeszcze ten prosty wniosek, że jedno zdarzenie może zmienić wszystko. Greta próbowała coś mu powiedzieć – chciała tego, a zarazem się bała. Wspominała o Sarnico i zanim bateria w telefonie całkiem mu się wyczerpała, Adam zdążył zajrzeć do sieci i przeczytać krótką informację, że to małe miasteczko nad jeziorem Iseo, położone niedaleko Bergamo, gdzie, jak już wiedział, mieszkał Roberto Savio. Czyżby stamtąd właśnie pochodziła? To by do siebie pasowało. Tylko

czego się obawiała? Dlaczego nie pisała o niczym wprost i nie chciała się ujawnić? Poza tym użyła czasu przeszłego. Greta spacerowała, chodziła wzdłuż via Garibaldi, patrzyła na wodę, siadała na ławce. Czy był to tylko taki zabieg, czy też sygnał, że opowieść dotyczy czegoś już zakończonego, co działo się dawniej, ale przeszło do historii? Albo rozwijało się jedynie w wyobraźni i nie zaistniało naprawdę. Sama to zasugerowała. Może widziała to wszystko raz, a może nie widziała w ogóle. Pisała o obrazie, na którym kobieta niesie fragment *Piety watykańskiej*, i o tym, że został spalony. A wreszcie – wspomniała matkę, dawny lęk o jej życie. Matkę, która miała ciemną, gładką skórę. Była Murzynką? Mulatką? Jeśli tak, to prawdziwa Greta nie mogła być brunetką o jasnej, mlecznej karnacji – nie mogła wyglądać jak modelka na obrazach. A przecież to, między słowami, sugerowała. Nie zaprzeczyła, kiedy powiedział, że się domyślił. O co więc chodziło?

Adam wysiadł za wiaduktem i skierował się do jednej ze starych kamienic na Nadodrze, które od strony odnowionych fasad prezentowały się pięknie, ale w środku pozostały ciemne i lekko zalatujące stęchlizną. Wspiął się na samą górę, gdzie na zaadaptowanym poddaszu miała swoje królestwo Nita. Ciężko dyszał, a w środku znowu poczuł to dziwne rozedrganie. Było mu też wstyd, że przyszedł do niej nieświeży, spocony i w byle jakim T-shircie. Zazwyczaj przynajmniej w kwestii wyglądu zewnętrznego starał się trzymać jaki taki poziom, ale ostatnio organizm odmawiał mu współpracy na wszystkich polach.

Kiedy Nita otworzyła drzwi, przez chwilę miał wrażenie, że widzi twarz Grety. Chodziło zapewne o czerwoną pomadkę, którą dziewczyna pomalowała usta. Anita. Nita. Studentka. Sierota z małej wsi, dorastająca w potwornej biedzie. Dziewka o dobrym sercu, jak Nancy z *Olivera Twista* Karola Dickensa. Prawie wszystkie prostytutki w dziewiętnastowiecznej prozie miały swoje historie, życiorysy bogate w wydarzenia, które doprowadziły je do pierwszej transakcji – sprzedaży własnego ciała za chleb i dach nad głową. Nita zdawała mu się podobna do Nancy, ale też do Nany z powieści Zoli, bo przecież ona także miała swoje ambicje. Budziła w nim pożądanie i współczucie. Niekiedy bywał wobec siebie obłudny i lubił

myśleć, że robi dla tej dziewczyny coś dobrego. Pomaga jej. Na pewno miała „trudniejszych” klientów. Później jednak przychodziły momenty szczerości, w których stawał przed lustrem i uświadamiał sobie prawdę. Przychodził tu, bo miał taką potrzebę. Bo tak było łatwiej. Bo Nita go akceptowała i nie zadawała pytań. Oczywiście wiedział, że mogła być po prostu dobrą aktorką i grać przed nim taką rolę, jakiej oczekiwał i za jaką płacił, ale w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Nie myślał o Nicie, kiedy stąd wychodził. Spotkania planowali z wyprzedzeniem i była po prostu jednym z nazwisk w terminarzu.

Stała teraz przed nim uśmiechnięta i do bólu zwyczajna. Żadnego seksownego kimona czy obcisłej sukienki i wysokich obcasów, tylko podkoszulek i dżinsy. Włosy w nieładzie, lekko wilgotne, twarz, nie licząc czerwonej pomadki, prawie bez makijażu. Podobała mu się taka. Przez chwilę mógł pozwolić sobie na iluzję, że przyszedł do swojej dziewczyny.

Zaprosiła go do środka i pocałowała w policzek. Rozejrzał się po wnętrzu, które przez ostatni rok dobrze poznał i w którym prawie nic się nie zmieniało. Spadziste dachy, dwa niewielkie pokoje, ciasna łazienka i aneks kuchenny. Nita nie trzymała na widoku gadżetów i seksownej bielizny. Zresztą – bardzo możliwe, że chowała to wszystko przed nim, bo nigdy niczego takiego nie oczekiwał. Zdjął z ramienia torbę, zerknął na swoje ubranie i z zakłopotaniem splótł palce.

– Przepraszam za mój wygląd. Mógłbym wziąć prysznic?

Wiedział, że później i tak włoży z powrotem swoje nieświeże ciuchy, ale musiał przecież coś ze sobą zrobić, zanim trafi do jej sypialni.

Nita błysnęła w uśmiechu zębami.

– Oczywiście. Dołączyć do ciebie?

Zaskoczyła go tym pytaniem na tyle, że brak natychmiastowej odpowiedzi uznała za potwierdzenie. Zdjęła podkoszulek, rzuciła go na podłogę i poszła do łazienki. Usłyszał szum wody. Przełknął ślinę. Mimo że sypiał z nią od dawna, zawsze czuł się na początku skrępowany i – co ważniejsze – winny. To były właśnie momenty szczerości. Nie robił niczego dobrego. Robił coś złego, coś nagannego. Zygmunt tłumaczył mu, że tak myślą tylko „zakłamanym drobnomieszczanie i w ogóle cała ta pieprzona dulszczyzna”, ale on i tak po każdym spotkaniu z Nitą walczył z moralnym

kacem i nie potrafił spojrzeć w lustro. Choć przecież wiedział, że i ona nie miała w życiu łatwo, że błdziła i chciała zmian, ale nie znała innej drogi. Wpadła w pułapkę, podobnie jak on. Każde z nich czegoś się bało. Nita – że znowu będzie głodna, obdarta i straci szansę na zdobycie wykształcenia. Oczywiście mogłaby spróbować poradzić sobie inaczej, ale to wiązałoby się z ryzykiem, którego na razie nie potrafiła podjąć. Zupełnie jak on. Zupełnie jak Greta? „Może widzi tylko jedno wyjście?” – wciąż wracały do niego te słowa.

– Idziesz?

Nita podeszła bliżej i pomogła mu zdjąć koszulkę. Była naga. Między jej małymi piersiami widniało znamię, niemal idealnie okrągłe. Jakie ciało miała Greta z obrazów? Na płótnie z jeziorem widział tylko jej twarz, szyję i ramiona, a na tych z welonem i rzymskim wnętrzem – sylwetkę aż do bioder. Czy zostały wiernie odmalowane? A może autorka przekłamała rzeczywistość i upiększyła modelkę? I jeszcze ta ciemna skóra jej matki...

Nita zsunęła mu spodnie i bokserki. Przeszył go dreszcz, jak zwykle, kiedy czuł na sobie jej dłonie. Przed oczami miał jednak wciąż twarz Grety.

– Jesteś gotowy – mruknęła. – Może weźmiemy ten prysznic później? Czekać, zakręcę tylko...

Złapał ją za ramiona i przewrócił na dywan. Była zaskoczona, być może nawet przestraszona, ale zaraz odnalazła się w sytuacji i rozchyliła uda, a on wszedł w nią gwałtownie. Chwycił za nadgarstki i przygwoździł do podłogi tak, że prawie nie mogła oddychać. Poruszał biodrami szybko i bez wytchnienia, wreszcie jęknął głośno i opadł na nią ciężko. W tle wciąż szumiała woda.

– Byłeś... – wychrypiała.

– Nie mów tego – przerwał jej i pomógł wstać.

Patrzyła na niego skonsternowana, jak gdyby nigdy wcześniej nie mieli ze sobą do czynienia. Nie chciał słyszeć, że był „cudowny”, „świetny”, „wspaniały”. Dzisiaj żadne z tych kłamstw nie sprawiłoby mu przyjemności. Unikał jej wzroku. Był bardziej pobudzony niż zwykle i wiedział, że nawet po godzinie wyjdzie stąd niezaspokojony. Ale na dwie nie mógł sobie pozwolić. Pchnął ją lekko w stronę łazienki i patrzył, jak kołysze nagimi

biodrami. Kiedy weszli pod prysznic, przycisnął Nitę mocno do zimnej ściany. Nie chciał i nie mógł dłużej czekać. Woda spływała mu szerokim strumieniem po włosach, czole i szyi, tak że wkrótce twarz Nity, którą miał przed sobą, straciła wyrazistość, aż wreszcie zamazała się zupełnie. I teraz była to ponownie twarz Grety.

*

Nita poprosiła, by został do rana. Musiała dostrzec jego zakłopotanie, bo szybko dodała, żeby nie martwił się pieniędzmi. Gdyby poprosiła o to kiedykolwiek wcześniej, z pewnością by się nie zgodził, ale tej nocy Adam miał wrażenie, że żadnej decyzji nie podejmuje sam. Stracił kontrolę nad rzeczywistością i przeniósł się w inny wymiar, gdzie patrzył na siebie z dystansu i z zaskoczeniem notował swoje własne reakcje. Nita również to zauważyła. Wydawało mu się, że po raz pierwszy od dawna seks sprawia jej jakąś przyjemność. A może wcale nie chodziło o niego? Może po prostu miała gorszy dzień i nie chciała zostać sama? Adam zawsze uciekał w samotność, kiedy ogarniał go dobrze znany lęk, ale ona była „normalna”. Nie sądził, by przed wyjściem z domu za każdym razem uspokajała oddech, czuła przyspieszone bicie serca i ucisk w klatce piersiowej, by sprawdzała zamki w drzwiach po sto razy i zapisywała każdą informację w kilku miejscach, tak na wszelki wypadek. Sprzedawała się za pieniądze, ale z jej głową wszystko wydawało się w porządku.

Zgodził się. Była to pierwsza noc od wielu lat, którą spędził poza domem. Wyprał koszulkę od Zygmunta, bieliznę i skarpetki, które następnie rozwiesił na rozkładanej suszarce. Chodziło oczywiście o higienę, ale także o to, by odciąć sobie drogę ucieczki. Nie miał wyboru. Nie mógł tak po prostu, pod byle pretekstem lub w ogóle bez pretekstu, wyjść, bo nie miał w czym. Tłumaczył sobie, że to tylko jedna noc, kilka godzin w nie swojej pościeli, w łóżku wygodniejszym niż jego własna stara kanapa, wśród obcych gładkości i miękkości, których się obawiał i za którymi, mimo wszystko, tęsknił. Jak każdy samotny człowiek szukający choć chwilowej bliskości.

Tłumaczył sobie, że to coś, czego oboje chcą, co przytrafia się prawie wszystkim i jest zupełnie normalne. Coś, czego nie trzeba przefilozofować i dogłębnie zanalizować, co nie powinno wprowadzać w stan paniki. Normalna rzecz, z którą musiał się zmierzyć nie do końca normalny człowiek. Pomyślał, że jeśli wszystko sobie zaplanuje, będzie mu łatwiej, jak zwykle. Kilka prostych, przewidywalnych kroków, czynności, które powtarzał, rzeczy, które znał. Wstanie wcześniej. Pojedzie do domu. Przebierze się. Otworzy galerię. Nic złego się nie dzieje i nic złego się nie stanie. W galerii ponownie spojrzy na obrazy di Biase, położy palec na czerwonych ustach, pomyśli, że ma obsesję, i poczuje się jak w domu. Szaleństwo również dawało się oswoić. Wiedział dobrze, że obiektem nieoczekiwanej namiętności, którą okazał Nicie, była tak naprawdę Greta.

Spędził zatem noc w łóżku młodej prostytutki. By uporać się jakoś z kołataniem serca i nawracającymi dusznościami, z chęcią poczęstował się wódką, którą zapił ziołowe pastylki. Nita również pomogła mu zapomnieć na chwilę o swoich obsesjach. W jej jękach, skurczach i spazmatycznym oddechu było coś prawdziwego, organicznego, czego nie dało się tak po prostu odegrać. Kłębili się w mokrej od potu pościeli jeszcze po północy, a gdy Adam zapadał w pierwszy sen, poczuł dłoń Nity i wszystko zaczęło się od nowa. Przebudził się na krótką chwilę o trzeciej i wydawało mu się, że słyszy jej szloch, a kiedy uniósł głowę, zobaczył niedomknięte drzwi do łazienki i sączące się przez szczelinę światło. Powinien tam pójść. Zapytać, czy może pomóc. Nie zrobił tego jednak. Nigdy się nie interesował cudzymi problemami. Zygmunt określił to kiedyś jako „egocentryzm nerwicowy”, ale Adam nie wysilił się, by zgłębić temat. Tak naprawdę zainteresował się dopiero cierpieniem Grety w welonie. Być może dlatego, że go nie rozumiał, a ona, poza półsłówkami i aluzjami, nie chciała niczego więcej powiedzieć.

Nie wstał, nie podszedł do Nity i nie pocieszył jej, choć na pewno – mimo swojej „normalności” – miała w życiu ciężiej niż on. Tej dziewczyny również nie był w stanie zrozumieć, ale też chyba najzwyczajniej w świecie nie chciał. Odgrywała w jego życiu konkretną rolę. Wiedziała o tym. I sama poprosiła, by został.

O szóstej wyłączyła budzik i zanurkowała pod kołdrę, a on jęknął

przeciągle.

– Dlaczego... to robisz...?

Nie odpowiedziała. Adam zadygotał i zacisnął palce na jej włosach. Nie powinien był zostać. Nie powinien tutaj spać ani się tutaj obudzić. Nie powinien jej na to wszystko pozwalać, bo przecież oni... Poderwał się z poduszek i wydał z siebie krótki, zduszony krzyk. Chwilę później Nita usiadła na łóżku i przykryła dłońmi zaróżowione policzki. Teraz już wiedział, że płakała, bo oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione. Chciał coś powiedzieć, ale ona zeskoczyła z łóżka i wyszła z sypialni.

– W łazience masz czysty ręcznik – rzuciła tylko.

Pół godziny później, już ubrany, z wilgotnymi włosami pachnącymi jakimś owocowym szamponem, pojawił się w kuchni. Nita piła kawę, choć obie dłonie, w których trzymała filiżankę, bardzo jej drżały. Świetnie znał ten problem. Założył na ramię torbę z laptopem i przestąpił z nogi na nogę.

– Mówiłaś, żebym nie przejmował się pieniędzmi, ale nie chciałbym, żebyś... była stratna, więc nie wiem, czy nie powinienem... – Zawiesił głowę i spojrzał gdzieś ponad jej ramieniem. Nie po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, jak dokończyć zdanie.

Nita odstawiła filiżankę na blat, rozlewając przy tym kawę. Choć jej oczy wypełniły się łzami, spojrzenie miała teraz lodowate. Podobnie jak głosem, gdy wreszcie mu odpowiedziała.

– Nawet kurwy robią to czasem za darmo.

Kiedy opuszczał kamienicę na Nadodrze, czuł gorycz w ustach i już po kilku krokach oblał się potem. W tramwaju zasnął na chwilę, spóźnił się do pracy, a patrzenie na twarz Grety sprawiało mu niemal fizyczny ból. Tam, w kuchni Nity, czuł, że powinien zadać jej to niedokończone pytanie. Układ między nimi był przecież jasny od początku do końca. Z drugiej strony poprosiła przecież, by nie martwił się pieniędzmi, by z nią został. Chciała tego. Obracał w myślach to zdanie wciąż od nowa, przyglądał mu się jak tajemniczemu sformułowaniu, które widzi po raz pierwszy w życiu i usiłuje poddać interpretacji. Nita chciała, by spędził z nią noc, a on jednym pytaniem sprowadził ich relację na powrót do transakcji handlowej. I dlatego miał teraz wrażenie, że ponownie coś przegrał.

3. Roberto i Valentina

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Czy istnieją takie zdjęcia?

Droga Pani Greto,

pyta Pani, czy istnieją zdjęcia, na których się uśmiecham. Tak, istnieją. Trzymam je w czerwonym kartonie. Specjalnie wybrałem taki kolor, ponieważ jest jak sygnalizacja świetlna w ruchu drogowym. Światło czerwone zawsze oznacza „stop”. Tak samo jest z tym kartonem. Nie zaglądam tam. Boję się, że jeśli zajrzę, będzie jeszcze gorzej niż teraz. A Pani zmusza mnie, bym patrzył na siebie i myślał o sobie. Robię to nieustannie. Mam umysł wędrujący, rzadko istnieję tu i teraz, moje myśli biegną ku projekcjom przyszłości i w przeszłość, z pominięciem jednego jej fragmentu. Fragmentu sprzed piętnastu lat, bo właśnie wtedy zdarzyło się coś, co wciągnęło mnie w matnię, z której nie umiem się wydostać. A najciekawsze jest to, że samo wydarzenie nie wydaje się nikomu szczególne. Takie rzeczy się zdarzają – na całym świecie i każdemu. Raz usłyszałem nawet, że nie da się oszukać przeznaczenia i zmienić biegu wydarzeń, na które nie mamy wpływu. Ale mnie nie obchodzi każdy i nie interesuje mnie cały świat. Miała Pani rację, człowiek sprowadza niekiedy życie do jednego wydarzenia. Robi to nawet wtedy, kiedy stara się wyrzucić je z głowy. To ciągle jest przecież wracanie do przeszłości.

Dopiero Pani obrazy – twarze Greta – ściągają mnie ku „tu i teraz”, pozwalają zakotwiczyć się w czasoprzestrzeni. Jestem u siebie w galerii,

patrzę na Gretę i nie istnieje w tym momencie nic więcej. Chyba mi Pani jednocześnie pomaga i przeszkadza w odzyskaniu kontroli nad własnym życiem. Kiedyś, w jakimś poradniku psychologicznym, kiedy jeszcze myślałem, że potrafię pomóc sobie sam, przeczytałem, że muszę skupić się na rzeczywistości, istnieć w teraźniejszości, zapanować nad swoim wędrującym umysłem. A także powinienem wystawić się na to, czego najbardziej się boję, i zobaczyć, co się wtedy stanie. Czyli – nic. Nic się nie stanie, świat będzie nadal istniał, nawet jeśli nie ustawię długopisów w rzędki i nie zetrę kurzu. I jeśli ułożę książki na półce, zamiast trzymać je na podłodze, gdzie tworzą stosy, tej samej wysokości i grubości, bo tak je pogrupowałem. Przerazam Panią? Zapewniam, że to tylko mały fragment piekła, które istnieje w mojej głowie.

Portrety przynoszą mi ukojenie, odsuwając inne myśli, a jednocześnie stają się dla mnie nowym uzależnieniem. Pozytywne skutki są takie, że kiedy na nie patrzę, nie myślę o sobie i o tym, co mnie opętało, lecz o Pani. Albo – o Grecie. Po raz pierwszy od dawna chciałbym komuś pomóc. Na swój nieporadny, niedojrzały sposób. Chciałbym zabrać ten smutek, który widzę na twarzy Grety w welonie. Zaangażowałem się – a naprawdę nie angażowałem się w nic od bardzo dawna. Mam trzydzieści dziewięć lat, ale czuję się starszy i młodszy zarazem. Starszy – bo jestem nieopisanie sobą zmęczony. Młodszy – bo nie dorosłem do odpowiedzialności za drugą osobę. Dziś rano dotarło to do mnie po raz kolejny. Nie potrafię czytać w drugim człowieku. Sprawilem przykrość osobie, której chyba, w jakiś pokrętny i dziwaczny sposób, na mnie zależy. Źle ją potraktowałem. Jak pozbawioną zdolności do odczuwania istotę drugiej kategorii. Nie zasługuję na szacunek. Krzywdzę ludzi, którym na mnie choć trochę zależy, a w najlepszym wypadku okazuję im obojętność.

Tylko Pani... budzi we mnie inne emocje. Bo przecież musi Pani o tym wiedzieć. Na początek nie potrzeba niczego więcej, by rozbudzić uczucie. Wystarczy twarz, która coś wyraża, i słowa, które coś znaczą. Zbyt poetycko? Cała nasza korespondencja jest zbyt poetycka, gładka, piękna i nieprzystająca do współczesnego świata. Na razie mi to wystarcza, ale wiem, że w końcu będę chciał czegoś więcej. Usłyszeć Pani głos i poczuć

zapach. Sprawdzić, czy Pani dłonie są chłodne czy ciepłe, czy skórę na nich ma Pani szorstką od farby. Nadal zbyt poetycko? Nie mogę jeszcze napisać, czego naprawdę bym chciał.

Powiedziałem Pani, że są zdjęcia, na których się uśmiecham, i że trzymam je w czerwonym kartonie. A Pani? Powie mi kiedyś, do jakich dwóch wydarzeń sprowadza się życie Greta? I czy jest coś, co mógłbym dla niej zrobić, by częściej wyglądała tak jak nad Iseo?

Chyba Panią rozumiem. To naprawdę musi być dziwne, bolesne uczucie, kiedy oddaje się komuś swój obraz. Faktycznie – obraz jest jeden, nie da się go powielić jak powieści i rozesłać do wszystkich galerii na świecie. Może dlatego właśnie tak wielu ludzi trawi gorączka kolekcjonerska, połączona z chęcią zawłaszczenia jakiegoś płótna tylko dla siebie i oglądania go w pojedynkę. Bez towarzystwa tłumów, które nie potrafią zachować ciszy i okazać szacunku. To musi budzić poczucie wyższości. Świadomość przewagi nad innymi.

Muszę też zapytać o „Matkę”. Na pewno spodziewała się Pani tego pytania. Kobieta na obrazie ma ciemną skórę – a jaką skórę ma Pani?

Z niecierpliwością czekam na odpowiedź.

Adam

PS Roberto poinformował mnie, że pracuje Pani nad kolejnym obrazem. Cieszę się. Nie wspomniałem mu o naszej korespondencji.

Przeczytał wiadomość tylko raz, zanim ją wysłał, głównie po to, by wyeliminować literówki. Pisał w pośpiechu, trzęsącymi się dłońmi, powstrzymując się od kasowania poszczególnych zdań i zaczynania ich od nowa. Jego myśli, przetłumaczone na włoski, zdawały się odleglejsze, bardziej neutralne, i przez chwilę miał wrażenie, że opowiada o kimś innym. Dziwne było to kilkusekundowe wrażenie ulgi. Czy tak właśnie czułby się przez cały czas, gdyby jego problemy dotyczyły kogoś innego, nad kim

mógłby się po prostu litować? Jak wiele kosztują litość i empatia, które rodzą się z obserwacji czyjegoś nieszczęścia? Nie wiedział, bo od kilkunastu lat obserwował przede wszystkim samego siebie. Czy tak się czuł kiedyś, dawniej? Czy miewał wrażenie, że jego ciało nic nie waży, słońce świeci intensywniej, a kawa mocniej pachnie? Czy patrzył na ludzi inaczej niż na obiekty, z którymi od czasu do czasu trzeba wejść w interakcję, choć tak naprawdę wcale nie ma się na to ochoty? Nie pamiętał. Zaraz jednak odczytał własne myśli zamknięte w akapitach spisanych po włosku i wróciła do niego prawda, z całym swoim ciężarem.

Zawahał się przed wysłaniem e-maila, ale tylko na moment. Wiedział, że napisał wiele, za wiele, że mógł ją wystraszyć i zniechęcić do siebie. Czym była tak naprawdę ta ich osobliwa korespondencja? Czy nie potraktował jej zbyt poważnie, nie wyobraził sobie za dużo i nie pomylił fantazji z rzeczywistością? Napisał jej o tym, że nie zasługuje na szacunek. I jeszcze o tym, że wydarzyło się coś, co go zmieniło. Napisał o piekle w głowie i o czerwonym kartonie, o zdjęciach, na których się uśmiecha. To więcej niż wyjawiał komukolwiek przez ostatnie lata. Otworzył się przed obcą kobietą, która być może żyła tylko w jego wyobraźni. Która być może w ogóle nie istniała. Albo też istniała. I naprawdę nazywała się Greta di Biase. Szukała nowych doznań, odskoczni od codzienności, prozaicznych problemów i malowania, które postrzegala jako swoją pracę. Ćwiczyła się w sztuce manipulacji, próbowała wpłynąć na drugiego człowieka i ukształtować go wedle własnego uznania, tak jak się ogrzewa w dłoniach i formuje bryłkę plasteliny. I mogła też, równie dobrze, być prawdziwa. Chciał w to wierzyć. Zadawał sobie pytanie, co zrobi, jeśli ona już się do niego nie odezwie, i nigdy nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Zastanawiał się nad tym za każdym razem, kiedy klikał przycisk „wyślij”. Żył nadzieją, że Greta odpowie, ponownie, a potem jeszcze raz, i że z każdym zdaniem będzie wiedział o niej więcej. O ile, oczywiście, napisze mu prawdę.

Zamknął laptopa, przeszedł się po galerii i delikatnie starł kurz z półek, gablot i ram obrazów. Kolejna niepotrzebna, bezsensowna czynność. Aneta była tu o szóstej rano, jak zwykle, i wszystko wysprzątała na błysk. Cisza dzwoniła w uszach i Adam, sam się sobie dziwiąc, włączył Vivaldiego. Przy

dźwiękach *Wiosny* wydeptywał ścieżki w Chiarze, skrupulatnie licząc kroki i klepki podłogowe, aż zakręciło mu się w głowie. Był zmęczony. Przypomniawszy sobie o tym, co napisał Grecie o swoim wędrującym umyśle. Nie skłamał. Wielokrotnie usiłował skupić się na obecnej chwili i cieszyć teraźniejszością, ale szybko tracił nad tym kontrolę, a jego myśli krążyły ku przeszłości i przyszłości – dawnym zdarzeniom, o których chciał zapomnieć, i rutynowym czynnościom, którym chciał się oddać, by zamknąć się w ułudzie bezpieczeństwa.

Zatrzymał się przed lustrem w złoconej ramie, ustawionym tak, by odbijało martwą naturę w stylu flamandzkim. Teraz zobaczył w nim swoją twarz. Podkrążone oczy, bladą cerę, zadrapanie na szyi i dużą malinkę. Zrobiło mu się gorąco. Zerwał z oparcia krzesła sweter i zawiązał sobie wokół szyi, po czym chwycił telefon. Nita odebrała po czwartym sygnale. Nie wiedział, tak do końca, co powinien jej powiedzieć.

– Halo? – powtórzyła niecierpliwie, kiedy nadal milczał. – Adam? Czego chcesz?

– Przepraszam – powiedział wreszcie. – Po prostu przepraszam.

– Daj sobie spokój. Nie powinnam się dziwić.

– Nie, to nie tak... Zaskoczyłaś mnie. Nie wiedziałem, jak się zachować.

– Aha. Piątek aktualny?

Jej ton był chłodny i rzeczowy. Adam nie mógł zapanować nad poczuciem rezygnacji i porażki.

– Tak. Tak, oczywiście. Ale może zamiast... Może po prostu porozmawiamy?

Zamierzał powiedzieć, że i tak zapłaci normalną stawkę, jak zwykle za godzinę, bo przecież nie chciał, by była stratna. Nie wiedział jednak, czy nie wróci do punktu wyjścia i znowu jej nie urazi. „Stratna”. Bał się tego słowa, nigdy wcześniej nie sądził, że może brzmieć tak obraźliwie i trywialnie. Odpowiedziała powoli, starannie wymawiając każde słowo. Zrobiło mu się zimno.

– Adasiu. Z kurwą nie rozmawiasz, z kurwą się pierdolisz. Chyba tyle już wiesz. A teraz...

– Chciałem cię zapytać, dlaczego płakałaś w nocy – wszedł jej w słowo.

– O czym ty mówisz? – odezwała się po krótkiej pauzie.
– Płakałaś w nocy.
– Wydawało mi się, że tego nie słyszałeś.
– Bo gdybym słyszał, na pewno bym do ciebie przyszedł. Tak pomyślałaś?

– Tak.

– Przepraszam – powtórzył. – Powinienem był to zrobić. Nie zrozumiałem cię, nieczęsto zdarzają mi się takie sytuacje. A właściwie od jakiegoś czasu w ogóle mi się nie zdarzają.

– Wiem. Płacisz za seks, nie za to, żeby pocieszać prostytutkę. To ja za dużo sobie wyobrażałam.

– Nita... po prostu pozwól się przeprosić. Porozmawiamy w piątek? Powiesz mi, co się stało?

Zawahała się, a Adam nie wiedział, czy ostatecznie pytanie wypadło przekonująco. Czuł się podle względem Nity, ale jej problemy nadal niewiele go obchodziły. Powiedział to, co – jak uważał – powinien powiedzieć w takiej sytuacji. Starał się wykrzesać z siebie nieco empatii.

– Dobrze – odpowiedziała po krótkim milczeniu. – Powiem ci.

– Cieszę się. Do zobaczenia.

– Adam? Było jakoś inaczej, prawda? Tym razem? – W jej głosie zabrzmiała nowa, niemal błagalna nuta.

– Tak. Było inaczej.

Wydawało mu się, że miała nadzieję usłyszeć właśnie taką odpowiedź. Rozłączył się i ucisnął sobie skronie. Z bezsilności chciał tłuc głową o ścianę. Co powinien był jej powiedzieć? Przecież nie skłamał. Tym razem było zupełnie inaczej, bo przez cały czas wyobrażał sobie, że kocha się z kobietą, której twarz znał jedynie z obrazów. Sam sobie wydał się teraz jeszcze bardziej żaloszny niż zazwyczaj. I głupi.

*

Chiara świeciła pustkami przez cały dzień, nie licząc – ponownie – kilku

ambitnych niemieckich emerytów w płaszczach przeciwdeszczowych, którym nie przeszkodziło nagle załamanie pogody i spadek temperatury. Kiedy kupowali ręcznie malowane kartki pocztowe, Adam przypomniał sobie o tym, że miał wczoraj zajrzeć do Joanny Roguckiej i nabyć kilka nowych haftów. Na co dzień ludzie najczęściej kupowali tutaj, jak sam to określał, „duperele”, czyli właśnie hafty, pocztówki, kalendarze z reprodukcjami obrazów lub – droższe – z oryginalnymi grafikami, i malowidła niedużych formatów, a rzadziej „konkretne” obrazy. Ostatnio zainwestował nawet w ilustrowane przewodniki po Wrocławiu, które także nieźle się sprzedawały. Wiele można było zrobić, by nieco zwiększyć zyski, a jednocześnie wciąż inwestować w sztukę. Ktoś przecież wykonywał te ilustracje – zadawał sobie trud patrzenia na miasto oddane już wcześniej na setkach płócien, na deskach i tekturze, kreską i plamą, wyraziste lub o zatartych konturach. Przepuszczał każdy element przez filtr własnej wrażliwości i próbował wykrzesać z tego widoku coś więcej. Coś, co byłoby jedyne w swoim rodzaju, a zarazem w miarę czytelne dla odbiorcy. Adam wiedział, że efekty tych starań bywały różne, ale doceniał je, tak czy inaczej. Dawniej sam próbował szkicować, ołówkiem i węglem, nigdy nie sięgał po pastele i farby. Rozumiał świat barw, a jednak nie umiał się nimi posługiwać. Teraz nie potrafiłby nawet odpowiednio chwycić ołówka, postawić pewnej kreski. Wiedział, że kiedyś ponownie spróbuje, i bał się tej chwili. Miernych efektów i poczucia porażki na kolejnym polu. Przypomniał sobie nagle o obietnicy złożonej Zygmunтови. Miał zadzwonić do ojca. Powinien wreszcie to zrobić. Dzisiaj. Może jutro. W przyszłym tygodniu. Albo za miesiąc.

Tego wieczoru postanowił odwiedzić Rogucką, mimo że czuł się bardziej rozdrażniony niż zwykle. Rozstroiła go historia z Nitą, ale przede wszystkim wiadomość, którą wysłał do Grety. I fakt, że tak bardzo się przed nią odstąpił. Nie skłamał w ani jednym zdaniu i to przerażało go chyba najbardziej.

Kiedy Chiare opuścili niemieccy turyści, czym prędzej zmył mokre ślady, które po sobie pozostawili, i wywietrzył pomieszczenie. Na zewnątrz powietrze pachniało deszczem. Adam otworzył laptopa i wszedł na stronę

butik Singorina Savio. Po raz kolejny przejrzał te same zakładki i zerknął na zdjęcie Valentyny, a kiedy przekonał się, że nie znajdzie tutaj niczego nowego, zalogował się na Facebooka i odnalazł jej profil firmowy. Przeczytał post, który wrzuciła zaledwie godzinę temu. Dotyczył nowego modelu letnich sukienek w stylu lat sześćdziesiątych, dostępnych w kilku wariantach kolorystycznych. Przerzucił fotografie, zerknął na starsze posty. Na kilku zdjęciach dostrzegł samą Valentynę Savio, pozującą na tle butik lub w jego gustownym, choć ciasnym, wnętrzu. Była bardzo fotogeniczna i wydawała się pozytywną, otwartą osobą, której w życiu jest po prostu dobrze. Zazdrościł takim ludziom. Miał oczywiście pewność, że i ona, jak każdy, boryka się z własnymi kłopotami, a jednak wątpił, by musiała się mierzyć z czymś, co odbiera jej zdrowie psychiczne i fizyczne. Sprawiała wrażenie silnej kobiety, która dobrze wie, czego chce. Ktoś, kto nie jest pewny siebie i świadomy własnych atutów, nie pozuje do zdjęć w taki sposób. Musiała być siostrą Roberta Savia, a nie jego żoną, bo przecież nazwała butik Signorina Savio, nie Signora. Panna Savio. Ani ona, ani Roberto nie mieli na Facebooku kont prywatnych, ale nie sądził, by się pomylił co do ich relacji. Oczywiście wpisał również w wyszukiwarce nazwisko Grety, jednak – tak jak się spodziewał – na temat tej, która go interesowała, znalazł jedynie kilka wzmianek w małych internetowych galeriach i antykwariatach. Samo nazwisko i tytuł obrazu. Nic o autorce. Po raz kolejny.

Oderwał wzrok od ekranu i zapatrzył się w mokre od deszczu szyby. Roberto Savio, „agent” Grety, miał ładną, przedsiębiorczą siostrę. Mieszkał w Bergamo. Greta pisała o Sarnico i jeziorze Iseo. Nie chciała, by komukolwiek wspominać o ich korespondencji i czegoś się obawiała. Lub kogoś. Samego Savia? Adam nie mógł tego wykluczyć. Niczego nie mógł, bo niczego o nich wszystkich nie wiedział.

Korzystając z nadmiaru wolnego czasu, wpisał w Google’a hasło „Signorina Savio via San Lorenzo”. Po przejrzeniu kilku firmowych katalogów, gdzie znalazł jedynie adres sklepu, mail i telefon, natrafił na krótki artykuł, który przedrukowało kilka innych małych portali i lokalnych gazet. *Pożar na via San Lorenzo*, głosił nagłówek. Dowiedział się z całego tekstu tylko tyle, że dawniej pod tym samym adresem mieścił się inny butik,

założony przez Vittoria Rossiego. Interes prosperował całkiem nieźle, a Rossi miał stałe klientki. Pewnego dnia, „na skutek nieszczęśliwego wypadku”, jak przeczytał w artykule, w piwnicy pod sklepem wybuchł pożar, który wprawdzie nie objął wyższych pięter, ale zakończył się tragicznie dla właściciela i jego żony. Pani Rossi została uwięziona w pomieszczeniu, które jako pierwsze zajął ogień. Zanim wezwano pomoc i wyważono drzwi, kobieta zdążyła poważnie ucierpieć i w stanie krytycznym przewieziono ją do szpitala. Dwa dni później pan Rossi popełnił samobójstwo, rzucając się ze średniowiecznego muru otaczającego Città Alta. Jak potoczyły się dalsze losy jego żony i co było dokładną przyczyną pożaru – tego już artykuł nie podawał. Z kolejnego tekstu na innym portalu Adam dowiedział się, że kiedy sprawa nieco ucichła, lokal Rossich wraz z mieszkaniem na pierwszym piętrze kupiła Valentina Savio, która przeprowadziła gruntowny remont i także otworzyła butik.

Przejrzał jeszcze kilka stron, wpisał w wyszukiwarkę parę nowych haseł związanych z pożarem na via San Lorenzo, ale nie udało mu się natrafić na żadne nowe informacje. Czy takie wydarzenie mogło wydawać się komuś szczególną sensacją? Pożary zdarzają się wszędzie. Płoną całe budynki, hale, lasy, ogień zabija lub trwale okalecza dziesiątki ludzi. A tu chodziło o jedno zabrane życie, jedno, które ucierpiało, i jedną kondygnację zamienioną w zgliszcza. Wystarczyło kilka zdań, by poinformować o tym lokalną społeczność.

Adam zamknął laptopa i odchylił się na krześle. Miał wrażenie, że trafił na coś ważnego.

*

Joanna Rogucka przeszła samą siebie. Kiedy pokazywała mu nowe hafty, widział wyraźnie, że jest zadowolona ze swojej pracy. Opowiadała o zastosowanej technice, nowym rodzaju kordonków, których użyła, i o wzorze, który sama narysowała, a on potakiwał z miną znawcy. Tak naprawdę nie znał się na rodzajach haftu i dzieła Roguckiej oceniał jedynie

pod względem wizualnym, dostrzegał kompozycję, kolorystykę i podziwiał ogólny efekt. Dla niego były to po prostu obrazy. Kiedy obejrzał ostatni, skinął głową i uśmiechnął się.

– Wziąłbym wszystkie, jeśli pani się zgodzi.

– Bardzo proszę. Ten duży to myślałam, że weźmie wnuczka, bo właśnie kupiła mieszkanie, i że położy sobie na stoliku jako serwetę. W salonie ma taki szklany, zimny... Ale ona nie chce. Mówi, że tak ma być. Ani serwetek w domu, ani obrusów, ani firanek. Minimalizm to się nazywa. A na ścianach, zamiast prawdziwych obrazów, tylko jakieś bazgroły z dwóch kresek na krzyż. Czy wszyscy tak teraz lubią, Adasiu?

– Nie wszyscy – odpowiedział, choć tak naprawdę nie znał się na wystroju wnętrza.

– A ty? Jak sobie urządziłeś w domu?

Adam przywołał w myślach swoje trzypokojowe mieszkanie przy Jezierskiego. Dość duży salon, w którym stało wspomniane mu przez Zygmunta biurko ze sklejki, rozklekotane krzesło i stara rozkładana kanapa, sypialnię – tylko z nazwy i dlatego, że kiedyś trzymał tam tapczan – z równie starą szafą, i jeszcze jedno zupełnie nieumeblowane pomieszczenie, w którym przechowywał kilka obrazów. Pożółkłe ściany, dawniej białe, i ta jedna, ulubiona, z odsłoniętymi ceglami. Fascynował się wtedy przestronnymi loftami. Lubił taki industrialny, nieładzony styl, chropowatości, kable i rury, szorstkie drewna, metal, kolorowe tkaniny, najlepiej w wymyślne wzory, i oryginalne meble. I oczywiście – obrazy, mnóstwo, w różnych formatach, na ścianach i na półkach, wszędzie. Nie przepadał ani za drobnomieszczańską symetrią i paprotkami na parapetach, ani za katalogowymi, przeszklonymi wnętrzami nowobogackich. Kiedy osiem lat temu wprowadzał się na Jezierskiego, naprawdę chciał urządzić sobie dom. Myślał, że to właśnie siedem lat spędzonych w ciasnej wynajętej kawalerce pogłębiało jego poczucie beznadziei i izolacji, lęki i uciekanie w obsesyjne rutynowe czynności. Bo przecież przestrzeń życiowa jest ważna. Tak to sobie tłumaczył.

Skuł więc tynk i odsłonił cegły, wyburzył ścianę między salonem i przedpokojem, położył świeżą farbę na tych, które zostały, i wstawił stare

meble – tymczasowo, póki nie znajdzie sobie czegoś odpowiedniego. Ale nigdy nie znalazł. Uznał, że tak naprawdę mu nie zależy. Nic go nie obchodzi meble, kolor ścian i domowe sprzęty, bo tutaj, w swojej nowej życiowej przestrzeni, czuł się dokładnie tak samo. Nie chodziło o to, co było na zewnątrz, ale o to, co miał w środku. Jeśli ktoś nosi w sobie zimę, nawet w lecie czuje chłód. Porzucił więc planowanie wnętrza. W każdym pokoju, pod ścianami, ustawiał stosy równiutko ułożonych książek. Co drugi dzień wycierał je z kurzu i układał od nowa. Codziennie mył podłogę i parapety, sprzątał kuchnię i łazienkę, a raz w tygodniu, w sobotę rano, mył okna. Jego mieszkanie było czyste, to mógł powiedzieć na pewno. Ale nie było w żaden sposób urządzone. Wzruszył ramionami. Rogucka patrzyła na niego wyczekująco.

– Zwyczajnie – odpowiedział, ostrożnie owijając hafty w papier.

– To niedobrze – oświadczyła Rogucka. – Jesteś człowiekiem sztuki, w twoim domu nie powinno być zwyczajnie. Nie będę mówiła, że przydałaby ci się kobieca pomoc, bo to teraz niemodne i krzywdzące. Dla kobiet, bo sprowadza je do roli kur domowych, i dla mężczyzn, bo ich przedstawia jako nierozgarniętych. Powiem ci, Adasiu, że wiele rzeczy mi się we współczesnym świecie podoba, ale wielu też nie rozumiem. Trzeba uważać, co się mówi, bo zaraz się komuś niechcący przyczepia łatkę. Zupy zjesz? Ugotowałam pomidorówkę. Zauważyłam, że tylko na taką dajesz się zaprosić. Z makaronem.

Adam wahał się przez chwilę, ale wreszcie się zgodził. Zapakował hafty do torby i splótł na plecach drżące dłonie. Twarz zeszywniała mu po lewej stronie i zdrętwiało ramię. Wziął głęboki wdech i spróbował pomyśleć o tym, co działo się teraz. Rogucka drepcze do kuchni, otwiera lodówkę, stawia garnek z zupą na gazie... Nauczyła się już go. Wiedziała, że daje się zaprosić na pomidorówkę, bo z warzyw jada głównie pomidory, a z węglowodanów przede wszystkim makaron. A poza tym chleb i twaróg. Nie pamiętał, kiedy jadł coś innego. Miał wrażenie, że inne produkty byłyby kolejnym elementem zakłócającym rutynę, zwiększającym lęk i poczucie zagubienia. A przecież czuł się pewnie, kiedy wszystko było na swoim miejscu, miało określony kolor i kształt. Jak ubrania – czarne, białe i popielate. I jak

jedzenie. Westchnął ciężko, po czym zamknął oczy. To by było na tyle, jeśli chodzi o terażniejszość.

– Schudłeś – powiedziała Rogucka, kiwając na niego z kuchni. – Siadaj, już nalewam.

Powlókł się do stołu i opadł na krzesło. Zupa była naprawdę dobra, smakowała mu za każdym razem, kiedy dał się skusić. Zjadł wszystko do ostatniej łyżki i sięgnął po serwetkę.

– Dziękuję. Będę już...

– Adasiu, czy ty masz kłopot z alkoholem? Patrzyłam na twoje dłonie. W ogóle cały dygoczesz, pocisz się... Mój świętej pamięci mąż był dobrym człowiekiem, ale do kieliszka to lubił zajrzeć, a przestał dopiero, jak mu lekarz powiedział, że musi, bo się inaczej przedwcześnie wybierze na tamten świat. No to i przestał, ale zdrowie, tak czy inaczej, stracił i wyglądał podobnie jak ty. Chudy, rozdygotany, spocony. Blady.

Adam zmiął serwetkę i zacisnął ją w dłoni.

– Nie, to nie to.

– Więc co?

– Nie wiem. Chyba nerwica.

– Nerwica? Moja matka ponoć cierpiała na histerię. To chyba to samo. Nosiła przy sobie sole trzeźwiące i jeździła do wód. Opowiadała mi. A później przyszła jedna wojna, druga, i nikt nie myślał o histerii, tylko o tym, żeby było co jeść i nie dać się dorwać wrogom. Później nigdy już nie miała takich problemów.

– Mówi pani, że wojna by mnie wyleczyła? – spróbował zażartować, ale wyszło to jakoś smutno i żałośnie.

– Wojna to nikogo z niczego tak naprawdę nie leczy, tylko jeden problem zamienia na inny. Ale może znajdziesz sobie pożyteczne zajęcie. Żebyś nie miał czasu myśleć o sobie.

Pożyteczne zajęcie? Próbował przecież. Miał pracę, wciąż zgłębiał swoją wiedzę na temat malarstwa, czytał książki... Ale Roguckiej na pewno nie chodziło o to. Mówiąc o pożytecznym zajęciu, miała na myśli raczej coś, co mógłby zrobić dla innych. On jednak wciąż nie potrafił zdobyć się na empatię. Problemy innych – Nity, Zygmunta, a nawet własnego ojca – nic go

nie obchodziły. Doszedł do wniosku, że Greta di Biase była jego ostatnią nadzieją. I jeszcze sama Rogucka. Ogarniała go dziwna tkliwość, kiedy na nią patrzył. Była właściwie jedyną osobą, o której towarzystwo sam zabiegał. Zygmunt najczęściej mu się naprzykrzał, a z Nitą chodziło o coś zupełnie innego.

– Spróbuję, pani Joanno – skłamał i podniósł się z krzesła.

– Uciekasz już?

– Tak, jutro ciężki dzień. Mają przyjechać trzy nowe obrazy, muszę od nowa zaaranżować wystawę, a rano czeka mnie wizyta u mechanika. Auto mi się popsuło.

– Rozumiem. A ta twoja nerwica nie przeszkadza ci prowadzić samochodu?

– O dziwo nie. Kierownica mnie uspokaja. Kiedy jadę, mam wrażenie, że... uciekam przed tym wszystkim. To głupie, przepraszam.

– Wszystkim nam się wydaje, że robimy głupie rzeczy.

– Będę się zbierał. Dziękuję za zupę. I za hafty.

– Mam nadzieję, że nie będą ci zalegać w galerii.

– Na pewno nie. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Adasiu. Zagląдай do mnie, niekoniecznie po to, żeby coś kupić.

– Dobrze.

– I nie pogrzeb się za życia.

Był już na korytarzu, kiedy to powiedziała. Odwrócił się i chciał jakoś zareagować, ale ona zamknęła szybko drzwi i przekręciła klucz w zamku. Stał tak przez chwilę i wpatrywał się w dzwonek. Nie zadzwonił jednak i nie poprosił, by rozwinęła tę myśl. Bo przecież powiedziała dokładnie tyle, ile powinna.

*

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

Temat: Czego naprawdę chcemy

Drogi Adamie,

w poprzednim liście powiedziałeś mi wiele, a zarazem nie powiedziałeś nic. Rozumiem, że to forma rewanzu za moje półsłówka i niejasności. Być może również sposób na nienazywanie tego, czego się boisz, wprost. Akurat mnie nie trzeba takich rzeczy tłumaczyć. Choć, jak słyszałam i czytałam w mądrych źródłach, przypisanie zjawiskom konkretnych nazw pomaga je porządkować i oswajać. Może prawdą jest, że sprawy i problemy, które ukrywamy przed światem i o których boimy się mówić, są jak stopniowo pompowany balon. Nie można spuścić z niego powietrza ani go przebić. Albo też nam się tak wydaje. A przecież co się stanie, kiedy balon pęknie? Czy wyjdziemy z tego krótkiego, urwanego „bum” bardziej skrzywdzeni i nieszczęśliwsi? Czy umrzemy? Czy to ważne? A może chodzi o sam strach przed ogłuszającym dźwiękiem? Przed tym, że później absolutnie nic się nie zmieni i świat będzie istniał w identycznym kształcie?

Kiedyś szkicowałam. Od tego zaczęłam – wzięłam do ręki ołówek, później pióro, węgiel i tusz. Rysowałam na zwykłym papierze, kupowałam tanie bloki rysunkowe, w szarych okładkach, małego formatu. Jeszcze wcześniej bazgrałam na marginesach gazet, zeszytów, nawet książek. Tak to się zaczęło. Na okładce zeszytu ćwiczeń do matematyki narysowałam siebie – pociągłą twarz, a w niej duże, przestraszone oczy i wargi zaciśnięte w wąską kreskę. Dookoła ciemne włosy pozwijane w sprężyny. Nauczycielka wskazała szkic palcem i nawet nie musiała zadawać pytania. Kazała mi zostać po lekcji, a kiedy podeszłam do biurka, powiedziała, że trzeba szanować podręczniki – zwłaszcza ja muszę o nie dbać, bo przecież nie stać mnie na nowe – ale niewątpliwie mam coś w tych rękach i nie powinnam się poddawać. Stałam przed jej biurkiem i nie wiedziałam, o czym mówi. Spytała, jak mi idzie na zajęciach z plastyki, a ja odpowiedziałam, że dobrze, że może być, ale jest jednak trochę nudno, bo dostajemy proste zadania, które nie wymagają żadnego wysiłku. Wyklejanki, wydzieranki, zachody słońca nad morzem, martwe natury o nieskomplikowanych układach. A ona na to: „Ty po prostu już wszystko umiesz. Tak jak Giovanni matematykę. On też się

nudzi, bo to, co wam sprawia trudność, dla niego jest banalne. Dlatego daję mu trudniejsze zadania. I dlatego on sam z siebie zgłasza się do odpowiedzi, kiedy reszta klasy przychodzi nieprzygotowana. Każdy jest dobry w czym innym. Ty potrafisz rysować. Więc rysuj. Kup sobie lepsze ołówki, bloki, oglądaj katalogi z malarstwem, chodź na wystawy”. Na co ja: „Nie mam pieniędzy”. Na co ona, jakby przypomniała sobie nagle o tych nowych podręcznikach, na które mnie nie stać: „No tak... Ale nawet na ołówki? Przecież chodzisz porządnie ubrana, przynosisz do szkoły drugie śniadanie, masz komplet książek i przybory, wyglądasz na zadbaną i zdrową”. Na co ja: „Wszystko jest dokładnie wyliczone, więc nie, chyba mnie nie stać na lepsze ołówki”.

Szczerze mówiąc – nie byłam wtedy co do tego przekonana. I jak się okazało, nie miałam racji. Matka nie kupiła mi najlepszych narzędzi, ale pieniądze na ołówki i bloki się znalazły. W tamtej chwili jednak czułam nieokreśloną złość. Wydawało mi się, że matematyczka lituje się nade mną, nad moją sytuacją, i sugeruje coś w rodzaju: „No, dziewczyno, mądra to ty specjalnie nie jesteś, więc rób, co umiesz”. Miałaby rację, nigdy nie grzeszyłam mądrością. A im byłam starsza, z tym większym trudem znajdowałam czas na naukę. I jeśli musiałam wybrać między rysowaniem a odrabianiem lekcji – wybierałam rysowanie. Ale przecież pomyliłam się wtedy. Matematyczka nie litowała się nade mną i nie miała nic złego na myśli. Uświadomiła mi, czego naprawdę chciałam. Na koniec roku szkolnego dostałam od niej katalog z malarstwem włoskim. O mojej ocenie końcowej z matematyki nawet się nie zająknęła, bo nie bardzo było o czym.

A później? Czego naprawdę chciałam później? Marzyłam o tym, czego nie mogłam mieć. O studiach. O lnie. Każdy malarz marzy o dobrym, drogim lnie, bo jest trwały, chłonny i nie obciąża go farba. Ale ja musiałam długo odkładać na bawełnę, a potem wpadałam we wściekłość, kiedy się naciągała przy malowaniu. Chciałam mieć krosna – próbowałam zrobić je sama, ale wyszło fatalnie. Kiedy wreszcie udało mi się je kupić, zapragnęłam blejtramu o większych rozmiarach, z listwami poprzecznymi i klinami od wewnątrz. Z początku nie umiałam naciągnąć płótna na ramę, uważałam, że skoro z tym sobie nie radzę – jak mogę w ogóle myśleć o malowaniu? Marzyłam

o porządnym farbach, pastelach olejnych o gładkiej konsystencji i silnie kryjących, o pastelach suchych, lekkich i pudrowych, które delikatnie muskałyby powierzchnię, o werniksach i fiksatywach do zabezpieczania obrazów i rysunków. O grubym kartonie, który mogłabym rozłożyć na całej podłodze. O profesjonalnych pędzlach i szpachlach. Nie wystarczy mieć talent. Talent również musi się przez coś objawić, potrzebne są narzędzia i środki. To było właśnie to, czego najbardziej chciałam.

Teraz mam len. Sztalugi, blejtramy. Mam nawet stół kreślarski! I profesjonalną szpachlę, której użyłam może raz, bo wciąż wolę starą, zwykłą, taką, po jaką sięgają budowlańcy i malarze pokojowi. Mam też bogaty zestaw pędzli. Kiedy kończę pracę, zawsze dokładnie je czyszczę, zupełnie jak wtedy, kiedy miałam tylko trzy i starałam się ich nie zniszczyć, by mi długo służyły.

Tak, dostałam to. Nie było łatwo. Nie będę się teraz rozpisywać o wyrzeczeniach, niedojadaniu, dziurawych spodniach i butach, zgarbionych plecach, oparzeniach słonecznych, i wreszcie – o wszystkim, co musiałam poświęcić. O prośbach i błaganiach o zgodę, o cenie, którą płaciłam każdego dnia. Opowiem Ci o tym innym razem, może, jeśli będę w takim samym nastroju jak teraz. Kiedy poczuję potrzebę mówienia i nie opanuję pokusy.

Czego teraz chcę? Czego Ty chcesz?

Piszesz o równo ułożonych długopisach i stosach książek. O swoich obsesjach. Myślę, że cię rozumiem. Ja też wiem, jak to jest, kiedy człowieka oblewa zimny pot na myśl o wyjściu z domu. Jak bardzo boli świadomość, że ludzie na nas patrzą i poddają ocenie. Myślę, że mój problem zasadza się na czymś innym niż Twój, ale efekt jest identyczny – boimy się samych siebie. Tego, co jest w naszych głowach. Mówisz, że w Twojej jest piekło, a ja mogę powiedzieć to samo o sobie. Widzisz je właśnie na obrazie „Greta w srebrnym welonie”. Nie umiem powiedzieć Ci wprost, że to ja, bo sama nie jestem tego pewna. Przyglądałam się dziewczynie w welonie długo, zanim ją oddałam. A kiedy Roberto zabrał obraz, nadal nie wiedziałam. Przecież jeśli artysta maluje samego siebie, musi liczyć się z tym, że płótno zacznie żyć własnym życiem. Stanie się osobnym bytem, na który każdy odbiorca przeleje swoje własne emocje i doświadczenia. Tyle jest dzieł, ilu odbiorców, prawda?

A zatem – czy to ja jestem Gretą w srebrnym welonie? Nie odpowiem, nie mam pojęcia. Ale wiem, że w głowie Grety także istnieje piekło.

Adamie, mówisz, że krzywdzisz ludzi, że jesteś na nich obojętny. Chciałabym powiedzieć ci, że to nieprawda, ale tego też nie wiem. Chciałabym powiedzieć, że przecież reagujesz na mnie, współczujesz mi, interesujesz się moim smutkiem. Ale być może to dlatego, że mój smutek jest tak naprawdę naszym smutkiem i w gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami? Nie, tego w stu procentach nie wiem również.

Zdarza mi się pić w samotności, niedużo, zawsze wieczorem. Wychodzę wtedy do małego ogródka na tyłach mojego domu, oddycham czystym powietrzem i patrzę w niebo. Chcę być tą Gretą, która spaceruje nad jeziorem Iseo, pozwala sobie usiąść na ławce i patrzeć na wodę. Jest wytworem mojej wyobraźni, a prawdziwa ja to ta w ogrodzie, z lampką wina, które przytępia zmysły. Maluję. Chciałbyś zobaczyć kolejne wcielenie Grety?

Chciałbyś zobaczyć nagą Gretę?

Mówisz, że nie możesz mi jeszcze powiedzieć, czego naprawdę chcesz. Dlaczego?

Powiedz.

Chciałbyś mnie dotknąć?

Chciałbyś mnie mieć?

Greta

PS Moja skóra jest jasna. Czy to ma dla Ciebie jakieś znaczenie?

E-mail od Grety di Biase przyszedł wcześniej rano. Adam wkładał akurat buty i starał się nie wyliczać w myślach czynności, które wykonał po przebudzeniu. To była nowość wśród jego obsesji, które przestały się ograniczać do kompulsywnych gestów i nieokiełznaných wybryków wędrującego umysłu. Od jakiegoś czasu wyliczał – co zrobił i w jakiej kolejności, ile zjadł i o jakich porach, co powiedział i do kogo, czy najpierw

umył zęby czy twarz, czy uczesał się po włożeniu koszuli czy przedtem. A teraz starał się nad tym zapanować, myśląc o biurku ze sklejki, które widział przed sobą. Było stare i brzydkie. Zygmunt miał rację, powinien kupić nowe. Myśli o biurku były nudne i mało absorbujące, ale pomagały unikać wyliczania i zastanawiania się nad tym, czy dojedzie bezpiecznie do mechanika, a później od mechanika do pracy. Oczywiście tramwajem, w którym będą inni ludzie, ich głosy, zapachy, twarze.

Włożył buty, sięgnął po klucze i komórkę. Zerknął na ekran, wciąż usiłując trzymać się myśli o do bólu terażniejszym i rzeczywistym biurku ze sklejki. I właśnie wtedy zobaczył informację o nieprzeczytany e-mailu. Nie zwlekał. Odczytał list od Grety dokładnie pięć razy, po czym zmusił się, by wrzucić komórkę do torby. Co to było? Co ona mu napisała? Do czego zmierzała albo w co grała? Bawiło ją to czy była szczerą? „Chciałbyś mnie mieć?” Adam poczuł skurcz w podbrzuszu i oparł się ciężko o ścianę. Wydawało mu się, że ona zrobiła to samo, co wcześniej on – przestała się hamować, przekroczyła granice i powiedziała dużo, a teraz zamiast o słowie „dużo” myślała o słowach „za wiele” i wyrzucała sobie nadmierną szczerą. Może miała chwilę słabości, jeden z tych dni, kiedy człowiek staje się wylewny i pod wpływem impulsu robi coś, czego później nie jest w stanie cofnąć. Sama to zresztą sugerowała. „Kiedy nie opanuję pokusy”.

A jeśli po prostu doskonale się bawiła? To było przykre i bolesne podejrzenie, któremu nie chciał się poddać. Wolał jej ufać. Wierzyć w istnienie Grety di Biase i w porozumienie, które się między nimi zawiązało. I jeszcze w słowa: „Mój smutek jest tak naprawdę naszym smutkiem i w gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami”. Napisała, że nie wie, czy to rzeczywiście prawda, ale trafiła w samo sedno. Nie wiedzieli o sobie prawie nic, a przede wszystkim nie wiedzieli o swoich najtrudniejszych doświadczeniach, a jednak czuli ten sam lęk i ten sam smutek. Dlatego to wszystko działo się tak szybko. Dlatego on nie mógł oderwać wzroku od twarzy na płótnach i zadawał jej osobiste pytania, a ona mówiła o intymności i zaczęła się do niego zwracać po imieniu. To nie mogła być gra.

Z myślą o Grecie pojechał do mechanika, u którego zostawił auto i któremu odpowiedział na jakieś pytania, choć później nie potrafił ich sobie

przypomnieć. Z myślą o Grecie wsiadł do tramwaju, otworzył galerię, przearanżował wystawę, powiesił trzy nowe obrazy i wreszcie zaparzył sobie pierwszą tego dnia kawę. Usiadł przed laptopem i wystukał odpowiedź, którą wysłał od razu po napisaniu.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

[Re:] Czego naprawdę chcemy

Pytałem o kolor skóry, bo pisałaś o ciemnoskórej matce. Chciałem to po prostu wiedzieć. I nie – to nie ma znaczenia.

Tak, chciałbym Cię dotknąć i chciałbym Cię mieć. Chciałbym zobaczyć nowe wcielenie Grety – wszystkie jej wcielenia. Chciałbym, abyś przekazała mi swoją historię i uzupełniła luki w opowieści o ołówkach i blejtramach. O biedzie, którą wspomniałaś, o poświęceniach i błaganiach o zgodę. Nic nie rozumiem – a chcę zrozumieć wszystko. Napisz, proszę. Niech każde zdanie nabierze sensu. Cokolwiek wydarzyło się w Twoim życiu – wysłucham Cię.

I przede wszystkim – chciałbym Cię zobaczyć. Twoją twarz, która nie byłaby tylko namalowana.

A.

*

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

[Re:] Czego naprawdę chcemy

Bardzo Cię przepraszam, poniosło mnie. Źle spałam, piłam, jak zwykle, wino w ogródku, była piękna noc, ciepła, choć duszna. Czulałam dziwny niepokój, a nad ranem chyba za wiele zaczęłam sobie wyobrażać. To dlatego, że byłeś

wobec mnie taki szczery. Zaczęłam myśleć o Twoim czerwonym kartonie i zdjęciach, na których się uśmiechasz. Ale to nie był powód, by prowokować Cię do takich wyznań.

Tego, czego naprawdę chcemy, nie będziemy mogli dostać.

Przepraszam.

Roberto odezwie się do Ciebie, kiedy skończę kolejny obraz.

G.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

[Re:] Czego naprawdę chcemy

Nie sprowokowałaś mnie. Napisałem prawdę. Tego właśnie chcę. Nie mów, że to niemożliwe, i nie zostawiaj mnie bez odpowiedzi. Proszę.

A.

*

Greta zostawiła go bez odpowiedzi. Co godzinę sprawdzał pocztę – przez resztę dnia i całą bezsenną noc. Nad ranem usiadł przy biurku ze sklejki, nad kubkiem mocnej kawy, i zastanawiał się, co zrobił źle. Albo też co ona zrobiła źle. Wiedział jedno – musi się z nią skontaktować, za wszelką cenę, w jakikolwiek sposób. W tej chwili i na tym etapie życia wydawało mu się, że oprócz milczenia Greta di Biase zniesie wszystko.

4. Figury w szeregu i twarze na płótnach

Kiedy Adam miał trzynaście lat, pojechał na obóz wędrowny. Wraz z innymi dzieciakami chodził po górach, kąpał się w czterech włoskich morzach, zmywał naczynia, obierał ziemniaki, spał w namiocie, zbierał szyszki w lasach, muszle na plażach, potrafił godzinami dziwić się czystej śródziemnomorskiej wodzie, obserwował kolczatki leniwie kołyszące się na falach, prowadził nocne rozmowy o życiu, dziewczynach i piłce nożnej, usiłował dociec, jakiej muzyki właściwie lubi słuchać i trochę się wstydził, że Roxette bardziej do niego przemawia niż Metallica. I jeszcze napawał się wolnością, która była tak nagła i tak niespodziewana, że zdawała się rozpierać od środka. Zachłystnął się nią. To były pierwsze takie wakacje w jego życiu. Czas podzielony na obowiązki i przyjemności, aktywność poddana jedynie umiarkowanej kontroli, odpowiedzialność, która wzbudzała szacunek do samego siebie, i te kilka godzin dziennie, które mogli spędzić wedle własnego uznania. Pójść na plażę, pojechać do pobliskiego miasta, włóczyć się po wąskich uliczkach, gubić i znajdować drogę, kupować tanie pamiątki, lody i kolorowe napoje, jakich nigdy nie widzieli w Polsce. Wchodzić do kościołów, gdzie nie przejmowali się sferą sacrum, a raczej malowidłami pokrywającymi ściany, liczącymi sobie setki lat.

To był ciekawy czas. Niedługo po transformacji ustrojowej w Polsce, kiedy tak po prostu można było trzymać sobie w domu paszport, pokazać go na granicy, dostać stempelek i wkroczyć w nową przestrzeń, rządzącą się zupełnie innymi regułami. Miesiące, w których na sklepowych półkach pojawiły się gumy balonowe w kolorowych papierkach, a uczniowie pierwszych klas nie musieli już nosić fartuszków. Moment, w którym Adam

odkrył, że świat wokół niego nie tylko istnieje, ale też jakoś wygląda, pachnie i brzmi, i że czasem trudno po prostu coś o nim powiedzieć. Tak jak trudno było mu zawsze mówić coś o sobie samym. Uważał, że najgłupszą prośbą, jaką można skierować do drugiego człowieka, jest: „Opowiedz mi coś o sobie”. Słyszał ją wielokrotnie. W szkole, na zajęciach pozalekcyjnych z angielskiego, i wreszcie na letnich obozach, w trakcie tak zwanych wieczorków zapoznawczych. Każdy musiał wtedy „opowiedzieć coś o sobie” i każdy ze strachu czuł skurcz w żołądku, wycierał o koszulkę spocone dłonie i nerwowo przełykał ślinę. Prawie każdy podczas recytowania skróconego życiorysu i listy zainteresowań wbijał wzrok w ziemię lub przestępował z nogi na nogę, a po wygłoszeniu ostatniego zdania oddychał głęboko i czuł ulgę tak wielką, jak chyba nigdy wcześniej w całym swoim życiu. Najgorzej miał zawsze ten ostatni. Czekał na swoją kolej, mierzył się ze swoim lękiem, współczuł tym, którzy zabierali głos, a w głowie po raz tysięczny ćwiczył własną kwestię, przestawiał i modyfikował zdania, dodawał coś i wykreślał. Wreszcie podnosił się, mówił wszystko nie tak, jak sobie wcześniej zaplanował, uśmiechał się nerwowo i siadał, przekonany, że źle wypadł. Nie przedstawił się w najkorzystniejszym świetle, a przecież to właśnie jego wszyscy zapamiętają najlepiej, bo żaden kolejny monolog następnego nieszczęśnika już nie zatrze słów: „W wolnych chwilach lubię grać w państwa i miasta”.

Adam też był kiedyś na końcu, właśnie wtedy, we Włoszech. Stresował się, ale mniej, niż się spodziewał. Był przecież normalnym chłopakiem, takim jak cała reszta normalnych chłopaków, których znał ze szkoły, podwórka i boiska. Odetchnął głęboko i poczuł się dobrze sam ze sobą. Niczym się nie wyróżniał i nie zwracał na siebie uwagi, co być może nie było wcale takie dobre, ale na pewno zabezpieczało przed atakami ze strony tych, którzy nie lubili i nie rozumieli oryginalności. Napawał się tą myślą i nagle odkrytym poczuciem bezpieczeństwa przez całe pół godziny, kiedy pozostali uczestnicy obozu drżącymi głosami oznajmiali, że interesują się matematyką i komputerami albo lubią czytać książki.

Jednak w pewnym momencie uznał, że to głupie i nudne. On jest nudny, podobnie jak większość tych biednych, znerwicowanych dzieciaków, którym

każe się mówić o sobie i stawia w sytuacji, w której nie byli nigdy wcześniej. W sytuacji, kiedy muszą w kilka minut wymyślić własną tożsamość, pokazać się od takiej strony, by zostać zaakceptowanym i obdarzonym sympatią przez resztę grupy. Prawie wszyscy kłamali. Mógł się założyć, że ta niska dziewczyna o bladej cerze nigdy nie jeździła konno, a rudy chłopak nigdy nie wspinał się na górskie szczyty w Hiszpanii. Połowa z tych ludzi wcale nie słuchała Metalliki, podobnie jak nie słuchał jej on sam. Ile kłamstw dało się zweryfikować na takim obozie, tysiące kilometrów od domu? Umiejętność pływania, nurkowania, śpiewania, grania na gitarze, rysowania, szybkiego biegania, skakania wysoko i wytrzymałości podczas długich marszów. A cała reszta? Byli tutaj sami, każdy wyrwany ze swojego środowiska, grupy szkolnych przyjaciół i rodziny, odklejony od biurka i ustawiony w miejscu, którego nie oswajał widok fototapety nad tapczanem. Mogli mówić, co chcieli. Nikt nie miał wtedy internetu w komórce i Facebooka, który objaśniał rzeczywistość i definiował ludzi.

Adam wstał i powiedział, że interesuje się wszystkim. Że cały świat wydaje mu się miejscem bardzo ciekawym, przerażającym i pięknym jednocześnie. Fascynuje go przeszłość, ludzie, którzy żyli dawniej i na przykład pokrywali ściany kościołów malowidłami, wygrywali i przegrywali wojny, pisali powieści i szyli ubrania. Lubi patrzeć na morze i pływać, nie kontrolując, jak bardzo oddala się od brzegu. Za najgłupszą grę uważa chińczyka. Uwielbia kolor czerwony i goździki, które były w Polsce modne, ale już nie są. Kiedy skończył mówić, wziął głęboki wdech, aż zakręciło mu się w głowie. Usłyszał pojedyncze chichoty, zobaczył dwie animatorki kiwające z uznaniem głowami i animatora z uniesioną brwią. Czuł się dziwnie – szczęśliwy i zawstydzony jednocześnie, jakby po raz pierwszy w życiu pozwolił sobie na pełną szczerłość i od razu przed szerszą widownią. Kilku chłopaków śmiało się z tych goździków codziennie, ale za to dziewczyny bardzo Adama polubiły. Pomyślał, że właściwie powinien ucieszyć się z zainteresowania dziewczyn i przejąć chichotami chłopaków, a jednak, jak się szybko przekonał, niewiele go obchodziło zdanie innych. Odkrył siebie albo przynajmniej zaczął odkrywać. Trzynastolatek, który nagle naprawdę zauważył świat. Osobliwie mu było z tą nową świadomością,

że myśli i czuje, że doświadcza emocji i nie ma nikogo takiego samego jak on. Że nie można go powielić. W taki sam sposób zaczął wkrótce patrzeć na innych ludzi – jak na osobne, niepowtarzalne historie. Pożegnał się na zawsze z dawnym poczuciem bezpieczeństwa, które wynikało ze świadomości, że jest po prostu jedną z identycznych figur w szeregu. Ale był szczęśliwy. Aż do dwudziestego czwartego roku życia lubił i akceptował rzeczywistość.

Później niejednokrotnie przypominał sobie cykl malarski przedstawiający sceny z życia świętego Marcina z Tours, który widział w kościele w Asyżu. Zwrócił wtedy uwagę przede wszystkim na scenę *Nadanie tytułu rycerza*, na której Simone Martini pokazuje świętego Marcina w otoczeniu szlachty, giermków, śpiewaków i muzyków – wszyscy odziani są w średniowieczne szaty, oddane z wielką dbałością o detal, a atmosfera jest bardzo podniosła. Adam miał wrażenie, że na tym malowidle tylko jedna postać otrzymała indywidualny rys – pozwolono jej na posiadanie własnego charakteru, miny wyrażającej coś więcej niż proste stoickie zadowolenie, dalekiej od posągowej elegancji pozostałych bohaterów. Był to muzyk w kraciastej czapce i ciemnozielonej szacie, który szarpie struny instrumentu i zdaje się wykonywać wyznaczone mu zadanie, ale wzrok ma utkwiony gdzieś w oddali, jest nieobecny, zamyślony, nawet smutny. Na jego twarzy nie widnieje uśmiech, a raczej rezygnacja. Adam lubił wymyślać różne historie, które mogłyby tłumaczyć tę niepasującą do sytuacji melancholię. Muzyk raz był więc zdradzonym mężem, nie tyle złym na swoją żonę cudzołożnicę, ile zrozpaczonym z powodu świadomości, że utracił miłość i równie dobrze sam może, jako niepotrzebny nikomu, przestać istnieć. Innym razem był osieroconym synem, który uzmysławia sobie, że na ziemi nie pozostał mu już nikt bliski. I wreszcie – mógł cierpieć na śmiertelną chorobę. Dotrzeć do punktu, w którym zdaje sobie sprawę, że to już jego ostatni występ, ostatni koncert i ostatnia melodia, jaką gra. Wszystko sprowadzało się do samotności. I do konieczności zwolnienia biegu, zatrzymania się i podjęcia próby oceny rzeczywistości. Tej chwili, kiedy prawdy nie przysłaniają już rutynowe działania.

Adam odnajdywał podobny smutek na wielu obrazach i zawsze wtedy myślał, że jeśli idzie o emocje, istnieje pewien uniwersalizm i pewna

ponadczasowość. Ludzie czują tak samo, niezależnie od dekoracji i systemu obowiązujących reguł, a każdy jest bezsilny wobec śmierci, utraty czy rezygnacji. Jego uwagę przykuło wiele par oczu wyrażających żal, wiele nieruchomych twarzy i ust niewykrzywionych przez uśmiech. Myślał w takich momentach o ogromnej mocy malarza, który nie tylko odtwarza obiekty, ale przede wszystkim je stwarza. Przypominał sobie obraz *Dwie siostry* Théodore'a Chassériau i ukazane na nim kobiety w identycznych sukniach i szalach, tak samo uczesane, ciemnowłose, o śniadej cerze, czarnych mocnych brwiach i pełnych czerwonych ustach. Adèle i Aline, uwiecznione na płótnie, które każdy może podziwiać w Luwrze. Kiedyś żywe istoty. Patrzą na swojego brata z powagą, świadome, że właśnie dzieje się coś ważnego. Są godne i dumne, ale ich emocje nie wydają się oczywiste. Adam zadawał sobie pytanie, czy one wiedziały, że właśnie zyskują nieśmiertelność. Że za sto siedemdziesiąt cztery lata jakiś Adam Dancer – i tysiące innych osób głupszych lub mądrzejszych od niego – będzie dumał o ich twarzach i nieoczywistych emocjach. I próbował wyobrazić sobie całą tę scenę. A może ich refleksje ograniczały się do przyziemnych doznań – niewygodnych póz, ciasnych gorsetów, zdrętwiałych karków, dusznego zapachu farb, uczucia głodu, bo stoją tak od kilku godzin i od ostatniego posiłku minęło sporo czasu? Nie wiedział. I właśnie to było najwartościowsze. Aura tajemniczości otaczająca każde bez wyjątku dzieło. Rzeczy, o których oglądający nigdy się nie dowie.

Teraz Adam odkrył kolejny obraz i kolejną smutną twarz. Był to portret Santiny Negri, który namalował Giuseppe Pellizza da Volpedo, o znaczącym tytule *Ricordo di un dolore*, czyli „pamięć smutku”. Natknął się na niego, kiedy, pograżając się w swojej obsesji na punkcie Grety di Biase, szukał w internecie informacji o Bergamo. Wiedział, że mieściła się tam Accademia Carrara, choć nigdy jej nie odwiedził. Przejrzał w sieci zdjęcia i wreszcie natrafił na Santinę. A później siedział przed ekranem komputera wpatrzony w twarz modelki tak długo, że stracił poczucie czasu. To był kolejny obraz, o którym niewiele wiedział. Artysta stworzył go po śmierci swojej siostry, a wyrażająca rozpacz twarz Santiny Negri jest tak naprawdę jego własną rozpaczą, bólem, dla którego nie mógł znaleźć ujścia i który prawdopodobnie

nigdy nie minął. Los nie wynagrodził Pellizy, ale jeszcze mocniej go doświadczył, odbierając mu dziesięć lat później żonę i syna, i popychając jego samego do samobójczej śmierci. Nieobecne spojrzenie Santiny, pusty wzrok i suche oczy, które nie są już w stanie płakać, stanowią więc zapowiedź jeszcze większej tragedii. Co czuła Santina, kiedy jej wizerunek przenoszono na płótno? Czy myślała o tym, by przekonująco odegrać swoją rolę, czy raczej o tym, że krzesło, na którym siedzi, jest twarde, a oczy łzawią, kiedy długo nie mruga? A Pellizza? Czy przeczuwał, jak zakończy się jego życie, czy otrzymał już jakieś wskazówki?

Adam zapragnął pojechać do Bergamo i stanąć przed tym obrazem. Miał prawdziwy pretekst, by odwiedzić miasto, w którym mieszkał Roberto Savio, zapytać go wprost o Gretę di Biase i spróbować nie dać się zbyć wymówkami. Zaryzykować – nawet jego gniew i chęć zerwania wszelkich kontaktów. Chciał to zrobić. Chciał, a zarazem zupełnie sobie tego nie wyobrażał.

*

Nadszedł piątek, dzień, w którym zobowiązał się pojawić u Nity i wysłuchać jej historii, choć głowę wciąż wypełniały mu myśli o Grecie di Biase. Miało to swoje dobre strony. Nie sprawdził po raz trzeci, czy na pewno włączył alarm, nie wyczyścił blatu biurka i nie stał kurzu z półek w galerii. Nie przeczytał nazwy Chiara na domofonie i nie pomyślał o tym, jak bardzo jest nietrafiona. Wciąż analizował szczegóły obrazu Pellizy i nagle wydało mu się, że *Gretę w srebrnym welonie* powinien porównać raczej do portretu Santiny Negri, niż do *La Velaty* Rafaela. Kompozycja była inna – od kolorów, poprzez ubiór modelki i przyjętą przez nią pozę, aż po zastosowaną technikę. Realistyczno-symboliczne malowidło Pellizy ukazywało dosłowność, czytelność, a nawet pewną ostentacyjność bólu i metaforyczność przedmiotów, wśród których każdy miał swoje znaczenie, nie wyłączając pomarańczowej szarfy i bratka pomiędzy pogniecionymi kartkami. Santina nie kryje rozpacz – obnosi się z nią, wystawia na widok publiczny, jest na

zawsze zrosnięta ze swoją tragiczną maską. Greta di Biase użyła renesansowej techniki *sfumato*, by ukazać wizerunek współczesnej kobiety, która z kolei wydaje się zażenowana swoim smutkiem, niespełnieniem, nieszczęściem. Stąd być może to zaczepne spojrzenie – wyzwanie rzucone... samej sobie? Greta jest niezadowolona z roli nieszczęśliwej kobiety. Może nawet wściekła z powodu własnych emocji, nad którymi nie potrafi panować, lub na kogoś, kto spowodował, że je odczuwała. Tak to widział. Na obrazie di Biase ważne były tylko niektóre elementy, jak czerwona pomadka, oczy, ciemne włosy, gęsty, marszczony welon, który nie pasował do całej reszty. Pozostałe szczegóły ulegały zatarciu, straciły ostrość, ich granice wydawały się płynne. A jednak między Gretą w welonie i Santiną Negri istniało podobieństwo. Być może dotyczyło oczu, być może samego nastroju. W tej chwili kobieta z *La Velata* wydała się Adamowi zbyt dumna, zadowolona, pewna siebie, zbyt spokojna, by porównać ją do Grety. Di Biase musiała widzieć portret Santiny. Adam miał pewność, że znała to płótno i rozumiała, co na nim przedstawiono. Rozumiała temat i rozumiała ten stan. Być może dotyczył jednego z dwóch wydarzeń, o których tak zdawkowo pisała i które określiły jej obecne życie.

Musiał powiedzieć Grecie, że wie. Zajął miejsce w tramwaju i sięgnął po telefon. Pisał nieskładnie, szybko, budując zdania proste, pozbawione elegancji i kunsztu. Miał jednak wrażenie, że po raz pierwszy nasycy swoją wiadomość do niej tak bogatą treścią. Nigdy wcześniej nie pisał do Grety w ten sposób. Zwykle przekazywali sobie zaledwie po kilka istotnych informacji, opakowanych w miękkie i niewiele znaczące słowa. Ale nie teraz. Teraz Adam nie napisał żadnego zbędnego zdania. Same konkrety, tylko to, co należało powiedzieć. Nie wiedział, czy mu odpowie i w jakim tonie. A jednak czuł satysfakcję.

Wysłał wiadomość, schował telefon i rozejrzał się. Wokół niego byli ludzie. Przypomniawszy sobie to nagłe i obezwładniające odkrycie, że każdy człowiek jest jak osobna, niemożliwa do powielenia historia. Przez chwilę był dawnym sobą, chłopakiem z niezaspokojonym apetytem na życie, który delektuje się nim powoli i z ciekawością czeka na kolejny dzień. Nie wiedział, czy to „normalność” pozwalała mu zachowywać się w ten sposób,

czy może po prostu młodość. Ale chciał zatrzymać ten moment, dawnego siebie w obecnym ciele, zbudowanym z napiętych mięśni, wilgotnej skóry i krwi szaleńczo pompowanej przez serce. Chciał zatrzymać dawnego siebie w drżącym wnętrzu, w trzęsących się dłoniach, na drętwiejących plecach, pośród gonitwy myśli i napadów lęku. I wtedy z chaosu wyłoniły się detale – popołudniowe słońce oświetlające bruk, barwne fasady kamienic, szczeniak na kolanach starej kobiety, która głaskała puszysty łebek palcami wykręconymi reumatyzmem. Wiedział, że to musi minąć. Ale teraz, jeszcze przez sekundę, może dwie, będzie trwało. Z tą myślą wysiadł na Nadodrze i ruszył na spotkanie z Nitą.

5. Chodzi o wstyd

Nita próbowała uciekać w znany sobie schemat. Otworzyła mu ubrana w sukienkę na ramiączkach, z lekko wilgotnymi włosami i bez makijażu. Znała Adama i wiedziała, że taka mu się podoba, że on lubi pozory normalności. To była sytuacja, którą można by określić słowami: „Płacę ci i uprawiamy seks, ale poza tym niech wszystko wygląda zwyczajnie, nawet ty”. Wbrew sobie poczuł się komfortowo – rozumiał kontekst, a przecież bał się, że dziś wydarzy się coś innego, w czym najpierw będzie się musiał odnaleźć.

Zaraz jednak dotarło do niego, o co tu naprawdę chodziło. Nita próbowała uciec. Od swoich pozostałych ról, problemów i obietnicy, że opowie mu, co ją gryzie. Usiadł na krześle pod oknem i patrzył, jak krąży po mieszkaniu, nalewa wodę do szklanki, poprawia włosy, wreszcie zbliża się do niego, opiera mu dłonie na udach i uśmiecha się, na poły nieśmiało, na poły zachęcająco. Adam zerknął na jej odsłonięte ramiona i głęboki dekolt. A później odchylił się i strząsnął dłonie Nity. Przestała się uśmiechać.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – zapytała.

– Ponieważ chciałaś, żebym wiedział.

– Słucham?

– Prosiłaś, bym z tobą został, a później płakałaś w łazience. Na tyle głośno, że prawie każdy na moim miejscu by się obudził. Musiałaś to wiedzieć. Zrobiłaś to celowo. Nie wątpię, że miałaś powód do płaczu, ale skoro powstrzymywałaś się przed nim wcześniej przez kilka godzin, zdołałabyś na pewno powstrzymać się przez kilka kolejnych. Ale się nie powstrzymałaś. Bo chciałaś, żebym cię usłyszał.

– I usłyszałeś – powiedziała gorzko. – Po czym obróciłeś się na drugi bok i...

– A ty rano zachowywałaś się nadal...

– Jak dziwka. Wiem. I tak też potraktowałeś mnie przed wyjściem.

– Przeprosiłem cię.

– I twoim zdaniem to załatwia sprawę.

Adam poczuł rosnącą irytację. Wstał i spojrzał Nicie w oczy.

– A dlaczego mi się aż tak dziwisz? Owszem, spędziliśmy ze sobą noc, bo tego chciałaś, i być może sprawiło ci to przyjemność. Bo miałaś dość... Nie będę kończył. Nie dlatego, że nie umiem nazywać rzeczy po imieniu, ale dlatego, że nie chcę ci sprawiać przykrości. Bądźmy szczerzy. Jesteś prostytutką, a ja korzystam z twoich usług. Tak było od samego początku i nigdy nie przekroczyliśmy granicy.

– Aż do ostatniego spotkania – mruknęła.

– Tak. Aż do ostatniego spotkania. Wszystko między nami było jasno określone. Jeśli więc czułaś potrzebę, by ze mną po prostu porozmawiać, mogłaś powiedzieć. Nie oczekuj ode mnie, że będę odczytywał aluzje, domyślał się, co ci leży na sercu i pocieszał w ciemno, nie znając sytuacji. Ty i ja mamy osobne życie i niewiele o sobie wiemy. Ja wiem, że spotykasz się z innymi klientami, że studiujesz i potrzebujesz pieniędzy. Ty wiesz, że mam galerię i nerwicę. To tyle.

Oczy Nity wypełniły się łzami, a Adama, zamiast współczucia, ogarnęła jeszcze większa irytacja. Wypił duszkiem wodę i poluzował kołnierzyk. Nita usiadła na skraju łóżka.

– Masz rację. Zupełną rację. Chciałam się poczuć normalnie.

– Przecież możesz.

– Mogę?

– Poczuć się normalnie. Zerwać z tym i poszukać pracy.

– Zerwałam z tym.

– Nie rozumiem.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Myślisz, że rozkładałam nogi za kasę, bo musiałam zapłacić rachunki? I tylko tyle? Tak mnie postrzegasz?

– Nie byłabyś pierwsza i ja wcale...

– No jasne, ty wcale. Nie byłabym pierwsza. Pewnie, że nie. Wiesz, ten zawód wymaga odwagi i determinacji. Za każdym razem, kiedy dopuszczasz do siebie kolejną osobę – najczęściej mężczyznę, ale zdarzają się też kobiety – wtedy się od siebie oddzielasz. Stajesz się po prostu ciałem. Przeżywasz wstyd i upokorzenie, znosisz świadomość, jak patrzy na ciebie większość twoich klientów.

– Nita, proszę cię. Nie musisz...

– Bo tobie trudno tego słuchać?

– Bo tobie trudno o tym mówić.

– Dam sobie radę, nie martw się. Zawsze dawałam sobie radę. Widzisz, ja sama wybrałabym raczej biedę. Szorowanie kibli i jedzenie suchego chleba, chociaż wydaje mi się, że teraz nie byłoby aż tak tragicznie. Coś bym znalazła, wynajęła mieszkanie z kilkoma innymi studentkami, zadowolona się łóżkiem i półką w lodówce. Uczylabym się i zapisywała na praktyki. Marzyłabym o lepszej przyszłości, czekała na nią i pracowała. Ale tu nie chodziło o mnie. Moja historia jest banalna. Wiele innych kobiet na świecie mogłoby opowiedzieć ci podobną.

– Potrzebowałaś pieniędzy dla kogoś innego? Z powodu choroby albo...

– Tak to widzisz? Że ktoś mi bliski zachorował, a ja zostałam dziwką, by szybciej zebrać kasę?

– Nie widzę tego na razie w żaden sposób – odpowiedział. – Czekam, aż sama mi powiesz. Nie chodzi ci chyba o to, żebym zgadywał?

Nita pociągnęła nosem i poprawiła zsuwające się ramiączka sukienki. Spojrzała na wiszący na ścianie brzydki obrazek oprawiony w jeszcze brzydszą ramkę. Przedstawiał kobietę z grubymi, zrośniętymi nad czołem brwiami i włosami zaplecionymi w koronę. Była to chyba Frida Kahlo – co wywnioskował właśnie po brwiach i włosach – ale miał nadzieję, że się mylił. Bo ten portret stanowił dla Fridy obrazę. Był tak nieporadnie wykonany, że Adam nie mógł mu się przyglądać dłużej niż przez kilka sekund. Już sama świadomość, że wisiał teraz mniej więcej nad jego głową, budziła dyskomfort. Sugerował Nicie, by zdjęła to paskudztwo, ale ona konsekwentnie odmawiała. Mówiła, że obrazek przywiozła ze swojego domu

rodzinnego, a on wolał nie pytać o szczegóły ani nie usiłował odgadnąć, kto był autorem „dzieła”.

Teraz, wobec jej milczenia, przywołał w myślach inne malowidło przedstawiające Fridę. Kupił je do Chiary od wrocławskiej malarki Pauliny Korbaczyńskiej, z którą nawiązał stałą współpracę. Obrazy Pauliny zachwyciły go od pierwszego wejrzenia, nie dawały się wtłoczyć w żadną konkretną szufladkę, odbijał się w nich indywidualizm artystki, jej odwaga i wyobraźnia. Wszystko robiła po swojemu. Nawet jeśli malowała czyjś portret – był to portret w całości à la Korbaczyńska. Tego stylu nie dało się nie rozpoznać. I również zupełnie po swojemu sportretowała Fridę Kahlo. Dzieło Pauliny przedstawiało młodą malarkę, wcześniej uwiecznioną na fotografii wykonanej przez jej ojca, dziewczynę o ciemnych oczach, z gładko zaczesanymi włosami, w bluzce z kołnierzykiem. Frida z portretu miała szczuplejszą twarz niż ta na zdjęciu, długą chudą szyję i jeszcze grubsze, mocniejsze brwi. Na obrazie dominowały kolory ziemi, co wcale nie odebrało mu ekspresji i dynamiki. Jedynym mocniejszym akcentem kolorystycznym była bordowa apaszka, od której odcinały się brązowy kołnierzyk i piaskowa szyja artystki. Uwagę Adama zwróciły przede wszystkim oczy. Niesamowite, prawdziwe oczy, lśniące jak dwie czarne perły w tej poważnej, inteligentnej twarzy młodej dziewczyny o starej duszy. Dziewczyny, która zdaje się patrzeć wprost na swoją przyszłość, naznaczoną niewyobrażalnym cierpieniem, ale i wypełnioną ogromną satysfakcją i dumą. To była prawdziwa Frida. Piękna w nieoczywisty sposób, autentyczna, Frida z duszą. A ta tutaj? Adam wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Nita znudziła się wpatrywaniem w swój brzydki obrazek w brzydkiej ramce. Usiadła wygodniej. Miała mu przecież coś opowiedzieć. Z trudem odsunął od siebie wspomnienie płótna Korbaczyńskiej.

– Ta historia jest prostsza i zwyczajniejsza – zaczęła wreszcie. – Moja matka, kobieta z małej wsi, bez wykształcenia i pracy, od zawsze była ofiarą mojego ojca, który, choć także nie miał pracy, a każdy grosz przepijał, odziedziczył jednak po rodzicach niewielkie gospodarstwo i dwuizbową chatę. Konsekwentnie wyprzedawał swój skromny dobytek i kupował wódkę. Głównie. Czasem coś do jedzenia, ale pamiętam przede wszystkim chleb. Od

święta margarynę. W wolnych chwilach uprawiał swoje hobby, czyli bił moją matkę. Odkąd sięgam pamięcią, nie miała zębów. Pozostałych szczegółów ci oszczędzę. Historia, jakich wiele, prawda?

– Tego bym nie powiedział.

– Nie powiedziałbyś? Wieś, wszyscy wszystko wiedzą, ale przecież nikt nie wzywa policji, nikt się na nic nie skarży. Nikt się nie rozwodzi. Matka nie miała do tego ani grosza. Byłam naiwna, sądząc, że mogę jej pomóc. Chciałam kupić kawalerkę, odłożyć coś i sprowadzić ją tutaj. Chciałam się nią zająć, ale przecież nie mogłabym tego zrobić, sama nie mając pracy i żadnych pieniędzy. Więc wymyśliłam sposób. Szybki i łatwy. Nie wymagał żadnych szczególnych umiejętności... Mam dwadzieścia siedem lat i dziewięcioletni staż zawodowy. Nie sądziłam, że okażę się w swoim fachu taka dobra. Uzbierałam na tę cholerną kawalerkę i mam oszczędności. Lata pracy i wyrzeczeń zrobiły swoje. Miałam cel. Nie ćpałam, nie paliłam, jeśli piłam, to niewiele. Dziwka ascetka, co? Nie zgromadziłam wielkiego majątku, ale wystarczyłoby tego na trochę.

Nita urwała, poszła do kuchni i wróciła z butelką białego wina. Spojrzała pytająco na Adama, ale on pokręcił głową, pociągnęła więc łyk prosto z butelki.

– Od pół roku, poza tobą, nie przyjąłam żadnego klienta. Namawiali mnie. Kilku próbowało grozić, ale to przecież było z góry skazane na niepowodzenie, wiedzieli, że mam ich w garści, jeden telefon do żony, córki i tak dalej, i mieliby poważne problemy. Poza tym pracowałam przecież dla agencji, a nie sama dla siebie. I odeszłam. Skończyłam to.

– Nie skończyłaś. Przyjmowałaś mnie – powiedział, nie kryjąc zaskoczenia. Tego się akurat nie spodziewał.

– Tak. Chyba od początku traktowałam cię inaczej. Miałam wrażenie, że mnie w jakiś sposób potrzebujesz.

– Potrzebowałam.

– Czyli miałam rację. Pozory nie zawsze mylą.

– Udało ci się?

– Co?

– Sprowadziłaś tutaj swoją matkę?

– Nie słuchałeś mnie uważnie. Powiedziałam, że nie zgromadziłam wielkiego majątku, ale że pieniędzy wystarczyłoby na trochę. Wystarczyłoby, a nie wystarczy.

– Co się stało?

– Pojechałam do domu, zabrałam matkę na spacer i poprosiłam, by wróciła tu ze mną. Powiedziałam, że mam pieniądze i kupiłam mieszkanie, że o nic nie musi się martwić. Chciała wiedzieć, jakie mieszkanie i ile pieniędzy, więc to też jej powiedziałam. I oczywiście chciała wiedzieć jeszcze jedno.

– Skąd je miałaś...

– Ano właśnie. Skąd? Skoro studiuję i nie pracuję.

– I powiedziałaś jej?

– Długo milczałam. Nie przygotowałam sobie żadnego kłamstwa. Bardzo nierozsądnie. Powinnam była coś wymyślić, przewidzieć podobne pytanie. Ona drążyła, a ja milczałam. Nic nie przychodziło mi do głowy, każde wytłumaczenie brzmiało niewiarygodnie. Aż wreszcie powiedziałam prawdę. To była w końcu moja matka. A ja byłam nie tylko jej córką, ale też sojusznikiem przeciwko ojcu. Tak myślałam. Powiedziałam prawdę i patrzyłam na jej pobladłą twarz, naznaczoną latami cierpienia, i już wiedziałam, jak to się skończy. Matka cofnęła się o krok, splunęła i nazwała mnie kurwą. A później wróciła do swojego męża, który kiedyś, jestem tego pewna, zatłucze ją na śmierć. I znikąd nie przyjdzie pomoc. W takich miejscach nigdy znikąd nie przychodzi pomoc, a już zwłaszcza kobietom. To tyle. Przyznasz, że historia jest mało oryginalna i życie mogło napisać ją ciekawiej.

Ponownie napiła się wina, a on patrzył na nią przez chwilę bez słowa. Odniósł dziwne wrażenie, że historia faktycznie jest dość banalna, choć nigdy wcześniej nikt nie opowiedział mu podobnej. W panoramie społecznej lokował się zawsze gdzieś pośrodku, nie ocierał się ani o przywileje ludzi bardzo bogatych, ani o problemy biednych, nie znał luksusu ani patologii, nie był w stu procentach wolny, ale też żył w poczuciu bezpieczeństwa, otoczony miłością. A przynajmniej do czasu. Ile wiedział o takich sytuacjach, jak ta, którą przedstawiła Nita? Jako postronny, obiektywny obserwator mógłby

powiedzieć, że przecież to wszystko zwyczajnie nie jest wiarygodne. Która kobieta dobrowolnie zostaje przy oprawcy, jeśli codziennie obawia się o swoje życie? Która matka odwraca się od własnej córki? Kobiety powinny odchodzić od swoich oprawców. A matki nie powinny odwracać się od dzieci, bo to związek na całe życie, trwały – niezależnie od okoliczności. Tak to widział. I taka była jego matka. Obsesyjnie troszczyła się o jego zdrowie i życie, i to właśnie przez tę obsesyjną troskę sprawowała nad nim ścisłą kontrolę, ale jednocześnie pozostawiała mu swobodę wyboru – przyjaciół, książek, szkół, hobby, muzyki, nawet religii. Chodziło po prostu o to, by był. By nie przestał istnieć, tak jak przestała istnieć jego młodsza siostra, którą zabiło powietrze. Urodziła się bez płuc. Matka przyplącała to poważną depresją, ale wreszcie się pozbierała, dzięki pracy i rodzinie. Przed wszystkim dzięki Adamowi, na którym skupiła całą swoją uwagę. I choć czuł wewnętrzny opór, wbrew sobie poddawał się jej nadmiernej trosce. Odsuwał od siebie myśl o tym, co by się stało, gdyby i on zawiódł. Gdyby przestał istnieć. Bywały chwile, kiedy wyobrażał sobie swoją przyszłość, moment, w którym będzie musiał opuścić matkę i zacząć samodzielne życie – i że ona będzie musiała to wreszcie zaakceptować, tak jak uczyła się krok po kroku akceptować jego wyjścia z domu, przesiadywanie u kumpli i dziewczyn, w końcu także samodzielne wyjazdy na wakacje. Prawie niczego mu nie zabraniała, ale zawsze stawiała jeden warunek. Musiał się z nią kontaktować. Informować o tym, że wciąż chodzi po ziemi, wciąż jest. Wpadała w panikę, jeśli długo milczał, więc po prostu poszedł na ten układ. I choć matka nie żyła od piętnastu lat, codziennie miał ochotę do niej zadzwonić, żeby się zameldować.

Wrócił myślami do Nity i kobiety, która nazwała ją kurwą. Tak, ta historia była banalna i powinna mieć równie banalne zakończenie. Matka ociera łzę, wybacza córce, akceptuje ją i wyjeżdża do miasta, porzucając męża pijaka, dwuizbową chatę i chleb z margaryną od święta. Happy end. Tak się nie dzieje, bo niektórym łatwiej znieść przemoc niż hańbę. I łatwiej pokazywać światu posiniaczoną twarz niż zaakceptować córkę ladacznicę, jej pieniądze i wolność, którą można za nie kupić. Adam pomyślał również o tym, że banalność tej historii sprowadza się także do samej Nity. Nity,

która wybrała najprostsze i najszybsze wyjście. Może gdyby powiedziała matce: „Wyjedź ze mną, będziemy mieszkali w ciasnej klitce i dalej jadły chleb bez margaryny, ale nikt już nie podniesie na ciebie ręki”, wszystko skończyłoby się inaczej. Nita nie potrafiła lub nie chciała sobie tego wyobrazić. Podjęła decyzję, dla której znalazła uzasadnienie. I trzymała się jej z żelazną konsekwencją, nie wahając się i nie zadając sobie samej pytań. Myślała, że robi dobrze. Nie ona jedna. Nie zamierzał jej oceniać ani pocieszać.

– Teraz możesz skupić się na sobie – powiedział po prostu.

– Na sobie?

Postawiła butelkę z winem na podłodze i splotła ramiona. Wcześniej widział w jej oczach łzy, ale teraz wydawała się raczej zła niż smutna. Miała zacięty wyraz twarzy i nerwowo przebierała palcami. Adam prawie się na ten widok uśmiechnął. Wydała mu się taka prawdziwa bez miękkiej uległości, z którą dotąd się u niej spotykał, bez spokojnego tonu głosu i wyraźnego własnego zdania. Dopiero kilka dni temu była w jego towarzystwie równie autentyczna – kiedy chciała, by został na noc, i kiedy zapytał o pieniądze. Wtedy i teraz. Anita, której życie zdefiniowała jedna decyzja. Pomyślał o Grecie di Biase, ale zaraz skupił się ponownie na chwili obecnej. Nita kopnęła butelkę i wino wylało się na dywan. Zerwała się z łóżka, pobiegła do sypialni i wróciła z wypchaną kopertą.

– Proszę, to twoje pieniądze. Nie wszystkie, nie za cały rok. Ale od sześciu miesięcy nie wydałam ani złotówki z tego, co mi zostawiałeś. Odkąd byłeś tylko ty, że tak to patetycznie ujmę. Zabierz je.

– Nita...

– Nie chcę ich.

– Nie mogę zrobić tego, o co prosisz.

– Dlaczego? Bo to by oznaczało, że chciałam z tobą sypiać i nie chodziło o pieniądze? Boisz się, że to przetasuje nasze relacje? Że będę czegoś od ciebie oczekiwać, a ty nie chciałbyś się poczuć jak gość, który po prostu przeleciał panienkę i teraz...

– Przestań! Nita, do jasnej cholery! Dobrze, daj mi te pieniądze, jeśli tak stawiasz sprawę. Zresztą słusznie. Masz rację, nie chciałem się czuć jak gość,

który tak po prostu przychodzi tu, by przelecieć panienkę, i zapomina o niej, kiedy wraca do domu.

– Wolaleś myśleć, że skoro ja nie robię tego za darmo, to ty też jesteś w porządku.

– Tak. Wolałem.

Stali teraz naprzeciwko siebie jak rywale na polu bitwy, oddychali ciężko i nerwowo, a ich głosy drżały. Adam miał wrażenie, że Nita również nie musiała za często sprawdzać się w otwartej konfrontacji, szczerzej rozmowie, w której chodziło o to, by powiedzieć absolutnie wszystko, bez kompromisów, bez możliwości wycofania się i powrotu do wcześniejszego schematu. Rysy jej twarzy wreszcie złagodniały, a oddech zwolnił. Usiadła na powrót na łóżku i pochyliła się. Po krótkim wahaniu Adam przykucnął obok.

– I co teraz? – zapytała. – Co się teraz stanie?

– Ty zaczniesz wszystko od początku, znajdziesz pracę i skończysz studia. Został ci rok. A ja...

– A ty?

– Chyba będę musiał na trochę wyjechać.

– Na długo?

– Nie wiem.

– Co będzie z twoją galerią?

– Mam zamiar poprosić o pomoc Zygmunta, ale teraz przyszło mi do głowy, że ty też mogłabyś tam popracować. W tygodniu. I tak musiałbym kogoś znaleźć, Zygmunt nie zajmie się sprzedażą. Co o tym sądzisz?

– Nie znam się na malarstwie.

– Będziesz tylko obsługiwać kasę. Resztę zostawię Zygmunтови.

– Rozmawiałeś już z nim o tym?

– Nie.

– Skąd wiesz, że się zgodzi?

– Nie wiem, czy się zgodzi.

– Dlaczego mi ufasz?

– Nie wiem, czy ci ufam.

Nita utkwiała wzrok w dywanie, a Adam skubał nogawkę swoich spodni.

Miał świadomość, że właśnie zrobił coś spontanicznego, coś, czego w ogóle nie przeanalizował, a co jednocześnie wydawało mu się najlepszą decyzją, jaką podjął w ostatnim czasie. Siedział obok dziewczyny, która opowiedziała mu banalną, telenowelową, a zarazem prawdziwą historię ze złym zakończeniem. On również miał swoją historię, która ubrana w słowa mogłaby się komuś wydać banalna, choć zapłacił za nią zdrowiem i utratą wewnętrznego spokoju. Historię znerwicowanego, niedojrzałego prawie czterdziestolatka, jego siostry bez płuc i zmarłej tragicznie matki. Winy, którą od piętnastu lat obarczał ojca. Kompulsywnych zachowań, które zamykały rzeczywistość w złudnie bezpiecznych ramach. Historię obsesji na punkcie kobiety z obrazu. Wszystko to, o czym mógłby opowiedzieć i o czym nigdy nie opowiadał. Ale teraz przynajmniej podjął decyzję, której nie żałował. Zrobił coś konkretnego, co nie istniało tylko w jego głowie.

Milczeli tak jeszcze długo, aż wreszcie to ona przerwała ciszę.

– Napijesz się kawy? – zapytała.

– Skinął głową.

– Jesteś głodny?

Skinął ponownie.

6. Sny, wspomnienia i kłamstwa

Tamtej nocy został u Nity do rana i ani na chwilę nie zmrużył oka. Nie miała oporów, by zapytać, czy chciałby pójść z nią łóżka na takich samych zasadach jak ostatnio, a on nie zawahał się odmówić. Był pewny, że już nigdy nie prześpi się z Nitą, bo ta dziewczyna w ciągu kilkunastu godzin stała się kimś innym, kimś, do kogo poczuł cień sympatii, ale już nie pożądania. A może chodziło o kontekst. Blokowały go słowa, które usłyszał. Zrozumiał, że naprawdę jej współczuje i że wcale nie musi tego udawać, wzbudzać w sobie sztucznie empatii, skłaniać się do słuchania czyichś zwierzeń i skupiania uwagi na chwili obecnej. Podejmowania walki ze swoim wędrującym umysłem, chwytania myśli i kierowania ich na inne tory niż Greta di Biase i jej obrazy. Oczywiście – Greta była nadal najważniejsza, a Nita stanowiła tło. Człowiek jednak musi czasem patrzeć na tło, podobnie jak wtedy, gdy spogląda na obraz i odrywa wzrok od głównego obiektu, kieruje go na obrzeża płótna i gdzieś w kącie, tuż przy ramie, dostrzega detale, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Życie Adama bez Nity byłoby niepełne, tak jak niepełny byłby fresk *Nadanie tytułu rycerza* Simone Martiniego bez postaci melancholijnego muzyka zapatrzonego w dal. I jak niepełna byłaby *Greta nad jeziorem Iseo* bez zielonkawej wody za plecami modelki. Przez rok miał pewność, że zapomina o Nicie, kiedy wraca do domu. I faktycznie było tak, jak mówiła – płacił, więc nie musiał się czuć zobowiązany. W tej chwili jednak miał wrażenie, że nie trafił do niej przypadkiem i że gdyby przy pierwszej wizycie w agencji towarzyskiej udał się na piętro z inną dziewczyną, wyszedłby z tej sytuacji uboższy o kilka istotnych refleksji. A może coś ważnego – coś naprawdę ważnego – dopiero

miało się wydarzyć? Niekoniecznie dla niego, ale właśnie dla niej. Albo dla nich obojga.

Postanowił teraz o tym nie myśleć, bo przecież nie potrafił przewidzieć przyszłości, która – jak już raz się przekonał – mogła całkiem odbiegać od planów i wyobrażeń. Kiedy siedział z Nitą na podłodze, oparty plecami o łóżko, i słuchał, jak opowiada o swoim dzieciństwie, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Rok temu, za namową Zygmunta, zjawił się w agencji towarzyskiej gdzieś na obrzeżach Wrocławia. Burdelmama to przyzwoita kobieta; dziewczyny czyste, ładne i niegłupie; pełna kultura; żadnych łysych karków; zapłacisz trochę więcej, ale za to wszystko na wysokim poziomie; kwiaty w wazonach, posadzki lśnią, łazienki w pokojach; wcale nie wygląda jak burdel; to dla takich typów jak ty, co się wstydzą, że płacą za seks; klienci też na poziomie, niektórzy chcą się tylko poprzytulać albo wypłakać, bo im w domu źle, żony mają migreny i tak dalej – zachęcał malarz, który sam trafił w to miejsce tylko raz, dla researchu, jak twierdził. Artysta musi przecież szukać w życiu nowych doświadczeń. Adam nie do końca się z nim zgadzał, ale dał się wreszcie namówić. Rozwiązanie faktycznie wydawało się idealne. Zero emocji, czysty, oparty na czytelnych zasadach układ, nikt nikogo nie wykorzystuje.

Wybrał Nitę, bo się do niego nie przymilała i przez godzinę sączyła jednego drinka, a ze szklanki niewiele ubyło. On też był w stu procentach trzeźwy – miał wrażenie, że w całym swoim życiu nie był tak trzeźwy jak tamtej nocy. Jego wzrok rejestrował wszystko, od koloru dywanów, zasłon i ścian, poprzez ubrania dziewcząt i reprodukcje znanych obrazów w szerokich, zdobnych ramach. Wśród kopii opatrzonych Da Vincich, Rafaelów i Monetów dostrzegł także coś mniej oczywistego. Była to reprodukcja portretu Marii Karoliny, księżny Aumale, pędzla Franza Xaviera Winterhaltera.

Usiadł obok Nity i zaczął nerwowo paplać o portrecie, że przedstawia Marię Karolinę Orleańską, którą po rewolucji lutowej w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym wygnano wraz z mężem z Francji i która osiadła w Anglii, gdzie otrzymała dom od królowej Wiktorii, straciła najstarszego syna i do końca życia cierpiała na ciężką depresję. A w młodości, jako jedna

z nielicznych wysoko urodzonych panien w odpowiednim wieku do zamążpójścia, cieszyła się sporym powodzeniem i musiała wierzyć, że ma świat u swoich stóp. I może wybierać nie tylko wśród kandydatów, ale przede wszystkim wedle zasobności krajów i możliwości rodów. Na obrazie Winterhaltera jest od dwóch lat kobietą zamężną, a mążzonek już ją szanuje, może nawet kocha, i nie mówi „nie jest miła, ale też nie ma w niej nic nieprzyjemnego”, jak z początku pisał do swojego nauczyciela. Dwa lata po ślubie i dwa lata przed dożywotnim wygnaniem z Francji. Maria Karolina jest spokojna i szczęśliwa. Już i jeszcze. Tymi słowami Adam zakończył swój wywód, a Nita uniosła brwi, wstała i podała mu rękę.

W sypialni zapytała, na co ma ochotę. Pomyślał wtedy o zapewnieniach Zygmunta, że niektórzy chcą się poprzytulać lub wypłakać i zdał sobie sprawę, że sam na takiego wyglądał. Paplał o kopii obrazu, o jakiejś księżnej namalowanej przez jakiegoś artystę prawie dwieście lat temu, a twarz Nity nie wyrażała niczego poza uprzejmym zainteresowaniem. „Ach tak”. „To ciekawe”. Umilkł i zrobiło mu się gorąco. Powiedział, że chce normalnie. A Nita znała się na swoim fachu lepiej, niż przypuszczał, i lepiej, niż na to wyglądała. Rozluźnił się i, odpowiednio zachęcony, przejął inicjatywę. Był zadowolony, ona chyba też. W swojej karierze musiała się przecież nie raz spotkać z trudniejszymi przypadkami. Tak to nazywał. Trudniejsze przypadki. Nie chciał sobie wyobrazić, co robiła z innymi mężczyznami, ile razy musiała się do czegoś zmuszać i ile razy znosiła ból. Zawsze, gdy jego myśli zbłądziły na te tory, czuł ucisk w żołądku i pieczenie za mostkiem. Jak gdyby to on zawinił.

Adam nigdy nie skorzystał z usług innej dziewczyny. Nita widziała, że w agencji za każdym razem czuł się nieswojo, więc pewnego wieczoru zaproponowała mu, by przy następnej okazji spotkali się u niej. Miała kilku stałych klientów, których, za zgodą szefowej, przyjmowała w swoim mieszkaniu. „Nie jest ich wielu, nie chcę, żeby sąsiedzi się czepiali”. „Pracuję dla tej agencji od lat, wiedzą, że nie kręcę na boku”. „Widzisz, że tu nie ma żadnej patologii, i chyba już mnie trochę znasz, więc nic się nie bój”. Tłumaczyła mu to wszystko od niechcienia, jakby zupełnie jej nie obchodziło, czy przyjdzie ponownie i gdzie będą uprawiać seks. Adam jednak miał

wrażenie, że chciała go przy sobie zatrzymać. Teraz zyskał pewność, ale wtedy było to tylko przecucie, które mogło okazać się złudne. Nita uprawiała zawód wymagający sporych umiejętności aktorskich, więc nauczyła się traktować ją z dystansem. A mimo to lubił, kiedy oboje podejmowali grę w normalność. Kiedy ona udawała, że coś czuje, a później mówiła mu, że był wspaniały. I kiedy on pozwalał sobie przez krótką chwilę w to wierzyć.

Nie wiedział, w którym momencie opowieść o dzieciństwie Nity przerodziła się w opowieść o jej klientach. Zerknął na zegarek. Dochodziła szóstka rano, za trzy godziny musiał otworzyć galerię, w sobotę nigdy nie robił sobie wolnego. Nita nie przerywała monologu, a on poczuł się nieswojo. Nie chciał przecież o tym słuchać, unikał tematu przez rok, nie zadawał pytań, nie pozwalał sobie na najdrobniejsze aluzje. Spiał się i wbił wzrok w komodę z ciemnego drewna. Starał się myśleć o trzech ustawionych na niej kolorowych wazonach, różowym, zielonym i srebrnym, o kruchej ceramice, wąskich szybkach i opływowych kształtach. Kiedy Nita mówiła o swoim najbrutalniejszym kliencie, który na pierwszy rzut oka wydawał się nieśmiały i łagodny jak baranek, wyobrażał sobie lekkość tych wazonów i proces ich kształtowania, malowania, suszenia. Wreszcie poczuł pieczenie pod powiekami i zorientował się, że Nita także płacze. Umilkła i wytarła łzy wierzchem dłoni.

– Przepraszam – wyjąkała.

Pokręcił głową. Zamierzał powiedzieć: „Nie szkodzi”, ale nie przeszło mu to przez gardło. Zrozumiał ją. Wiedział, że nie mogła już dłużej być z tym sama. Ze swoją historią, z emocjami, które tłumione, musiały gdzieś znaleźć ujście, odbić się na zdrowiu lub zniszczyć ją od środka. Adam nie miał pojęcia, czy w tej chwili poczuła ulgę, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uwolni się od siebie samej. Od swoich myśli i wspomnień. Kilka miesięcy temu zapytał ją, czy zamierza kiedyś z tym skończyć. Odpowiedziała: „Z tym się nigdy nie kończy, nawet jak się kończy”. Wydawało mu się wtedy, że mówi o czymś zwyczajniejszym, bardziej przyziemnym. Że po prostu nie będzie umiała żyć inaczej i nawet jeśli spróbuje, wróci na stare szlaki. Ale jej chodziło o to, co ma w głowie i co już na zawsze tam pozostanie. Mimo wszystko – kibicował Nicie. Nawet jeśli nie

usiłował już jej zrozumieć, tak jak wielu ludzi nie usiłowało zrozumieć jego.

– Pojedziesz tam ze mną? Dzisiaj? – zapytała nagle.

– Dokąd?

– Do domu – szepnęła, a on spojrzał na nią zdziwiony.

– Nita...

– Skręcimy z głównej drogi i zatrzymamy się w polu. Chcę tylko popatrzeć na wieś. Chcę ci pokazać mój dom. Jest jedno wzgórze, z którego zawsze miałam dobry widok. Siedziałam tam czasem do późnego wieczoru, przykładając dłonie do oczu i udawałam, że patrzę przez lornetkę. Miałam nadzieję...

– Na co miałaś nadzieję?

– Że zobaczę coś innego. Jakiś inny dom. Jakichś innych rodziców, inną matkę krzątającą się po obejściu. Jakiegoś innego ojca, który nie śpi na rozklekotanej ławce ani nie kiwa się na stopniu. Ja... chcę to zobaczyć po raz ostatni. Pojedź ze mną. To tylko dwie godziny drogi.

– Samochód mi się zepsuł. Naprawdę, to nie jest wymówka.

– Pojedźmy więc autobusem. Wsiądziemy przystanek wcześniej, wiem gdzie. Stamtąd będzie nawet bliżej na wzgórze.

– Muszę otworzyć galerię.

– W sobotę?

– Tak, w sobotę.

– Rozumiem.

– Ale możemy pojechać w niedzielę – powiedział, zanim zdążył to sobie przemyśleć.

Nita spojrzała na niego bez słowa. Ona także nie mogła uwierzyć, że naprawdę to powiedział. Cała ta rozmowa, prośby, łzy, opowieści o wzgórzu, z którego widać jej dom, nie była obliczona na konkretny efekt. A jednak – Nita osiągnęła ten efekt i teraz musiała się z nim zmierzyć. Adam czuł, jak jego oddech spłyca się i przyspiesza, serce zaczyna bić niespokojnie, wysycha gardło i drżą dłonie. Musiał z tym walczyć, ponownie, być może już do końca życia, w tej sytuacji i każdej następnej.

– Spotkajmy się jutro na dworcu. Sprawdź, o której mamy pierwszy autobus – powiedział. I uznał, że czas się zbierać.

*

Od piętnastu lat Adam dokładnie planował swoje dni. Sprzątanie, zakupy, kwestie związane z domem, kwestie związane z galerią, kwestie związane z autem, spotkania z Zygmuntem, spotkania z Nitą, książki, internet, Facebook, spoglądanie na blok rysunkowy i węgle z myślą, że można by spróbować ponownie rysowania, spoglądanie na telefon z myślą, że można by spróbować zadzwonić do ojca, spoglądanie na kalendarz z myślą o tym, że wypadają urodziny matki / imieniny matki / Dzień Matki / Wszystkich Świętych / Boże Narodzenie / Wielkanoc i trzeba pójść na cmentarz, i wreszcie – unikanie odpowiedzi na pytanie, kiedy zrobi sobie wolne. „Wolne” brzmiało dziwnie i obejmowało zbyt wiele kwestii. Wolne musiały zrobić sobie nie tylko od pracy, ale i od samego siebie, bo brak umiejętności odpoczynku wypływał z jego wnętrza. Dlatego po prostu nie jeździł na wakacje, nawet na tydzień, nawet na weekend. Miał wrażenie, że jeśli choć na chwilę opuści swoją przestrzeń i porzuci rutynę, całkiem się rozsypie. Tutaj nie było może dobrze, ale było znajomo.

Teraz jednak chciał wyjechać. Musiał zacząć planować podróż do Włoch, kupić bilety na samolot, znaleźć nocleg, zorganizować pracę galerii pod swoją nieobecność. Kiedy myślał o rzeczach, które należało zrobić, ogarniała go panika. Nie wiedział, czym zająć się najpierw i co powinien traktować jako najważniejsze. I przede wszystkim – nie miał pojęcia, kiedy – i czy w ogóle – odezwie się do niego Greta. Planowanie wyjazdu było konkretnym zajęciem i prawdziwym wyzwaniem, które wymagało uwagi, energii i wysiłku. Postanowił zacząć od Zygmunta. Zadzwonił do niego w sobotę, tuż przed zamknięciem galerii, zapowiedział się z wizytą jeszcze tego samego wieczoru i wcisnął czerwoną słuchawkę, zanim usłyszał słowo protestu. Nazajutrz zamierzał jechać z Nitą na lubuską wieś, a raczej na lubuskie pole, i patrzeć na jej rodzinny dom. Zdeklarował się i postanowił wywiązać z obietnicy. W jego życiu działało się więcej, niż kiedykolwiek sobie życzył, ale uznał, że to chyba dobrze. Musiał tylko ćwiczyć się w ignorowaniu własnego organizmu i nie zastanawiać, co z tego wszystkiego

wyniknie. O ile to oczywiście było w ogóle do zrobienia.

Zjawił się u Zygmunta w chwili, gdy niebo zszarzało i zanosilo się na deszcz. Letni, czerwcowy, taki jaki lubił najbardziej. Kiedy Adam był dzieckiem, matka zawsze mawiała, że od letniego deszczu szybciej się rośnie, a on jej wierzył. Był jednym z najniższych chłopców w klasie. Matka przestała przekonywać go o cudownych właściwościach letniego deszczu w dniu, w którym wyszedł przed blok w ulewę i mókł przez dwie godziny, a później złapał zapalenie płuc. Oczywiście była zła na siebie. Siedziała przy jego łóżku dzień i noc, a on, mimo wysokiej gorączki, słyszał, jak się modliła i przeklinała na przemian. Wreszcie poczuł się lepiej i zapytał, czy teraz wreszcie zacznie szybciej rosnać. Matka śmiała się przez łzy. Nie zaczął. Metr siedemdziesiąt pięć to było wszystko, co przygotowała dla niego natura. Na dodatek ciągle się garbił.

Zygmunt mieszkał w odnowionej kamienicy przy Bujwida. Jego lokum – cztery pokoje, duży balkon, ogromna kuchnia i dwie łazienki – zajmowało całe piętro. Wprowadził się tu przed kilkanaście miesięcy i wciąż żył w strachu, że pewnego dnia nie będzie w stanie już dłużej spłacać kredytu, do którego przykuł się na ponad trzydzieści lat. I który skutecznie zatruwał jego marzenia o porzuceniu pracy grafika i zajęciu się jedynie malarstwem. Otworzył drzwi odziany w spodnie dzwony i cekinowy top. Z wnętrza dobiegała muzyka z lat siedemdziesiątych. Zygmunt wyglądał na bardzo niezadowolonego. Wpuścił Adama do środka i obrzucił go krytycznym spojrzeniem.

– Zdziwiłbym się, gdybyś się wysilił w kwestii stroju – powiedział i wolnym krokiem ruszył w stronę kuchni.

– W kwestii czego?

Adam już zdążył się zorientować w sytuacji i wiedział, że niechcący wpadł na dopiero rozkręcającą się imprezę. Ludzie, których nie znał, ale którzy znali Zygmunta bądź znajomych Zygmunta i czuli się swobodnie w jego domu, zajęci byli napełnianiem misek chipsami, paluszkami, pokrojonymi w paski warzywami i owocami, chłodzeniem alkoholi i przyrządzaniem drinków, gotowaniem, szukaniem odpowiednich talerzy, parzeniem kawy i herbaty i wreszcie ustawianiem playlisty. Ta ostatnia

obejmowała tylko utwory z lat siedemdziesiątych, co razem z kostiumami gości tworzyło spójny obraz. Karnawał wprawdzie skończył się w lutym, ale Zygmunt najwyraźniej zorganizował bal przebierańców. Stanął teraz przy oknie i pociągnął nosem. W powietrzu unosił się zapach wódki, papierosów i trawki. Zygmunt też to wyczuł, bo zaklął pod nosem i nakrzyczał na dwóch chłopaków – także w dzwonach – że mają wypieprzać z paleniem na balkon. Wreszcie zaszczycił Adama ponownym spojrzeniem.

– Miało cię nie być.

– Miało mnie nie być?

– Mówiłem ci o tej imprezie pół roku temu. I napomknąłem, kiedy widzieliśmy się ostatnio. Że będzie parapetowa. Połączona z moimi urodzinami.

– Urodziny masz za tydzień.

– Ale impreza jest teraz, bo nie każdy jest taki skrupulatny, jeśli chodzi o kalendarz. Tylko mi nie mów, że zapomniałeś, bo nie zapominasz dat i powiązanych z nimi wydarzeń.

– Mówisz teraz o tej imprezie?

– Tak.

– No to jednak zapomniałem. Albo po prostu nie chciałem pamiętać.

– Wspaniale. Co więc sprawiło, że tu jesteś?

– Muszę z tobą pogadać.

– W tej chwili?

– Tak, będę się streszczał. Chodzi o to, że...

– Przejdźmy lepiej do mojej pracowni.

Zygmunt lekko pchnął Adama w głąb korytarza. Ruszyli wzdłuż obwieszonych obrazami ścian, lawirując pomiędzy innymi gośćmi. Adam zastanawiał się, czy Zygmunt zna tych wszystkich ludzi, czy też zorganizował imprezę w swoim ulubionym studenckim stylu, czyli „każdy przyprowadza, kogo chce”. On sam chodził na podobne imprezy na studiach, ale teraz dziwił się, jak można, mając prawie czterdziestkę na karku, wciąż z jednakowym entuzjazmem udostępniać swój własny balkon ludziom tylko po to, by palili na nim trawkę i prowadzili egzaltowane dyskusje o zużyciu się wszelkich zasad w sztuce, globalnym postmodernizmie i jeszcze o tym, że

„prawdziwych artystów już, kurwa, nie ma”. Coś takiego obilo mu się o uszy właśnie teraz. Zygmunt stuknął go w ramię i wskazał drewniane drzwi pomalowane na butelkową zieleń. Adam pchnął je i wszedł do pracowni, w której był dotąd kilka razy w życiu, ale zawsze za dnia, kiedy w powietrzu czuć było jedynie zapach farby. Od razu dostrzegł duże płótno rozpięte na ogromnym blejtramie. Przedstawiało krzyż, a na nim Jezusa, wychudzonego do granic możliwości, z wystającymi żebrami, krwawymi ranami, siniakami i twarzą tak wykrzywioną bólem, że aż odrażająca. W tle widniało absurdalnie czyste, błękitne niebo. Adam domyślał się, po co jest ten kontrast, ale zawsze zachowywał ostrożność, gdy wydawało mu się, że rozumie dzieło sztuki. Dlatego powiedział tylko:

– Ciekawe.

Zygmunt dobrze wiedział, że jeśli Adam nazywa coś ciekawym, to musi być warte uwagi. Próbował zapanować nad uśmiechem, ale wreszcie się poddał.

– To może być mój najlepszy obraz.

– Werdykt i tak nie należy do ciebie.

– Bardzo jesteś miły.

– Jak ci się nie podoba moja opinia, to zapytaj swoich podpitych i upalonych dworzan. Powiedzą, że dzieło jest „kurwa, zajebiste”, i mają orgazm od samego patrzenia.

– Przeszedłeś tu pluć jadem? Czy dla jakiejś innej rozrywki? Wiesz, ja się bardzo cieszę, zazwyczaj nie zniżasz się do udziału w moich imprezach, więc to zaszczyt i w ogóle, ale po pierwsze trzeba było się ubrać w stylu lat siedemdziesiątych, a po drugie – przez telefon nie dopuściłeś mnie do głosu, bo strasznie się czymś ekscytowałeś. Jak nie ty.

– Jak nie ja – przyznał po chwili Adam.

Niechętnie oderwał wzrok od umęczonego ciała na krzyżu. Był niemal pewien, że niezależnie od epok i światopoglądów sztuka będzie zawsze sięgała po Biblię – by się nią karmić lub szargać świętości, a może z jeszcze innych powodów. Skoro zrobił to nawet Zygmunt, który w swoim życiu zaliczył już katolicyzm, buddyzm i sintoizm, aby określić się w końcu jako hedonista i czciciel Matki Natury, to równie dobrze mógł zrobić każdy.

I robił. Nie było nic odkrywczego w stwierdzeniu, że sztuka przez wieki opierała się na interpretacji i reinterpretacji tych samych motywów, ale Adam i tak z nieustającym zainteresowaniem przyglądał się temu zjawisku.

– Dancer. Mów, bo gości mam.

– Połowa z nich nie wie, jak wyglądasz.

– Pewnie masz rację.

Zygmunt roześmiał się i spod jednego z płócien wyjął butelkę prosecco. Kieliszki też miał. Adam ze szczerym zaskoczeniem skonstatował, że to jednak nie wódka, i chętnie się poczęstował. Wypił kilka łyków i opowiedział Zygmuntovi o swoich planach, w tym także o Nicie, jej zerwaniu z zawodem i jego propozycji, by popracowała w galerii. Kiedy skończył, w pracowni zapadła cisza. Zygmunt patrzył na niego cielecym wzrokiem i chyba pierwszy raz w życiu nie miał gotowej riposty. Wreszcie chrząknął i ponownie napełnił kieliszki. Prosecco wydało się Adamowi za kwaśne i za ciepłe.

– Dancer... Ty nie żartujesz, prawda? Ty nigdy nie żartujesz, bo nie masz poczucia humoru. Ale to jest głupi pomysł. A raczej część tego pomysłu jest głupia.

– Ta część, w której proszę o pomoc ciebie, jest mądra, a część, w której angażuję Nitę, jest głupia. Tak?

– Tak.

– Muszę zaryzykować. Nie powiesz mi, że sam, planując wystawę, pracując w firmie i malując po nocach obrazy, będziesz jeszcze w stanie siedzieć w mojej galerii. Nie jest was dwóch. A ja muszę kogoś zatrudnić.

– Mógłbyś znaleźć osobę, która przynajmniej trochę zna temat... No nie wiem, choćby jakiegoś studenta historii sztuki. Wszyscy szukają pracy, a humanistów nikt nigdzie nie chce...

– Nie potrzebuję koniecznie kogoś, kto się zna. Nita opanuje kasę, z tym sobie poradzi. Rachunki załatwię przed wyjazdem, dostawy też, w najbliższym czasie będzie tylko kilka, landszafty od wrocławskiego artysty, karton kubków z ręcznie malowanym ratuszem, broszki z gliny i plakaty inspirowane Alfonsem Muchą. Wszystko na miejscu, zero niespodzianek. Ty się włączysz, jeśli ktoś będzie się chciał umówić na

spotkanie i zadać mądre pytania, na które musi odpowiedzieć znawca. I od czasu do czasu przejrzyś oferty. Może trafi ci się twoja własna Greta di Biase, nigdy nie wiadomo.

– Bardzo śmieszne. Ja jestem swoją własną Gretą di Biase.

– Zygmunt. Chyba wiesz, jakie to dla mnie trudne.

– Poproszenie kogoś o coś?

– Właśnie.

– Domyślam się. Dancer...?

– Tak?

– Dlaczego ty chcesz pojechać do tych cholernych Włoch? Przez nią, prawda? Siedzi ci w głowie? Zabujałeś się w obrazie?

– Nie zabujałem się w obrazie.

– Mnie też się to kiedyś zdarzyło.

– Naprawdę? – zainteresował się Adam.

– Tak. Miałem siedem lat i ojciec, jak wiesz – profesor historii sztuki, w końcu zboczenia nie biorą się z niczego – pokazał mi *Damę z łasiczką*. Byłem zachwycony. A później dowiedziałem się, że Cecylia Gallerani nie żyje od kilkuset lat i płakałem przez dwa dni. Chyba to dzięki niej zostałem malarzem.

– Idiota.

Adam usłyszał dźwięk tłuczonego szkła i sam miał ochotę rzucić w Zygmunta kieliszkiem. Tamten jednak nie reagował ani na dźwięki dochodzące z głębi domu, ani na mało wyszukane wyzwiska.

– Wierzysz jej?

– Komu?

– Nicie.

– Ale w co konkretnie mam wierzyć? Że poradzi sobie przez kilka tygodni w galerii czy że na dobre porzuci pracę?

– W jedno i drugie.

– Nie wiem. Chcę wierzyć.

– Kurwa, pięknie. Będę miał na głowie twój interes i do tego niańczył byłą... kurtyzanę! Nie patrz tak.

– Nie bądź dla niej świnią.

– Nigdy nie jestem świnia. Jestem artystą. Pamiętaj, że artysta jest świnia tylko wtedy, gdy świnia jest widz.

– Nie o tym teraz mówimy. A Egon Schiele ujął to inaczej. Że dzieło sztuki jest świństwem wtedy, kiedy świnia jest widz. Nie naginaj cytatów do zilustrowania swoich pokrętnych teorii.

– Pomogę ci pod jednym warunkiem – oznajmił Zygmunt, nadal ignorując przytyki.

– Mam zostać na imprezie do samego końca i później razem z tobą posprzątać?

Adam z rezygnacją patrzył, jak Zygmunt uśmiecha się szeroko, kiwa głową, odwraca się i wychodzi z pracowni, zostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi. Zapowiadała się długa noc. Ale ostatecznie mogło być gorzej.

Zgodnie z umową został więc na imprezie, pił prosecco z aperolem, jak prawie wszyscy w Polsce teraz i jak nikt przed dziesięcioma laty, siedział na balkonie i obojętniał na zapach tytoniu i trawki, nie interesował się, kto jest pod wpływem czego ani nawet, kto jest kim, a kiedy spadł deszcz, z rozbawieniem patrzył, jak towarzystwo ucieka do środka, zostawiając go samego na pastwę ulewy. Uniósł głowę i spojrzał w niebo. O jego twarz rozbijały się krople, a wiatr szarpał za włosy i koszulę. Poczul się nagle dziwnie błogo. Nie wiedział, czy za sprawą Grety, Nity, Zygmunta, czy po prostu deszczu.

Impreza zakończyła się bladym świtem. Adam pomógł Zygmuntowi posprzątać, pożyczył od niego ubranie i wziął prysznic. O ósmej musiał się pojawić na dworcu autobusowym i wiedział, że nie zdąży wrócić przedtem do domu. Zygmunt, o dziwo, niczego nie komentował. Zaparzył dzbanek kawy i wrzucił ich brudne ubrania do pralki. O piątej śpiewał jeszcze *Despacito* na domowym karaoke, odpuszczając sobie już całkiem konwencję lat siedemdziesiątych, która na tej akurat imprezie zupełnie się nie sprawdziła. Później *Despacito* śpiewali chyba wszyscy goście, a także sąsiedzi z niższych pięter, którzy wyszli na swoje balkony. Adam miał w pewnym momencie wrażenie, że cała kamienica śpiewa *Despacito*, łącznie z nim samym. Pamiętał jeszcze, że zaciągnął się czymś papierosem, a inny ktoś przekonywał, że prosecco jest lepsze z campari niż z aperolem,

i podtykał mu pod nos próbki obu drinków, których smaki były już niemożliwe do odróżnienia.

Przed wyjściem wypił dwie mocne, gorzkie kawy. To była jego druga nieprzespana noc z rzędu. Zygmunt zadzwonił po taksówkę i z troską w głosie powiedział:

– Nie puść pawia na tapicerkę.

Adam w ogóle się o to nie bał. Kiedy wsiadał do auta, był wprawdzie zmęczony, ale czuł się całkiem dobrze, i od razu sięgnął po telefon, by zalogować się na pocztę.

Czekał na niego e-mail od Grety.

*

Do: Adam Dancer

Od: Greta di Biase

Temat: Santina Negri

Na pewno wiesz, jak bardzo mnie przestraszyłeś. Musiałeś pisać pod wpływem silnych emocji, chciałeś złapać myśl, zanim zdążyła Ci uciec, i przekazać ją mnie – uznałeś mnie za ważną na tyle, by zmusić się do pośpiechu. I jeszcze – by pozwolić sobie na brak kontroli. Twoje wcześniejsze wypowiedzi są bardzo uładzone i przemyślane. Wyobrażałam sobie, jak poprawiasz każde zdanie, czytasz całą wypowiedź od początku, raz za razem, wykreślasz fragmenty i piszesz od nowa, zastanawiasz się nad doborem słów, dopasowujesz je do kontekstu, zmieniasz ich kolejność, zadajesz sobie pytanie – co wypada, a czego absolutnie nie wolno powiedzieć. Ja z początku też tak robiłam, ale moja ostatnia wiadomość wyraźnie pokazuje, że już przestałam. Przeprosiłam Cię za słabość i nadmierną wylewność, choć tak naprawdę nie żałuję ani jednego słowa. Zwłaszcza że się nie wycofałeś. A tego się właśnie spodziewałam, jeśli mam być szczerą. Oto ja, zupełnie obca kobieta, uzewnętrzniam się przed Tobą na temat swojego życia, opowiadam Ci o marzeniach związanych z werniksem i blejtrmem, o braku pieniędzy na

ołówki, o ciemnoskórej matce, a jednocześnie niczego nie piszę wprost, bo są takie rzeczy, o których wprost nie potrafię pisać. Ale to tanie i głupie tłumaczenie. Mogłam nie mówić nic, zamiast Cię drażnić i sprawiać wrażenie, że prowadzę idiotyczną grę. Jakimś cudem jeszcze nie masz mnie dosyć. Dziękuję.

I proszę. Zatrzymaj się, póki jeszcze jest czas. Wiem dobrze, co chcesz zrobić. Jesteś właśnie takim typem, prawda? Takim, o jakich piszą w książkach i kręcą filmy. Człowiek, który przez lata niczego w swoim życiu nie zmienia, nagle rzuca wszystko i wyrusza w podróż. Bo chce coś znaleźć. Powiem Ci więc, co planujesz.

Zamierzasz pojechać do Bergamo i obejrzeć portret Santiny Negri. Pójść do Roberta, bo przecież wiesz, gdzie mieszka, i zapytać go o mnie. Nalegać, by podał Ci mój adres, i zadawać pytania, coraz bardziej natarczywie, aż wreszcie stracisz cierpliwość wobec jego nieustępliwości. Nic więcej nie będziesz mógł zdziałać. Nie zagroźysz mu, nie zrobisz krzywdy – bo i po co? Roberto nie zdradzi Ci mojego adresu, taką mamy umowę. Nie robi tego nigdy. A wiesz dlaczego? Dlatego, że jest wobec mnie bezinteresowny. Myślisz, że układ ze mną przynosi mu duże zyski? Oczywiście, że nie. Nasza relacja opiera się na przyjaźni. Nie zarabia tyle, by na tym zasadzała się jego lojalność. Chodzi o coś poważniejszego, o coś, czego nie da się złamać żadną zachętą i żadną pokusą. Dlatego jestem go pewna. Nie zdradzi mnie, bo po prostu nie chce mnie zdradzić. Jestem o siebie spokojna – niezależnie od wysiłku, jaki podejmiesz, by go przekonać, nie uda ci się. Zachowam moją samotność, moją bezludną wyspę, z której spoglądam na świat i z której do Ciebie piszę. Między nami nic więcej nie będzie. Ale zapewniam Cię, że to, co jest, uważam za ważne. Nawet za najcenniejsze. Oczekujesz, że powiem: „Od dawna się tak nie czułam?”. W podobnych sytuacjach chyba mówi się takie rzeczy. Ale ja powiem coś innego. Nigdy się tak nie czułam. Nigdy nie miałam ochoty otworzyć się przed kimś zupełnie.

A zatem jedź do Bergamo, jeśli chcesz. Potem Accademia Carrara. Spójrz na Santinę. Przejdź przez galerię, zobacz inne obrazy, zobacz świętych i krucyfiksy, i Matki Boskie z Dzieciątka, wypełniające całe ściany. Będziesz miał wrażenie, że oglądasz jednego świętego, jeden krucyfiks i jedną

Matkę Boską. Nie powinnam, jako malarka, mówić takich rzeczy. Każdy obraz jest wyjątkowy. A jednak sztuka sakralna opiera się na podobnych zasadach i trudno w niej o indywidualizm. Choć oczywiście i to się zdarza. Bo wyobraźnia wielkich artystów pozostaje nieskrępowana, nawet jeśli skrepowane są ich palce. Jeśli narzuca im się temat i formułuje jasne oczekiwania. Niech Twoją uwagę przykuje „Maddalena in meditazione” Giampietrina. Zawsze mnie ciekawiło, że na „Ostatniej wieczerzy” Leonarda ludzie widzą Marię Magdalenę i snują na jej temat różne teorie, a ten obraz jest prawie nikomu nieznany. Zerknij do sieci. Znajdziesz długą listę obrazów Giampietrina, które trafiły do wielu słynnych muzeów na świecie. Ale Accademia Carrara jest wspominana dość rzadko, a już zwłaszcza to konkretne malowidło. Mówi się o „Madonnach” Giampietrina, o „Magdalenach”, świętych niewiastach i figurach znanych z mitologii. Mówi się wreszcie o kopii „Ostatniej wieczerzy”, którą namalował – tej właśnie najlepszej, najdokładniejszej, najbardziej znanej kopii, tak pomocnej podczas konserwacji oryginału Leonarda. Współczuję Giampietrinowi. Tym właśnie stał się dla potomnych – uczniem Leonarda i zręcznym kopistą. Zastanawiało mnie nieraz, czy był dumny, kiedy ukończył swoją wersję „Ostatniej wieczerzy”. Do pewnego stopnia musiał być, prawda? Malował według Mistrza, ścigał się z nim, chciał oddać mu sprawiedliwość, a jednocześnie dać popis własnego talentu. A jednak. To była wciąż kopia. Przy tytule wciąż pojawiała się słowo „według”. „Ostatnia wieczerza” według Leonarda. Uczeń Leonarda, naśladowca Leonarda. Nie wiadomo nawet, czy Giampietrino na pewno nazywał się Giovanni Pietro Rizzoli. Najprawdopodobniej tak, ale „najprawdopodobniej” to za mało. Był człowiekiem obdarzonym ogromnym talentem, a teraz mówimy: „Najprawdopodobniej nazywał się...”. To straszne.

Spójrz na Marię Magdalenę, jej nagość, piersi przysłonięte księgą, umięśnione ramiona, które świadczą o sile i zdrowiu, i na długi, cienki krzyż z małą figurką Jezusa. Dlaczego nikt nie mówi o dwuznaczności tego malowidła? Dlaczego o tym nie powstają piętrowe teorie? Co chciał powiedzieć artysta? Dlaczego Magdalena jest naga, skoro medytuje, dlaczego tak swobodnym gestem kładzie dłoń na rozpuszczonych lokach

i spod półprzymkniętych powiek patrzy na przyczepioną do krzyża figurkę? Nigdy się tego nie dowiemy. Nigdy nie dowiemy się wszystkiego o żadnym obrazie, bo większość tajemnic artysta zabiera ze sobą do grobu. Znalazłam w internecie inne „Magdaleny” namalowane przez Giampietrina. Wszystkie mają umięśnione ramiona i włosy skręcone w drobne loczki. Jestem ciekawa, kto mu pozował i co go łączyło z modelką.

Był niedawno taki film – „The Monuments Men” – na pewno o nim słyszałeś, może go nawet widziałeś. Powstał na podstawie książki „Obrońcy skarbów” Roberta M. Edsela i Breta Wittera, która opowiada, w dużym skrócie, o ratowaniu włoskich dzieł sztuki przed wszelkimi okrucieństwami wojny – zniszczeniami, grabieżami i zapomnieniem. Ja sama nigdy nie obejrzałam filmu, ale przyjaciółka kupiła mi inną książkę Edsela – „Na ratunek Italii”. Czytałam ją z dużym zainteresowaniem, a później przejrzałam w sieci artykuły o autorze. Jak się zapewne domyślasz, nie znam angielskiego, więc bazowałam tylko na tekstach przetłumaczonych na włoski. Ale znalazłam jedno zdjęcie Edsela, na którym stoi przed pewnym obrazem. I nawet jeśli to malowidło nie przedstawiało Magdaleny, tylko Madonnę z Dzieciątkiem, od razu rozpoznałam te drobne loczki. I miałam rację – to było dzieło Giampietrina! „Madonna of the Cherries” poszła w Sotheby’s za prawie trzy miliony dolarów, choć wyceniona była na maksymalnie dziewięćset tysięcy. Śledzisz czasem aukcje dzieł sztuki? A może w nich uczestniczysz? Nie zżera Cię czasem zazdrość, kiedy widzisz, jakie kwoty ludzie są w stanie wyłożyć, by dostać upragniony obraz? Mnie zżera niewyobrażalnie.

A teraz Santina Negri. Uważasz ją za podobną do postaci na obrazie „Greta w srebrnym welonie” i masz rację. Ale z nią i z Gretą będzie tak samo jak ze wszystkimi innymi dziełami. Większość tajemnic zabrał ze sobą do grobu Pellizza i większość zabiorę ja. Rzeczywiście, widziałam Santinę w Accademii. Zrobiła na mnie wrażenie, tak jak zrobiła cała ta wyprawa, do której w ogóle nie powinno dojść. Ale warto było za nią zapłacić. Santina karmiła moje myśli, w pewnym sensie we mnie zamieszkała. Miałam wrażenie, że po prostu doświadczyłyśmy tego samego, ale później pomyślałam, że ona tylko grała, stała się taka na potrzeby obrazu

i przeistoczyła w symbol smutku. Mój smutek otrzymał jej twarz. Zastanawiałam się nad nią – jak musiała się czuć, kiedy siadała przed Pellizzą i przyjmowała tę pozę z obrazu, spoglądała w górę, nieruchomiła i stawała się tak po prostu nieszczęśliwa. Może wcześniej robiła coś zwyczajnego, na przykład prala albo czytała romans. Mogła też robić coś niezwykłego, choćby zastanawiać się nad swoją rolą w świecie i nad przyszłością, nad losem przyzwoitej kobiety i dostępną jej przestrzenią, rozciągającą się między domem, kuchnią i kościołem. Może z kimś flirtowała albo przyszła do atelier prosto od swojego kochanka, który całował jej szyję i brzuch, rozchyłał uda, napierał na biodra, odkrywał wszystkie tajemnice ciała, po czym opadał na łóżko, nalewał sobie wina, wzdychał, a ona patrzyła na niego, na twarde ramiona i pośladki, zadowoloną minę i zmierzwiłone włosy, i zadawała sobie pytanie, czy tym razem zaszła w ciążę, czy to już się stało i wkrótce poczuje mdłości, czy będzie musiała szybko znaleźć sobie męża albo zapuścić się do jednej z tych podejrzanych dzielnic miasta, gdzie jakaś bezzębna kobieta ściągnie płód, przyjmując w zamian pieniądze i nie zadając zbyt wielu pytań. Santina mogła robić to wszystko, a później szła do Pellizy, siadała na krześle i zamieniała się w smutek. Wydaje mi się, że musiał w nią wsiąknąć. Jeśli przez kilka godzin twoja twarz wyraża rozpacz, nie jesteś w stanie tak po prostu wstać, otrzepać ubrania i się uśmiechnąć. Mogę się mylić. Ja nigdy nie musiałam odgrywać smutku, odtwarzać go na podstawie cudzych doświadczeń.

Nie powinnam była pójść do Accademii, ale to zrobiłam. Decyzja okazała się zła i dobra zarazem. Nie żałuję jej, choć pewnie wielu by żałowało na moim miejscu. Ci, którzy każdego dnia muszą płacić wysoką cenę za spokój. Zaryzykowałam. Ktoś chciał pokazać mi tę galerię. I ten sam ktoś chciał mnie chronić. Myślałam, że to możliwe. Pomyliłam się i jednocześnie miałam rację.

Patrz na moją twarz, Adamie, jeśli nadal chcesz. Patrz na moje dwie twarze, a ja wkrótce namaluję dla Ciebie trzecią i czwartą. Nie wiem, czy będzie mnie stać na więcej, ale cztery twarze to całkiem dużo, większość ludzi ma tylko dwie – tę prawdziwą i tę, którą pokazują innym. Tyle mogę Ci dać.

Zaskoczyłeś mnie swoim listem, zaskoczyłeś Santinę Negri. Nie

spodziewałam się, że dotrzesz akurat do niej, ale powinnam się domyślić, że będziesz dociekliwy. Cieszę się. To tylko potwierdza, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni i jak doskonale się rozumiemy.

Dla swojego własnego dobra – nie próbuj mnie szukać.

Przecież już mnie znalazłeś.

Greta

*

Nita czekała na dworcu autobusowym, zgodnie z umową. Miała na sobie bawełnianą koszulkę i džinsy, włosy związała w koński ogon, nie nałożyła makijażu i wyglądała zwyczajnie, jak setki innych młodych kobiet w tym mieście. Odkąd zaczęli się spotykać w jej mieszkaniu, zawsze starała się tak wyglądać, przeciętnie i naturalnie, bo to był przecież element ich gry w normalność. Wcześniejsza Nita, Nita z agencji, dziewczyna o czerwonych ustach i oczach obwiedzionych czarną kreską, w krótkiej sukience i butach na wysokich obcasach, z burzą loków, które niedbałym gestem odrzucała na plecy, zdawała się kimś innym. Nie chciał o niej pamiętać, ale teraz, kiedy wręczyła mu papierowy kubek z gorącą kawą, przez chwilę widział tamtą twarz i słyszał tamten głos, lekko znudzony ton i jej „ach tak, to ciekawe” w reakcji na nerwową opowieść o obrazie Winterhaltera. Miał wrażenie, że te dwie chwile dzieli przepaść wielu lat, a nie zaledwie kilkunastu miesięcy. Uśmiechnął się i podziękował za kawę, choć przecież u Zygmunta wypił już dwie.

Po drodze mało rozmawiali. Adam wsunął sobie pod głowę zwinięty sweter i zamknął oczy. Po trzech kawach wprawdzie szumiało mu w uszach, a serce biło szybko, jednak zmęczenie powoli dawało się we znaki i organizm upominał się o odpoczynek. Czuł, jak jego mięśnie powoli się rozluźniają, oddech pogłębia, dźwięki tracą ostrość. Zanim zapadł w sen, usłyszał jeszcze płynącą z radiowego głośnika melodię, dawno niesłyszana piosenkę *It's All Coming Back to Me Now*, którą prawie cały świat – i on sam do pewnego czasu – znał z interpretacji Céline Dion. Ale to nie była wersja Dion, tylko

oryginał, wykonanie Elaine Caswell z grupy Pandora's Box, wokalistki, która podczas nagrywania właśnie tego utworu pięciokrotnie zemdląca. Autor tekstu, Jim Steinman, inspirował się ponoć powieścią *Wichrowe Wzgórza* i tematem miłości nieznającej granic między światem żywych i umarłych, doprowadzającej człowieka do obsesyjnej tęsknoty i nieuleczalnego szaleństwa. Za najważniejszą scenę uważał tę, w której Heathcliff wykopuje z grobu ciało Catherine, by jeszcze raz zobaczyć jej twarz. Odpowiadało mu ukazanie miłości jako siły ożywczej i destrukcyjnej zarazem, jako doświadczenia totalnego, zagarniającego każdy zakamarek umysłu i obejmującego każdy obszar życia. Steinman tak również skonstruował swój własny tekst. Podmiotem uczynił kobietę, która śpiewa o utraconej miłości, a może też o prawie utraconym życiu. O doznaniach z przeszłości, zdolnych odrodzić się natychmiast pod wpływem odpowiednich bodźców, jak czyjś dotyk, wzrok, szept.

Adam po raz pierwszy usłyszał tę piosenkę na pierwszym roku studiów, właśnie w interpretacji Céline Dion, na jakiejś domówce. Głos Dion ledwo przebijał się przez gwar rozmów, pokrzykiwania i śmiechy. On był jeszcze wtedy dawnym sobą, chłopakiem, który nie wiedział nic o atakach paniki, drżących dłoniach, zimnym pocie i pokonywanym codziennie lęku przed wyjściem z domu. Stał w tłumie, pił piwo, o czymś z kimś rozmawiał. Usłyszał Céline Dion i pomyślał, że to bardzo patetyczny utwór, a wokalistka śpiewa z nadmierną ekspresją, zbyt aktorsko, jakby chciała się popisać swoimi umiejętnościami, nie rozumiejąc jednocześnie tekstu. Sam tekst mu się spodobał. Był ciekawy, podobnie jak wygrywana na pianinie, smutna melodia. Odniósł wrażenie, że gdyby ktoś włożył w wykonanie tej piosenki żywe emocje, gdyby prawdziwie wczuł się w tekst, *It's All Comig Back to Me Now* stałoby się jednym z tych utworów, które chwytają słuchacza za gardło i nie puszczają jeszcze długo po wybrzmieniu ostatnich nut. Nie miał pojęcia dlaczego, ale nagle powiedział to wszystko na głos. Podzielił się swoimi przemyśleniami z dziewczyną, z którą rozmawiał akurat o czymś zupełnie nieistotnym, tak jak się zawsze rozmawia na imprezie z kimś obcym i po kilku piwach. Dziewczyna przekrzywiła głowę, a w jej oczach pojawił się błysk zainteresowania. To ona opowiedziała mu o Jimie Steinmanie,

wykonaniu Elaine Caswell i fakcie, że piosenkarka podczas nagrania pięć razy zemdląca. Adam zaniemówił. A później poszedł z tą dziewczyną do jej pokoju w akademiku, gdzie kilkakrotnie przesłuchali oryginał, wdali się w dyskusję o duchach Heathcliffa i Catherine krążących po angielskich wrzosowiskach, i wreszcie poszli do łóżka, z którego wyszli dopiero późnym rankiem.

We wspólnym łóżku kładli się jeszcze wielokrotnie, przez pięć kolejnych lat. Dziewczyna miała na imię Basia. Kochał ją, choć nie była to obsesyjna miłość z piosenki Jima Steinmana i powieści *Wichrowe Wzgórze*. Kochał i porzucił – dokładnie wtedy, kiedy porzucił także samego siebie. Powiedział, że nie chce, by go pocieszała, że jej nie potrzebuje, żeby dała mu wreszcie raz na zawsze święty spokój. To było dwa dni po pogrzebie matki. Kiedy minął pierwszy szok i wreszcie była w stanie się odezwać, próbowała go uspokoić, powiedziała, że najlepiej porozmawiać za jakiś czas, pozwolić emocjom opaść. „Spierdalaj” – wyartykułował w odpowiedzi. Nie usłyszał od niej więcej ani słowa. Powinien był zadzwonić do Basi i zapewnić, że w niczym nie zawiniła, zdjąć z jej barków ciężar częściowej odpowiedzialności za stan, w którym się znalazł. Pytała przecież, co może zrobić – czy coś w ogóle może zrobić – kiedy po śmierci matki siedział w swoim pokoju i bez słowa gapił się w ścianę. Nie zareagował. Odepchnął ją, pozwolił, by odeszła bez odpowiedzi. Dowiedział się tyle, że wróciła do rodziców, w góry. Nigdy więcej się nie spotkali.

Nita szturchnęła go w ramię, kiedy zbliżali się do celu. Przetarł oczy i przeciągnął się. Z autobusu wysiedli kilka minut przed jedenastą i stali krótką chwilę na przystanku. Przedpołudnie, po padającym przez całą noc deszczu, było chłodne. Wreszcie Nita ocknęła się z zadumy, chwyciła go za rękę i poprowadziła w stronę leśnej drogi. Mówiła o tym, że właśnie znaleźli się na terenie Przemęckiego Parku Krajobrazowego i że w pobliżu znajdują się dwa jeziora – Brzeźnie i Zapowiednik. I jeszcze że po prostu jest tu ładnie, ona zawsze lubiła to miejsce, ale teraz, z wiadomych przyczyn, nie przyjeżdża często. W ogóle nie przyjeżdża. Nie wie, jak zmieniła się wieś, bo jeśli już pozwala sobie zaryzykować i zapuścić się w te strony, to zawsze tylko tutaj, do lasu i na pola, z dala od utartych szlaków i z dala nawet od

jezior, nad którymi zawsze można spotkać kogoś z dawnych znajomych. Tak jej się zdaje, ale pewności nie ma i na wszelki wypadek nie sprawdza.

Adam słuchał Nity w milczeniu, dając się prowadzić między szpalerem gęsto rosnących drzew i usiłując się otrząsnąć z dziwnego wspomnienia o dawno niesłyszanej melodii, które równie dobrze mogło być snem. Miał wrażenie, że traci kontakt z rzeczywistością, a wydarzenia ostatnich dni, doświadczenia i emocje, zlewają się w jedno. Dwie nieprzespane noce, dwa dni nie w pełni poddane rutynie, Nita, Zygmunt, Greta, twarz Grety, obrazy Grety, e-mail od Grety, w którym mówiła, że wcale nie musi jej szukać, smutny portret Santiny Negri i smutna piosenka o utraconej miłości. I wreszcie sama miłość. Ta, którą stracił dawno temu, i ta, która wymykała mu się teraz i była jak niepewny grunt, najeżony pułapkami. Miał wrażenie, że drzewa zamykają się wokół niego coraz ciasniej, a powietrze staje się gęste. Powieki mu opadały, a nogi wydawały się z każdym krokiem coraz cięższe.

Nita zatrzymała się w końcu przy zagajniku, na szczycie niewielkiego wzniesienia. Uniosła dłonie do oczu, udając, że patrzy przez lornetkę, dokładnie tak, jak wcześniej opowiadała. Adam stanął obok niej i po krótkim wahaniu zrobił to samo. W oddali zobaczył trzy pomalowane na biało budynki, otoczone drewnianym płotem, stodołę, kurnik i ogród pełen kolorowych kwiatów. Wszystko wyglądało na bardzo zadbane – zbyt zadbane jak na zwykłe wiejskie gospodarstwo. Odsunął dłonie od oczu.

– To jakaś agroturystyka? – zapytał, zerkając na Nitę.

Była blada i miała zacięty wyraz twarzy, który zdążył już dobrze poznać. Poczul nagły niepokój i automatycznie cofnął się o krok. Nita obróciła się w jego stronę, powoli, jakby w transie. Oczy miała suche i głos pewny, kiedy wreszcie się odezwała, a mimo to czuł, że coś w niej właśnie pękło. Teraz, nie w nocy, gdy snuła opowieść o swoim życiu.

– To gospodarstwo agroturystyczne moich rodziców – powiedziała.

Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka, a wargi odrobinę zsiniały. Podniosła z ziemi szyszkę, którą zaczęła obracać w dłoniach. Adamowi zaschło w gardle.

– Opowiedziałam ci banalną i ckliwą historię o patologicznej rodzinie,

matce, która dostawała łomot od ojca, o alkoholu i dwuizbowej chacie. O tym, że się sprzedawałam, bo miałam powód. Ukradłam tę historię mojej koleżance z agencji, nie jest więc całkiem zmyślona. To prawda, tyle że nie moja. Bywały chwile, kiedy jej zazdrościłam. Można powiedzieć, że nie miała wyjścia, dokonała takiego wyboru, jaki wydawał się najszlachetniejszy. Ona naprawdę chciała dobrze. Wiem, że wielu ludzi tak mówi, tłumacząc swoje głupie postęпки, ale w jej wypadku to była najprawdziwsza prawda. A ja? Ja nie chciałam dobrze. Nie musiałam dokonywać takiego wyboru, nie miałam powodu, by go sobie wytłumaczyć, nikt nie potrzebował mojej pomocy. Nie chciałam dobrze, chciałam czegoś zupełnie innego, czegoś złego. Chciałam sprawić ból moim rodzicom. Odegrać się na nich.

– Za co? – odważył się zapytać, kiedy zrobiła pauzę.

– Za co? – powtórzyła i roześmiała się gorzko. – Chyba za mnie samą. Za moją wewnętrzną wściekłość, poczucie, że nigdzie nie pasuję, z nikim nie mogę się dogadać, nikogo nie lubię i nikt nie lubi mnie. Za to, że ludzie mnie denerwują, budzą moją irytację, śmieszają mnie, wydają mi się puści i głupi. Za przekonanie, że jestem od nich wszystkich lepsza, mądrzejsza i ładniejsza, i stać mnie na więcej niż mieszkanie na zadupiu i podniecanie się jeziorami. Za to, że kazali mi się przystosować, zawsze kazali mi się przystosowywać. Anita, wszyscy robią to i to; Anita, zachowuj się, ludzie patrzą; Anita, ściszej muzykę; Anita, nie krzycz, wszyscy cię słyszą; Anita, opanuj się; Anita, zrób to, nie rób tamtego, bo tamtego nikt nie robi; Anita, o czym ty mówisz, chyba sobie żartujesz. Kiedyś przy obiedzie powiedziałam, że chciałabym pojechać do Mediolanu i zobaczyć *Ostatnią wieczerzę*.

– Żartujesz? Myślałem, że nie lubisz malarstwa! Usiłowałem z tobą o nim rozmawiać przez ostatni rok i...

– Nie lubię malarstwa – przerwała mu stanowczo. – Ale wtedy tak powiedziałam. Pierwsze pytanie brzmiało: Co? Drugie: Po co? Trzecie: Nie widziałas tego w żadnej książce? Prawdę mówiąc, miałam gdzieś *Ostatnią wieczerzę*, niewiele mnie obchodziła, jak i sztuka w ogóle, ale przeczytałam o niej w którymś z podręczników. I powiedziałam to na próbę. Byłam ciekawa reakcji. A rodzice mnie nie zaskoczyli. Tak było za każdym razem, kiedy coś wymyślałam. Coś ty znowu wymyśliła, mówili. Musiałam robić to,

co wszyscy. Chodzić w niedzielę do kościoła, od poniedziałku do piątku na lekcje, pomagać w gospodarstwie i szkolić się, by później pracować z rodzicami. Jestem jedynaczką, więc dla rodziców było jasne, że zostanę z nimi, w przyszłości przejmę agroturystykę, nigdy się nie wyprowadzę, bo nie po to budowali taki wielki dom, żebym miała mieszkać gdzie indziej, tutaj jest moje miejsce, mojego przyszłego męża i moich dzieci. Bo przecież dla kogo oni na to wszystko pracowali? Dla mnie. Dla mnie, dla mnie, dla mnie! Głupotą byłoby myśleć, że miałam coś do powiedzenia.

– Więc uciekłaś?

– Więc uciekłam.

– I nie wróciłaś?

– I nie wróciłam. A do agencji poszłam, bo tak było najłatwiej. Jedna dziewczyna zapoznała mnie z Klarą, szefową. Szukała „przyzwoitych” i „czystych” dziewczyn, nie żadnych bezzębnych, posiniaczonych ćpunek. Tak mi powiedziała. To była porządna agencja, w papierach miałyśmy wpisane: hostessa, kelnerka, pokojówka. Klara kazała nam się regularnie badać i wykorzystywać konstruktywnie wolny czas. Tego ostatniego faktycznie trochę miałam, pracowałam wieczorami, kilku klientów na dobę, w weekendy zdarzało się więcej, ale w niedzielę brałyśmy podwójną stawkę. Skończyłam liceum dla dorosłych i poszłam na studia. Dienne! Bankowość. Byłam dobra z matematyki. Co mogę ci jeszcze powiedzieć?

– Nie wiem.

– Wolaleś, kiedy występowałam w roli ofiary?

– Nie wiem.

– Ale mi współczułeś. A teraz nie współczujesz.

– Nie.

– Gardzisz mną?

– Nie.

– Chciałabym ci wierzyć.

– Uwierz. Nie stoję na pozycji, z której można gardzić kimkolwiek. Nie jestem święty.

– Ty i twoje sekretne życie.

– Tak, ja i moje sekretne życie. Mam rozumieć, że to wszystko, co

ostatnio mówiłaś, było kłamstwem?

Adam poczuł gniew, choć rzeczywiście nie gardził Nitą, nie potrafił potępić jej za wybór, którego dokonała. Właściwie był nawet w stanie ją zrozumieć. Teraz patrzyła na wszystko nieco inaczej, ale wtedy musiała choć przez chwilę czuć, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. A później nie potrafiła już odwrócić biegu wydarzeń. Był jednak zły za emocje, których kazała mu doświadczać, za opowieść, w którą się zaangażował, za to, że prawie płakał i czuł tak wiele, choć od dawna nie czuł już zupełnie niczego. Zbudowała sobie fałszywą tożsamość, a on w nią uwierzył. Trwało to tylko chwilę, ale jednak.

Nita głośno przełknęła ślinę.

– Nie wszystko. Powiedziałam ci całą prawdę o mojej pracy. O klientach, o rzeczach, które musiałam znosić. Chciałam, żebyś wiedział, jaki mi się wydawałeś na ich tle. Chciałam, żebyś mi współczuł, spojrzął na mnie inaczej. Żebym zaczęła coś dla ciebie znaczyć. Ale nie zaczęłam. Widziałam to wczoraj i widzę teraz. Niepotrzebnie cię okłamałam i byłam ci winna prawdę. Proszę, oto ona. Cała prawda. Mój dom, moja przeszłość, miejsce, które dobrowolnie opuściłam.

– To nie jest prawda.

– Prawda. To właśnie...

– To nieprawda, że nic dla mnie nie znaczysz.

Nita posłała mu pełne politowania spojrzenie i poklepała go lekko po ramieniu.

– Znam to uczucie. Dobrze jest czasem oszukać samego siebie. Wracajmy.

Ruszyła w dół leśną ścieżką, ani na chwilę nie oglądając się za siebie. Nagle zachciało mu się śmiać. Z samego siebie i z niej. Patrzył z prawdziwą przyjemnością, jak Nita wyrzuca z siebie złość i jak uprzedza jego wypowiedzi, by oszczędzić sobie przykrości. Znowu była prawdziwa. Raczej wściekła niż smutna, rozsierdzona z powodu wspomnień o przeszłości, która popchnęła ją ku temu, kim się stała. Zrozumiał, że czuje wobec niej wdzięczność, zarówno za kłamstwo, jak i za prawdę. Doświadczył czegoś przecież, kiedy opowiadała angażującą emocjonalnie, zmyśloną historię

o sobie. Stopił się, otworzył. Był do tego zdolny. A teraz dopuściła go do swojego życia naprawdę, zrobiła więcej, niż on potrafiłby kiedykolwiek zrobić dla niej. Pod tym względem okazała się znacznie lepsza od niego. Bardziej ludzka.

Nita poprowadziła go dwadzieścia kilometrów przez las, aż do Wschowy. W połowie drogi miał wrażenie, że jego płuca nie są już w stanie pracować, a serce za chwilę przestanie bić. Był niewyspany, głodny i dziwnie rozedrgany. Ale później zmęczenie minęło, oddech się pogłębił, a jego krok stał się lekki. Wdychał zapach szyszek i żywicy, słuchał szumu drzew i przypominał sobie, jak to kiedyś lubił. Rozmawiał z Nitą o galerii, obrazach, które najbardziej mu się podobają, i jeszcze o tym, że nawiązał korespondencję z włoską malarką. Opowiadał o talencie Grety i jej braku zainteresowania sławą. Kiedy Nita zapytała, czy jedzie do Włoch, by się z nią spotkać, nie odpowiedział.

Do celu dotarli zmęczeni, ale prawie całkiem spokojni. Przed wyjazdem zjedli pizzę w pierwszej knajpce, jaką znaleźli, i napili się coli. W autobusie znów nie rozmawiali ze sobą prawie w ogóle, tak jak nie rozmawiają ze sobą ludzie, którzy znają się przez całe życie i rozumieją bez słów.

Po powrocie do domu Adam napisał do Grety list. I opowiedział jej coś o sobie.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Znalazłem

Przestraszyłem Cię? I dobrze. Oczywiście, że pojedę do Bergamo. Zobaczę Santinę i Twoją Marię Magdalenę, która medytuje nago, przejdę przez całe to miasto, obejrzę każdy budynek, odwiedzę Roberta Savia, odwiedzę nawet jego siostrę, właścicielkę butiku przy via San Lorenzo. Tak, skorzystałem z internetu i jeśli można było uzyskać stamtąd o nich jakieś informacje –

uzyskałem je. Obejrzałem zdjęcia strojów szytych przez Valentinę Savio, zdjęcia jej sklepu i samej Valentiny. Przeczytałem archiwalne wiadomości i wiem o pożarze, który wybuchł w tym miejscu przed pięcioma laty, a także o samobójczej śmierci poprzedniego właściciela. Choć przecież wszystkie te sprawy nie mają dla mnie absolutnie żadnego znaczenia! Nie obchodzi mnie, od kogo Valentina kupiła butik, co robi i jak prezentuje się w swoich kreacjach. Szukam jednak każdej informacji, która ma związek z tymi ludźmi i ich przestrzenią, bo tylko w ten sposób mogę jakoś zbliżyć się do Ciebie. Nie mam żadnego innego tropu. Nie wiem, kim jesteś, jak naprawdę się nazywasz, gdzie mieszkasz, skąd znasz Savia, dlaczego to on opiekuje się Twoimi obrazami i dlaczego pozostajesz anonimowa. Jedyne ślad, na który trafiłem, prowadzi mnie właśnie do Bergamo. I do Sarnico, o którym sama wspominasz. Dlatego tam będę szukał. Pewnie nie powinienem Ci o tym pisać. Jeśli tam jesteś, może spróbujesz się ukryć albo uciec, choć przecież tak naprawdę nie musisz. Skoro nie chcesz, bym Cię odnalazł – pewnie nie odnajdę. Ale przecież wiesz, że nie odpuszczę tak po prostu. Masz rację, jestem tą żalostną figurą, która często pojawia się w książkach i filmach, człowiekiem, który rzuca wszystko i wyrusza w podróż. Bo czuje, że dłużej już nie wytrzyma w tym samym punkcie. Bo ogarnia go jakieś szaleństwo. Może świadomość, że popadam w obsesję, obudzi Twoją litość.

Chciałbym, byś powiedziała mi coś o sobie. Wiem, powiedziałaś już całkiem sporo, ale to jednak za mało. Sama wspominasz nieszczęsnego Giampietrina, który najprawdopodobniej nazywa się Giovanni Pietro Rizzoli, i współczujesz mu, że nawet nazwiska nie możemy być pewni. A jeśli to jego wina? Powinien być bardziej wylewny, prowadzić jakiś pamiętnik, pisać więcej listów i zachowywać te, które sam dostawał. Raz czy dwa zrobić coś kontrowersyjnego, zdenerwować kogoś ważnego i doczekać się zapisku w kronikach. „Giovanni Pietro Rizzoli, pyszny młodzian o jadowitym języku...” i tak dalej. Powinien był namalować swój autoportret i go podpisać. A po skończeniu kopii „Ostatniej wieczerzy” sporządzić notatkę w rodzaju: „No dobrze, mój obraz to kopia, ale malowałem farbami olejnymi na płótnie, a Leonardo wymyślił sobie olej i temperę na suchym tynku – suchym, nie mokrym! – choć można było przewidzieć, że to zły pomysł i coś

pójdzie nie tak. Na przykład kolory zbledną i Jezus straci stopy, a jakiś apostoł dłoń. I wtedy wkraczam ja ze swoim obrazem! U mnie Jezus zachowa stopy, szaty apostołów kolory, a tapeta wzorki. I proszę! Niech ktoś się z tym zmierzy”. Ale nawet jeśli Giampietrino sporządził taką notatkę – nic o niej nie wiadomo. I dlatego teraz jest „genialnym kopistą”, „genialnym naśladowcą”, „uczniem”.

Czy naprawdę chcesz, żeby za kilka wieków ktoś napisał o Tobie: „Chyba pochodziła z biednej rodziny, jej matka chyba była Afrykanką, chyba rzuciła szkołę, chyba miała na koncie złe doświadczenia, chyba rozwijała się dzięki pomocy przyjaciół, chyba pochodziła z Lombardii i chyba używała pseudonimu”? „Chyba”, bo to właśnie „wynika ze słabo zachowanej korespondencji z historykiem sztuki, o którym także niewiele nam wiadomo”?

O to Ci chodzi? Wybacz, ale wątpię.

Zanim zaczniesz protestować albo uznasz, że już więcej do mnie nie napiszesz, dodam: możesz mi opowiedzieć o czymś, co nie pozwoli Cię łatwo zidentyfikować. Bo przecież na tym Ci zależy, tak? Ja również powiem Ci coś o sobie. Nie o czerwonym pudełku i zdjęciach, na których się uśmiecham – jeszcze nie. Nie wykluczam, że to się kiedyś stanie, nawet jeśli jesteś tylko tworem mojej wyobraźni i tak naprawdę nie ma żadnej Grety di Biase. A Ty śmiejesz się ze mnie, odczytując moje egzaltowane słowa i wyznania przerażonego zwykłym życiem paranoika. Nic mnie to już teraz nie obchodzi. A zatem tak – być może kiedyś opowiem Ci o czerwonym pudełku. Kiedyś.

A teraz opowiem Ci o powodzi. W dziewięćdziesiątym siódmym była powódź, taka prawdziwa, zalało południe Polski, Czechy, Słowację, kawałek Niemiec i Austrii. Główne ulice Wrocławia zamieniły się w rzeki, wielu mieszkańców zostało uwięzionych w swoich domach lub nie miało prądu i bieżącej wody. Helikoptery zrzucały na dachy żywność, a ludzie stawiali worki z piaskiem, by ratować, co się dało – archiwa w piwnicach, zabytki, sprzęty. Ja znalazłem się wtedy na wyspie. Mój blok, a także trzy okoliczne, stał na wzniesieniu, więc choć nie zostałem więźniem we własnym mieszkaniu, nie mogłem w żaden sposób poruszać się po mieście. Wodę zobaczyłem z balkonu, wpatrywałem się w dal bez większej refleksji, kilka dni wcześniej wróciłem z Pobierowa, gdzie pojechałem z dziewczyną i kumplem

i gdzie kumpel odbił mi dziewczynę.

Jeśli już o to chodzi – przyłapałem ich w namiocie. Złamałem mu nos, a ją nazwałem szmatą. Nigdy wcześniej ani nigdy później się tak nie zachowałem. Kiedy wracałem samotnie do Wrocławia, myślałem głównie o tym, że gdy człowiekowi puszczaają nerwy, staje się inną osobą, zdolną do najgorszych rzeczy, jakich wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. I zastanawiałem się nad autentycznością. To banalne, prawda? Wniosek, że każdy gra jakąś rolę i prowadzi wewnętrzne życie, o którym reszta nie ma pojęcia. Myślałem najgorsze rzeczy o kumplu i byłej dziewczynie, aż w końcu poczułem się brudny. Brudny z powodu własnych emocji, które czyniły mnie odrażającą kreaturą, brudny z powodu wyobrażeń o czyjejś krzywdzie, która mogłaby mi sprawić przyjemność – i wreszcie brudny, bo zdałem sobie sprawę, że jeśli kogoś tak bardzo nienawidzę, to przecież nie mogę być dobry.

Z drugiej strony każde takie doświadczenie to test. Uczymy się siebie, obserwujemy przesuwanie granic własnej empatii, patrzymy na swoją wrażliwość i na swoje okrucieństwo, na rzeczy, które robimy, mimo że nie mieszczą się w przyjętym przez nas systemie wartości. Jak przemoc. W moim domu nie było przemocy. Była chorobliwa nadopiekuńczość, którą też można postrzegać jako formę przemocy, ale nie w sensie fizycznym, zagrażającym życiu i zdrowiu, sprowadzającym człowieka silniejszego do roli kata, a słabszego do roli ofiary, opierającym się na chęci zadawania bólu i na jego odczuwaniu. Na permanentnym lęku. Nie znałem takiej formy przemocy. Ale kiedy wyprowadziłem cios, uderzyłem kumpla i zobaczyłem krew na jego twarzy, poczułem się wyzwolony. Zrobiłem to, co chciałem, do czego popychała mnie moja własna natura. Co narodziło się pod wpływem wściekłości wywołanej widokiem jego ciała na ciele dziewczyny, która – jak mi się zdawało – należała do mnie. Dopiero później zrozumiałem, że nikt tak naprawdę nie należy do nikogo i że nawet jeśli byłem w tamtym układzie pokrzywdzony, to dając upust złym emocjom, najbardziej skrzywdziłem siebie. W autobusie – nie wiem dlaczego – opowiedziałem o wszystkim obcemu chłopakowi, który obracał w dłoniach paczkę papierosów i bardzo chciał zapalić. A on podsumował to w prosty sposób: „Bardzo dobrze. Zasłużył na wpierdol”.

Zasłużył na wpierdol. Pewnie tak. Ale nie wiem, dlaczego dziewczyna pozwoliła, by przygniótł jej ciało swoim. Dlaczego wybrała jego, nie mnie. Może była w tym także moja wina. Może coś zrobiłem źle. Łamiąc nos kumplowi i nazywając ją szmatą, odebrałem sobie szansę, by się tego dowiedzieć. Wszystkie te refleksje przysły do mnie później. Wtedy, na balkonie, kiedy zobaczyłem wodę płynącą ulicą, czułem po prostu wściekłość i rozczarowanie, bo zawiodłem się na ludziach, którym ufałem. Rodzice, nadopiekuńczy i natrętni, próbowali oczywiście dowiedzieć się, dlaczego wróciłem wcześniej, a moje milczenie budziło w nich coraz większą frustrację. Miałem osiemnaście lat i chyba po raz pierwszy pomyśleli, że nie są mnie w stanie dłużej kontrolować i na siłę chronić. Że nie można kogoś ochronić przed samym sobą. Widziałem ich rezygnację, taką rezygnację, jaka zawsze opanowuje człowieka w chwili, kiedy musi się przestać oszukiwać.

Zobaczyłem powódź i pobiegłem do łazienki, by napęłnić wannę wodą. Moja matka zaczęła napęłniać garnki, a mój ojciec wazony. To ciekawe, że mieliśmy chyba z pięć wazonów, ale żadnej butelki. Działaliśmy jak automaty, wiedzieliśmy, co może się stać, choć nigdy wcześniej nie przeżyliśmy powodzi. Wybiegliśmy na zewnątrz i dołączyliśmy do tych, którzy stawiali przy ulicy worki z piaskiem. Nie wiem, skąd się tam wzięły, podobnie jak nie wiem, skąd dobiegała muzyka. Modny wtedy numer „I’ll Be Missing You”, remake „Every Breath You Take”. Za każdym razem, kiedy teraz słyszę w radiu tę piosenkę, kojarzy mi się z workami wypełnionymi piaskiem. Ciekawe było to, że wszyscy wiedzieli, co robić, i nikt nikogo o nic nie pytał. Widziałem swoich sąsiadów w nowych rolach, kolegę z podstawówki w kapciach i koleżankę w piżamie. Później przysła woda i popłynęła dalej Legnicką, a dzięki workom uratowaliśmy naszą wyspę. Mieszkałem na niej przez dwa tygodnie.

Ojciec – nauczyciel angielskiego i tłumacz – zajmował się jakimś przekładem i wstawał o świcie, by jak najdłużej korzystać ze światła dziennego. Poszedłem w jego ślady. Wstawałem o szóstej, siadałem na balkonie i czytałem wszystkie zaległe kryminały Agathy Christie. Christie też kojarzy mi się teraz z powodzią. Moja matka była lekarką, dobrym ortopedą, i przez pierwsze kilka dni do pracy zabierał ją helikopter, a później, kiedy

woda nieco opadła, docierała do szpitala naokoło, tymi drogami, przez które dało się przepłynąć lub przejechać.

To był dziwny czas. Niby niespokojny i niebezpieczny, a jednocześnie wypełniony niezwykłą ciszą. Wieczorami rozpalaliśmy na podwórku ognisko, a później gromadziliśmy się w długich kolejkach do beczkowozu. Nawet kiedy ulice obeschły, przez wiele dni nie mieliśmy prądu i bieżącej wody. W pierwszym otwartym w okolicy sklepie spożywczym kupiłem chleb, mleko i kokosowe draże. Te ostatnie nie wiem dlaczego. Nigdy wcześniej nie lubiłem draży, ale kiedy usiadłem na balkonie z powieścią Agathy Christie i zacząłem je pogryzać, poczułem się dziwnie błogo. Zapomniałem o byłej dziewczynie i byłym kumplu. Mój ojciec skończył tłumaczyć zlecony tekst, usiadł obok mnie na balkonie i także sięgnął po draże. Jedliśmy je we dwojkę, ja pogrążony w lekturze, on patrząc przed siebie. Godzinę później do domu wróciła moja matka, która również się do nas przysiadła. Nie zapytała, czy zjedliśmy obiad i jak się czujemy. To był dzień, w którym nikt nie miał ochoty na rozmowę, a jednak chyba nigdy wcześniej nie wydawaliśmy się sobie tak bliscy. Wspominam tę chwilę, kiedy ogarnia mnie poczucie beznadziei. I choć później wiele się między nami zmieniło, to zawsze pomaga. Próbowałem nawet jeść kokosowe draże, ale mam wrażenie, że teraz smakują inaczej.

Czy Ty też masz takie wspomnienie? Czy przeżyłaś coś, do czego wracasz, kiedy czujesz się nieszczęśliwa? Powiedziałaś, że nie musisz, jak Santina Negri, odgrywać smutku i odtwarzać go na podstawie cudzych doświadczeń. Twój smutek jest więc prawdziwy, tak jak przypuszczałem od początku. Czy masz więc wspomnienie, które Ci pomaga? Czy możesz mi o nim opowiedzieć?

Chciałbym wiedzieć, co widzisz, kiedy wyglądasz przez okno, ale tego na pewno mi nie zdradzisz. Napisz więc chociaż, czy tam, gdzie jesteś, pada czasem deszcz. Lubię zapach deszczu.

Adam

CZEŚĆ II

7. Plany i to, co z nich wynika

Do: Adam Dancer

Od: Greta di Biase

Temat: Coś o mnie

Prośba „opowiedz mi coś o sobie” brzmi tak prosto, że mam ochotę się uśmiechnąć. Ci, którzy ją formułują, nie myślą o złożoności wyrażenia „coś o sobie”. A przecież, gdyby to oni sami mieli na nią jakoś odpowiedzieć, nie wiedzieliby, od czego zacząć. Prosisz mnie, bym opowiedziała Ci coś o sobie, choć opowiedziałam już więcej niż wcześniej komukolwiek. Rozbawiłeś mnie tą uwagą o Giampietrinie – mam wrażenie, że doskonale wiesz, co chciałabym usłyszeć, by przelamać swój wewnętrzny opór. Masz rację, powinien być sporządzić notatkę po namalowaniu „Sądu Ostatecznego” i pokazać wszystkim, kto tu rządzi. W jakim stanie byłby teraz oryginał, gdyby nie kopia? I nawet z tymi stopami Jezusa masz rację. A jednak... ja to nie Giampietrino. Nie przesadzajmy.

Musisz się domyślać, że również poproszę Cię o to, byś opowiadał mi o sobie. I chcę więcej niż obrazek powodzi. Ten obrazek był piękny. Zazdroszczę Ci tamtej chwili i wspomnienia, które teraz możesz przywoływać. Ale powtórzę – chcę więcej. Którą drogę wybierzesz? Jak zdefiniujesz „coś o sobie”? Czy będzie to zbiór podstawowych informacji, rzeczy, których nie ukrywasz przed światem i które inni ludzie z radością ogłaszają na Facebooku i Instagramie? Czy będzie to ta wersja Ciebie? Przycięta do

wymogów szerokiego grona odbiorców, łaknących widoku uśmiechniętych i nieskazitelnych twarzy, skrytych pod kilkoma filtrami, idealnych sylwetek, pięknych krajobrazów, fit-posiłków i trendy-książek, z którymi wypada się sfotografować? Nie. Nie istnieje taka wersja Ciebie. Wiem o tym od zawsze – odkąd Ty zaczęłaś istnieć dla mnie. Co więc mi powiesz? Liczę na prawdę. Od Ciebie nie chcę czytać żadnej fikcji, tak jak mam nadzieję, że fikcją nie była opowieść o powodzi, czytaniu książek Agathy Christie na balkonie i jedzeniu kokosowych draży. Ani o tym, że kumpel odbił Ci dziewczynę, a Ty złamałaś mu nos. Chciałabym przeczytać więcej takich historii.

Ja również nie dam Ci fikcji. Sporo myślałam o tym, co powiedziałaś. Że choć mnie znalazłaś, i tak zamierzasz szukać. Pojedziesz do Bergamo, pojedziesz do Sarnico, pojedziesz nad jezioro Iseo. Spróbujesz mnie wytropić. Pójdziesz do Roberta Savia i do butik jego siostry. Zrobisz, co się da, bo masz obsesję na moim punkcie i liczysz na to, że się nad tobą zlituję. Że powiem Ci, gdzie jestem, byś przestał się męczyć. Chciałabym. Bardzo bym chciała. Postanowiłam zrobić coś innego. Spełnię Twoją prośbę i opowiem Ci coś o sobie. Opowiem Ci dużo, tyle, ile mogę. Mam nadzieję, że to Ci pomoże, a mój obraz w Twojej głowie ulegnie zmianie, stanie się mniej idealny. I zostaniemy przy tym, co jest.

Czytaj więc o mnie, zdanie po zdaniu. To, co dobre, i to, co złe, ze świadomością, że moja opowieść będzie musiała się urwać. Jest bowiem punkt, którego nie potrafię przekroczyć, a raczej – przekroczyć ponownie. Raz już tego dokonałam, ale wtedy zrobiłam to niemal bezrefleksyjnie, kierując się emocjami, bólem, złością, poczuciem beznadziei i obeszładniającą mnie potrzebą wolności. Wtedy byłam w pułapce. Tylko człowiek, który rozpaczliwie pragnie wydostać się z pułapki, jest zdolny do przekroczenia wszelkich granic. Tylko w takiej sytuacji i tylko raz. A snując opowieść o tym zdarzeniu, musiałabym tę granicę przekroczyć ponownie. Wybacz mi więc, że moja historia będzie miała otwarte zakończenie. I przejdźmy do rzeczy.

Do dwudziestego trzeciego roku życia mieszkałam z matką w Genui, w oddalonej od centrum dzielnicy Voltri. Kiedy piszę „matka”, muszę wspomnieć, że to skomplikowana sprawa, z nią i ze mną. Prawdziwej matki

nigdy nie poznałam – oddała mnie swojej sąsiadce, Iman, młodej Somalijce, która handlowała na plaży parasolkami, okularami słonecznymi i dmuchanymi piłkami. Iman twierdziła, że moja matka była piękna, mądra, skomplikowana i bardzo, bardzo smutna. Pochodziła z Lombardii, gdzie mieszkała przez całe swoje wcześniejsze życie i gdzie także wyszła za mąż. Od męża uciekła, z niewiadomych nikomu przyczyn, których można się było jedynie domyślać, a i te domysły nie znalazły żadnego potwierdzenia. Miała prawie czterdzieści lat, kiedy zaszła w ciążę z jakimś przypadkowo poznanym genueńczykiem. O nim również nigdy nie wspominała. Z początku wydawała się zadowolona. Iman twierdziła, że nie widziała jej jeszcze tak energicznej, zaróżowionej, uśmiechniętej. Matka ponoć naprawdę chciała mnie urodzić, zatrzymać, wychować. Uważała, że da sobie radę sama, bo wiele kobiet daje – dlaczego więc jej miałyby się nie udać? A jednak się nie udało. Pokonała ją depresja, poporodowa albo jakaś inna, nie wiem, Iman także nie wiedziała. Matka zawsze zdawała się mieć skłonność do depresji, do ulegania ponurym nastrojom, pesymistycznego patrzenia na świat i dostrzegania w nim tylko złych zjawisk. Po prostu – chyba – się poddała. Wyjechała z dnia na dzień, a mnie zostawiła u swojej najbliższej przyjaciółki.

Iman była wtedy żoną pewnego starszego Włocha. Wyszła za niego, by zabezpieczyć swój status i ustabilizować sytuację materialną. On o tym wiedział. Był od niej o trzydzieści lat starszy i nie miał własnej rodziny. Chciał pomóc Iman, a przy okazji sobie samemu. Zawarli więc swego rodzaju pakt. Ona opiekowała się nim, a on opiekował się nią. Zawsze dobrze go wspominała, twierdziła, że nigdy nie była tak szczęśliwa, jak przy boku swojego „włoskiego małżonka”. Nawet jeśli zawsze mieli osobne sypialnie, które dzielił długi korytarz. Umberto umarł krótko po ich dwunastej rocznicy ślubu. Zostawił Iman mieszkanie w Voltri, przy via Lemerle. A dokładnie – nam obu je zostawił. Był przecież moim przybranym ojcem. Pamiętam jego siwą głowę, ciężki chód i zachrypnięty głos. Pachniał papierosami i kawą, pił jej hektolitry, od rana do wieczora trzymał w dłoniach małą filiżankę espresso. Albo też akurat to najwyraźniej zakodowałam we wspomnieniach. On i Iman adoptowali mnie, kiedy moja prawdziwa matka w obecności adwokata podpisała papiery, w których zrzekła się praw rodzicielskich

i wskazała ich jako prawnych opiekunów „tej dziewczynki”. Podobno zawsze mówiła „ta dziewczynka”, a nie „moja córka”. Była to więc tak zwana adopcja ze wskazaniem, co znacznie ułatwiło sprawę. Adopcja we Włoszech jest dość skomplikowanym procesem.

Nie wiedziałam, dlaczego Umberto i Iman się mną zajęli, i nigdy jej o to później nie zapytałam. Domyślałam się tylko, że zwyczajnie nie potrafiła porzucić małego dziecka. Może nie widziała we mnie jedynie płaczącego i domagającego się jedzenia „tworu”, który potrzebuje całodobowej uwagi, opieki i wysysa z matki resztki sił. Może zamiast tego patrzyła na mnie jak na człowieka, który będzie żył, rósł i patrzył na świat z coraz większą samodzielnością, aż wreszcie stanie się... towarzyszem? Przyjacielem? Kimś, kto jest obok, bez kogo przestrzeń wydaje się niekompletna? Naprawdę – nie wiem. Ale zgaduję, że tak właśnie było. Iman nie mówiła, że mnie kocha, nie okazywała mi czułości, a jednak jej zachowanie jasno wskazywało na to, ile dla niej znaczę. Może ona również bała się samotności?

Kiedy Umberto umarł, miałam sześć lat. Nie mogę zapomnieć tego dziwnego uczucia, którego doświadczyłam, gdy obudziłam się pewnego poranka i nie słyszałam jego ciężkiego chodu ani kawy bulgoczącej w kawiarence na gazie. Przy wyjmowaniu z szafki filiżanki zawsze pogwizdywał. Ale tamtego dnia w mieszkaniu było cicho. Wyskoczyłam z łóżka i podreptałam do kuchni. Iman stała przy kuchence i wpatrywała się w pustą kawiarkę. To wtedy po raz pierwszy poczułam osobliwy ból w klatce piersiowej, jakby pieczenie i klucie, które utrudniało mi oddech. Nie płakałyśmy, tylko stałyśmy tam w ciszy przez kolejny kwadrans. Bez Umberta było nam bardzo ciężko.

Iman nie miała łatwego życia jako wdowa po człowieku, który sam zarabiał niewiele. Interes z parasolkami i okularami szedł różnie, o świcie i niekiedy późnymi wieczorami chodziła sprzątać do pizzerii i kilku prywatnych mieszkań, a zimą także do paru biur i pobliskiego supermarketu. Odkąd odszedł Umberto i została sama, ciągle się bała, że pewnego dnia odnajdzie ją somalijska rodzina – ojciec i bracia, od których uciekła w wieku kilkunastu lat. Choć wyemigrowali do Rzymu i mieszkali w „europejskim” świecie, w ich domu stosowano bynajmniej „nieeuropejskie” zasady.

Zwłaszcza wobec niej, bo przecież była dziewczynką. Zbiegła, kiedy przeznaczono ją na żonę dla podstarzałego, ale ustawionego już w świecie imigrantów Somalijszyka. I niestety – nie zanim ją obrzezano. Siłą, w rzymskim mieszkaniu, na podłodze w kuchni, bez żadnego znieczulenia, przy głośno włączonym radiu, które miało zagłuszyć wrzask bólu. To była rodzina „z tradycjami”.

Okazała się bardzo dobrą matką. Nie mogła dać mi wszystkiego, ale starała się dać to, co było w jej zasięgu. Niemniej – miała również swoje wymagania. Nie dotyczyły szkoły i odrabiania lekcji, ale pracy. Musiałam szybko zacząć zarabiać, bo ona sama nie mogła bez końca utrzymywać nas obu. Nie poszłam więc do szkoły średniej, tylko przez cały sezon letni krążyłam po plażach Voltri z parasolami i okularami słonecznymi, a poza sezonem sprzątałam. Nie pamiętam zbyt dokładnie swojego pierwszego szkicu. Rysowanie przyszło samo, naturalnie i bez wysiłku. Szkicowałam nocami lub w lecie późnym wieczorem, kiedy plaże pustoszały. To była moja nagroda. Myślałam o niej przez cały dzień, gdy ramiona uginały mi się pod ciężarem produktów na sprzedaż, a koszulka przyklejała się do spoconych pleców. Patrzyłam na mężczyzn, którzy trudnili się tym samym co ja – głównie ciemnoskórych imigrantów z Senegalu i Zanzibaru – i wiedziałam, że jest im łatwiej, bo słońce nie zwęgli im naskórka, a ciężka torba i stojak z okularami nie zaburzają równowagi. Kiedy zaczynałam, równowaga była najważniejsza. Nie mogłam się przewrócić, nie mogłam niczego upuścić, zniszczyć, porysować, a tym samym ponieść strat. Nauczyłam się utrzymywać równowagę, tak jak inne dzieci uczą się jeździć na rowerze. Po pracy szłam się najpierw wykąpać w morzu, nagrzanym od słońca i bardzo słonym, niekiedy gładkim jak lód, a niekiedy wzburzonym i targanym wiatrem, zmętniałym i pianistym. Unosiłam się na wodzie i patrzyłam w niebo. Czułam ulgę tak wielką, że chciało mi się płakać. I jeszcze ból za mostkiem, tępy, doprowadzający do mdłości – pokłosie zmęczenia. Później, mokra, lekka, siadałam na brzegu i rysowałam. Niekiedy dołączała do mnie Iman, przynosiła kanapki i owoce w pudełku, które jadłyśmy w milczeniu. To było właśnie szczęście. Naprawdę.

Szczęście miało dla mnie smak owoców z pudełka, melonów, arbuzów

i bananów, które latem kosztowały niewiele, a także smażonych bakłażanów, pokrojonych w plastry, obtoczonych w bułce tartej i posypanych ziołami. To było nasze główne pożywienie. Melony i arbuzy kroiliśmy zawsze w kostkę i jadłyśmy je widelcem, nigdy palcami. Teraz zastanawiam się czasem nad ludźmi, którzy nie potrafią cenić smaków i zapachów, uczucia ogarniającego człowieka, kiedy po całym dniu spędzonym w upale zanurza ciało w chłodnej wodzie, chwili, gdy wolno mu wreszcie oddać się ulubionemu zajęciu. Może chodzi o czekanie. Długie godziny czekałam na moment, w którym wejść do morza, zjem świeże owoce, wezmę do ręki ołówek, usiądę obok Iman i razem z nią obejrzę zachód słońca. Ja, sierota i podrzutek. I ona, obrzezana Somalijka, która stała się sierotą z własnej woli, bo wiedziała, że istnieją na świecie większe nieszczęścia. Nie miałyśmy nikogo prócz siebie. Wciąż wspominam te chwile i przywołuję tamte uczucia. Wtedy nie miałam pojęcia, że większego szczęścia już nigdy nie zaznam.

Iman podobały się moje rysunki. Po tym, jak opowiedziałam jej o rozmowie z matematyczką, zdołała przeznaczyć niewielką kwotę na lepsze ołówki i bloki, bym mogła się oddać swojej pasji. Kiedy naszkicowałam ją w trakcie zaplatania warkoczyków klientce – czym też się zajmowała – uznała, że mogłabym równie dobrze w ten sposób sobie dorobić. Zaczęłam więc sprzedawać przy plaży portrety, karykatury i krajobrazy. W Voltri nieczęsto pojawiali się turyści, bo ci woleli miejscowości typowo wypoczynkowe, jak choćby pobliskie Celle Ligure, ale genueńczykom szukającym nad morzem wytchnienia od miejskiego zgiełku zdarzało się korzystać z mojej oferty. Przyjezdni czasem się jednak pojawiali. Choćby tacy, którzy chcieli zobaczyć inną Genuę, nie tę, która kojarzyła się z portem, via Garibaldi, Pallazzo Rosso i domem Kolumba. Tak właśnie poznałam mojego męża. Zwróciłam na niego uwagę przede wszystkim dlatego, że pochodził z Lombardii, jak matka, która mnie porzuciła. A może dlatego, że kilka tygodni wcześniej umarła Iman i wtedy właśnie naprawdę zostałam na świecie zupełnie sama.

Nie przygotowałam się na to, co się stało. Nie chorowała długo, nie miałam czasu oswoić się z myślą, że wkrótce odejdzie, nie byłam naocznym świadkiem procesu jej oddalania się ode mnie. Wszystko wydarzyło się

szybko, wystarczyło kilka minut, by Iman stała się wspomnieniem. Matka, która mnie nie porzuciła. Pewnego wieczoru brała prysznic. Siedziałam przy stole w naszym małym, ciemnym saloniku, na który przerobiłyśmy dość szeroki korytarz, i czytałam książkę z biblioteki. Narodziła się we mnie potrzeba, by... no, po prostu wiedzieć więcej. Zyskać szersze spojrzenie, nauczyć się lepiej mówić i lepiej pisać. Wspominałam Ci wcześniej o szkole – że nigdy nie mogłam się pochwalić świadectwem, matematyka nie komentowała moich ocen, i tak dalej. Nie poszłam do liceum. Nie postarałam się o żaden papier, który by świadczył o mojej inteligencji. Musiałam reprezentować się sama – poziomem rozmowy, zainteresowaniami i dokonywanymi wyborami. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić, jakie znaleźć środki, poza obserwacją otoczenia, słuchaniem wiadomości i czytaniem. Książki zawsze mnie przyciągały. Z początku dziewczynskie powieści typu „Ania z Zielonego Wzgórza”, później powieści wiktoriańskie o mrocznych wrzosowiskach i pannach uciekających od konwenansów, a jeszcze później – współczesną prozę i cykl fantasy Terry’ego Pratchetta. Prawdę mówiąc, zazdrościłam bohaterom tego cyklu. Zazdrościłam świata, w którym mieszkali i w którym wszystko wydawało się możliwe. A do tego każdy miał poczucie humoru. Nie rozumiałam większości aluzji literackich – to przyszło znacznie później – ale i tak czerpałam ogromną przyjemność z czytania.

Myślałam właśnie o trzech wiedźmach z królestwa Lancre, kiedy Iman przestała śpiewać pod prysznicem. Melodia urwała się, głos przeszedł w charkot i umilkł. Usłyszałam głucho uderzenie, po którym zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem wody wciąż płynącej z prysznicowej słuchawki. Pozostałe dźwięki zdawały się coraz odleglejsze – przejeżdżający nieopodal pociąg, skuter pod oknami, kot miauczący na dachu... Wszystko zredukowało się do szumu wody i dudnienia mojego własnego serca – a ono dudniło zawsze. Miałam wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale tak naprawdę w okamgnieniu zerwałam się z krzesła i wpadłam do łazienki. Iman leżała na kafelkach, w kałuży różowej wody. Musiała rozciąć sobie skórę, kiedy się przewróciła, bo z jej skroni sączyła się krew. Zakręciłam wodę i opadłam na kolana. Obróciłam Iman na plecy. Miała szeroko otwarte oczy i lekko siną twarz. Być może powinnam była zacząć ją reanimować, ale nie wiedziałam,

co robić. Pobiegłam więc do telefonu i wezwałam karetkę, a dopiero później zaczęłam uciskać jej klatkę piersiową, tak jak widziałam kiedyś na filmie. Wtłaczałam swój oddech w usta Iman, ale nie zauważyłam żadnej zmiany. Mimo to przerwałam dopiero wtedy, gdy przyjechało pogotowie. Widziałam ruchy ratowników medycznych, najpierw szybkie, później coraz wolniejsze. Wreszcie bezradnie rozłożone ręce i to współczujące spojrzenie, którego nie mogłam znieść. Przykro mi, powiedział lekarz. Po mojej twarzy ciekły łzy, które spływały po szyi i dekolcie, zwilżały usta i pozostawiały na języku słony smak. Migotanie komór, usłyszałam jeszcze. Myślałam o tym, że Iman nie chciałaby być teraz naga. I jeszcze o tym, że zostałam sama. Był rok dwa tysiące drugi. Miałam dopiero dwadzieścia trzy lata, a wydawało mi się, że wszystko właśnie się skończyło. I w pojedynkę nie dam sobie rady na świecie.

Później jednak pomyślałam, że to może wcale nie koniec, ale coś całkiem przeciwnego. Wcześniej przez całe lata dreptałam w miejscu, oczekując, aż zacznie się moje prawdziwe życie. I może to była właśnie ta chwila? Punkt zwrotny, po przekroczeniu którego nic już nie jest takie jak dawniej. Właściwie mogłam wszystko. Zostać na miejscu i robić to, co robiłam zawsze, albo uciec od przeszłości, zastanowić się nad sobą, nad jutrem. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad sobą i nad własną przyszłością. Po prostu uznałam, że nic się nie zmieni. Zawsze będziemy razem, ja i Iman, nasza mansarda w starej kamienicy w Voltri, nasze okulary, parasolki, mopy i ścierki, jej warkoczyki i moje szkice. A jednak i Iman mnie porzuciła. Po jej pogrzebie coś się zamknęło, nieodwracalnie. Zrozumiałam to wreszcie i opadłam z sił. Nie jadłam, nie spałam, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, jak wtłoczyć rzeczywistość w nowe ramy, jak pracować i, tak po prostu, żyć, jak organizować czas, w którym nie ma już miejsca na wspólne smażenie bakłażanów i jedzenie melonów z pudełka na opustoszałej plaży. W końcu coś postanowiłam. Zebrałam wszystkie nasze oszczędności, odkładane mozolnie przez długie miesiące drobne kwoty, i na miesiąc opuściłam mansardę w Voltri. Nie wyjechałam daleko – dotarłam do centrum Genui i wynajęłam obskurną kawalerkę, z okien której roztaczał się widok na port.

Rozumiesz teraz, skąd obraz „Genuńczyk”? Skąd czarny chłopiec

przechylający się przez barierkę, wpatrzony w lśniący statek uwożący na swym pokładzie bogatych pasażerów? Obok jego stóp leży koc, a na nim słoneczne okulary i wielobarwne drewniane korale. Był jak ja. Marzył, choć jeszcze o tym nie wiedział. Na obrazie jego spojrzenie jest puste, bo wtedy już bardzo dobrze zdawałam sobie sprawę, że on również drepcze w miejscu i czeka, aż coś się wydarzy, a najprawdopodobniej nie wydarzy się nic. Albo też wydarzy się cała seria drobnych rzeczy, które szybko pochłonie rzeczywistość. Oboje byliśmy więźniami teraźniejszości, która miała zamienić się w dokładnie taką samą przyszłość. Myślę o tym chłopcu. Mam nadzieję, że już nie sprzedaje okularów, że poszedł do szkoły średniej, może nawet na studia, został lekarzem albo prawnikiem i pokazał – przede wszystkim samemu sobie – że może rzucić wyzwanie przeznaczeniu. Mój los także wkrótce miał się odmienić. Ale kiedy patrzyłam na małego czarnego genuńczyka i szkicowałam jego profil, nigdy bym się nie potrafiła domyślić, jakiego rodzaju będzie to zmiana.

Miesiąc spędzony w sercu Genui musiał mnie odmienić, choć nie od razu zdałam sobie z tego sprawę. Przede wszystkim czułam się tak, jak gdybym zaczerpnęła zupełnie innego powietrza, zachłysnęła się nim i przejrzała na oczy. A przecież nawet nie wyjechałam z miasta. Niemniej – z pewnością słyszałeś o ludziach, którzy urodzili się w małych wioskach i mieszkali w nich przez całe życie, nie znając zupełnie świata poza ramami oswojonych przestrzeni. Przeczytałam kiedyś w książce o historii Wenecji, że starsze mieszkanki dzielnicy Cannaregio całymi latami nie zapuszczają się w rejony piazza San Marco, a wiele z nich nie było tam nigdy, choć to przecież tylko kawałek drogi, kilka kilometrów możliwych do pokonania piechotą.

Ja sama nie byłam w Wenecji, ale przestudiowałam mapę. Miałam nadzieję, że kiedyś uda mi się tam dotrzeć i zobaczę na własne oczy miasto na wodzie, w którym znajdują się ponoć uliczki jeszcze węższe niż w Genui. W średniowiecznym centrum Genui, w zaułkach wokół katedry i pałacu doży, łatwo się zagubić, trafić na podejrzanych osobników, a nawet na mocno umalowane prostytutki, uprawiające między ścianami wiekowych budynków swój jeszcze starszy zawód. Z początku panikowałam, kiedy zdarzało mi się

zabłądzić. Mój wzrok omiatał śniade twarze Hindusów i Arabów, czarne twarze Senegalczyków, w których połyskiwały oślepiającą bielą duże oczy i zęby, chusty arabskich kobiet i kolorowe kangie kobiet zanzibarskich. Nie wiem, skąd brała się panika. Wychowała mnie Somalijka, a przebywanie wśród imigrantów trudniących się na poły legalnym handlem było dla mnie chlebem powszednim. Może to raczej ja czułam się jak intruz? Jak ktoś, kto znalazł się na nie swoim gruncie, i dziwi się, że wygląda on właśnie tak – zupełnie inaczej niż sobie go wcześniej wyobrażał?

Centrum Genui, port, katedrę i piazza de Ferrari widziałam w moich myślach jako lśniące, baśniowe przestrzenie, czyste, bogate, zapierające dech w piersi. Nieliczne zdjęcia, które oglądałam w kilku przewodnikach turystycznych, jeszcze to wyobrażenie wzmocniły. Nie miałam wtedy nieograniczonego dostępu do internetu i nie mogłam tak po prostu wpisać hasła „Genova” w wyszukiwarkę. Co zastałam? Na pewno coś ciekawego, tętniącego życiem i barwnego, ale jednocześnie dość brudnego i miejscami – jeśli ktoś pozwolił sobie zboczyć z utartych szlaków – cuchnącego moczem, stęchlizną i śmieciami, które często, zamiast w koszu, lądowały na ulicach i chodnikach.

Genua mnie oszołomiła, zachwyciła i rozczarowała jednocześnie. Ale też tam tak naprawdę zaczęłam malować. To, co robiłam wcześniej, było jedynie treningiem dla ręki, pożywką dla wyobraźni. Próba przed czymś znacznie większym. A zarazem, paradoksalnie, właśnie w Genui zatraciłam oryginalność i świeżość, zdolność do patrzenia na obiekty w sposób niczym nieskazony, nieprzefiltrowany przez perspektywę i wrażliwość innych twórców. Miałam tylko siebie, swój punkt widzenia i własne środki wyrazu. Nie znałam obrazów namalowanych przez innych artystów, na nikim się nie wzorowałam. „Prawdziwe” malowidła oglądałam jak dotąd tylko w kościele parafialnym Sant’Ambrogio w Voltri. Iman była muzułmanką, ale mnie posyłała do kościoła katolickiego, żebym wyrosła na prawdziwą Włoszkę, którą w jej opinii byłam. Nie zastanawiałam się nad tym. Uderzało mnie jedynie słowo „prawdziwe”, które zdawało się wszystko nobilitować. Prawdziwe malowidła, prawdziwa Włoszka, prawdziwa malarka. To ciekawe, że z tych trzech określeń za autentyczne uważałam tylko jedno, dotyczące

obrazów. W Sant’Ambrogio moją uwagę zwrócił zwłaszcza jeden – „Narodziny Marii”, który namalował barokowy artysta Giovanni Andrea de Ferrari. Wtedy nie wiedziałam jeszcze nic o baroku, o inspiracjach van Dykiem i Strozziem, o niezwykłym realizmie i interesującym, prawie holenderskim światłocieniu. Widziałam jedynie kobietę na pierwszym planie; trzymała dzban i białą, miękką poduszkę, była w turbanie na głowie i szmaragdowych sandałach odsłaniających palce. Potrafiłam godzinami przyglądać się jej pozornie spokojnej twarzy, w której można było dopatrzeć się zdumienia, niepokoju i osobliwego przeczucia, że oto właśnie wydarzyło się coś niezwykłego, że dziecko, które przyszło na świat, nie jest tak po prostu jednym z wielu małych, płaczących organizmów. Potrzeba nie byle jakich umiejętności, by wyrazić emocje w tak mało dosadny sposób. Nie uważasz? Na pewno to wiesz, bo w ogóle wiele wiesz o obrazach.

Zastanawiam się czasem, jak by mi było z Tobą w Genui. Co byś powiedział na widok śmieci na chodniku i fresków we wciąż odnawianej po alianckich bombardowaniach bazylice Santissima Annunziata del Vastato, cór Koryntu na rogu vico Stoppieri, wąskich schodów i niskich sufitów w domu Kolumba. Czy uwierzyłbyś, że w katedrze naprawdę spoczywają szczątki Jana Chrzciciela i czy na piazza de Marini, gdzieś na kamiennych schodkach, zjadłbyś ze mną kawałek zimnej pizzy opakowanej w zatłuszczony papier. Czy później wrócilibyśmy do wynajmowanej kawalerki z widokiem na port i kochali się do rana, bez wytchnienia i bez hamulców. Czy wtedy Genua nie kojarzyłaby mi się przede wszystkim z samotnością. I z tamtym czarnoskórym chłopcem o pustym spojrzeniu. I z obrazami, których rozmach mnie zawstydział i uświadamiał własne niedostatki.

Wydałam w Genui wszystkie moje pieniądze i wróciłam do Voltri bez grosza. Zrezygnowana poszłam na promenadę i chwyciłam ołówek. Musiałam po prostu zacząć. Zarabiać, radzić sobie, płacić rachunki, jeść i żyć. Nie myśleć o genueńskich kościołach pokrytych malowidłami i płaskorzeźbami, nie zastanawiać się nad tym, co zobaczyłabym w galeriach, co w ogóle zobaczyłabym gdzie indziej – w innych włoskich miastach, w innych zakątkach świata. Mój własny świat skurczył się ponownie do Voltri, mansardy przy via Lemerle, kamienistej plaży i podłóg, które należało

umyc. Oraz do nieudolnego tworzenia słabiutkich rysunków i malowideł, przy wykorzystaniu tanich kredek, kiepskich farb i rozciągającej się bawełny.

Właśnie tam go po raz pierwszy zobaczyłam. Mojego przyszłego męża, który szedł nadmorską promenadą, skupiony na własnym oddechu i niezbyt zachwycony tym, co widział wokół siebie. Wydał mi się dość przystojny i bardzo... solidny. Wysoki, dobrze zbudowany, o pewnym kroku i śmiałym spojrzeniu. Zawiesił na mnie wzrok, jak gdybym już wtedy należała do niego. Po prostu po mnie sięgnął – jak po swoją własność. Nie umiałam protestować. Nie wiem, jak to się stało, że narysowałam jego portret, dałam się zaprosić na kolację i poszłam z nim do hotelu. Byłam dziewicą. A on był tym faktem bardzo zaskoczony. Spojrzał na mnie dziwnie i chciał wiedzieć dlaczego. Dlaczego byłam dziewicą i dlaczego, w takim razie, poszłam z nim do pokoju, żeby to, jak się wyraził, wydarzyło się właśnie w ten sposób. Nie wiedziałam. Nie umiałam odpowiedzieć. Być może chciałam przekroczyć kolejną granicę, może szukałam zapomnienia – nie mam pojęcia.

I koniec końców to nie wydarzyło się w taki sposób. On zmienił swoje zamiary. Zainteresował się mną. Odprowadził do domu, a później, przez kolejne trzy tygodnie, odwiedzał wieczorami. Jedliśmy, piliśmy kawę, czasem wino, i rozmawialiśmy. Nie, nie zakochałam się w nim, ale wydawał mi się sympatyczny i godny zaufania. Nawet jeśli miałam wrażenie, że usiłował mnie w pewien sposób wy badać. Kiedy poprosił, bym za niego wyszła i zamieszkała w Bergamo w Lombardii, od razu się zgodziłam. Uważałam, że to moja szansa. Ufałam mu i wierzyłam, że czeka mnie nowe, lepsze życie.

Pomyliłam się.

Tutaj muszę urwać moją opowieść. Teraz nie jestem w stanie jej kontynuować. Może kiedyś będę, ale nie potrafię Ci tego obiecać.

Twoja kolej. Opowiedz mi o sobie coś jeszcze, coś tak prawdziwego jak historia o powodzi.

Twoja Greta

Genua. Voltri. Genova, Voltri. Voltri, Genova, Genua. Powtarzał oba te słowa, w różnych konfiguracjach i w różnym tempie, głośniej i ciszej, z akcentem polskim i włoskim. Po kilku dniach znał już na pamięć list od Greta i w podobny sposób odtwarzał w pamięci całe akapity, poszczególne zdania i słowa. W oryginale i po polsku, kiedy usiłował przełożyć jej myśli na swój język i zrobić to perfekcyjnie, tak by niczego nie przeoczyć i nie przekłamać. Historia Greta, odczytana, zapamiętana i odtwarzana, była jak solidna dawka kofeiny i środek uspokajający jednocześnie. Adam miał wrażenie, że dzięki jej słowom – dzięki szczerości, na którą się zdobyła – on sam odzyskuje równowagę. Nie zadawał już sobie pytań o to, czy Greta jest prawdziwa, czy koresponduje tylko z nim, czy nie kłamie. Miał jedynie nadzieję, że takiej opowieści nie można po prostu wymyślić i bez zastanowienia przekazać drugiej osobie. W słowach Greta musiała być prawda. Dlaczego przekazała mu ją właśnie teraz, po kilkutygodniowej wymianie uwag na temat malarstwa i dość odważnym flircie, który pobudzał wyobraźnię, ale nikogo do niczego nie zobowiązywał? Dlaczego napisała tak dużo i w tak śmiały sposób o – jak mu się wydawało – najważniejszych wydarzeniach ze swojego życia? Wyobrażał sobie Gretę w Voltri, sprzedającą okulary na plaży, pływającą w morzu i jedzącą melony w towarzystwie somalijskiej kobiety, prawdziwej matki, która stanęła na wysokości zadania. A później uważnie przestudiował mapę i podjął kolejną decyzję.

Greta nie chciała, by ją odnalazł, i musiała mieć ku temu powód. Ale napisała mu o Genui i Voltri, a później przyznała, że przeniosła się do Bergamo. Mogła pisać o tym otwarcie, bo Adam już się wszystkiego domyślił, rozmawiali o Accademii i Santinie Negri. Bergamo nie było tajemnicą, podobnie jak Sarnico, w którym Greta musiała także, przynajmniej przez jakiś czas, przebywać. Wcześniej mówiła, że pisze do niego ze swojej samotnej wyspy, a teraz – że kiedyś mieszkała w Genui. Gdziekolwiek była ta „samotna wyspa”, trop prowadził raczej do Lombardii niż do Ligurii, w pobliżu Bergamo właśnie i tajemniczego Roberta Savia, który w dalszym ciągu utrzymywał z Adamem profesjonalną i formalną korespondencję dotyczącą interesów. W Genui jednak była przeszłość Greta. Miejsca,

w których po raz pierwszy trzymała ołówek i pędzel i gdzie oglądała pierwsze obrazy, gdzie stała się osobą z listów. Adam chciał zacząć swoją podróż od centrum Genui, a później pojechać do Voltri. To również był sposób na odnalezienie Grety. Może nawet na jej uratowanie.

Napisała, że w Voltri poznała swojego męża i że się co do niego pomyliła. Nigdy nie była już tak szczęśliwa jak przy Iman, choć przecież życie miały ciężkie, pracowały bez wytchnienia i oszczędzały każdy grosz. Nie robiła tajemnicy ze swojego małżeństwa i powiedziała, że musi swoją opowieść przerwać, i że teraz nie jest w stanie jej kontynuować. Ale to się mogło zmienić. Adam czuł, że Greta opowie mu o wszystkim, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Nie chciał naciskać. Wiedział, że ta historia prowadzi do konkretnego punktu, w którym wszystko się zmienia – może nawet rozsypuje – już na zawsze, ale nie chodziło mu o to, by przedstawiła ją w skrócie, skupiając się właśnie na tym jednym momencie. Chciał wiedzieć o niej wszystko, znać najdrobniejsze detale, czytać o ludziach i obiektach, które ogląda – o czarnoskórym chłopcu w porcie, brudnych uliczkach i prostytutkach w centrum Genui, o malowidłach i wciąż niewyremontowanych kościołach. O jedzeniu i zapachach. O tym, że wyobraża sobie jego przy sobie, ich wspólne noce. Mąż Grety di Biase istniał dla Adama tylko jako mglista, zbędna figura, którą należało ominąć. Albo skreślić. A najgorsze było to, że część tej opowieści był w stanie przewidzieć. Nie znał tylko szczegółów i zakończenia. I niewiele wiedział o drugoplanowych bohaterach. Pozostało mu więc jedynie czekać na kolejne wiadomości od Grety i oczywiście – pisać o sobie. Pisać to, co ważne, co naprawdę się liczyło. Zrewanżować się za opowieść o Iman i Voltri.

Zatem zaplanował swoją podróż. Kupił bilet na samolot, sprawdził pociągi, zarezerwował noclegi. Postanowił wyjechać pod koniec czerwca, kiedy przygotuje Nitę do pracy, a Zygmunt z sukcesem otworzy swoją wystawę w Muzeum Współczesnym. Uznał, że do tego czasu powinien ze wszystkim zdążyć – także z przyzwyczajeniem się do idei podróży. Pomyślał również o swoim ojcu. Obiecał Zygmuntowi, że wreszcie się do niego odezwie, przynajmniej zadzwoni, zrobi cokolwiek, by przypomnieć sobie o jednej ze swoich ról. Był czyimś synem, wciąż nim był, bo przecież zginęła

tylko matka. Kilkakrotnie wybierał numer i rezygnował z połączenia. Kiedy zrozumiał, że nie będzie w stanie porozmawiać z ojcem przez telefon, postanowił się do niego wybrać. Oczywiście w niedzielę, bo niedziele zawsze miał wolne, i oczywiście po posprzątaniu mieszkania, wytarciu kurzu z książek i ustawieniu ich od nowa w równych rzędkach, i po setnym odczytaniu ostatniego e-maila od Grety.

Włożył ciemne dżinsy i białą, idealnie wyprasowaną koszulę, która w trzydziestostopniowym upale szybko przykleiła mu się do pleców. W piekarni kupił kruche ciasteczka z nadzieniem truskawkowym – ojca ulubione. Wsiadł do auta, w którym wszystko działało już jak należy, sięgnął po telefon i wyszukał w internecie oryginalną wersję *It's All Coming Back to Me Now*. Elaine Caswell nie miała może takiej skali jak Celine Dion, ale jej interpretacja była dojrzalsza. Kiedy wsłuchał się w pierwsze dźwięki, miał wrażenie, że na twarz jego dawnej dziewczyny, z którą zawsze kojarzył ten utwór, nakłada się twarz Grety z obrazów. Basia była kimś, kto dawał mu szczęście i jawił się w każdym dawnym wyobrażeniu dotyczącym przyszłości. Kimś pewnym i solidnym, inteligentnym i z poczuciem humoru, miewającym złe i dobre nastroje, zachcianki dotyczące jedzenia i picia, gust muzyczny i literacki. Lubiącym od czasu do czasu dobre komercyjne kino, głośno się śmiejącym i kupującym za dużo niebieskich koszulek. Zawsze niebieskich. Z Basią dało się porozmawiać o *Wichrowych Wzgórzach*, ale dzięki Grecie lepiej rozumiał Heathcliffa, który wykopał z grobu ciało ukochanej. Nawet gdy Adam przetwarzał to zdanie w myślach, brzmiało kuriozalnie, więc bałby się wypowiedzieć je na głos.

Przesłuchał *It's All Coming Back to Me Now* i resztę drogi przebył w ciszy. Zaparkował, sprawdził, czy wyłączył światła i zaciągnął ręczny, zamknął drzwi, przeszedł parę kroków, wrócił i sprawdził, czy zamknął drzwi, po czym ponownie skierował się do bramy. Nie dzwonił domofonem, bo wiedział, że ojciec prawie nigdy nie podnosi słuchawki. Nie przyjmował gości i nie wpuszczał listonosza – regularnie opróżniał skrzynkę i jeśli było jakieś awizo, szedł na pocztę, ale nie odbierał przesyłek w domu. Jeśli spotykał sąsiadów na klatce schodowej, witał się z nimi uprzejmie, jednak nie wdawał w żadne rozmowy, jeśli ktoś zadawał mu pytanie, odpowiadał

zdawkowo, a sam nigdy nikogo nie zagadywał. Ubierał się zawsze starannie, golił, używał wody kolońskiej. Wyglądał dobrze i brzmiał dobrze, kiedy się odzywał. Nie trzęsły mu się dłonie, nie drżał głos, nie przecierał czoła z potu, nie garbił się i nie przęłykał nerwowo śliny. A jednak na swój sposób byli do siebie z Adamem podobni. Ojciec również sprawiał wrażenie dziwaka, jaskiniowca, który wychodzi z domu tylko wtedy, kiedy musi – do sklepu, do lekarza, na pocztę i do kościoła. To ostatnie miejsce zaczął regularnie odwiedzać po śmierci żony, wcześniej mylił się nawet podczas modlitwy nad stołem wigilijnym, jedynej, jaką odmawiali w ciągu roku. Ojciec nie miał nerwicy – miał po prostu pretensje do losu. Kiedyś lubił świat i siebie samego, swoją pracę i rodzinę, którą założył i która okazała się niewystarczająca. Adam długo się zastanawiał, co właściwie czuł, kiedy prawda wyszła na jaw, i doszedł do wniosku, że było to rozczarowanie. Z początku zwykła wściekłość, ale później – właśnie rozczarowanie. Mógł go niesłusznie posądzić o brak żalu po śmierci matki, bo przecież jakiś żal musiał jednak odczuwać, a jednak spodziewał się po ojcu więcej. Po człowieku, który nigdy nie podnosił głosu, pracował z młodzieżą, tłumaczył książki, a po godzinach czytał, siedział na balkonie albo oglądał teatr telewizji, na spacerach trzymał żonę za rękę i nigdy absolutnie o nic nie miał pretensji. Ideał. Idealny ojciec i idealny mąż. Adam naprawdę się cieszył, że matka nie zdołała się przekonać, jak bardzo nieprawdziwe okazało się to drugie stwierdzenie. Chyba spodziewał się po nim właśnie prawdziwego ludzkiego smutku. I tęsknoty, której nie zastąpiłoby zwykłe poczucie winy.

Wjechał windą na ósme piętro i stanął przed drzwiami. Uspokoił oddech, nacisnął dzwonek i w ciszy nasłuchiwał kroków. Po chwili zadzwonił ponownie. Ojca albo nie było, albo – jak zwykle – nie zamierzał otwierać. To drugie wydawało się jednak mało prawdopodobne, bo w mieszkaniu panowała głucha cisza, a w innym wypadku na pewno usłyszałyby radio lub telewizor. U ojca zawsze coś musiało grać. Ktoś musiał śpiewać albo mówić, generować dźwięki, które stwarzałyby iluzję czyjejś obecności. Cisza przypominała mu o tym, że jest sam i nie ma się do kogo odezwać. Ojciec nie znosił samotności, ale przyjmował ją jako swoją karę.

Adam obrócił klucz w zamku i wszedł do środka. W mieszkaniu od

kilkunastu lat nic się nie zmieniło, ściany wciąż pomalowane były kremową farbą, która teraz przyjęła już odcień beżu, na podłodze leżały te same panele, a w salonie bordowy dywan, kiedyś miękki, w tej chwili wyliniały i wyblakły. Rozejrzał się po pokoju i nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu na widok meblościanki z lat dziewięćdziesiątych, z przeszkloną szafką i miejscem na telewizor, ławy, kanapy i dwóch foteli z zapadniętymi poduszkami. Meble były stare i zniszczone, ale ojciec dbał o porządek. Wnętrze lśniło czystością, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach świeżo upranych firanek. Adam zerknął jeszcze na regał z książkami, po czym przeniósł wzrok na szkic wiszący nad kanapą.

Podszedł bliżej i miał wrażenie, że na chwilę cofnął się w czasie. Pamiętał dobrze, kiedy to narysował. Miał wtedy szesnaście lat i lubił szkicować, ale nie wiedział, czy kształty, które wychodzą spod jego palców, są cokolwiek warte. I przede wszystkim – czy da się z tego żyć. Miał marzenia, ambicje i ideały, nie interesowało go dorabianie się, przesiadywanie w biurze i wypełnianie obowiązków, których nie rozumiał i które nic go nie obchodziły. Podobał mu się taki model życia, jaki wybrali rodzice. Praca, do której wychodzi się z przyjemnością, i rodzina, do której się z przyjemnością wraca. Matka kazała mu się meldować i składać raporty z prawie każdej wykonanej czynności, a poza tym nigdy nie mogła odżałować zmarłej córki, ale trudno oczekiwać, by absolutnie wszystko układało się idealnie. Na każdym szczęściu musiały widnieć jakieś rysy, inaczej człowiek nie potrafiłby zachować zdrowego rozsądku i myśleć logicznie. Tak zawsze mawiał ojciec.

Adam się z nim zgadzał. Miał wrażenie, że szybko przestał być dzieckiem i do wielu spraw podchodził zbyt dojrzałe jak na swój wiek – także do szkicowania. Nie pozwolił sobie na fantazje o wielkiej malarskiej karierze, wystawach w najlepszych światowych galeriach, podróżach, szukaniu inspiracji i własnego stylu. Myślał raczej o tym, że trzeba mieć jakiś fach, a szkicowaniem można się zająć przy okazji. Nie uważał się też za artystę. Dopiero kiedy babka zostawiła mu mieszkanie, które mógł sprzedać, a uzyskane pieniądze w coś zainwestować, zrozumiał, że ma ułatwiony start i nie musi zaczynać całkiem od zera. Że może zastanowić się jeszcze nad tą

sztuką, zaryzykować i spróbować spełnić marzenia. Z tych marzeń urodziła się galeria Chiara. On sam jednak porzucił ołówki i farby – na dobre wtedy, gdy matka poprosiła go, by ją namalował. A później wyruszyła w podróż do Paryża, do którego nigdy nie dotarła. Nie dokończył jej portretu, przerwał malowanie nagle, tak jak nagle urwało się jej życie.

Teraz nie patrzył na niedokończony portret matki, ale na widok kanału, nad którym pochylały się niskie, stare kamienice. To była wyspa Torcello na Lagunie Weneckiej. Odwiedził ją razem z rodzicami, w lecie, po ukończeniu pierwszej klasy liceum. Ojciec opowiadał o Hemingwayu, który mieszkał tu kiedyś i polował na kaczki, matka mówiła, że to barbarzyństwo strzelać do ptaków, i wołała się raczej zachwycać kamieniczkami i łódkami, a Adam wyjął z plecaka mały szkicownik i węgle, rozsiadł się na ławeczce i zaczął rysować. Rzadko zdarzało mu się reagować tak spontanicznie na jakąś przestrzeń. Częściej starał się przechowywać w pamięci to, co oglądał, a później odtwarzać widoki w wyobraźni i oddawać na papierze raczej swoje wspomnienia o danym miejscu, niż je realistycznie odwzorowywać. Wtedy jednak z jakiegoś powodu uznał, że pamięć go zawiedzie. Może chodziło o detale, a może o specyficzny ulotny nastrój, o światło, zachodzące słońce i czerwonawą poświatę na wodzie. Nie wiedział. Światło grało przecież w szkicach niewielką rolę, nie posługiwał się kolorami, tylko węglem, mógł rozcierać kontury i cieniować, ale nie był w stanie przenieść na papier barwy wody i nieba. Niemniej rysował właśnie tam, a rodzice mu nie przeszkadzali. Umówili się z miejscowym rybakiem, że za odpowiednią kwotę przewiezie ich z powrotem na piazza San Marco, kiedy przyjdzie pora. Adam naszkicował kanał, łódki i kamienice, suszące się pranie i drewniane pale, i jeszcze staruszkę, która siedziała na schodkach przed swoim domem i patrzyła przed siebie, nie wykonując niemal żadnego ruchu. Pomyślał wtedy, że ona tak naprawdę jest na tej wyspie sama. To był jego najlepszy szkic – nigdy wcześniej ani nigdy później nie udało mu się stworzyć niczego równie dobrego. Przypomniawszy sobie słowa Grety, zapewnienie, że pisze do niego ze swojej samotnej wyspy. Musiała mieć na myśli właśnie coś takiego, być jak ta staruszka. Całkiem sama, choć otaczali ją ludzie. A może faktycznie istniała jakaś samotna wyspa, zdolna pomieścić tylko Gretę di

Biase?

Adam cofnął się o krok i sfotografował rysunek. Ojciec musiał powiesić go tu niedawno, w nowej ramie. Przed rokiem na tej ścianie wisiało duże zdjęcie rodzinne, fotografia ślubna rodziców i jeszcze jedna, przedstawiająca Adama tuż po maturze. Teraz wszystkie zniknęły, a w ich miejsce pojawił się szkic. Adam zerknął na zegarek. Było kilka minut po dwunastej i ojciec na pewno siedział teraz – albo klęczał – w kościele, gdzie udawał, że usiłuje się modlić, naprawić coś, odpokutować za grzechy, lub też wszystko to działa się naprawdę, wyglądało autentycznie i tylko z boku trochę podejrzenie. Tak czy inaczej, przed pierwszą nie wróci. Adam wyszedł z mieszkania, odwiedził najbliższy otwarty sklep spożywczy, zrobił zakupy i po chwili kroił już pomidory przy stole, przy którym jego matka przesiadywała o poranku z kawą. Ugotował makaron, polał go oliwą z oliwek i dodał pesto, które kupił, myśląc o Genui. Całość posypał startym żółtym serem. Do pokrojonych w kostkę pomidorów dodał odrobinę szczypiorku, sól i pieprz. Nie była to wyszukana potrawa, ale przynajmniej zawsze się udawała i pozwalała zaspokoić głód. Adam zaniósł talerze do salonu i postawił je na niskiej ławie. Przyniósł też dzbanek świeżo zaparzonej herbaty i dwa kubki w duże groszki.

Ojciec pojawił się kwadrans po pierwszej. Ubrany w wełnianą, zbyt ciepłą jak na tę porę roku, marynarkę i białą koszulę zapiętą na ostatni guzik, przypominał modelowego przywódcę wspólnoty religijnej. Włosy starannie zaczesał na bok, w dłoni trzymał pęk stokrotek. Był bardzo spokojny. Na widok Adama skinął głową, poszedł do kuchni i włożył kwiaty do pierwszej lepszej szklanki, po czym wrócił do salonu, włączył telewizor i usiadł w fotelu. Talerz położył sobie na kolanach. Adam zrobił to samo. Nie lubił pochylać się nad ławą, miał wrażenie, że kurczy mu się żołądek, i tracił apetyt. Wpatrzył się w ekran i zaczął przeżuwać makaron. Rozpoznał pierwsze sceny z filmu *Kopalnie króla Salomona*, wersji z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, z Deborah Kerr i Stewartem Grangerem w rolach głównych. Elizabeth Curtis tłumaczyła właśnie Allanowi Quatermainowi, że musi z jego pomocą odnaleźć swojego męża, który zaginął w Afryce, a chwilę później wybrała się na Czarny Ląd w kostiumie eleganckiej damy.

Uśmiechnął się i usiadł wygodniej. Lubił tę wersję. Zawsze bawiła go scena, w której Kerr ścina małymi nożyczkami swoje niemożliwe do rozczesania włosy, po czym w kolejnych ujęciach pojawia się z perfekcyjnie przystrzyżonymi lokami, jakby dopiero co opuściła najlepszy salon fryzjerski.

Zjedli obiad, obejrzeni do końca *Kopalnie króla Salomona*, ojciec przełączył kanał i na ekranie pojawiła się jakaś młoda śpiewająca dziewczyna. Wypili herbatę i siedzieli tak jeszcze bez słowa przez kolejną godzinę. Wreszcie Adam wstał i zarzucił sobie torbę na ramię.

– Będę się zbierał – powiedział.

– Za rok o tej samej porze? – mruknął ojciec, nie ruszając się z fotela.

– Wydaje mi się, że byłem tu dziesięć miesięcy temu. W niedzielę.

– Masz rację. W sierpniu. I to zawsze jest niedziela.

– Tak.

– Teraz mamy czerwiec. Czyli w przyszłym roku wypadnie kwiecień.

– Nie sądzę, żebym pojawiał się tutaj z taką regularnością...

– Ale mniej więcej.

– Potrzeba ci czegoś?

– Nie.

– Gdybyś jednak...

– Wiem, gdzie cię szukać.

– Powiesiłeś ten rysunek. – Adam wskazał szkic kanału na Torcello, a spojrzenie ojca powędrowało w to samo miejsce.

– Pomyślałem, że powinienem coś tu zmienić. W końcu.

– Ale inne rzeczy pozostały tam, gdzie były.

– Nie można zmienić wszystkiego od razu.

– Ten szkic...

– Zawsze mi się podobał. Byłeś zdolny. Albo jesteś, nie wiem.

Ojciec ponownie wpatrzył się w telewizor. Śpiewającą dziewczynę zastąpił śpiewający chłopak. Adam przestąpił z nogi na nogę. Chciał coś jeszcze powiedzieć – że wyjeżdża, zostawia numer do przyjaciela, żeby w razie potrzeby kontaktować się z Zygmuntem, że on sam czuje się lepiej, że w ogóle czuje się jakoś, nie jest pusty w środku, obojętny, że znowu

czegoś chce i o czymś marzy. Ale nie powiedział nic. To, co dzieliło jego i ojca, nie było wrogością. Było po prostu obcością. Taką, która rodzi się z braku szczerości i nigdy niewyjaśnionych nieporozumień. Poza tym Adam ciągle miał żal do ojca. O to, że zawinił wobec matki i nawet nie zdążył jej przeprosić.

– No to... cześć.

– Cześć – odpowiedział ojciec.

Kiedy Adam otwierał drzwi, usłyszał jeszcze ciche:

– Cześć, cześć, Adasiu.

Gardło ścisnęło mu się z żalu, ale nie był w stanie się cofnąć. Przypomniawszy sobie ojca opowiadającego o Hemingwayu polującym na kaczki na Torcello i o tym, jak na balkonie jedli kokosowe draże. Chciał wrócić do tego salonu z dwudziestoletnią meblościanką i powiedzieć, że ma już dość. I może dobrze byłoby zacząć od nowa. Nie wiedział jednak, czy tak się w ogóle da. Wyszedł więc z mieszkania, wsiadł do windy i oparł się ciężko o ścianę.

W samochodzie wyjął telefon, wysłał Grecie fotografię swojego szkicu, opisał scenkę na Torcello, załączył link do utworu *It's All Coming Back to Me Now*, wspomniawszy o mdlejącej wokalistce, Heathcliffie nad grobem Catherine i Basi, której za troskę podziękował słowem „spierdalaj”. Obiecał, że następnym razem znowu opowie coś ważnego i prawdziwego, i poprosił, by napisała jeszcze więcej o swoim życiu w Voltri. W ustach czuł wciąż smak makaronu z pesto, przed oczami miał widok staruszki nad kanałem na Torcello, a w uszach słyszał głos matki. „Nie wolno strzelać do kaczek. Po prostu nie wolno i już”.

8. Pierwotna potrzeba

Adam siedział na tarasie Muzeum Współczesnego Wrocław, pił białe wino, patrzył na oświetloną ulicę Legnicką i słuchał, jak Zygmunt z przekonaniem tłumaczy komuś, że sztuka jest pierwotną potrzebą, która wynika z emocji. Po pierwsze – nie było w tym nic odkrywczego, po drugie – brzmiało jak cytaty, po trzecie – nie każdy musiał się z tym zgadzać, ale wielu z pewnością się zgadzało. Zygmuntowi płał się język, choć tego wieczoru rozsądnie dawkował sobie alkohol, więc musiało to zapewne wynikać z podekscytowania. Pierwsza poważna, duża wystawa, w znakomitym muzeum, uroczyste otwarcie, wielka impreza, goście, których głosy się liczyły. Gdzieś. Adam usiłował zapamiętać ich nazwiska, ale ponieważ dla niego nie miały znaczenia, szybko sobie odpuścił. Później rozmowa zeszła na temat sztuki jako środka i sztuki jako celu, stawiania pytań o to, czy narodziny impresjonizmu rzeczywiście są jednym z najważniejszych wydarzeń w historii sztuki i dokąd właściwie zmierza teraz twórczość artystyczna, skoro wszystko zostało już powiedziane. Przysłuchiwał się temu przez chwilę, po czym dopił wino, odstawił kieliszek na stolik i podszedł do dyskutujących. Zygmunt kiwał właśnie głową z bardzo poważną miną, słuchając monologu czarnowłosej kobiety, tak bladej, że jej twarz momentami przypominała wymalowane na białym oblicze gejszy. Adam wykorzystał moment, kiedy przerwała swoje przemówienie i pociągnęła whisky. Lód zabrzączał w jej szklance.

– Sztuka powinna być celem, ale to miłe, kiedy przy okazji dostarcza środków do życia – powiedział.

Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę, a Zygmunt uniósł dłoń.

– To mój przyjaciel, Adam Dancer. Ma w Rynku własną galerię.

– Galerię? Którą? – Gejsza zmarszczyła brwi i dopiła alkohol.

– Chiare – odpowiedział Adam.

– Chiare?

– Naprzeciwko ratusza. Wie pani, takie artystyczne mydło i powidło. Obrazy, suweniry, ilustrowane przewodniki po Wrocławiu i kalendarze, obrazkowe kartki pocztowe, małe szkice z widokami miasta, haftowane serwetki, ostatnio kupiłem też magnesy i zamówiłem plakaty inspirowane Alfonsem Muchą. Ach tak, są jeszcze ręcznie malowane kubki i wazoniki...

– Czyli to cepelia? – wtrąciła się ruda dziewczyna z grubym warkoczem. Miała na sobie długą sukienkę z kolorowymi nadrukami, a na szyi wytatuowaną wielką różę.

– Nie, nie, Chiara to przede wszystkim galeria – odezwał się Zygmunt, zanim Adam zdążył wygłosić złośliwą ripostę, która w założeniu nie miała być zabawna. – Wiszą tam głównie obrazy, niektóre bardzo tradycyjne, niektóre awangardowe, większość bardzo dobra, kilka poprawnych i kilka słabych, te ostatnie w sam raz dla ludzi, którzy nic nie wiedzą o sztuce, ale chcą mieć na ścianie w hallu widok ładnego lasu albo jakieś tulipany. A ta cała... hm... drobnica, to przy okazji. Ludzie chętnie kupują takie rzeczy. Lokal w Rynku jakoś trzeba utrzymać.

– Tak – przyznał po chwili Adam i w duchu powiedział sobie, że nie warto się kłócić. W sumie ruda róża miała rację. Chiara pod wieloma względami przypominała cepelię. – W skrócie tak to wygląda.

Później mężczyzna z wygoloną połówą głowy, a drugą pomalowaną na fioletowo, zapytał o początki, i Adam zdawkowo opowiedział historię sprzedaży mieszkania po babci i zainwestowaniu pieniędzy w pierwsze obrazy.

– Czyli nie musiał pan startować z niczym. To bardzo komfortowa sytuacja – powiedziała znowu gejsza.

– Chyba tak – odrzekł, uśmiechając się z przymusem. – Ale biorąc pod uwagę fakt, że teraz muszę się nieźle nagimnastykować, by co miesiąc zapłacić rachunki i jeszcze mieć coś takiego jak pensja, wydaje mi się, że spłaciłem ten pierwszy dług wobec losu. Nie ukrywam, że ilustrowane

kalendarze i haftowane serwetki bardzo mi pomagają utrzymać się na powierzchni.

– To ciekawe – mruknęła gejsza i ochoczo przyjęła od fioletowego szklanekę napełnioną kolejną porcją whisky. – Nie myślał pan o tym, by spróbować czegoś więcej? Mierzyć wyżej?

– Mam lęk wysokości – odparł i także sięgnął po kieliszek z białym winem.

Usłyszał kilka chichotów. Gejsza chciała chyba pociągnąć temat, ale Zygmunt zaczął wyrzucać z siebie słowa i dopiero po chwili Adam zorientował się, że mówi o przygotowaniach do wystawy, nerwach, nieprzespanych nocach i kończeniu ostatniego obrazu, tego z wychudzonym Jezusem i czystym błękitnym niebem. Ruda róża powiedziała, że wszyscy artyści muszą mieć jakieś problemy natury emocjonalnej, że to po prostu nieuniknione, bo jakoś trzeba zapłacić za tę większą wrażliwość, z którą obserwują świat i ciągle go przetwarzają. Takich rzeczy nie dokonuje się, nie ponosząc kosztów. Gdyby artyści patrzyli na świat z wrażliwością matematyków, lekarzy czy bankierów, byłiby matematykami, lekarzami i bankierami, i nigdy niczego by nie stworzyli. Cała sztuka stoi na ramionach ludzi znerwicowanych, labilnych emocjonalnie i łatwo pogrążających się w depresji. I dlatego właśnie tak wiele w tej branży samobójstw i chorób psychicznych. Nie wiadomo, co gorsze – presja z zewnątrz czy ta wewnątrz, którą sami na siebie wywieramy.

Adam zerknął na nią z zainteresowaniem. Mówiła to, co od dawna wiedział, ale poruszyło go jej zaangażowanie. Wiedział, że za wrażliwość się płaci, w taki czy inny sposób, chociaż z drugiej strony zawsze z pewną przykrością patrzył na tych, którzy się nad sobą użalali, litowali i robili wokół własnej osoby cyrk. Być może dlatego właśnie miał obok siebie tak niewielu ludzi. Bał się tego, że sam się nad sobą lituje, że sobie pobłaża, nieporadność tłumaczy słabymi nerwami, a złośliwość i brak empatii – podręcznikowym „egocentryzmem nerwicowym”. I że ktoś to zauważy, a później wyśmieje. Sam się przecież z siebie śmiał.

Odsunął się od grupki skupionej wokół Zygmunta i ponownie zapatrzył na oświetloną latarniami Legnicką. Po chwili ruda dziewczyna z różą na szyi

stanęła obok niego i zaczęła się bawić słomką, którą mieszała resztkę kolorowego drinka. W tle leciała jakaś jazzowa melodia, a rozmowy o sztuce nie milkły, choć zdawało się, że niewiele zostało na ten temat do powiedzenia. Ale najpewniej się mylił.

– Podobało mi się to o lęku wysokości – odezwała się, patrząc przed siebie. – Rzeczywiście go masz?

– Chyba nie. Ale mam różne inne lęki, o których nie wspomniałem, więc kłamstwo jest tylko połowiczne. Na przykład – nie boję się patrzeć w dół z dużej wysokości, ale boję się wyjść z domu. A żeby wejść wysoko, trzeba najpierw wyjść z domu, przynajmniej ja muszę, bo mieszkam na parterze.

Dziewczyna przestała się bawić słomką i spojrzała na niego. A później się roześmiała.

– Mówisz serio?

– Oczywiście.

– Słyszałam, że nerwice i depresje to choroby ludzi, którzy mają za mało zajęć i za dużo czasu na myślenie.

– Faktycznie kiedyś się zastanawiałem na kupnem ogródka działkowego. Takiego z drewnianą altaną, niską furtką i wąską alejką. Zrywałbym truskawki, podlewał pomidory, może nawet znalazłaby się tam czereśnia. Zbierałbym co roku dwa albo trzy wiadra, bo więcej nie byłbym w stanie zjeść, i denerwowałbym się na szpaki, które zajęłyby się pochłonięciem reszty. Może wtedy miałbym pożyteczne zajęcie, pobrudziłbym ręce ziemią, zjednoczył się z naturą.

– I dlaczego nie kupiłeś tego ogródka?

– Po pierwsze – było mi szkoda pieniędzy, wolałem kupić obraz. Po drugie – na początek zainwestowałem w roślinę. Taką w doniczce. Nie pamiętam już, co to była za roślina, ale uznałem, że jeśli utrzymam ją przy życiu, mogę pomyśleć o działce, gdzie takich roślin będzie więcej.

– Zwiędła?

– Tak.

Ruda pokiwała głową i dopiła drinka.

– U mnie też wszystkie wiodły, aż w końcu dałam sobie spokój. Trzeba

wiedzieć, w jakich kwestiach należy się poddać, i oszczędzić sobie rozczarowań. Mam na imię Kinga.

– Adam.

– Wiem, Zygmunt cię przedstawił. Przepraszam za tę cepelię.

– Nie szkodzi, zamierzałem przyznać ci rację.

– Bo nie planujesz mierzyć wyżej?

– Właśnie. W jakich jeszcze kwestiach się poddałaś, żeby oszczędzić sobie rozczarowań?

Adam wygłosił to pytanie swobodnym tonem, choć w klatce piersiowej poczuł skurcz, serce zabiło mu szybciej, a policzki zapiekły. Wstydził się swojego wścibstwa, ale jednocześnie był z siebie zadowolony. Po pierwsze – otwarcie i z pewnym dystansem mówił o swoich lękach obcej osobie, nie przedstawiając ich jako wielkiej tragedii, która zatruwa mu życie, a po drugie – nie unikał rozmowy. Nie uciekł. Stał na tarasie muzeum, pił wino, cieszył się ciepłą nocą, sztydził w duchu ze snobistycznej gejszy, która z sarkazmem podsumowała jego „komfortową” sytuację, i zadał pytanie, na które naprawdę chciał poznać odpowiedź. Podobała mu się nonszalancja Kingi i to, co powiedziała o roślinach. Mało tego. Bardzo rozbawiła go także tamta uwaga o cepelii.

Kinga zamówiła kolejnego kolorowego drinka, oparła się o balustradę i lekko pochyliła do przodu.

– To, co zawsze – powiedziała po chwili. – Praca za biurkiem, mąż, dzieci. Mam tylko świnkę morską. Zawożę ją do koleżanki, kiedy muszę wyjechać.

– Często wyjeżdżasz?

– Bardzo. Piszę książki podróżnicze. Na pewno nie słyszałaś o Kindze Bor, bo nie jestem Cejrowskim ani Wojciechowską. Ale wiesz – dopiero pracuję na sławę. Poczekaj jeszcze trochę. – Puściła do niego oko i wskazała dwa krzesła, na których usiedli. – Wcześniej miałam chyba to samo, co ty.

– Lęk wysokości?

– Tak. Wstawałam rano, szłam do łazienki i pochylałam się nad umywalką, bo chciało mi się wymiotować. Ale nie wymiotowałam. Piłam kawę i zmuszałam się do zjedzenia śniadania. Jechałam do pracy, autem albo

tramwajem, i myślałam o tym, że chciałabym wygrać w totolotka i nie musieć jechać już do niej nigdy więcej. Mówi się, że jeśli ktoś kocha swoją pracę, to w całym życiu nie przepracował ani jednego dnia. To prawda. Może więc ludzie, którzy sami nie wiedzą, czym chcieliby się zająć, mają w gruncie rzeczy problem ze sobą. Myślę, że sprawa jest w pewnych sytuacjach nieco prostsza. Na przykład wtedy, gdy masz wielką pasję lub ogromny talent. I coś do powiedzenia. To cię może zawsze ukierunkować i wtedy kłopot sprowadza się do jednego.

– Jak zarobić na tym pieniądzu.

– Otóż to. Ale ja nie miałam prawdziwej pasji ani wielkiego talentu. Studiowałam polonistykę, jak wielu ludzi, którzy po prostu lubią czytać książki i nie mają konkretnych umiejętności. W szkole pisałam ładne wypracowania. Nie chciałam uczyć, chyba nawet nie lubiłam dzieci, więc po obronie pracy magisterskiej nie wiedziałam za bardzo, co ze sobą zrobić. Poszłam na praktyki do biura, do sekretariatu, i tam już zostałam. Odbierałam telefony, faksowałam, pisałam e-maile w imieniu szefa, menedżerów, asystentów menedżerów, specjalistów, konsultantów i w ogóle wszystkich ludzi, którzy mogli sobie pozwolić na to, by zlecić napisanie e-maila komuś innemu.

– Parzyłaś kawę?

– Jasne. I paradowałam z tacą po sali konferencyjnej, kiedy ci wszyscy wyżej postawieni ode mnie dyskutowali o „planach”, „strategiach”, „ryzykach” i tak dalej. No i oczywiście kserowałam. Naprawdę uważam, że była to uczciwa praca i wiele osób na moim miejscu czułoby zadowolenie albo przynajmniej względne zadowolenie z regularnej pensji. Z tego, że mają powód, by wstać z łóżka. Ostatecznie ilu z nas naprawdę spełnia się w pracy? Moja matka mówiła, że wydziwiam, kiedy przychodziłam do niej na obiad, jadłam kotleta z ziemniakami, piłam kawę, a później płakałam. Byłam naprawdę nieszczęśliwa, ale ona przecież miała rację. Musiałam pracować, nie byłam rentierem. Każdy inny człowiek na moim miejscu już dawno by się z tym pogodził. Nie miałam fachowego wykształcenia, w niczym konkretnym nie byłam dobra, znałam tylko angielski, co naprawdę trudno dzisiaj nazwać znajomością języków obcych.

– A jednak coś się zmieniło?

– Zrozumiałam dwie rzeczy, chyba o to chodziło. Po pierwsze – że lubię pisać. Po drugie – że lubię podróżować, chociaż nigdy nie miałam kasy, by robić to porządnie. Tak mi się wtedy wydawało. Ale zaczęłam patrzeć na wszystko inaczej. Szukać taniego transportu i tanich noclegów. Łapałam dorywcze prace, żeby sobie dorobić. Opiekowałam się dziećmi w weekendy i wieczorami, sprzątałam, dopuściłam się haniebnego procederu i pisałam za pieniądze prezentacje maturalne, wypracowania, nawet prace magisterskie. Na tym ostatnim dało się trochę zarobić. Wynajęłam tańsze mieszkanie, klitkę w Śródmieściu, w sypiącej się kamienicy, z łazienką wydzieloną z kuchni. Niewiele za nie płaciłam. Za zarobione pieniądze zaczęłam podróżować. Sama, z jednym plecakiem. Kiedy nie miałam siły pracować, zawsze wyobrażałam sobie kolejną podróż. Założyłam bloga – *Borówka w drodze*. A później napisałam pierwszą książkę i ku swojemu zdziwieniu nie szukałam aż tak długo wydawcy. Chyba trafiłam na dobry moment. Ludzie chętnie czytają teraz książki podróżnicze.

– Czyli ci się udało.

– Tak. Jeszcze nie utrzymuję się całkiem z pisania, ale mogłam rzucić kilka dorywczych zajęć. Coś zaczęłam zarabiać, coś zaczęło się dziać. Od czasu do czasu odzywa się też jakiś sponsor, który płaci za moją podróż do konkretnego miejsca, a ja to później opisuję. Wciąż robię za słabe zdjęcia. Nie mam dobrego oka i dobrego sprzętu. Ale się uczę.

– I jesteś zadowolona.

– Chyba tak.

– Chyba?

– Jestem sama. A mówię „chyba”, bo nie wiem, czy naprawdę chciałabym to zmienić. Czasami wydaje mi się, że tak. Dawniej wyobrażenie rodziny było dla mnie czymś oczywistym. Uważałam, że trzeba mieć partnera i przynajmniej jedno dziecko, inaczej życie – ograniczone do samego siebie – staje się trochę bez sensu. Ale może się pomyliłam. Na razie jest mi dobrze samej, tylko że...

– Nie wiesz, co będzie później. Kiedy się zestarzejesz, nie będziesz miała siły podróżować, z częścią przyjaciół urwie ci się kontakt, przejdiesz

na emeryturę, przestaniesz żyć pracą, a czasu wolnego nie będziesz miała z kim dzielić. Albo zachorujesz i nikt się tobą nie zaopiekuje poza jakąś litościwą pielęgniarką, która kupi ci sok pomarańczowy i kruche ciasteczka w szpitalnym sklepiku – przerwał jej.

Kelner przyniósł wino i kolorowego drinka. Kiedy odszedł, przez chwilę pili w milczeniu. Oczy Kingi zrobiły się szkliste.

– Widzę, że znasz ten lęk.

– Mówiłem ci już. Znam różne lęki.

Ponownie zapadła cisza. Rozmowy za ich plecami nie milkły, teraz ktoś opowiadał o artystach doby PRL-u, którzy nie mogli z taką łatwością jak obecnie podróżować i studiować za granicą, ale byli bardziej waleczni, odważniejsi i twardsi od artystów współczesnych. Ktoś dorzucił, że to się może zmienić, bo przecież mamy „dobrą zmianę”, ktoś inny, że „dobra zmiana” wcale nie jest zła, ktoś, że to wydarzenie artystyczne i „chuj z polityką, panowie i panie”. Z głośników wciąż płynął nostalgiczny jazz. Kinga zamknęła oczy i przycisnęła dłońmi powieki, lekko rozmazując tusz.

– Chciałabym odwiedzić twoją galerię.

– Oczywiście, zapraszam. Ale może w sierpniu lub wrześniu? Za cztery dni wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Do Włoch.

– Lecisz do Bergamo? Większość leci z Wrocławia do Bergamo, bo loty są tanie.

– Mam zamiar pojechać do Genui, ale tak, lecę do Bergamo.

– A masz zamiar zobaczyć miasto? Warto.

– Mam.

– To dobrze. Wszyscy traktują to Bergamo jakoś po macoszemu, skupiając się głównie na lotnisku i dworcu kolejowym. Zwiedź przede wszystkim Città Alta, wysokie miasto za średniowiecznym murem. W bazylice Santa Maria Maggiore, przed ołtarzem, wisi krzyż, a na nim figura Jezusa. Wiesz, co jest ciekawe? Fakt, że ta figura jest niemal taka sama jak na obrazie twojego przyjaciela. Co prawda wyrzeźbiona w drewnie, a nie namalowana, ale oparta na podobnym zamyśle. To chudy, pobity,

zmarnowany Jezus, któremu możesz policzyć wszystkie żebra. Dowód na to, że w chwili śmierci nikt nie wygląda pięknie, nawet Bóg.

– Wierzysz w Boga?

– Czasami. Wierzę, że istnieje Szatan, więc muszę chyba też wierzyć, że istnieje Bóg. A ty?

– Wierzę, że istnieje zło, więc muszę chyba też wierzyć, że istnieje dobro.

– Upiliśmy się.

Kinga parsknęła śmiechem i zamieszała lód w szklance. Adam dopił wino i dźwignął się z krzesła. Kręciło mu się w głowie, a podłoga uciekała spod nóg.

– Muszę się zbierać. Było miło.

– Ale nie na tyle, by się wymienić numerami?

– Ja wiem, jak nazywa się twój blog, a ty wiesz, jak nazywa się moja galeria. Myślę, że w razie potrzeby się znajdziemy.

– W takim razie do zobaczenia. W razie potrzeby.

Adam skinął głową i ruszył do wyjścia. Miał ochotę się odwrócić, zobaczyć jeszcze raz rudy warkocz, może nawet profil Kingi i fragment szyi z wytatuowaną różą. Miał też ochotę wyjść stąd razem z nią. W jego głowie była jednak Greta – niewidzialna, wyobrażona, daleka i bliska jednocześnie. Nie chciał spędzić kolejnej nocy z kobietą, na miejscu której wolałby widzieć kogoś zupełnie innego. Kinga wydała mu się interesującym, inteligentnym i – chyba, bo takich rzeczy nigdy nie można wiedzieć na pewno – dobrym człowiekiem. Nie zamierzał jej w ten sposób wykorzystywać. Pamiętał, jak fatalnie się czuł po nocy spędzonej z Nitą.

Pożegnał się z Zygmuntem, który wciąż pił mało, mówił nieskładnie i śmiał się nieco za głośno. Adam pomyślał, że przyjaciel wkrótce się wyrobi. Będzie umiał rozmawiać z ważnymi ludźmi o ważnych sprawach, prowadzić niekończące się dyskusje o sztuce jako celu i środku, ekscytować się nimi i kiwać głową z jeszcze mądrzejszą miną niż teraz. Udawać, że o sztuce można powiedzieć coś prawdziwego, ubrać w słowa ten dziwny proces, którego tak naprawdę nie rozumie nikt, łącznie z samym twórcą. Opowiedzieć o tajemnicy, którą każdy artysta zabiera do grobu.

Zatrzymał się na chwilę przed obrazem *Faust i On*. Nie widział go nigdy wcześniej, a to było zdecydowanie najlepsze płótno, jakie kiedykolwiek stworzył Zygmunt. Wielkie, czarno-białe malowidło przedstawiające Fausta sięgającego po pióro, które trzyma szponiasta dłoń. Szatan jest tu zredukowany właśnie do tej dłoni, do zakrzywionych pazurów, zrogowaciałej, pomarszczonej skóry i powykręcanych paluchów. To wystarczy. Dłoń Fausta wydaje się przy niej mała i gładka, widnieją na niej ślady tuszu, który równie dobrze może być krwią, bo przecież nie użyto czerwieni. Twarz doktora jest spokojna, usta uśmiechają się lekko. Nad nim widnieje wykaligrafowany napis: „Wszystko jest trudne, zanim stanie się proste”. Myśl Thomasa Fullera. Adamowi wydawało się, że proste stają się tylko te rzeczy, które robi się zawsze w taki sam sposób.

Wyszedł z budynku muzeum i spojrzął wzdłuż Legnickiej. Niecały kilometr stąd stał blok, w którym mieszkał jego ojciec i który on sam nazywał domem przez dwadzieścia cztery lata swojego życia. Poniemiecki bunkier, obecnie siedziba muzeum, był tu, jeszcze zanim Breslau zmienił się we Wrocław. Dawniej, w czasie wojny, prowadził do niego szpaler kamienic zamiast komunistycznych bloków. Adam pamiętał jego szare, brudne ściany – teraz białe i czyste – małe okienka, w których gołębie wiły gniazda, i smugi ptasich odchodów. Kiedyś był tu sklep spożywczy i warzywniak. Chyba także lumpeks.

Ruszył przed siebie. Zamierzał przejść się kawałek i trochę wytrzeźwieć, zanim zadzwoni po taksówkę.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Gdyby

Napisałem Ci o Basi, o tym, jak ją odrzuciłem, o piosence, Heathcliffie i swoim szkicu, który powstał na Torcello. Nie odpowiedziałaś jeszcze, więc

chciałbym coś dodać. Nie lubię gdybać, a jednak to robię. Często myślę – co by się stało, gdybym... Gdybym próbował malować, na przykład. Nie poddał się po śmierci mojej matki, tylko próbował dalej, ot tak, dla siebie, żeby rodzina mogła wieszać moje obrazy na ścianach, żeby Basia mogła się chwalić utalentowanym chłopakiem. Kiedy moja matka miała wypadek, akurat pracowałem nad jej portretem. Po prostu przerwałem. Ale malowanie nie było dla mnie tak ważne jak oglądanie obrazów, nawet jak ich kupowanie, więc tutaj „gdyby” nie łączy się z żadną konkretną wizją mojego alternatywnego życia. Znacznie częściej wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym nie odepchnął Basi. Nasz związek nie był idealny, ale przecież żaden nie jest. Czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie i nadawaliśmy na tych samych falach. Ona studiowała historię, ja historię sztuki, interesowały nas podobne rzeczy, niczego nie musieliśmy sobie tłumaczyć ani silić się na kompromisy. Oboje lubiliśmy proste potrawy, późno chodziliśmy spać i wcześnie wstawaliśmy, mieliśmy swoje muzyczne słabości, z których wszyscy się śmiali (ja – Roxette, ona – popowe ballady oparte na kilku dźwiękach, z patetycznym wokalem), czytaliśmy Murakamiego, jednocześnie dziwiąc się jego fenomenowi i z trudem odrywając od lektury (czy wiesz, że w jego powieści „Norwegian Wood” prawie wszyscy popełniają samobójstwo albo umierają na raka?), jedliśmy paluszki z makiem, podczas gdy nasi znajomi woleli solone, i najczęściej wybieraliśmy wino zamiast piwa, co naprawdę wśród studentów nie zdarzało się aż tak często. Jeszcze rzadsza była chyba tylko całkowita abstynencja. Kiedy wynajęliśmy razem pokój w mieszkaniu studenckim, popalaliśmy razem ze współlokatorami papierosy, czasem trawkę, tylko po to, by w końcu stwierdzić, że nie ma się czym ekscytować. Oboje spaliliśmy na brzuchu, z dłońmi pod poduszkami, uczyliśmy się do egzaminów trzy dni przed terminem i zawsze zdawaliśmy bardzo dobrze, chodziliśmy na wystawy, oglądaliśmy filmy i seriale historyczne (Basia przeważnie nadawała przez połowę seansu, wyliczając wszystkie nieścisłości), a kiedy byliśmy bardzo zmęczeni – urządzaliśmy sobie maraton z „Przyjaciółmi”. Basia lubiła Chandlera, ja nie rozumiałem sukcesu Jennifer Aniston.

Co by było, gdybym jej nie odrzucił? Nasze życie musiałoby się zmienić.

Zawsze się zmienia, kiedy człowiek kończy studia i myśli, że to już naprawdę koniec prawdziwej młodości, niczego nie można usprawiedliwić i uzasadnić hasłem „przecież studiuje”. Ani całonocnych imprez, ani braku pracy, ani kiepskiego odżywiania, niechęci do sprzątanania i odsuwania od siebie odpowiedzialności za własne życie. Przecież studiuje, na razie studiuje, a później wszystkim się zajmę – karierą, rodziną, zdrowiem, planami na przyszłość. Tak było, kiedy miałam dwadzieścia lat. Teraz ludzie myślą inaczej, zabezpieczają się, szukają wcześniej pracy, godzą ją ze studiami, płacą swoje rachunki, dorabiają sobie w wakacje, poznają języki obce. My byliśmy po prostu młodzi. Uczyliśmy się, zdawaliśmy egzaminy, piliśmy, tańczyliśmy, przeklinaliśmy, wracaliśmy na piechotę z imprez, nawet jeśli trzeba było przejść pół miasta, bo akurat przestały jeździć nocne autobusy, a dzieńne jeszcze nie zaczęły.

Czy gdybym został z Basią, bylibyśmy teraz małżeństwem, mieli dzieci? Nie wiem. Kochałem ją, wydawało mi się, że bardzo, ale kiedy odeszła, myślałem tylko o tym, że źle się wobec niej zachowałem. Nie tęskniłem za Basią. Pewnie byłem zbyt skoncentrowany na sobie, czułem wielką złość, miałem pretensje do świata, do matki, że zginęła, do ojca... Wydawało mi się, że Basia mi przeszkadza, dekoncentruje mnie, nie pozwala pogrążyć się w tej wściekłości. A może właśnie o to chodziło, żeby mi przeszkadzała? Może teraz nie wyliczałbym w myślach każdej czynności, nie żywiłbym się paroma produktami na krzyż, nie sprawdzał wszystkiego po kilka razy, nie czuł strachu przed wyjściem z domu, wejściem do tramwaju czy do sklepu? Robię te wszystkie rzeczy, ale nie tak, jak robią je inni ludzie i nie tak, jak robiłem je kiedyś. Ze wszystkim wiąże się lęk. Choć mam wrażenie, że ostatnio jest lepiej.

Czy gdybym został z Basią, nasz związek wcześniej czy później rozpadłby się, pozostawiając nas osobno w jakimś innym momencie życia, starszych, bardziej przyzwyczajonych do siebie i z większą rezerwą myślących o zaczynaniu wszystkiego od nowa? Czy gdybym jej nie opuścił, cieszyłbym się, budząc się u jej boku, obserwując, jak na jej twarzy przybywa zmarszczek, a na głowie siwych włosów? Czy ona zauważyłaby moje siwiejące skronie? Mam trzydzieści dziewięć lat, a siwieć zacząłem rok temu.

Czy uznalaby, że wyglądam teraz lepiej, dojrzalej? Zawsze uważała, że jak na faceta jestem za chudy, a przy tym średniego wzrostu, i kiedy ubieram się w dżinsy i podkoszulek, wyglądam jak smarkacz. Kupowała mi koszule i koszulki polo, lubiła kołnierzyki. Mówiła, że skoro ona sama jest przy kości, ja powinienem prezentować się bardziej męsko i okazalej. Wcale nie była przy kości. Miała szerokie biodra, ale wąskie ramiona i małe piersi. Wiecznie próbowała się odchudzać i prawie nigdy nic z tego nie wychodziło. Czy patrzyłbym na przemiany jej ciała? Na skórę, która z wiekiem staje się bardziej wiotka i sucha? Czy gdyby była w ciąży, obserwowałbym z przyjemnością rosnący brzuch i słuchał o tym, że na pewno zrobią się jej rozstępy? To dziwne, ale kiedy myślałem o przyszłości, zawsze wyobrażałem sobie dziecko, przynajmniej jedno, chociaż niekoniecznie z Basią. A przecież ją kochałem. Znałem w niej wszystko, słabości, wady i zalety. Jej ciało nie miało przede mną tajemnic. Nie wiem, „co by było gdyby”. To bez sensu, prawda? Jeśli coś się wydarzyło, to znaczy, że miało się wydarzyć.

Spotkałem ostatnio pewną kobietę, pisarkę i podróżniczkę. Rozmawialiśmy ze sobą tylko raz, ale powiedziała mi coś podobnego o dziecku i rodzinie. Kiedyś myślała, że życie ograniczone do samego siebie jest trochę bez sensu, ale teraz po części zmieniła zdanie, jest jej dobrze, czuje się wolna. Po części – bo zawsze jeszcze pozostaje wyobrażenie starości. Domu wypełnionego ciszą, przygotowywania posiłków w pojedynkę i w pojedynkę parzenia herbaty. Teraz jestem sam i cisza mi nie przeszkadza, ale myśl o starości, która miałaby wyglądać właśnie tak, zawsze napawa lękiem. Może chodzi o coraz większą bezradność, o strach przed zbliżającą się śmiercią – przed tym, że nikt nie będzie nam towarzyszył, trzymał za rękę, mówił „nie bój się”, choć przecież w takiej chwili nie można się nie bać.

Jak ty widzisz swoją przyszłość? Piszesz o mężu. Czy to właśnie on występuje w Twoich wyobrażeniach? Sugerujesz, że to zły człowiek, że się co do niego pomyliłaś. Czy nadal jest obok Ciebie? Mam nadzieję, że nie. I że skoro do mnie piszesz, musisz być wolna i możesz o sobie decydować. Chcesz pozostać w ukryciu – jeśli to przez niego, powiedz, jak mogę Ci pomóc. Na pewno wiesz, że podam Ci rękę zawsze, kiedy mnie o to poprosisz. Musisz tylko dać mi jakiś znak.

Piszę o wyobrażeniach związanych z przyszłością, ale nie wspomniałem o tej najbliższej. Za kilka dni wyjeżdżam. Nie mówiłem Ci jeszcze, ale mam zamiar pojechać do Genui i zobaczyć miejsca, o których opowiadałaś. Chcę, żebyś opowiedziała mi więcej.

Nie zapytałem ostatnio – czy skończyłaś już kolejny portret Greta di Biase?

Adam

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

Temat: [Re:] Gdyby

To, co napisałeś o Basi, było piękne. I nie wiem nawet, w jakim znaczeniu. Po prostu czytałam o tym z przyjemnością. Mówisz, że myślisz jedynie o krzywdzie, którą jej wyrządziłeś, ale za nią nie tęsknisz. A jednak o niej myślisz, wciąż, po piętnastu latach. Masz wyrzuty sumienia, uważasz, że nie potraktowałeś jej tak, jak na to zasługiwała. O czym to świadczy? O tym, że masz sumienie. Powinieneś się cieszyć. Człowiek bez sumienia jest martwy.

Przesłuchałam „It’s All Coming Back to Me Now”. Myślisz, że Céline Dion naprawdę nie zrozumiała tekstu? Może masz rację. Jej głos to dar od Boga, ale ona sama bardziej skupiła się własnych możliwościach, na technice niż na słowach. Myślę, że Céline nie mdlała podczas nagrań, bo ma większe możliwości, lepsze warunki fizyczne, niż Elaine Caswell. A jeśli właśnie to poruszyło nas w wykonaniu Caswell? Fakt, że musiała pokonać swoje ograniczenia? W każdym razie piosenka mi się podoba, a „Wichrowe Wzgórza” zamierzam przeczytać ponownie. Kiedy byłam młodsza, scena z Heathcliffem nad trumną Catherine bardzo mnie poruszyła, ale być może z wiekiem takie rzeczy robią na nas mniejsze wrażenie. A jeśli teraz uznam, że ich miłość to nie miłość, tylko szaleństwo? Nigdy Ci nie przyszło do głowy, że prawdziwa miłość to właśnie to, co mieliście Ty i Basia? Coś zwyczajnego?

Tak, mój mąż nie okazał się dobrym człowiekiem. Miał wobec mnie swój własny plan i prawie udało mu się go zrealizować. Prawie. Ani ja, ani chyba nawet on, nie przewidzieliśmy tego, co się stanie. Do czego on sam doprowadzi. Czasami wydawało mi się, że zostałam okradziona ze zwyczajnego życia. Ktoś ukradł mi te dni, w których mogłabym zastanawiać się, co na siebie włożyć, jak spędzić czas, kiedy zamawiałabym pizzę na wynos i oglądała filmy, włóczyła się po mieście bez celu, tak długo, jak tylko bym chciała, malowała usta błyszcznikiem, piła kawę w kawiarni, uśmiechała się do obcego mężczyzny, kupowała książkę w księgarni, a później siadała z nią gdzieś na ławce, nie spiesząc się i niczego nie bojąc. A może to wcale nie jest zwyczajne życie? Może zwyczajne życie zawsze wiąże się z pośpiechem, strachem i bólem?

Pytasz, czy myślę o przyszłości, o starości. Nie, nie myślę. I nie zacznę. Dziś jest, jutra może nie być. Nic w tym odkrywczego, prawda?

Chcesz, bym opowiedziała Ci o Voltri, ale tak naprawdę interesuje Cię Bergamo i moje życie w Lombardii, mąż, o którym tylko wspominam, wszystko, co mnie spotkało w tym całkiem nowym świecie. I koniec, który położył temu kres. Bo przecież musisz się domyślać, że był jakiś koniec. Dlatego teraz jestem sama, dlatego stałam się Gretą di Biase, dlatego nie wiesz, jak wyglądam i gdzie mieszkam. Owszem, nastąpił koniec. Jak u Ciebie. Ty także nie chcesz o tym mówić, wspominasz tylko o wypadku matki, o rzuceniu malowania i odepchnięciu młodej kobiety, którą kochałeś. Tak – wzruszyła mnie Twoja opowieść o Basi, podobnie jak ujęło mnie Twoje pytanie o Voltri. Chcesz poznać dziewczynę handlującą okularami, wychowaną przez Somalijkę, niewykształconą, niby-prawdziwą Włoszkę, która zaznała szczęścia, jedząc smażone bakłażany. I na pewno jesteś ciekawy, skąd się wzięła moja umiejętność pisania dość dobrych listów, skoro skończyłam tylko szkołę podstawową, ale masz za wiele taktu, by pytać o to wprost. Sprawa jest prosta. Już mówiłam – sama się tego nauczyłam. Sama się kształciłam, tak jak umiałam, na tyle, na ile mogłam. Czytałam, oglądałam katalogi z obrazami, słuchałam wiadomości, słuchałam ludzi... Dużo rozmyślałam. O tym, kim bym się stała, gdyby nie porzuciła mnie matka z Lombardii albo gdyby nie przygarnęli mnie Iman i Umberto. I co by było,

gdybym nie wyjechała z Ligurii, by wyjść za mąż. Gdyby. Widzisz? Ja też dobrze znam to słowo.

Pytasz, czy zaznałam przemocy. Wiem, co tak naprawdę skrywa to pytanie. I na razie odpowiem krótko – tak, zaznałam.

Dziś jednak opowiem Ci o Voltri. A dokładnie – o zdarzeniu, które wydało mi się ważne i które na pewno skojarzysz z jednym z moich obrazów. Mam na myśli „Płonący las”. Pisałeś, że pożar lasu wydaje Ci się niemal łagodny, niemal niestraszny. Masz rację. Nie udało mi się odpowiednio uchwycić tej tragedii, może dlatego, że ja sama poczułam się wobec niej zupełnie bezradna. Obserwowałam całą scenę z bezpiecznego dystansu, widziałam płaszcz dymu rozrastający się i przykrywający zbocze góry, drzewa i domy, i miałam tylko nadzieję, że ludzie zdążyli je już opuścić. Obserwowałam samoloty strażackie kołujące nad siwą chmurą i spuszczone na nią strumień wody zaczerpniętej wcześniej z morza u wybrzeża Voltri. Zastanawiałam się, jak dotrze tam inna pomoc, skoro to wysoko, las, wiatr, fala upałów...

Ja sama stałam wtedy na placu przed sanktuarium Nostra Signora delle Grazie, małym kamiennym kościółkiem wybudowanym na szczycie wzgórza, z inicjatywy duchessy di Galliera pochodzącej z bogatego genueńskiego rodu Brignole. Lubiłam to miejsce, oderwane od rzeczywistości, opierające się upływowi czasu, odosobnione i nieskażone turystyką. Dawniej chętnie spędzałam tam wolne popołudnia, których nie miałam za wiele. Dotarcie na szczyt z via Lemerle, w zależności od samopoczucia, zajmowało mi niecałą godzinę, w drodze powrotnej zawsze szłam do wodospadu i weneckiej budowli wzniesionej na miejscu dawnej warowni. To był mój azyl. Ale tamtego dnia, kiedy wybuchł pożar, poczułam dziwny lęk. Stojąc na wypełnionej pozornym spokojem piazza delle Grazie, czułam się jak mieszkanka Pompei obserwująca rosnącą chmurę szarego pyłu po eksplozji Wezuwiusza. To było dziwne uczucie i dziwne porównanie, bo przecież byłam za daleko, by ogień mógł mnie dosięgnąć.

Płaszcz siwego dymu na górskim zboczu rósł, a ja wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana. Samoloty strażackie były już trzy i wkrótce dołączył do nich helikopter z balonem wody. Na piazza delle Grazie pojawił

się starszy pan z laską, który, ciężko dysząc, spojrzął na rozgrywający się przed naszymi oczami spektakl i potrząsnął głową. Powiedział coś o ludziach, którzy tam mieszkają, i jeszcze – że serce zawsze pęka, kiedy płonie las. Poczułam łzy pod powiekami i dziwne napięcie, dla którego nie mogłam znaleźć ujścia. Odwróciłam się i zaczęłam szybkim krokiem schodzić ze wzgórza. Kiedym moim oczom ukazał się widok na zatokę i port, dostrzegłam wodowanie samolotu strażackiego, który wkrótce nappełnił zbiorniki wodą i z trudem wzbił się ponownie w powietrze. Dalszą trasę pokonałam prawie biegiem, a kiedy mijalam zagrody kóz i saren, łzy kapały mi już po policzkach i nie próbowałam powstrzymać się od płaczu. Nie rozumiałam tego żalu. Włochy prawie każdego roku przeżywały plagę pożarów, czytałam o tym w gazetach, słyszałam w radiu i telewizji. Ale... to wszystko rozegrało się tuż obok. Chmura siwego dymu wydawała się niemal namacalna i trawiła liguryjskie lasy. Dotyczyła przestrzeni, w której mieszkałam. Mojego miejsca na świecie. Wtedy, po raz pierwszy i chyba ostatni w życiu, pomodliłam się z własnej woli, a nie dlatego, że po prostu szukałam pomocy tam, gdzie sama nie dawałam sobie rady. Bóg był dla mnie jakąś wyższą siłą, która mogła więcej. Nie zastanawiałam się nad różnicami między moim Bogiem i Bogiem, do którego modliła się Iman. Ani dawniej, ani w chwili, gdy prosiłam, by ogień zgasł. By im się udało – pilotom wodujących na morzu samolotów i tym, którzy zdołali dotrzeć na miejsce drogą lądową. Całą sobą pragnęłam, by wszystko już się skończyło. Skręciłam na ścieżkę prowadzącą do dawnej warowni i ukryłam się wśród pobliskich skał, skąd zawsze lubiłam obserwować wodospad. Chłód jaskini tym razem nie podziałał na mnie kojąco. Wyobrażałam sobie ogień i czułam na skórze jego gorący oddech. Pomyślałam wtedy, że śmierć w płomieniach musi być straszna...

Do domu wróciłam późnym wieczorem, a kiedy obudziłam się następnego dnia, jak zwykle bladym świtem, samoloty strażackie nadal kursowały między górami a zatoką. Bóg chyba mnie nie wysłuchał.

Spakowałam towar i z ciężkim workiem ruszyłam na plażę. Patrzyłam przed siebie, by ominąć wzrokiem zarówno wodujące samoloty, jak i opalających się, obojętnych na cudzą tragedię ludzi. Tamtego dnia nie sprzedałam niczego.

Zadaję sobie czasem pytanie o to, czym właściwie było życie w Voltri. I myślę, że składało się na nie pasmo nieprzerwanej ciężkiej pracy i pojedynczych chwil przyjemności, które teraz wydają mi się wypami na morzu niewyraźnych wspomnień. Były też takie momenty, jak ten związany z pożarem, nie dotyczący pracy, ale też nie przyjemne. Myślę, że to punkty, w których czas się dla mnie na chwilę zatrzymywał, skłaniał do przyjrzenia się światu z innej perspektywy, dostrzeżenia zagrożeń, z których nie zdawałam sobie sprawy. Na piazza delle Grazie odkryłam, że boję się ognia, ale też, że szanuję jego siłę – tak jak się szanuje kogoś mocniejszego od siebie, z kim nie należy zadzierać, bo wszelka konfrontacja skazana jest z góry na niepowodzenie. Wciąż myślę o Voltri. O nowych budynkach, do których sprowadzili się nowi mieszkańcy, o kamienistej plaży i morzu – przejrzystym o poranku i mętным wieczorem. O promenadzie ciągnącej się wzdłuż brzegu, pojedynczych ścianach pokrytych napisanymi sprejem hasłami, o widoku na ciężkie transportowce wypływające z portu i – z drugiej strony – na żaglówki kołyszące się na falach jak łupinki orzechów. O nieustannej symbiozie, w której piękno żyło tam z brzydotą.

Rozumiałam je, bo w środku byłam chyba podobna. Piękne myśli – miłość do Iman, wdzięczność za dom, za bezpieczeństwo, pracę i jedzenie, za talent i pasję, które się we mnie rodziły, za książki i kąpiel w słonej wodzie, umiejętność doceniania prostych przyjemności – współistniały w mojej głowie z poczuciem niesprawiedliwości, odrzucenia, niemożności spełnienia własnych ambicji, klaustrofobicznego zamknięcia w jednym tylko zakątku świata, a także ze zwykłym uczuciem wściekłości, pojawiającym się nagle. Jak wtedy, gdy patrzyłam na plażowiczów obojętnych wobec pożaru. Jak wtedy, gdy miałam dość współczujących spojrzeń tych wszystkich ludzi, którzy obserwowali moje zmagania ze stojakiem na okulary i naręczem parasoli. Czasem uczucie wściekłości przychodziło bez konkretnego powodu i nie dotyczyło nikogo w szczególności. Byłam wściekła na wszystko i wszystkich. A później czułam wstyd i wyrzuty sumienia. Przecież mogłam mieć gorsze życie. I miałam, później. Ładniejszy dom, lepsze ubrania i jedzenie, ale życie – gorsze. Ciągle do tego wracam, choć przecież wiem, że musi Cię to mocno drażnić. Ludzie nie lubią niedopowiedzeń, które często

przypominają celowe droczenie się z rozmówcą. „Coś Ci powiem, ale nie wszystko, reszty się domyśl”. To nie fair. A jednak jakaś część mnie chciałaby chyba, żebyś poznał całą prawdę. I chciałaby, żebyś mnie znalazł. Nie wiem tylko, czy zdołam dopuścić ją do głosu.

Dziękuję za to, co napisałeś o sobie, i za zapewnienie, że postarasz się powiedzieć mi jeszcze więcej. Doceniam to. Doceniam Ciebie i nas, razem. To dziwne, prawda? Z początku zawiązała się między nami fascynacja – chyba – erotyczna. Wyobrażałeś sobie siebie i mnie w skłębionej pościeli, moje ciało pod Twoim, moją nagą skórę i całą intymność, do której Cię dopuściłam. A ja wyobrażałam sobie to samo z Tobą. Teraz jednak coś się zmieniło. Nie chodzi tylko o przyciąganie, o to, że chciałabym się z Tobą kochać. Powiedziałam Ci więcej niż komukolwiek kiedykolwiek. Zaczynam czuć się przed Tobą naprawdę naga. I boję się tego.

Ty też dotrzyмай obietnicy i opowiedz mi jeszcze więcej o sobie.

Portret Grety di Biase jest jeszcze nieukończony. Maluję dwa jednocześnie.

Całuję

Greta

PS Dziesięć lat temu w Genui wybudowano wielkie akwarium przy porcie. Żałuję, że nie zdążyłam go zobaczyć. Podobno największe wrażenie robią delfiny. Musisz tam pójść.

9. Razem jest zawsze trochę łatwiej

– Pamiętaj, jakby ci się nagle zaczęło trudniej oddychać, to dmuchaj w woreczek, powoli, do końca, aż będzie balonik, a potem...

– Mam nerwicę. Uważasz, że nie wiem, co to hiperwentylacja? Wiem o niej więcej niż o tobie.

Zygmunt przewrócił oczami i wskazał walizkę.

– Wystarczy ci gaci? I skarpet?

– Pranie też umiem zrobić. A poza tym słyszałem, że we Włoszech są sklepy.

– Trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność.

– A ty, wyjeżdżając, zawsze zabierasz ze sobą skarpetki i majtki na każdy dzień?

– Tak – odpowiedział bez wahania.

Adam przyglądał mu się przez chwilę bez słowa, po czym ciężko westchnął. Zarzucił plecak na ramię i skierował się do bramek. Zamierzał przyjechać na lotnisko sam i tak po prostu polecieć, bez pożegnań, klepania po plecach i dobrych rad. Zygmunt jednak się uparł. Nita również zaproponowała, że z nimi pojedzie, ale odmówił. Uprzejmie, choć stanowczo. Miał wrażenie, że jeśli odprowadzą go we dwoje, ta scena niepotrzebnie się wydłuży i zamieni w coś sztucznego, w coś, czym tak naprawdę nie jest. Adam nie czuł żalu. Chciał jechać, cieszył się na tę podróż, choć myśl o samolocie przyprawiała go o mdłości. I jeszcze świadomość, że wyjdzie poza własną przestrzeń, nie będzie miał swojego biurka ze sklejki, starej kanapy, starej szafy i pokoju, w którym trzymał tylko obrazy. Nie będzie czajnika, w którym gotował wodę na herbatę, i okien, które należy umyć.

Stosów książek, galerii, biurka, domofonu z nazwą Chiara, haftowanych serwetek Joanny Roguckiej, Rynku i ilustrowanych kalendarzy.

Z drugiej strony – musiał to wreszcie zrobić. Musiał być gdzie indziej i musiał być tam sam, bez Zygmunta, Nity i przedmiotów widywanych codziennie. Nawet bez tych wszystkich ludzi, których znał jedynie z widzenia. Musiał też wsiąść do samolotu. Ostatnim razem zrobił to przed osiemnastu laty, kiedy leciał z matką do Pragi, gdzie miała wygłosić wykład na temat opracowanej przez siebie metody leczenia schorzeń stawu skokowego. Kilku profesorów i parę innych mądrych głów uznało, że to świetna, nowoczesna metoda i matka powinna ją rozwijać. Denerwowała się wtedy bardzo, nie lotem, tylko wykładem. Była dobrym lekarzem, ale kiepskim mówcą. Mimo to udało jej się wystąpienie, nawiązała kontakty, między innymi z dwoma francuskimi ortopedami, którzy trzy lata później zaprosili ją na konferencję do Paryża. Postanowiła wyjechać kilka dni wcześniej, samochodem, i trochę pozwiedzać. Adam nie mógł jej towarzyszyć, bo ślęczał nad pracą magisterską, a ojciec kończył tłumaczyć jakąś ważną książkę, poza tym miał na głowie maturzystów. Matka pojechała sama i nie wróciła. Była nie tylko kiepskim mówcą, ale i kiepskim kierowcą. A jednak wtedy upierała się przy tej podróży jak nigdy przy niczym.

– Dancer? Hej! Znowu cię tu nie ma.

Adam zerknął na Zygmunta, który przyglądał mu się z wyrzutem.

– Przepraszam – wydukał. – Zamyśliłem się.

– Nihil novi.

– Dobra, idę się odprawić. Dacie sobie z Nitą radę, prawda?

– Będę jej pilnował, nie martw się.

– Nie to miałem na myśli.

– A ja miałem właśnie to. Twój interes nie ucierpi, nie bój się. Mogę przewiesić kilka obrazów i inaczej ustawić lampy?

– I tak to zrobisz, nawet jak ci nie pozwolę.

– Masz rację.

– Słuchaj... Dziękuję. Tak ogólnie.

– Tak ogólnie to nie ma za co.

– Zygmun? Dlaczego ty... No nie wiem... Dlaczego się ze mną

zadajesz?

– Zadaję się?

– Dobrze, przyjaźnisz. Dlaczego się ze mną przyjaźnisz? Zazwyczaj zachowuję się jak skończona świnia.

– Przypominasz mi mojego młodszego brata.

– Naprawdę?

– Nie, no co ty! Po prostu cię lubię, wiem, trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Poza tym potrzebujesz mnie. Gdybym cię od czasu do czasu nie kopnął w tyłek, byłbyś już w psychiatryku.

– Pewnie masz rację.

– Mam. Razem jest zawsze trochę łatwiej. Adam... Uważasz, że ten obraz z krzyżem jest dobry?

– Oczywiście, że jest. Ale najlepszy jest Faust i ręka diabła.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

Adam uniósł dłoń, odwrócił się i odszedł wolnym krokiem. Czuł, jak drżą mu kolana i mięśnie wokół warg, ale mimo to wiedział, że sobie poradzi i że bywało gorzej. Zygmunt go lubił, tak po prostu. Czyli to jednak było możliwe. Nita, tamta dziewczyna z różą... Może nie dla wszystkich był takim żalonym dupkiem, jakim wydawał się samemu sobie? Położył plecak na taśmie i przeszedł przez bramkę. Pomyślał o tym, że już niedługo znajdzie się w Bergamo. Bliżej Grety.

CZEŚĆ III

10. Prawie spokój

Adam wysiadł z samolotu, zarzucił plecak na ramię i przystanął na płycie lotniska, by spojrzeć na góry. Był ciepły letni wieczór, a powietrze zdawało się ciężkie od wilgoci. Wiatr przyjemnie smagał go po twarzy, gwar rozmów niedawnych współpasażerów stopniowo cichł, w tle zaszumiały silniki samolotu Ryanair, który właśnie rozpędzał się na pasie startowym. Adama zaskoczył fakt, że poczuł się błogo, niemal spokojnie, mimo że ucisk w gardle i drżenie rąk nie całkiem ustały. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie łańcuchowi gór na horyzoncie i wolnym krokiem ruszył na przystanek autobusowy. Przez chwilę wyobrażał sobie, że ona czeka na niego w hali przylotów, trzyma w dłoniach tabliczkę z jego nazwiskiem, uśmiecha się, podbiega... To była głupia i dziecinna fantazja, ale przecież zupełnie nieszkodliwa. Mógł widzieć ją w welonie, z profilu, uśmiechniętą lub złą – taką, jaką przedstawiła się na obrazach. O ile to, oczywiście, była ona. Wiedział, że mu tego nie powie, jeśli jej nie zmusi. Z drugiej strony nie chciał traktować Grety w ten sposób. Kobiety, której prawdziwego imienia nadal nie poznał i której prawdziwej twarzy nigdy nie zobaczył.

Czuł już wcześniej, że ona doświadczyła w życiu przemocy, a teraz powiedziała o tym wprost. I choć nie miał pojęcia, jakiej natury była to przemoc, nie wątpił w jej destrukcyjną i nieprzemijającą siłę. Mąż, o którym nie chciała mówić, nowe życie, które zaczęło się dla niej w Bergamo, szczęście, które kojarzyła z przeszłością naznaczoną biedą, wyrzeczeniami i ciężką pracą... Chciał wiedzieć o tym więcej, ale bał się natrętnie pytać.

Miał świadomość, że jego natarczywość mogłaby zburzyć ich dopiero budowane porozumienie. Mógł pisać Grecie o swoich fantazjach. O tym, że w wyobraźni kochał się z nią setki razy, że myśli o jej ciele, dotyku, o jej twarzy i głosie. I ona mogła pisać mu to samo. Rozgrzewali się nawzajem tymi fantazjami, wkraczali w swoją intymność, pozwalali na wyrażanie najśmielszych pragnień, a jednocześnie obawiali się zapuścić w najgłębsze zakamarki psychiki. Oczekiwali od siebie prawdy, ale prawda także mogła ulec zredukowaniu i nie zostać wypowiedziana w całości. Wiedział, że Greta go nie okłamała, jednocześnie nie mówiąc mu wszystkiego. Nie wyjawiając nawet, jakie nosiła imię i nazwisko, kiedy była dziewczyną sprzedającą okulary na plaży w Voltri. Zdawał sobie sprawę z kruchości tego porozumienia, ale uważał je za coś najcenniejszego na świecie.

Kiedy wsiadał do autobusu, który miał go zawieźć na dworzec kolejowy, czuł przemożną chęć pozostania w Bergamo i wytropienia Grety. Mógłby pójść na via San Lorenzo, do butiku Valentiny, zażądać rozmowy z jej bratem, spróbować jakoś na niego wpłynąć i skłonić do wyjawienia prawdy. Mógłby także zażądać spotkania w twarzą w twarz z Gretą di Biase, zaryzykować sporo – i zyskać wiele lub utracić wszystko. Nie był gotów podjąć tego ryzyka. Chciał wiedzieć o niej więcej, sprawdzić, do jakiego punktu zaprowadzi ich ta korespondencja, a zarazem nie myśleć o tym, że to wszystko może być czystą fikcją. I że Greta di Biase może nie istnieć.

Dlatego wysiadł na dworcu kolejowym, tylko raz przebiegł wzrokiem wzdłuż ulicy Jana XXIII, w stronę Porta Nuova i średniowiecznych murów, za którymi skrywało się Città Alta, górne miasto, najstarsza część Bergamo, z brukowanymi uliczkami, domami z kamienia i wiekowymi placykami, niemymi obserwatorami zmian zachodzących w świecie. Tam właśnie była via San Lorenzo, tam mieszkała Valentina i jej brat, którzy prawdopodobnie znali większość odpowiedzi na jego pytania. Tam również była bazylika, a w niej drewniany krzyż z chudym, udreńczonym Jezusem, o którym wspomniała Kinga z różą na szyi. Wiedział, że prędzej czy później i tak się tam znajdzie. Znał już na pamięć mapę Bergamo, wodził palcem po wyznaczonych różnymi kolorami ulicach, których nazwy mógł wyrecytować obudzony w środku nocy. Znał też na pamięć mapę Sarnico, godziny

kursowania autobusów, pociągów i promów po jeziorze Iseo. Bał się tej chwili, kiedy wkroczy w przestrzeń, którą najprawdopodobniej zamieszkiwała Greta. Bał się świadomości, że na nic już nie czeka i trzeba wreszcie coś zrobić. Przestać wyobrazać sobie moment, w którym stanie twarzą w twarz z Saviem, i przestać ćwiczyć w myślach kwestie, które do niego wypowie. Greta powiedziała, że Roberto jej nie zdradzi, ponieważ zwyczajnie tego nie chce. I pewnie miała rację. A jednak Adam jeszcze nie tracił nadziei. Nie myślał nawet o tym, że spotkanie z Saviem może zupełnie zburzyć iluzję, w której żył przez ostatnie tygodnie, i ostatecznie rozsypać jego złudzenia.

Wysiadł z autobusu i ruszył w stronę dworca kolejowego. Kupił dwa bilety na pociąg – z Bergamo do Mediolanu i z Mediolanu do Genui. Zamierzał zatrzymać się na trochę w centrum, po czym przenieść się do Voltri. W tym ostatnim udało mu się znaleźć kawalerkę do wynajęcia, także przy via Lemerle. Podróż upłynęła mu na rozmyślaniu o prośbie Grety. Miał jej opowiedzieć jeszcze więcej o sobie – sam do tego doprowadził, złożył obietnicę, otworzył się przed nią, nawet jeśli – podobnie jak ona – redukował prawdę i omijał kwestie, o których nie potrafił pisać wprost. Być może prowadzili ze sobą grę w szczerłość i czekali, kto się pierwszy złamie i wyjawia wszystko, nie pozostawiając niczego domysłom. Chciał jednak wierzyć, że to nie była gra.

Kiedy pisał do niej wiadomość, raz po raz spoglądał w szybę i obserwował, jak zmienia się krajobraz. Lombardia ustąpiła miejsca Ligurii.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Zygmunt

Greto, chciałem Ci powiedzieć, że jadę do Genui. Siedzę właśnie w pociągu, patrzę na przepływający za szybą krajobraz, widzę, jak odrobinę zmienia się

architektura i inaczej kształtuje teren. Wiem, że przebyłaś tę samą drogę, choć nie wiem, kiedy dokładnie i jak. Samochodem, a może także pociągiem? Na pewno nie pokonałaś jej sama, bo przecież do Lombardii zabrał Cię mąż. Ile zobaczyłaś za szybą? Ile widziałaś w Bergamo? Dziewczyna, o której Ci ostatnio wspomniałem i która opowiadała o lęku przed samotną starością, wspomniała o pewnej bazylice. Podobno przed ołtarzem wisi krzyż, a na nim figura chudego, umęczonego Jezusa z wystającymi żebrami. Mam zamiar go zobaczyć. Nie dlatego, że opowiedziała mi o nim dziewczyna, którą widziałem raz w życiu, ale dlatego, że mój przyjaciel stworzył coś podobnego. Czy może raczej skłaniającego do podobnych refleksji. Namalował obraz wychudzonego, zakrwawionego Jezusa na tle błękitnego nieba, tak pięknego, że wydaje się surrealistyczne. A przecież to wrażenie równie dobrze może być złudne. Niebo bywa piękne i czyste w chwilach, kiedy ludzie umierają tragiczną śmiercią. Jedno nie wyklucza drugiego. Prawda?

Tak, mój przyjaciel jest malarzem, ma na imię Zygmunt, nosi ekstrawaganckie ciuchy i okulary przeciwsłoneczne. Powinnaś zobaczyć jego włosy. Śpi z wałkami, a jeśli kładzie się późno, rano używa lokówki, ale nikt o tym nie wie. Najbardziej martwi się o to, że ktoś kiedyś odkryje tę mistyfikację, na przykład spadnie deszcz i jego włosy się wyprostują. I znajdzie się osoba, która to zobaczy. Wierzysz? Śmiałem się z niego wiele razy, ale on traktuje swoje włosy i swój wizerunek bardzo poważnie. Do szesnastej siedzi w biurze i pracuje jako grafik, dobrze zarabia i ma ciekawe zajęcie, choć chyba go nie cierpi. Popołudniami zamienia się w prawdziwego artystę, zamyka się w pracowni, puszcza Vivaldiego i maluje. Potrafi się w tym całkowicie zatracić i marzy o chwili, w której porzuci etat i poświęci się sztuce. Mówię mu, że wtedy na pewno jego entuzjazm opadnie, bo malowanie stanie się pracą, a nie pasją, ale nie traktuje mnie poważnie. Zresztą – mogę się mylić, nie jestem artystą.

Ty pewnie powiedziałabyś na ten temat więcej, sama tworzysz. Obrazy Zygmunta są genialne – doskonała technika, wyobraźnia, nowe, ciekawe rozwiązania, odwaga, śmiałość w poruszaniu pewnych tematów, rozmach. Ale w Twoich widać wrażliwość, której jemu brakuje. Pokazujesz bohaterów w sytuacjach, które na pozór nie są intymne, ale wydają się takie, kiedy

człowiek zaczyna się baczniej przyglądać i analizować szczegóły. Na obrazie Zygmunta się patrzy, a z Twoimi obrazami się przebywa. Kiedy widzę Twoje postaci, mam ochotę je poznać, przeniknąć ich tajemnice, rozwikłać dwuznaczności. Jest coś zagadkowego w Twoich płótnach, coś niepokojącego i trudnego do zinterpretowania, co szarpie, kłuje i uwiera. Taka sztuka, moim zdaniem, jest najwięcej warta. Szkoda, że nie chcesz na szerszą skalę pokazać jej światu. Nie będę jednak o tym pisał, bo temat został już wcześniej zamknięty.

Napiszę więc o Zygmuncie. Obiecałem przecież opowiedzieć coś o sobie, a on jest w moim życiu ważny. Długo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Myślałem, że przykleił się do mnie, bo sam był zagubiony, więc potrzebował kogoś, kto był zagubiony jeszcze bardziej. W pewnym sensie wziął za mnie odpowiedzialność, uważał, że musi mnie raz na jakiś czas kopnąć w tyłek i zmusić do normalnego życia, a przez to sam czuł się silniejszy, może nawet lepszy. Bo miał przed sobą kogoś słabszego, dla którego problemem było wyjście z domu, zrobienie zakupów i załatwienie prostych spraw w urzędzie. Skłaniał mnie do działania, zabraniał uciekać – przed tymi właśnie prostymi sprawami, przed zwyczajnym życiem i samym sobą.

Piszesz, że czujesz się tak, jakby ktoś Ci ukradł zwyczajne życie. Ja też się tak czuję. Moje lęki, drżenie rąk, płytki oddech, kompulsywne czynności zabierają mi zwyczajne życie. Z zazdrością patrzę na ludzi, którzy wszędzie czują się jak u siebie, siadają w kawiarni, wyciągają książkę, zamawiają kawę i ciasto i tak po prostu tam tkwią, godzinę, może dwie, czytają, piją, jedzą, odpoczywają. Ja też tego próbowałem. Za każdym razem miałem wrażenie, że jestem intruzem, czułem się dziwnie, zastanawiałem się, po co tak siedzę, sprawdzałem, czy na pewno mam ze sobą portfel i pieniądze, by zapłacić rachunek, nie mogłem się skupić na czytaniu – chciałem tylko stamtąd wyjść. Ale przychodziłem ponownie – do kawiarni, restauracji, czasem do pubu. Właśnie po to, by robić zwyczajne rzeczy, takie jakie robią inni.

Czasami umawialiśmy się z Zygmuntem na piwo i specjalnie spóźniał się godzinę, zmuszając mnie, bym pobyl sam i zrozumiał lub może przyzwyczaił się do myśli, że nie powinienem czuć się głupio, że to wszystko jest dla ludzi.

Chciał mi pomóc. Widział, że jestem beznadziejnym przypadkiem i nie umiem nic dla siebie zrobić, nie potrafię umówić się z dziewczyną, pójść do psychologa, po prostu zająć się swoimi problemami. Nauczyłem się z nimi żyć. Zamiast nawiązywać i budować więzi, usiłowałem je sobie kupić. Zamiast spróbować stworzyć związek, co miesiąc płaciłem dziewczynie, by uprawiała ze mną seks, a teraz chcę to jakoś naprawić, zrobić coś dla niej, by ona również mogła wrócić do normalnego życia. Choć to przecież naiwne z mojej strony. Takie myślenie, że cokolwiek w tej kwestii zależy ode mnie, a nie od niej. Chyba usiłuję poczuć się lepiej, i tyle. Zbudować fałszywe przekonanie, że stałem się inną, lepszą osobą, która odcina się od starego siebie. A może to nie jest fałszywe przekonanie i naprawdę się zmieniam? Nie wiem tylko, jak daleko pójdzie ta przemiana. I nie powinienem myśleć, że już od teraz jestem dobrym człowiekiem, bo zacząłem inaczej traktować byłą prostytutkę, bardziej doceniać przyjaciela i poczułem żal, kiedy mój ojciec nazwał mnie „Adasiem”. Ponieważ wciąż mam wyrzuty sumienia wobec dawnej dziewczyny, której nie widziałem od piętnastu lat. To za mało.

Nadal myślisz o mnie dobrze? I uważasz, że słusznie?

Czasem, pomagając innym, tak naprawdę próbujemy pomóc sobie. W ten sposób właśnie zawsze myślałem o Zygmuncie, ale w głębi serca zależało mi na naszej przyjaźni. Być może dzięki niemu nie oszalałem. Ostatnio powiedział, że razem jest zawsze trochę łatwiej, więc chyba on naprawdę także mnie potrzebował. Zygmunt nie jest typem człowieka, który łatwo wpasowuje się w tło. On się wyróżnia. W pewnym sensie jego również można uznać za dziwaka, ale w przeciwieństwie do mnie potrafił zrobić z tego atut. Zaakceptował siebie i uznał, że inni też muszą.

Kiedyś Zygmunt zabrał mnie na żużel. Jego kumple z pracy szli, a on chciał pokazać, że interesuje się nie tylko malowaniem, oglądaniem obrazów i organizowaniem imprez, na które przychodzą ludzie interesujący się malowaniem i oglądaniem obrazów, ewentualnie rzeźbą, fotografią i pisaniem książek. Zmusił mnie, bym też poszedł. Wiesz, co to za sport, prawda? W dużym skrócie – faceci ścigają się na motocyklach. To nie było tak, że zupełnie nie interesował mnie żużel. Kiedyś chodziłem na stadion z ojcem albo oglądaliśmy mecze w telewizji, a matka zawsze mówiła: „Jezus

Maria, ten to się zaraz wypierniczy” i zamykała oczy. Znałem nazwy klubów i kilka nazwisk zawodników. Jak się okazało, byłem w temacie bardziej zorientowany niż sam Zygmunt, który chciał nie tylko, swoim zwyczajem, wyciągnąć mnie z domu, ale też poczuć się lepiej wśród kumpli kibiców.

Umówiliśmy się pod stadionem. Czekał tam już na mnie z dwoma szalikami – jeden miał tylko napis „Sparta”, a drugi „Dumni po zwycięstwie, wierni po porażce”. Parsknąłem śmiechem. Wyglądał z tym szalikiem wyjątkowo głupio. Bardziej pasował do niego image artystycznego kłoszarda niż kibica. Usiedliśmy na trybunach z jego kumplami, każdy z nas trzymał w jednym ręku plastikowy kubek z piwem, a w drugim program. Ja kupiłem program, bo tak zawsze robił mój ojciec, a Zygmunt – bo wszyscy kupowali. Przypomniały mi się te lata, kiedy byłem smarkaczem i siedziałem na tych samych trybunach, tylko stadion wyglądał wtedy dużo gorzej. Wczułem się w atmosferę i zacząłem się cieszyć, że przyszedłem. Próbowałem nie myśleć o ogromnej otwartej przestrzeni, ludziach, hałasie, o tym, że nie mogłem się oddać ulubionym rutynowym czynnościom. W takich chwilach właśnie czułem się prawie normalny – czułem się częścią tego samego świata, do którego należeli wszyscy. A zatem zdzieralem gardło, klaskałem, robiłem falę, krzychałem nazwiska zawodników, syczałem, kiedy któryś się przewrócił.

Wreszcie przypomniałem sobie o Zygmuncie. Siedział cicho, zdezorientowany, ze sztucznym uśmiechem i klaskał nie w rytmie. Spojrzał na mnie z niesmakiem, jak gdybym go rozczarował. Spodziewał się chyba, że obaj będziemy klaskać nie w rytmie. W końcu pochylił się i kiedy inni darli się wniebogłosy, on wrzasnął prosto w moje ucho: „Ktorzy to nasi?!”. Była już połowa meczu. Zacząłem się śmiać, tak bardzo, że łzy płynęły mi z oczu i nie mogłem złapać tchu. Kumple Zygmunta pytali, o co chodzi, a on zbladł i unikał ich wzroku. Nie wygadałem się. Nasi przegrali, a w drodze powrotnej Zygmunt powiedział tylko: „No wiesz co, Dancer?”. Brzmiało to całkiem jak: „I ty, Brutusie?”. Później to ja zabrałem go kilka razy na żużel i wyjaśniłem to i owo. Zaczął coś rozumieć i nawet mu się spodobało. Ale zawsze wyglądał głupio w tamtym szaliku.

To kolejne wspomnienie, które poprawia mi humor, kiedy jest naprawdę źle. Od dawna mam wrażenie – stwierdzam teraz fakt i nie próbuję się nad

sobą uważać – że nie można mnie tak po prostu lubić. I jestem raczej jedną z tych osób, które się znosi, toleruje, z którymi się wytrzymuje, jeśli trzeba, i z którymi można porozmawiać na neutralne tematy. Ale Zygmunt tkwi przy mnie, choć wiele razy musiało mu być ciężko zachować cierpliwość. A może ja też tkwię przy nim, choć wiele razy ciężko mi zachować cierpliwość? I tylko udaję, że nie czekam na jego telefon, odwiedzin, pretensje, nadąsaną minę i uwagi w stylu: „Ty nigdy nie żartujesz, bo nie masz poczucia humoru”. Może chodzi o jedną z tych banalnych i wyświechtanych życiowych prawd, że nie ma ludzi idealnych i trzeba się nauczyć akceptować siebie nawzajem. Bo lepiej już nie będzie, a teraz i tak nie jest źle. Bo razem jest zawsze trochę łatwiej.

Czy masz przyjaciela, choć jednego? Takiego, który nie pozwala Ci upaść?

Martwię się o Ciebie. Powiedziałaś, że nie myślisz o starości, że nigdy nie myślałaś i nie zaczniesz. Dziś jest, ale jutra może nie być. Co to znaczy?

Pamiętaj, że mogę stać się dla Ciebie przyjacielem. Tylko przyjacielem, jeśli niczego więcej nie będziesz chciała. Takim, który nie pozwoli Ci upaść.

A.

PS Pójdę do akwarium, a później opowiem Ci o delfinach.

Adamowi zależało na tym, by z okien roztaczał się widok na port. Podkreślił to wyraźnie w korespondencji z właścicielką mieszkania przy piazza Caricamento. Wybrał tanie lokum w starej kamienicy, dwa pokoje, jeden od strony wąskiej uliczki, w której było niemal zupełnie ciemno i brudno. Kiedy znalazł się na miejscu, drzwi otworzyła mu drobna, niska dziewczyna z długim warkoczem. Miała na sobie luźną sukienkę, w której zdawała się tonąć, jej twarz wydawała się bezbrzeżnie zmęczona, a na lewym ramieniu widniały dwa duże fioletowe siniaki. Adam przełknął ślinę. Wszedł do środka i zrzucił plecak z ramienia. Dziewczyna odezwała się do niego po

angielsku, bardzo wolno i wyraźnie artykułując każde słowo. Budowała proste zdania i mówiła z silnym włoskim akcentem. Pokazał jej paszport i zapłacił kwotę, na którą się umówili. Dziewczyna uśmiechnęła się, ale nie był to nawet uprzejmy uśmiech – raczej kurtuazyjny i wymuszony. Nie mógł powstrzymać się przed ponownym spojrzeniem na jej posiniaczone ramię. Zarumieniła się.

– Pewnie pan uważa, *signore*, że mąż mnie bije. Pewnie powinnam nosić długie rękawy. Jak pan myśli?

– Ja... nie wiem – zająknął się, zaskoczony tą nagłą szczerością. Przeszedł na włoski i dziewczynie wyraźnie ulżyło, że nie musi już skupiać się na wymowie każdego słowa.

– Nie noszę ich, bo nie mam niczego do ukrycia.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Nie.

Adam rozejrzał się nerwowo po małym salonie. Za oknami, po drugiej stronie ulicy, majaczyła szklana bryła z szyldem „Acquario di Genova”. Dziewczyna przez chwilę mechanicznie kiwała głową.

– A jednak, gdybym nosiła długie rękawy, nie patrzyłby pan na mnie ze współczuciem, *signore*.

Chciał zaprzeczyć, powiedzieć, że to wcale nie współczucie, tylko... no właśnie – co? Wymyślanie kłamstwa zajęłoby mu za dużo czasu i ona z pewnością natychmiast zorientowałaby się w sytuacji. Była zrezygnowana i mówiła bez emocji, prawie bez intonacji. Nigdy wcześniej nie pomyślał, że po włosku też można mówić w taki sposób.

– Przepraszam – wydukał tylko.

– Nie ma za co. Widzi pan, *signore*, rzeczywiście mam męża i rzeczywiście nie jestem z nim zbyt szczęśliwa, ale to nie to, co pan myśli. On wymaga stałej opieki. Jest... nie wiem, jak to ładnie powiedzieć. Więc powiem nieładnie. On jest jak warzywo.

Słowo *verdura* wypowiedziała z przedłużonym i głośnym „r”.

– Warzywo?

– Właśnie. Planował się zabić, kilka lat temu. W ciekawy sposób.

Wskoczył do morza, ale umiał pływać, więc... po prostu płynął. Przed siebie, ciągle przed siebie, dalej i dalej. Chciał chyba opaść z sił, tak by nie móc zawrócić. Nie miał dobrej kondycji, zerwał się wiatr, fale zrobiły się większe, a na dodatek on się zachłysnął. Zaczął tonąć.

– Więc dlaczego...?

– Wciąż żyje? I jest warzywem? Zauważyli go ludzie z jakiegoś jachtu. Ktoś rzucił się do wody na ratunek. Odważny. Ja bym się nie rzuciła. Do morza trzeba mieć szacunek. Wyłowili go. Długo był nieprzytomny, myślałam, że będzie spał już zawsze, ale on się obudził. A raczej otworzył oczy i zaczął oddychać. Nikogo nie poznawał, nie mówił, nie umiał nic koło siebie zrobić. I tak już zostało. Dzisiaj, kiedy go obracałam i myłam, zachwiałam się i uderzyłam o szafkę. Stąd te siniaki. I to cała historia.

– Ma pani kogoś do pomocy?

– Tak, pana.

– Mnie?

– I innych ludzi, którzy wynajmują to mieszkanie. Są z tego pieniądze.

– Miałem na myśli...

Dziewczyna ze zniecierpliwieniem machnęła ręką i sięgnęła po torebkę.

– Miłego pobytu. Kiedy będzie pan wyjeżdżał, proszę zostawić klucz na stole i zatrzaskać drzwi. Od zewnątrz jest gałka, nikt nie wejdzie. Do widzenia.

Zdażył jedynie skinąć głową. Dziewczyna pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę słyszał jeszcze jej kroki na schodach. I to było tyle. Więcej się nie zobaczyła, bo klucz ma położyć na stole. Kolejna osoba, która pojawiła się w jego życiu na minutę, by zostawić swoją historię, by przeszyć powietrze swoim głosem i zniknąć, a po latach stać się jedynie twarzą o zamazanych rysach. Adam podszedł do okna i spojrział w stronę portu. Czuł zapach morza, spalin i pizzy, słyszał gwar rozmów, muzykę i brzęczenie kieliszków. Był spokojny. Nie chciał myśleć za wiele o tym spokoju, ze strachu, że kiedy się na nim skupi, on zniknie.

11. Zaułki

Greta dobrze opisała centrum Genui. Miasto wydało się Adamowi zarazem imponujące i piękne, przytłaczające i zaniedbane. Od tak dawna nie opuszczał Wrocławia z jego szerokimi ulicami, przestronnymi placami i światłem słonecznym, które zdawało się docierać w najgłębsze zakamarki, że odzwyczaił się zupełnie od innego rodzaju przestrzeni. Zaułki, o których wspominała Greta, przyprawiły go o ataki klaustrofobii, a ta z kolei zacierała inne fobie, liczne i odbierające energię. Miał wrażenie, że całe historyczne centrum Genui składa się właśnie z zaułków i wąskich uliczek, których nazwy zlewały się w całość, i była tak naprawdę jedna *via* i jedno *vicolo*. Jeden labirynt, w którym z początku się gubił, ale w którym z czasem zaczął się odnajdywać. Lepiej orientował się w terenie i nie tyle poznał to miejsce, ile je poczuł, intuicyjnie wybierał drogę, identyfikował budynki, wsłuchiwał się w odgłosy miasta.

Obserwował ludzi, dziwił się, jak wielu pali papierosy i rzuca pety na chodnik, nawet ich nie przydeptując, jak wielu z nich wychodzi rano na kawę, tylko po to, by przełknąć dwa łyki espresso nie w swoich czterech ścianach, a gdzieś indziej, i jak wielu kupuje w kiosku gazetę. On sam czytał zawsze wiadomości w internecie, nie pamiętał, kiedy przeglądał prasę. Ale tutaj *giornale* zdawało się poranną lekturą obowiązkową. Adam również zaczął kupować jeden z lokalnych dzienników i czytać go do śniadania. Uporał się też wreszcie ze świadomością otaczającego go brudu i kurzu. Z początku mył ręce pod każdym publicznym kranem i w fontannach, ale później dał już sobie z tym spokój. Podobnie jak z zatykaniem nosa, kiedy czuł buchający od wąskich ulicznych korytarzy zapach moczu i skisłego

jedzenia. Nie unikał dotyku ścian, poręczy, nie bał się siadać na schodkach. Starał się po prostu żyć – żyć w Genui, jak gdyby mieszkał tu od zawsze. Albo przynajmniej tak, jak próbowała przez chwilę żyć tu Greta po śmierci Iman. Odwiedził miejsca, o których wspominała, i zamierzał jej o nich napisać. Odkrywał też swoje. Kolejne place i kolejne zaułki, najwęższą kamienicę, jaką w życiu widział, na ulicy, której nazwy nie mógł zapamiętać, musztardową fasadę z odrapanym tynkiem na piazza delle Erbe i maleńki dom Kolumba, pod którym spodziewał się wielkiej kolejki, a nie zastał prawie nikogo. Via Dante i parking z morzem skuterów i motocykli, kościół del Gesù z obrazami Rubensa, piazza San Lorenzo, z której, klucząc wśród wąskich uliczek, po raz pierwszy szedł ku słynnej via Garibaldi. Widział bazylikę Santissima Annunziata del Vastato, tę wciąż nie do końca odnowioną po alianckich bombach, i wreszcie także akwarium. Widział delfiny. Dał sobie czas i nigdzie się nie spieszył.

Pewnego dnia kupił pizzę, którą odwinął z otłuszczonego papieru na piazza de Marini i zjadł ją, w taki sposób, w jaki opisała to Greta. Widział też wspomniane przez nią prostytutki, ich czerwone usta i mocno umalowane oczy, krótkie spódniczki i bluzki opięte na piersiach. Przyspieszył kroku i otarł pot z czoła, a kiedy wyszedł z plataniny wąskich uliczek na piazza Ferrari, zadzwonił do Nity. Odebrała za trzecim razem. Radziła sobie w galerii i przyzwyczała się już do regularnych kontroli Zygmunta. Ten ostatni zaglądał do Chiary codziennie, choć przecież był wciąż zajęty promowaniem wystawy, udzielaniem wywiadów i pokazywaniem się na ważnych bankietach. I oczywiście malował. Niemniej – jak zwykle – zaangażował się w pomoc Adamowi i było to dla wszystkich jasne, że poza zwykłą sympatią do przyjaciela kierował się czymś jeszcze. Nie ufał Nicie. Mówiła, że to dobrze o nim świadczy, choć w głębi serca na pewno czuła gorycz. Wreszcie zadała pytanie, od którego zaschło mu w gardle.

– Pewien mężczyzna chciałby kupić obraz Grety di Biase. Portret *Greta w srebrnym welonie*. Czy jesteś gotowy go sprzedać?

Adam podszedł do ogromnej fontanny, zanurzył jedną dłoń w wodzie i otarł sobie czoło.

– Jak to się stało, że w ogóle zobaczył *Grete*? – zapytał słabo.

- Słucham?
 - Jak to się stało, że widział *Grete*? Oba obrazy stały w moim gabinecie.
 - Zygmunt powiesił je w galerii. Myślałam, że taki był twój zamiar, tylko nie zdążyłeś przed wyjazdem.
 - Zygmunt? – powtórzył słabo. Czyli o to mu chodziło, kiedy pytał, czy może coś przewiesić. Powinien był się domyślić.
 - Tak.
 - Zdejmij je.
 - Adam...
 - I schowaj z powrotem w gabinecie.
 - Ten człowiek nie chce negocjować ceny. To sporo pieniędzy...
 - Schowaj je. Nie są na sprzedaż.
 - Oszalałeś? Uważam, że robisz błąd.
 - Stałaś się nagle ekspertką? Po trzech tygodniach pracy w galerii, podczas gdy wcześniej...
- Urwał.
- Odpowiedziała mu cisza.
- Adam westchnął ciężko.
- Przepraszam – powiedział po chwili. – Przesadziłem.
 - Czyli mam je schować? – podjęła, wymawiając każde słowo powoli i cicho.
 - Tak.
 - Tylko te dwa?
 - Tak.
 - Pytam, bo w galerii były jeszcze trzy obrazy autorstwa tej di Biase, nie wiedziałam...
 - Pozostałe są na sprzedaż. – Kiedy to powiedział, poczuł ukłucie w sercu. Zwrot „tej di Biase” zabrzmiał szorstko i nieprzyjemnie.
 - No to mi ulżyło. Wczoraj poszedł *Genueńczyk*, za pięć, tak jak wyceniłeś. Choć moim zdaniem jest wart dużo więcej. Ale, jak sam zauważyłeś, żadna ze mnie ekspertka.
 - Przestań. Przeprosiłem cię.
 - Tak, przeprosiłeś. Ale wiesz też, że mam rację co do *Genueńczyka*.

Zygmunt mówi...

– Zygmunt niech się lepiej skupi na swojej karierze.

– Jesteś niesprawiedliwy. On bardzo mi pomaga. A raczej powinnam powiedzieć – pomaga tobie. Jest może *control freakiem*, ale z tym da się jakoś żyć. Mogę go nie lubić i on może nie lubić mnie, a jednak bez niego nie dałabym sobie tutaj rady. I zna się na temacie, w przeciwieństwie do mnie. Mówi, że to doskonale dzieło. Wszystko w nim jest doskonale – kolory, gra światła na wodzie, a przede wszystkim ten czarnoskóry chłopczyk handlujący w porcie jakimiś chińskimi bublami.

– To nie zawsze są chińskie buble. Oni sprzedają też afrykańskie naszyjniki z drewnianych koralików, które nie są robione fabrycznie.

– Naprawdę? W każdym razie – ponoć chłopiec jest namalowany perfekcyjnie. Zygmunt zachwycił się głębią obrazu, przekazem, nostalgią, w ogóle nastrojem...

– Wyobrażam sobie, czym się zachwycił Zygmunt, bo słuchałem już jego wywodów nie raz.

– Mówi, że *Genueńczyk* powinien wisieć w najlepszych galeriach, a nie u ciebie. I że...

– I że?

– Masz obsesję na punkcie tej Grety. Opowiadałeś mi o niej, pamiętasz? Mówiłeś, że korespondujecie, ale nie wspominałeś o żadnej obsesji. A ja chyba zaczynam rozumieć... Dlatego nie chcesz sprzedać jej portretów. Mam rację?

Adam ponownie zanurzył dłoń w wodzie, nabrał odrobinę i chlusnął sobie w twarz. Pojedyncze kropelki upstrzyły telefon.

– Nita, przepraszam, ale muszę kończyć – wycedził.

– To do niej pojechałeś?

– Trzymaj się i jesteśmy w kontakcie. Zadzwoń wkrótce.

– Adam!

– Cześć.

Rozłączył się, zanim zdążył zmienić zdanie. To pytanie było niebezpieczne. Miał ochotę odpowiedzieć: „Tak”, miał ochotę mówić o tej obsesji, o Grecie, o tym, że albo pokochał prawdziwą osobę, albo doskonale

wykreowaną postać, albo swoje własne złudzenia. Ale pokochał. Miłością, która prowokuje człowieka do największych poświęceń i popycha do najgorszych głupstw. Mógł przewidzieć, że jeśli ponownie kogoś pokocha, to właśnie taką miłością. Nie był już zdolny do odczuwania normalnych, wyważonych emocji. Popadał w skrajności, w niczym nie potrafił znaleźć równowagi. Jeśli się czegoś bał, to całym sobą. I jeśli coś kochał, to również bezkompromisowo. Jak obrazy. Jak listy od Grety i jej twarz na płótnie.

O dziwo, ucieszyło go to odkrycie, świadomość, że myśl o kobiecie, odczytywanie po sto razy jej słów, historia, którą mu opowiadała, są w stanie popchnąć go w przepaść, doprowadzić do całkowitego zatracenia. I przede wszystkim – do działania. Do zmiany, podjęcia wysiłku, zrobienia czegoś, na co od lat reagował paralizującym strachem. Miał wrażenie, że wcześniej nie potrafił kochać w ogóle, nikogo. Nie odkąd stał się osobą, którą był teraz. A już zwłaszcza nie potrafił kochać samego siebie. Z tą nowo odkrytą prawdą ruszył przez piazza Ferrari. Musiał napisać do Grety. Musiał wreszcie opowiedzieć jej o delfinach, jak obiecał. Nawet jeśli na swój poprzedni e-mail nie otrzymał jeszcze odpowiedzi.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Delfiny

Dlaczego milczysz? Od trzech tygodni jestem w Genui, pisałem do Ciebie, chodzę Twoimi ścieżkami, oglądam port, czarnoskórych sprzedawców okularów, statki, stare kamienice, widzę zacieki na ścianach, odrapane tynki i prostytutki w ciemnych zaułkach. Jadłem pizzę z papieru na tym placu, o którym wspominałaś. Siedzę na schodkach piekarni, księgarni i antykwariatów, zaglądam przez szyby do zakładów fryzjerskich i małych galerii, które przypominają mi o mojej własnej, oddanej w ręce innych ludzi.

Genua musiała być dawniej piękna, dumne miasto, dumna republika.

Teraz też jest piękna – pięknem trudnym, przybrudzonym i nieoczywistym. Kiedy idę wąską uliczką i oddycham ustami, by nie czuć przykrych zapachów, staram się patrzeć na architekturę, zdobienia i rozwiązania konstrukcyjne. Widziałem na przykład płaską i wąską budowlę – od ściany do ściany góra dwa, może trzy metry – a za nią kolejną, tak blisko, że jeśli dwoje ludzi wychyli się przez okno, mogą podać sobie dłonie. Minęła mnie tam kobieta w czerwonej chuście na głowie i wzorzystej, luźnej sukience.

Pomyślałem o wszystkim, co opowiedziałaś mi o Genui. Miałem wrażenie, że jestem w Twojej opowieści, może zaraz Cię spotkam i pójdziemy tam, gdzie mieszkałaś. Ja również wynająłem dwa pokoje w kamienicy z widokiem na port. I dzieje się coś dziwnego. Mam ochotę szkicować. A kiedy zobaczyłem kobietę w czerwonej chuście i wzorzystej sukience, chciałem ją nawet namalować. Wybrać najintensywniejsze kolory, a później przenieść ją na płótno dzięki krótkim, energicznym pociągnięciom pędzla. Wiem, że nie byłoby to dobre malowidło. Poprawne, być może. Niemniej obudziła się we mnie chęć, by poćwiczyć dłoń, przypomnieć sobie konkretne ruchy, za pomocą których odtwarzałem na papierze moją wizję świata.

Kupiłem węgle i blok, usiadłem w porcie. Czy wiesz, co zacząłem szkicować zamiast kobiety w chuście, takiej jaką ją zapamiętałem? Ciebie. Twoją twarz. Tę, którą znam z obrazów. Miałem dotąd wrażenie, że lewa strona Twojej twarzy jest mniej wyraźna, o lekko zatartych konturach. Mówię o Grecie w welonie, bo Greta nad Iseo pokazuje tylko prawy profil. Teraz to już nie jest wrażenie, ale pewność. Lewa strona twarzy Grety jest niewyraźna, a kontrast z prawą, choć niedostrzegalny na pierwszy rzut oka, nieprzypadkowy. To celowy zabieg, prawda? Szkicuję Cię też z tęsknoty. Nie piszesz. Nie mogę przestać myśleć o braku odpowiedzi. Trzy tygodnie, i to właśnie wtedy, gdy ja jestem tutaj.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, a nie odzywasz się, bo nie chcesz, żebym Cię znalazł. Ty nie żartowałaś, prawda? Dlaczego, po tym wszystkim, co mi opowiedziałaś? Ile tak naprawdę możesz jeszcze ukrywać? Wiem, jestem natarczywy, zadaję pytania, na które na pewno mi nie odpowiesz, ale... chodzi mi po głowie tamta informacja z portalu prasowego. Pożar w Bergamo, akurat w tej kamienicy, gdzie teraz ma swój butik

Valentina Savio i gdzie mieszka jej brat. Twoje szczątkowe informacje o mężu i życiu po ślubie, moje przeczucie, że Twojego męża już nie ma... Ogień. Pisałaś ostatnio o ogniu, o śmierci w płomieniach. Czy mam rację? Czy to Ty byłaś w tamtej piwnicy – Ty i Twój mąż? Proszę, odezwij się. Nie musisz się mnie bać. Po tym wszystkim, co napisałaś i co ja napisałem, wiesz, że jesteśmy sobie bliscy. Powiedziałbym, że zakochałem się w Twoim wyobrażeniu, w Tobie na obrazach, w Twoich słowach i w Twoim wizerunku. Ale powiem – zakochałem się w Tobie. Nawet jeśli wciąż się boję, że nie istniejesz.

Odwiedziłem akwarium i widziałem delfiny. We Wrocławiu też mamy akwarium, byłem tam kiedyś, za pierwszym razem zupełnie mi się nie podobało. Poszedłem w sobotę, podobnie jak pół miasta i na dokładkę wszyscy przyjezdni. Pod szklaną kopułą było tyle ludzi, że ledwo znajdowałem kawałek podłogi, by postawić na niej stopę. Nad naszymi głowami pływały płaszczki i rekiny, a my walczyliśmy o oddech. Uciekłem stamtąd szybko. Następnym razem wizyta wypadła znacznie lepiej. Umówiłem się z Zygmuntem, on wziął wolne w pracy, a ja postanowiłem otworzyć galerię kilka godzin później niż zwykle, i poszliśmy do akwarium w środku tygodnia. Było tam zaledwie kilka osób. Usiedliśmy na wysokich kamiennych schodach i patrzyliśmy na ryby. To było naprawdę kojące. Ciemność rozpraszana jedynie przez słabe błękitne światło. I cisza.

Tutaj nie doświadczyłem takiej ciszy. A jednak akwarium w Genui jest dużo większe niż nasze, więc wycieczki się rozproszyły i dało się normalnie oddychać. Widziałem wszystko. Meduzy, mureny, rafy koralowe. Delfiny. Trenerka wydawała im polecenia, one słuchały i wykonywały wszystkie, a w nagrodę dostawały ryby. Uśmiechałem się, kiedy na nie patrzyłem. Miałem wrażenie, że one też się uśmiechają. I przede wszystkim – że są wszystkiego doskonale świadome. Ludzie poszli chyba ewolucyjnie w złą stronę, stracili radość życia czerpaną z prostych przyjemności, takich jak możliwość ruchu, porozumiewania się z innymi, jedzenia, oglądania świata i wydawanie na ten świat potomstwa. Takich jak pełny oddech, który się bierze po wynurzeniu.

Zrobiłem delfinom zdjęcie i nagrałem film telefonem. Przesyłam Ci to

w załączniku.

Napiszę więcej dopiero wtedy, kiedy się odezwiesz.

Pojutrze jadę do Voltri. Muszę zobaczyć wzgórze, z którego obserwowałeś pożar.

Proszę, napisz. To były najdłuższe trzy tygodnie w moim życiu.

Całuję

Adam

12. Puste miejsce, żywa tkanka

Tego wieczoru, kiedy wysłał e-mail do Grety, Adam postanowił zjeść kolację na mieście. Wydawało mu się, że dziś nie będzie w stanie wyjść poza piazza Caricamento i stracić z oczu portu, nawet jeśli ostatnio coraz częściej zapuszczał się w rejony zupełnie sobie nieznane. Przekonał się, że z początku patrzył na Genuę fragmentarycznie i charakteryzował ją przez pryzmat tego, co widział właśnie przy porcie i Caricamento, przy katedrze i na wąskich uliczkach dookoła – widział zalegające na chodnikach śmieci, czuł papierosowy dym, mijał bary prowadzone przez Arabów i Hindusów, patrzył na handlujących w porcie Afrykańczyków, pośród których na pewno była niejedna Iman i niejeden chłopiec sprzedający okulary. Kiedy oddalał się od *centro storico*, od brudnego dworca na piazza Principe i via Balbi, a zbliżał ku piazza della Nunziata i via Brignole de Ferrari, do parków i ogrodu botanicznego, a wreszcie wsiadał w pociąg i ruszał w stronę stacji Genova Nervi, widział inne miasto.

Oglądał pozostałości dumnej republiki, przestronne majestatyczne wille, mosty, monumentalne kamienice z zielonymi okiennicami, chroniącymi wnętrza przed liguryjskim słońcem. Te okna przywodziły mu na myśl oczy przysłonięte ciężkimi powiekami po bezsennej nocy. Lubił patrzeć na życie, które się tutaj toczyło. Leniwie popijaną kawę, szelest gazet, ekspedientki nakładające na talerze słodkie cornetti, gorącą pizzę lub foccacię. Zwyczajny świat zwyczajnych ludzi, spieszących się do pracy, borykających z własnymi problemami. Teraz znał prawdziwszą Genuę, z jej wadami i zaletami, nie definiował jej przez pryzmat portu i prostytutek na vico Stoppieri. Tak jak nie chciałby, aby ktoś patrzył na Wrocław jedynie przez pryzmat Śródmieścia

i „trójkąta bermudzkiego”. Przyszło mu też do głowy, że z początku wszędzie widział śniadych i czarnoskórych imigrantów, bo w Polsce na co dzień spotykał ich jednak znacznie rzadziej. Przywykł do widoku białych ludzi, wśród których tylko część manifestowała autentyczną otwartość na świat. Nie sądził jednak, by wszyscy Włosi tak samo akceptowali kulturową odmiennność. Zauważył, że dziećmi opiekowały się głównie matki, w restauracjach widział więcej mężczyzn niż kobiet, w piekarniach i sklepach spożywczych więcej kobiet niż mężczyzn, a starsze włoskie matrony nie wynajmowały mieszkań parom bez ślubu – i chodziło tu raczej o samą zasadę niż o niezgodę na „grzeszne” życie, bo przecież kościoły pustoszały i coraz więcej ludzi odchodziło od zinstytucjonalizowanej religii. Jak wszędzie. Adam obserwował to genueńskie życie z wielką ciekawością i zastanawiał się, ilu spraw wciąż nie rozumie, a ilu nie zrozumie nigdy.

Przedłużające się milczenie Greta chwiała jego dopiero co odzyskiwaną równowagą, choć wiedział przecież, że takie sytuacje już się wcześniej zdarzały i ona zawsze – prędzej czy później – odpowiadała. Między wtedy a teraz istniała jednak pewna różnica, która sprowadzała się przede wszystkim do miejsca. Wtedy Adam był w Polsce, a teraz we Włoszech. Bliżej. Greta mogła w tym widzieć zagrożenie i nie sądził, by się mylił, kiedy pisał, że nie chce zostać odnaleziona. Po raz pierwszy uświadomił to sobie z taką siłą. Pisał jej o miłości, o poznawaniu miejsc dla niej ważnych, opowiadali sobie o obrazach i wyobrażali sobie siebie w intymnych sytuacjach. Wiedział, że ona może zwyczajnie nie być osobą, którą stworzył w myślach, że może mieć inny głos, może inaczej pachnieć. A jednak zawsze widział wyraźny finał tej historii. Niezależnie od tego, kim naprawdę jest Greta i czy wygląda jak dziewczyna z obrazów, wreszcie się spotykają. On przyjeżdża do Bergamo czy do Sarnico nad jeziorem Iseo, widzi ją, zaczynają rozmawiać, najpierw nieporadnie i nieskładnie, jak ludzie, którzy widzą się po raz pierwszy w życiu, a później coraz śmieiej. Uświadamiają sobie, że przecież tak naprawdę świetnie się znają – znają się na wskroś i niewiele mają przed sobą tajemnic. Rozmowa staje się swobodniejsza, oddychają spokojniej, nie śmieją się nerwowo, nie drapią po karkach, nie skubią włosów i nie strącają z ubrań niewidzialnych pyłków. Patrzą sobie w oczy. I wiedzą,

że to, co zawarli w swoich opowieściach, jest prawdą. A później? Adam nigdy nie wybiegał tak daleko w przyszłość. Ważne było samo spotkanie, do którego przecież musiało dojść. Ale czy na pewno?

Kiedy szedł w stronę piazza della Nunziata, nie był już co do tego przekonany. Milczenie Greta dało mu do myślenia. Przecież był tutaj. Gdyby chciała się z nim zobaczyć, właśnie nadarzyła się doskonała okazja. Może w swoim ostatnim e-mailu powiedział za wiele i nie powinien był zdradzać się ze swoimi podejrzeniami co do pożaru w butik. Sam określił swoje pytania jako natarczywe. Greta mogła się przestraszyć, tak zwyczajnie, po ludzku. Powiedziała przecież, że doświadczyła przemocy, i teraz z pewnością reagowała negatywnie na wszelkie próby wywierania na nią jakiegokolwiek nacisku. Czy powinien się dziwić?

Przystanął na placu i spojrzął na bielejącą przed nim fasadę bazyliki Santissima Annunziata del Vastato. Miał wrażenie, że przytłacza go ta masywna bryła, sześć kolumn, szerokie kamienne schody i troje drzwi, których brązowe skrzydła odcinały się wyraźnie na tle jasnych ścian. Kościół zniszczony przez alianckie bomby. Nie obejrzał go tak dokładnie, jak zamierzał. Ominął budynek, pokonał kilka metrów i wszedł do pierwszej foccacerii, jaka rzuciła mu się w oczy. Nie zapamiętał nazwy, ale miał pewność, że trafił w odpowiednie miejsce, kiedy zobaczył, że pod ladą zamontowano dużą przeszkloną gablotę – ułożono w niej mnóstwo książek, głównie starych, antykwarycznych egzemplarzy. Zamówił foccacię z warzywami i żółtymi serem, wybrał sobie książkę i zajął stolik. Nie przypadkiem zdecydował się na historię bazyliki Annunziata, a książka, wydana w latach osiemdziesiątych, zawierała sporo informacji i zdjęć z czasu wojny. Pogryzając foccacię, przerzucał kolejne strony. Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś pochyła się nad jego stolikiem. Uniósł głowę i spróbował się uśmiechnąć.

– Mogę w czymś panu pomóc?

Nie wiedział, czy to pytanie było na miejscu. Szybko opanował język włoski, którego zaczął się uczyć na pierwszym roku historii sztuki, ale zawsze miał kłopot ze zwrotami grzecznościowymi. Często też uciekał w kalki językowe i efekt nie zawsze okazywał się pozytywny. Najtrudniejsze

było jednak przyzwyczajenie się do włoskiej ekspresji, nadmiernej gestykulacji, żywej intonacji i, tak po prostu, głośności. Nawet jeśli miał wrażenie, że dzięki tym wszystkim czynnikom łatwiej Włocha zrozumieć – także nie znając jego języka w ogóle. W tym kraju zawsze opłacało się postawić na mowę ciała. Oczywiście, jak wszędzie, nie wszyscy byli tacy sami.

Teraz stał przed nim chudy staruszek wsparty na lasce, ubrany w ciemne spodnie i idealnie wyprasowaną kremową koszulę z krótkim rękawem. Adam nie miał pojęcia, co taki efektowny człowiek robi w knajpie, w której je się foccacię plastikowym widelcem. Mężczyzna uśmiechnął się, a jego twarz pokryła się jeszcze głębszymi zmarszczkami. Wskazał krzesło. Adam skinął głową i przesunął książkę w swoją stronę, tak by nie zakrywała całego blatu. Staruszek usiadł, oparł łaskę o ścianę i wymienił spojrzenia z kelnerką. Chwilę później na stole pojawiła się zamówiona przez niego foccacia i dwie porcje spritzu.

– Pan nie jest stąd, prawda? Mówi pan dobrze po włosku, ale słyszę akcent... słowiański? Polski?

– Większość pomyliłaby z rosyjskim – odparł Adam, szczerze zaskoczony. – Trudno się dziwić, polski to nie jest jakiś popularny język.

– Bartolomeo Pisa, miło mi.

– Mnie również. Adam Dancer.

– Jestem filologiem klasycznym. Przez wiele lat tłumaczyłem łacińskich klasyków i greckie tragedie. Jak człowiek cały czas siedzi w gramatyce, przekładach, słownikach, to zaczyna inaczej słyszeć. Poza tym warto się uczyć różnych języków – im więcej ich człowiek zna, tym szersze ma spojrzenie na świat. Kultura odbija się w języku, trudno, by było inaczej.

– To prawda. Ale ja znam tylko włoski i angielski. Kiedyś lepiej angielski, a teraz lepiej włoski. Chyba. Choć może mi się tylko wydawać.

– I co?

– O co pan pyta?

– Jak jest po angielsku „bułka”?

– Słucham?

– Bułka. Po angielsku.

Adam odłożył widelec i podrapał się po brodzie. Poczuł, że się czerwieni.

– Nie pamiętam – przyznał po chwili.

Słowo „bułka” po angielsku zupełnie wyleciało mu z głowy. Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że nigdy, w żadnym zdaniu, nie musiał go użyć.

– Nie jest pan pierwszą osobą, która ze swobodą posługuje się włoskim słowem *panino*, a jednocześnie nie pamięta słowa bułka po angielsku, choć sądzi, że angielski zna lepiej niż włoski.

– To bardzo ciekawe.

– Prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się, przeżuł kęs foccacci i przesunął w stronę Adama szklankę ze spritzem. – *Salute!*

– *Salute.*

– A może woli pan co innego?

– Nie, nie w porządku. W Polsce też piję spritz zawsze wtedy, kiedy jest taka możliwość. Jem makaron z sosem pomidorowym albo z pesto, parzę kawę we włoskiej kawiarni i ogólnie jestem chyba mało polski.

– Tylko nie jest pan po włosku swobodny.

– Chyba nie.

– To od razu widać. Włosi nie lubią siedzieć w domu, uwielbiamy wychodzić, spotykać się z ludźmi, długo i głośno rozmawiać, czytać gazety, pić kawę w kawiarni, wino wieczorem, słuchać muzyki, śpiewać! Włoch nie czuje się źle w restauracji, to do niego niepodobne. Zwłaszcza tacy starzy ludzie jak ja... Oczywiście wszystko się zmienia, nie ma czasu, żeby tak po prostu siedzieć. A jednak... pan nie czuje się tu dobrze. Jest pan spięty.

– Nie chodzi o to miejsce. Wszędzie jestem spięty. – Adam wzruszył ramionami. Staruszek w nienagannie wyprasowanej koszuli był już kolejną nowo poznaną osobą, której powiedział o tym wprost.

– Tak... Tak, jestem w stanie w to uwierzyć. Wolno zapytać dlaczego?

– To długa historia.

– Ulubiona wymówka człowieka, który chce się wymigać od odpowiedzi.

– To prawda.

Adam roześmiał się, a jego towarzysz zamówił następną kolejkę. W ich szklankach zostało już niewiele spritzu.

– Czy wie pan, dlaczego postanowiłem narzucić panu swoje towarzystwo?

– Nie narzuca się pan. Jest mi bardzo miło.

– Czy zatem wie pan, dlaczego się przysiadłem?

Zanim Adam pokręcił głową, mężczyzna postukał w leżącą na blacie książkę.

– Interesuje pana ten kościół?

– Interesuje mnie każde miejsce, w którym są obrazy albo freski.

– Rozumiem. Jest pan człowiekiem z pasją.

– Można tak powiedzieć.

– Zjemy coś jeszcze? Może kawa i deser? Canestrelli?

– Chętnie.

Po chwili kelnerka postawiła przed nimi dwie filiżanki espresso i talerzyki z kruchymi ciastkami na bazie migdałów. Zamówili także ponownie spritz. Staruszek ułożył się wygodnie na siedzeniu i leniwie przekartkował książkę.

– Wie pan, że kościół zniszczyły wojenne bombardowania?

– Słyszałem.

– Wie pan, że to były bomby alianckie?

– Włochy nie zajęły w tej wojnie miejsca po właściwej stronie barykady. Przynajmniej na początku.

– Ach tak, jest pan z tych, którzy uważają, że skoro Italią rządzą faszyci sprzymierzeni z Hitlerem, to należało spuścić na nią bomby, jak spuszczano na każdego wroga. Bez oglądania się na straty. Nie tylko straty dla Włochów, panie Adamie, ale dla całego świata. Dla całej światowej kultury. Oburza się pan, kiedy czyta o tym, że Państwo Islamskie niszczy zabytki starożytnej Hatry?

– Oczywiście.

– Ale nie oburza się pan, kiedy w opracowaniach historycznych czyta, że mediolańska *Ostatnia wieczerza* ocalała cudem dzięki zaporze z worków z piaskiem, podczas bombardowania refektarza klasztoru Santa Maria delle

Grazie? Spuścili bomby, choć wiedzieli, co się tam znajduje. I wiedzieli, że Leonardo da Vinci już drugiej takiej *Ostatniej wieczerzy* nie namaluje.

– Myślę, że to była inna sytuacja. Nikt nie wierzył, że alianci zbombardują Włochy, rząd poczuł się bezpiecznie, nikt nie traktował gróźb poważnie, poza tym wszystkich już powoli denerwował papież, który...

– Nigdy nie wystąpił ostro przeciwko faszystom i był nastawiony przychylnie do niektórych narodowo-faszystowskich dyktatur. Wiem. Milczący papież.

– Właśnie.

– Niemniej, kiedy Amerykanie w czterdziestym trzecim spuścili bomby na Rzym, był w wielkim szoku, wyszedł na ulicę, razem z kardynałem Montinim...

– Udał się do Bazyliki Świętego Wawrzyńca, modlił się, rozdawał pieniądze. Istnieją obrazy, które przedstawiają papieża z uniesionymi ramionami, w ubrudzonych krwią szatach. Oczywiście. Ale do czego pan zmierza? Myślałem, że rozmawiamy o zabytkach.

– Rozmawiamy o zabytkach. Nie sądzi pan, że zabytki powinny być kwestią rozpatrywaną poza polityką? I wszyscy ci ludzie – Mussolini, Hitler, król Włoch, milczący papież – nie mają tu w gruncie rzeczy żadnego znaczenia?

– Powinny być rozpatrywane poza polityką.

– Czyli tu się zgadzamy.

– Nie do końca. Uważam, że wszyscy ci ludzie, jak pan to ujął, mieli dla tej sprawy ogromne znaczenie. Kiedy w grę wchodzi wojna, każdy pilnuje swojego interesu. Tyle że we Włoszech chyba o tym w pewnym momencie zapomniano.

– Bo zabytki nie były tylko włoskie – były dobrem wspólnym! I każdy powinien się o nie troszczyć.

– A jednak teraz uważa pan je – jak wszyscy Włosi – za kulturowe dziedzictwo Italii. Włochy czerpią zyski z turystyki, pobierają opłaty za wstępy do muzeów, na wystawy, do pałaców i galerii. I dobrze. Tak być powinno. Grecy traktują swoje zabytki z jeszcze większym namaszczeniem. Proszę się jednak nie dziwić, że w sytuacji zagrożenia również potraktowano

te dobra jako wasze.

– I wielu uznało je za nasz słaby punkt?

– Właśnie. Wcale się temu nie dziwię. Również zrobiłbym wiele, by ocalić choć jeden kościół z cennymi freskami. Choć jedną rzeźbę, jeden obraz, nawet jedną małą akwarelkę. Powołano zresztą specjalną sekcję...

– Wiem, wiem. Ludzie od ochrony zabytków, z różnych krajów i frakcji politycznych. Powstała nawet o tym książka. I film...

– *The Monuments Men*.

– Okropnie nudny.

– Prawda? To niezwykle, że z tak ciekawego tematu można zrobić tak nudny film.

Adam przypomniał sobie fotografię autora książki, Roberta M. Edsela, za którego plecami wisi *Madonna of the Cherries* Giampietrina. On i Bartolomeo Pisa patrzyli na siebie przez chwilę, po czym parsknęli śmiechem. Napili się kawy, zjedli po ciastku, a przed nimi pojawiły się drinki. Zapach prosecco i plasterów pomarańczy wydał się Adamowi bardziej intensywny niż wcześniej. Schrupał jeszcze jedno canestrello i otarł usta serwetką. Nie wiedział, do czego zmierza ta rozmowa, ale musiał przyznać, że sprawia mu przyjemność. Na kilkanaście minut zapomniał o wszystkim – swoim lęku i dyskomforcie, wnioskach płynących z obserwacji genuencyków, obrazach, a nawet Grecie di Biase, która uparcie milczała, choć przecież napisał jej o delfinach.

Bartolomeo Pisa dopił kawę i odsunął filiżankę. Założył nogę na nogę i splótł palce na kolanie.

– W kościele Santissima Annunziata del Vastato jest taki fresk. *Niepokalane Poczęcie*. Namalował go słynny Domenico Piola. Mój ojciec miał obsesję na punkcie tego fresku. Zachodził do kościoła każdego dnia tylko po to, by zobaczyć malowidło. Mieszkaliśmy przy Largo della Zecca, więc nie mieliśmy daleko. To zawsze był „nasz” kościół. Kiedy byłem dzieckiem, wydawał mi się jeszcze większy i jeszcze bardziej imponujący niż teraz. Wchodziłem do środka, zadzierałem głowę i miałem wrażenie, że pokryty freskami sufit za chwilę mnie przygniecie, a wymalowane postaci wyciągną do mnie ręce. Albo po mnie. Śnił mi się po nocach. Za każdym

razem, kiedy przekraczałem próg kościoła, czułem skurcz w żołądku – ze strachu albo ekscytacji, nie wiem. To nie miało. Ojciec opowiadał mi historie o malarzach i samym budynku. Wie pan, *del vastato* oznacza „na pustym miejscu”. Kościół wzniesiono poza murami miasta, był niejako wykluczony ze ścisłego centrum, a jednocześnie wyrastał na jedną z najbardziej majestatycznych świątyń Genui. Mnie również fascynował, ale ojciec... To była inna sprawa. Ojciec miał brata bliźniaka, młodszego o kilka minut. Wychowywali się razem, uczyli się razem, bawili. Mieli takie same szanse, rozumie pan? Na przykład obaj w tym samym czasie dostali swoje pierwsze kartony, pędzle, farby i ołówki. Ale o ile mój ojciec po prostu bazgrał, o tyle mój wuj naprawdę malował. Miał wielki talent, który dostrzeżono już w wieku kilku lat. Rodzice zainwestowali w jego edukację, posłali na naukę do najlepszych artystów, do szkół, później na studia do Wenecji. Mój ojciec natomiast, choć kochał sztukę, nie wykazywał żadnych talentów. Ale był bardzo pracowity. Został szewcem. Założył rodzinę, wiódł dobre, spokojne życie. Niemniej od zawsze odczuwał pewien... brak... Rozumie pan?

– Rozumiem bardzo dobrze.

– A to, że można popaść w obsesję na punkcie jednego obrazu?

– To rozumiem nawet lepiej.

Bartolomeo odchylił głowę i przyjrzał mu się uważnie. Uśmiechnął się i lekko zakołysał.

– Tak, tak... Nie muszę zatem panu tłumaczyć. To dobrze, bo takie rzeczy trudno wyjaśnić. Człowiek, który kieruje się tylko zdrowym rozsądkiem, wszystko analizuje na zimno i nigdy nie daje się porwać, nie jest w stanie tego zrozumieć.

– Dlaczego pana ojca fascynował akurat ten obraz?

– Nigdy tego nie wyjaśnił. Myślę, że urzekło go coś w samej scenie. Może starzec z brodą unoszący się nad Marią, może anioły, może sama dziewczyna, która jest chyba najmniej posągowa i taka... zwykła... nawet jeśli bije od niej niesamowity blask. Może o ten blask wreszcie, który nie jest aureolą ani łuną, tylko pochodzi z wnętrza, rozświetla skórę, włosy, ubranie. Domyślałem się, że chodziło właśnie o to, bo ojciec zawsze uważał, że od

niektórych ludzi bije dokładnie taki blask i że pozostają dobrzy, nawet jeśli okoliczności, w których dorastają, zmieniają się na złe. Uważał też, że od niego nigdy nie będzie bił taki blask, bo jest zepsuty od środka. Trawiła go zazdrość o brata, od najmłodszych lat. Jeśli jesteś tak po prostu przeciętnym człowiekiem – o przeciętnej inteligencji, wyglądzie i umiejętnościach – nie czujesz się specjalnie gorszy od innych. Świat jest pełen przeciętnych ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, że nigdy nie sięgną gwiazd, i jedyne, co im pozostaje, to dobrze przeżyć życie. Ale jeśli jesteś przeciętnym człowiekiem, który wzrasta u boku kogoś o ponadprzeciętnym talencie, pada na ciebie cień. Zawsze. Od tego się nie da uwolnić. Mój ojciec zawsze był bratem „tego Ansalda Pisy”.

– Ansaldo Pisa? To pana wuj?

– Tak. To właśnie on.

– Ansaldo Pisa. Mówiono, że w surrealizmie mógł osiągnąć więcej niż Salvador Dali, zejść dalej, może nawet wyznaczyć całkiem nowe kierunki, gdyby nie...

– Gdyby nie trafił do obozu koncentracyjnego za przeprowadzanie włoskich Żydów przez Alpy do Szwajcarii. Dlaczego pan nie dokończył?

– Właściwie nie wiem. Ogólnie niewiele o nim wiadomo. Tylko tyle, że trafił do obozu w Ferramonti i tam zmarł w czterdziestym drugim.

– Tak... we wrześniu. A w październiku tego samego roku pierwsza bomba uderzyła w kościół Santissima Annunziata del Vastato. Miałem wtedy dziesięć lat. To było za dużo dla mojego ojca. Myślę, że nikt, kto tego osobiście nie przeżył, nie rozumie, co oznacza utrata brata bliźniaka. Takiego, którego się kochało, o którego było się obsesyjnie zazdrosnym i którego się bezgranicznie podziwiała. Ta zazdrość, ten podziw i ta miłość były treścią życia mojego ojca. I jeszcze kościół, i jeszcze obraz... Ja, moja matka, praca – to wszystko było na drugim miejscu. Ojciec oczywiście wykonywał swoje obowiązki jak należy, nikt się nigdy na niego nie skarżył. Ale myślami był gdzie indziej. A kiedy się dowiedział o bracie... Załamał się. Bombardowanie przypieczerowało sprawę. Kiedy było już po wszystkim, wziął mnie za rękę i razem poszliśmy pod kościół. Pan nie wie, jak to jest. Jednego dnia miałem wrażenie, że malowidła żyją, że wchodząc tam,

wkraczam do innego, lepszego świata, a drugiego – zobaczyłem skruszone ściany, podarte obrazy, odłamki rzeźb. Czułem się tak, jakby ktoś mi zniszczył dzieciństwo. Rozbił w proch Krainę Czarów, Narnię, Nibylandię... Wtedy nie wiedzieliśmy, że może być jeszcze gorzej. Rok później, w październiku czterdziestego trzeciego, spadła kolejna bomba. W miejscu ołtarza ziała wielka, dymiąca dziura. Wuj stał się już tylko wspomnieniem, historią, którą należało zapamiętać i przekazać dalej, a matka... a ojciec...

– Giacomo Pisa? To pana ojciec, prawda? Słynny szewc. Powinienem był od razu się domyślić.

– Tak, to on. Zatracił się w pracy. Całymi dniami szył buty, prawie nic nie jadł, do nikogo się nie odzywał. Wytrzymał tak aż do lat sześćdziesiątych, po czym, zupełnie nagle, umarł. Z przepracowania i wycieńczenia, po prostu stanęło mu serce. Matka sprzedała firmę. Widzi pan, myślę, że ojca nie zabiła praca. Myślę, że zabiła go tęsknota i nienawiść.

– Nienawiść?

– Tak. Do mojej matki.

– Słucham?

– Moja matka była siostrzenicą pierwszego komendanta obozu w Ferramonti. I zdeklarowaną faszystką. Kiedy mój wuj malarz pojechał nad jezioro Como i przez wiele miesięcy nie dawał znaku życia, a później został aresztowany, od razu wiedziała za co. W okolicach Como wielu Żydów przeszło przez góry do Szwajcarii. Mój ojciec dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ona wie więcej, niż myślał, że dzięki swojej rodzinie jest doskonale doinformowana. Ona i mój wuj zawsze byli skonfliktowani. Kiedy na arenę wkroczyli Hitler i Mussolini, a ona otwarcie głosiła swoje poglądy, nazywał ją „pieprzoną nazistką”. Myślę, że mogła wykorzystać swoje koligacje, by pomóc mu uzyskać zwolnienie z obozu. Ale tego nie zrobiła. Ansaldo Pisa, zamiast wyjść na wolność, zginął. Nigdy do niczego się nie przyznała, a jednak mój ojciec domyślał się jej udziału w tej sprawie. Mimo to nie opuścił żony. Wolał popaść w szaleństwo, niż zagrać w otwarte karty, zakończyć związek z osobą, na którą nie mógł patrzeć, i zacząć od nowa.

– A pan?

– Ja?

- Kiedy dowiedział się pan o tym wszystkim?
- To długa historia.
- Ulubiona wymówka człowieka, który chce się wymigać od odpowiedzi.

Bartolomeo Pisa pokiwał głową. Wciąż się uśmiechał, ale tym razem był to smutny uśmiech. Przeżuł ostatnie ciastko, dopił małymi łykami spritz i sięgnął po laskę.

– Ma pan rację, Adamie. Każdy z nas ma taką długą historię, na której opowiadanie nigdy nie ma dobrego momentu. Niemniej – było mi bardzo miło. Proszę wybaczyć starszemu człowiekowi gadatliwość.

– Nie ma czego wybaczać. Dziękuję, że pan mi o tym opowiedział. Czuję się zaszczycony.

– Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

– Chętnie odprowadzę pana do domu.

– O nie, nie! Póki przebieram nogami, nikt mnie nie będzie nigdzie odprowadzał. Miłego wieczoru, panie Adamie. Jeśli pan jeszcze kiedyś pójdzie do tego kościoła, proszę zerknąć na ścianę nad wejściem. Teraz nic tam nie ma, ale wcześniej była *Ostatnia wieczerza* Procacciniego. Poszła do renowacji. Przerazająco wygląda takie puste miejsce po obrazie. Zupełnie jakby ktoś wyciął stamtąd żywą tkankę. Do widzenia!

Adam odprowadził starca wzrokiem. Nie wiedział, co ma teraz ze sobą zrobić. Podniósł się, usiadł ponownie, poskubał ostatnie ciastko, zebrał opuszką palca okruchy, uniósł do ust filiżankę, ale przypomniał sobie, że jest pusta, więc duszkiem wychylił resztę spritzu. W foccacerii poza nim był jeszcze mężczyzna w średnim wieku, który też kartkował jakąś książkę i wydawał się zupełnie nieobecny duchem. Adam podniósł tom o bazylice Annunziata del Vastato. Kiedy zwiedzał kościół, widział to puste miejsce po obrazie. Wpisał później tytuł w wyszukiwarkę i żałował, że nie zobaczył malowidła na żywo. Podobały mu się ciemne barwy i dynamiczne postaci apostołów, których całe sylwetki zwrócone są w stronę Jezusa. Zabiegają o jego uwagę, unoszą lub składają dłonie jak do modlitwy, ale kilku wskazuje też na siebie. Jakby w tym niemym geście chcieli zawrzeć pytanie: „Czy to ja? Czy ja będę tym, który cię zdradzi?”. Rzeczywiście – ściana z pustym

miejszem po obrazie przywodziła na myśl ciało pozbawione jednego z organów.

– *Signore?*

Adam wzdrygnął się i odkleił wzrok od czytającego mężczyzny, któremu bezwiednie się przyglądał. Stała przed nim kelnerka. Młoda, ufarbowana na blond dziewczyna, w bawełnianej sukience, ciemnym fartuchu i tenisówkach. Wyglądała na zakłopotaną.

– Dziękuję, niczego już nie będę zamawiał.

– Nie, nie... Nie o to mi chodzi. Chciałam tylko powiedzieć, że ten mężczyzna, ten, który przedstawił się jako Bartolomeo Pisa, on...

– Tak?

– On kłamie – dokończyła cicho.

– Słucham?

– Przychodzi tutaj co tydzień i szuka sobie kogoś, kto chciałby go słuchać. Nie zawsze takiego kogoś znajduje, ale czasem mu się udaje. A jeśli mu się udaje – opowiada zawsze tę samą historię. Kropka w kropkę. Mam na myśli tę o kościele i rodzinie Pisa, o obozie, bombach i kobiecie, której wuj był komendantem w Ferramonti. Początek jest zawsze nieco inny, w zależności od rozmówcy. Z panem zaczęło się od języka i Piusa Dwunastego, przepraszam, trochę podsłuchiwałam. Ale później jest zawsze to samo. I kończy w tym samym miejscu.

– Powiedziała pani, że kłamał. – Adam poczuł dreszcz na plecach.

– Tak. Przywłaszczył sobie tę historię. Oczywiście była taka rodzina. Taki malarz i taki szewc. I byli braćmi. I była też żona szewca, siostrzenica komendanta w Ferramonti. Kilka informacji znajdzie pan w Wikipedii pod hasłem „Ansaldo Pisa”. Ale niewiele, tylko krótkie wzmianki, bez żadnych szczegółów. Ansaldo miał trzydzieści osiem lat, kiedy zginął w obozie. Zdążył wiele osiągnąć, ale tej słynnej rewolucji w sztuce, której mógł dokonać, jeszcze nie przeprowadził. Sposób, w jaki umarł, na pewno ubarwia jego legendę. A jednak szczegóły nie są znane, nie ma nawet grobu. Więc widzi pan. Trudno zdobyć na temat tej rodziny i samego Pisy konkretne informacje. Ale Giacomo Pisa, jak pan wie, był znanym włoskim szewcem. I on też doczekał się krótkiej notki biograficznej. Wyczyta pan z niej, że nie

miał syna, tylko córkę.

Adam przełknął ślinę i mechanicznie sięgnął po telefon. Nie potrafił się powstrzymać przed natychmiastowym sprawdzeniem tej informacji. Po chwili położył telefon na stoliku i ponownie spojrzał na kelnerkę. Wzruszyła ramionami.

– Nie chce mi się wszystkim tego wyjaśniać, ale pan wyglądał na przejętego. No to pomyślałam, że nie zaszkodzi kilku rzeczy sprostować, bo później nie każdy ma na tyle przytomności umysłu, by zajrzeć do źródeł. I powtarzają głupoty, a co gorsza – kłamstwa. Ten pan nazywa się Bartolomeo Cambiaso, a Patricia Pisa, córka szewca, była jego żoną. Dwa lata temu zmarła. Glejak... I to jest właśnie historia jej rodziny.

– Czyli... Bartolomeo niczego nie zmyślił?

– Raczej przywłaszczył sobie nie swój życiorys. Kochał żonę. Po jej śmierci pomieszało mu się trochę w głowie, ale nie jest groźny. Po prostu uważa się za syna Giacoma Pisy i bratanka Ansaldo. I naprawdę wydaje mu się, że w dzieciństwie oglądał kościół Santissima Annunziata del Vastato, który go przytłaczał, i tak dalej.

– A nie oglądał?

– Pochodzi z Sycylii. Wielu Włochów od razu nabiera podejrzeń, bo słyszą akcent z południa. No to... przykro mi. Smakowało panu jedzenie?

– Tak. Tak, bardzo.

Kelnerka odeszła, a Adam wysupłał z portfela kilka monet i położył je na stole. Napiwek za szczerłość. Wyszedł z foccacerii na miękkich nogach i z trudem złapał oddech. Powietrze było ciężkie i gorące. Idąc na piazza Caricamento, myślał o staruszku w wyprasowanej koszuli, jego żonie, jej rodzinie i o Nicie. „Przywłaszczył sobie nie swój życiorys”. Tak właśnie powiedziała kelnerka. I tak właśnie zrobiła wcześniej Nita – wtedy, gdy zasłoniła się historią swojej koleżanki, by wzbudzić jego litość. Być może każdy tak robi, w mniejszym lub większym stopniu. I w sobie tylko wiadomym celu.

*

Miał wrażenie, że podróż do dzielnicy Voltri trwa w nieskończoność. Jak przez mgłę rejestrował to, co działo się dookoła niego. Rozmowy współpasażerów, połamaną popielniczkę, z której wysypywały się pomięte chusteczki, zepsute okno, którego nie dało się zamknąć, i płaczącą dziewczynkę, która narzekała, że wieje jej w uszy. Ktoś włączył przenośne radio i z głośnika popłynął hit lata, *Despacito*. Adam przypomniał sobie imprezę u Zygmunta, obraz z rachitycznym Chrystusem i deszcz siekający o balkonowe kafle. W głowie miał chaos. Wspomnienie staruszka z foccacerii zlewało mu się z obrazami *Greta w srebrnym welonie* i *Greta nad jeziorem Iseo*, myśl o sprzedanym *Genueńczyku* z brzmieniem głosu podróżniczki Kingi z różą wytatuowaną na szyi. Szedł wąskimi uliczkami i obserwował czerwone usta prostytutek, aż wreszcie docierał do bazyliki Annunziata del Vastato, patrzył na puste miejsce po *Ostatniej wieczerzy* i ścisnął go za gardło smutek. Obóz w Ferramonti, amerykańska bomba, Żydzi w Alpach. „Pieprzona nazistka”, z którą trzeba spędzić życie. Szaleństwo, które się wybiera zamiast normalności. Kraina Czarów skruszona na proch. Żywa tkanka. Przywłaszczony życiorys. Spuchnięte gardło, drżące dłonie. Przyspieszone bicie serca. Serca...

Greta pisała o sercu i ta informacja nagle wydała mu się ważna. Ale ona się już więcej nie odezwała. On jechał do Voltri, wysiadał z pociągu, szedł na via Lemerle, zrzucił plecak w małym mieszkanku na poddaszu, gdzie planował zostać przez kilka dni, wysypywał ciuchy na podłogę, wygrzebywał czysty, choć bardzo pognieciony T-shirt, ignorował całą tę zgubną symfonię wygrywaną codziennie przez jego organizm, szedł do sklepu po coś na obiad, potem na plażę, gdzie patrzył na ciemny piasek i kamienie kłujące w stopy, na wodę mętniejszą pod wieczór, na promenadę, ściany pokryte tu i ówdzie sprejem, na czyste niebo, na wzgórze, na dach willi księżnej di Galliera, który widział z okna sypialni, na drzewo pomarańczowe, które widział z okna kuchni, na... mnóstwo innych rzeczy, które oglądał tylko dlatego, że kiedyś była tu Greta. Że była stąd. Ale ona milczała.

Przywłaszczony życiorys. Prawdziwy życiorys.

Opanowało go przecucie, z którym nie miał siły walczyć. Wiedział, że Greta jeszcze się do niego odezwie. I że stanie się coś złego.

*

E-mail przyszedł trzy dni po przyjeździe Adama do Voltri. Dokładnie wtedy, kiedy schodził ze wzgórza, z którego dawno temu Greta oglądała płonący las. Dokładnie wtedy, kiedy usiadł na trawie, wyjął szkicownik i naprawdę miał zamiar rysować. Nie twarz Greta di Biase, ale po prostu cokolwiek.

*

Od: Greta di Biase

Do: Adam Dancer

Temat: [Re:] Delfiny

Adamie...

Napisałeś o najdłuższych trzech tygodniach swojego życia, a ja kazałam Ci czekać kolejny. Siedem dni. Co robiłeś? Na pewno jesteś już w Voltri. Być może wspinasz się na wzgórze, do kościoła delle Grazie. Musisz go obejść – z tyłu jest grobowiec księżnej di Galliera, której willę miniesz po drodze. Na pewno przejdiesz przez park i ogród, a jeśli wyjdiesz po południu lub wieczorem, zobaczysz sporą gromadę miejscowych kotów. Uważają ten teren za własny i nikogo się nie boją – to raczej ludzie schodzą im z drogi, zaniepokojeni odwagą, spokojem i uważnymi spojrzeniami kocich oczu. Zatrzymaj się i popatrz na zatokę. Voltri nie jest Lazurowym Wybrzeżem, nie znajdziesz tu pięknych plaż, rzęsiście oświetlonych promenad i bogatych jachtów leniwie kołyszących się na falach. Zamiast tego zobaczysz dość brudny dworzec kolejowy, zaśmiecone uliczki, kamieniste wybrzeże i port, z którego wypływają kontenerowce. To podmiejska dzielnica, z blokami, podwórkami i kontenerami, z których wysypują się śmieci. A jednak nie wątpię, że spodobają ci się stare budynki. Z mojego okna w kuchni widziałam kilka kamienic, które wyglądały tak, jakby tłoczyły się obok siebie, przepychały i poszturchiwały niczym niesforne rodzeństwo. Pośród nich rosło jedno drzewo pomarańczowe. I jest jeszcze ten kościół, o którym Ci pisałam.

Parrochia di Sant'Ambroggio, z obrazem „Narodziny Madonny” de Ferrari – spójrz na kobietę z dzbankiem i białą poduszką. Na jej twarz. Jestem pewna, że Twoje wrażenia będą podobne do moich. Wyobrażam sobie Ciebie patrzącego na obraz, analizującego szczegóły twarzy modelki i jej niejednoznaczny minę, świadoma, że właśnie to lubisz – wyrazistość. Niekoniecznie piękno, ale właśnie wyrazistość. Mam nadzieję, że się nie mylę. Mam wielką, wielką nadzieję, że nie chodzi o klasycznie rozumiane piękno...

Nie mogłam napisać wcześniej. Wydarzyło się coś, co skutecznie mi to uniemożliwiło. Muszę Cię też ostrzec, że sytuacja może się powtórzyć. Nie wiem, kiedy ponownie do Ciebie napiszę. Dlatego teraz opowiem Ci tyle, ile jestem w stanie. Aż palce i głowa odmówią mi posłuszeństwa, serce zacznie bić coraz szybciej, a klatkę piersiową rozsadzi ból. Znam ten ból bardzo dobrze, żyję z nim, tak jak Ty żyjesz ze swoją nerwicą.

Cieszę się, że próbujesz szkicować, choć nie wiem, czy powinieneś rysować akurat mnie. Niemniej – wyślij mi zdjęcie, jeśli możesz. Chętnie to zobaczę.

Delfiny... Dziękuję za zdjęcia i film. Są niesamowite, prawda? Masz rację co do ich dostojnego spokoju i radości życia, płynącej z samej możliwości zaczerpnięcia tchu. Żałuję, że ich nie widziałam i nigdy nie zobaczę. Będę oglądać Twoje fotografie. Umiesz robić zdjęcia, wiesz? Nie mam pojęcia, na ile jesteś amatorem, a na ile profesjonalistą, bo się na tym nie znam, ale potrafię patrzeć i doceniam kompozycję. Umiesz uchwycić ciekawe kadry. Chętnie zobaczę więcej Twoich zdjęć. Może sfotografujesz siebie? Teraz wszyscy robią selfie, nie będziesz się wyróżniał. Chętnie zobaczę Cię na tle Voltri – będę sobie wyobrażała, że razem tam jesteśmy. I pamiętaj – koniecznie spójrz ze wzgórza na zatokę. Stamtąd wyda Ci się piękna, woda sprawia wrażenie przejrzystej i błękitnej, a domy są kolorowe i urokliwe, nie widać zabrudzeń i kruszących się tynków. W parku odetchniesz. Miniesz zagrodę kóz i małe na pewno będą się domagały jedzenia. Weź coś ze sobą. Marchewkę albo owoc.

Mówisz, że się we mnie zakochałeś. Nie w wyobrażeniu i nie w słowach, ale we mnie. Chcę w to wierzyć i będę w to wierzyć. Ty również mnie uratowałeś – przed smutkiem, strachem i zwątpieniem. I choć w moim życiu

nic nie może się zmienić, już się nie boję. Czuję to samo. Ani razu się nie widzieliśmy, ale zakochaliśmy się w sobie z wzajemnością. Kiedy o tym myślę, śmieję się i płaczę na przemian. Nigdy wcześniej nie miałam wrażenia, że na świecie liczy się tylko jeden człowiek. Ale teraz właśnie tak jest. Nie ma Cię obok i jest tak, jakby nie było nikogo. Kiedy czytam Twoje słowa, wszystko wydaje się na swoim miejscu, staję się spokojniejsza, złe emocje we mnie cichną. Kiedyś umiałam nienawidzić, ale teraz mam wrażenie, że już nie byłabym do tego zdolna. Może to prawda, że jeśli ktoś ma dobre życie, nie może być zły? Jeśli otacza się dobrymi ludźmi i nie chowa do nikogo urazy? Pewne rzeczy widać dopiero na starość. Ludzie, którzy chowali urazę, doświadczyli krzywdy i sami ją komuś zadali, stają się zgorzkniali, nieprzyjemni i zrzędlivi. Ktoś, kto kochał i był kochany, nie może się taki stać. Mam rację? Pewnie nie do końca. Niczego nie powinno się w taki sposób upraszczać, silić się na złote myśli i wyrzucać z siebie słów wytrychów, za pomocą których włamujemy się do lepszego świata z naszych marzeń. Jest dobro, jest zło i jest coś pośrodku. I są wybory. Zawsze są jakieś wybory. Dlatego nie myślę o przyszłości, o tym, że tak już będzie do samego końca. Zresztą – nie muszę o niej myśleć.

Pytasz mnie wreszcie o przyjaciela. O to, czy mam w swoim życiu kogoś, kto nie pozwala mi upaść. Wspominasz o Valentinie Savio, jej bracie, jej butik i domu, o moim mężu, piwnicy i pożarze. Wiem, że te myśli dręczą Cię od dawna. Domyśliłaś się, kiedy przejrzałaś wiadomości w internecie, dodałaś dwa do dwóch, choć przecież nie miałaś żadnych sensownych przesłanek. Gdybym próbowała Cię okłamać, okazałabym Ci brak szacunku. A jednak bolą mnie te pytania, tak jak boli mnie przeszłość. Nie ta z Iman, ale dziesięć lat, które spędziłam w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Moje życie oparło się na kontraście między tym, co na zewnątrz, a tym, co w środku. Odpowiem Ci dzisiaj na część tych pytań. Jeszcze nie na wszystkie, ale skoro tyle się już domyśliłaś i piszesz, że nie muszę się Ciebie bać – nie będę. Postaram się. Dzisiaj zacznę swoją historię, a dokończę ją w kolejnym e-mailu. Podzielę ją na dwie części, by móc złapać oddech. Próbując opisać wszystko w jednym liście, mogłabym dać się za bardzo ponieść emocjom, wylać morze żółci, po prostu się wyżalić. Nie chcę tego. Wolę po prostu

opowiedzieć Ci swoją historię, byś mógł sam wyciągnąć wnioski. Ja już wiem, że mam prawo czuć złość i smutek z powodu tego, co mnie spotkało, ale jest coś jeszcze. Sprawiedliwość. A właściwie – jej brak. I oto podzielę się z Tobą swoją kolejną mało odkrywczą myślą – życie jest bardzo niesprawiedliwe. Choć przecież sam napisałeś, że jeśli coś się zdarzyło, to znaczy, że miało się wydarzyć. Dawniej szukałam sensu w tym, co mnie spotkało, ale nie potrafiłam go dostrzec. Może ten sens pojawił się dopiero teraz? Bo przecież gdyby nie moja przeszłość – nigdy byśmy się nie poznali.

Teraz jednak opowiem Ci o przyjacielu, o którego zapytałeś. Tak, jest taka osoba. Nie pozwala mi upaść, obecnie nawet bardziej niż kiedyś, z bardzo prostego powodu. Nikogo więcej nie mam. Jesteś oczywiście Ty, ale... to co innego. Moją przyjaciółką jest właśnie Valentina Savio, siostra Roberta. To nie jest tak, że najpierw poznałam jego, a później on przedstawił mnie siostrze. Roberta znam od pięciu lat. Po raz pierwszy rozmawiałam z nim kilka miesięcy po pożarze... Po TYM pożarze.

Przyjaźń z Valentiną trwa już długo, choć kiedyś była inna niż teraz. Spotkałyśmy się sześć lat po moim przyjeździe do Bergamo. Ona знаła mojego męża, byli z tej samej branży i można powiedzieć, że stanowili dla siebie konkurencję. Tyle że Valentina nie pracowała jeszcze wtedy na swoim. Wiesz, że teraz ma butik i szyje ubrania. On też się tym zajmował. Był lepszym krawcem niż Valentina, robił solidniejsze rzeczy, takie, które nie niszczyły się przez lata. Brakowało mu jednak wyobraźni. Szył według jednego pomysłu, wprowadzał niewiele zmian, nie nadążał za modą. Nie powinien niczego projektować, tylko szyć według czyjegoś pomysłu. Z kimś, kto ma wyobraźnię, stworzyłby doskonały duet. I kiedyś tak właśnie było. Tworzył doskonały duet z Valentiną Savio, koleżanką ze szkoły, a później dziewczyną, wreszcie – narzeczoną. Valentina szyla średnio, ale jej projekty były znakomite. Świetnie szkicowała albo układała materiał na manekinie i podpiniała szpilkami – zupełnie jak Coco Chanel. Uczyla się szyć i była coraz lepsza, ale wiedziała, że nigdy nie stanie się genialną krawcową. Teraz też zatrudnia dwie kobiety, które po prostu realizują większość jej projektów. Sama zajmuje się jedynie tymi, które są prostsze do wykonania. Ona i mój mąż, Vittorio, razem mogliby podbić świat. Zwłaszcza teraz. Zdolni ludzie

mają coraz większe możliwości – internet, blogi, portale społecznościowe, fanpage’e, filmy na YouTube. Byliby w stanie sami się wypromować i zdobyć szerokie grono klientów, zwłaszcza że Włosi lubią się dobrze ubierać, zwracają uwagę na jakość ciuchów, fasony, dodatki. Nie dotyczy to tylko butów, jak się powszechnie uważa. Włoskie buty to symbol solidności i tak samo powinno się mówić o włoskich ubraniach. Kiedy przyjedziesz do Bergamo, zobaczysz, ile jest tutaj takich małych butików, a z kolei prawie w ogóle nie ma popularnych na całym świecie sieciówek. Zwłaszcza w Città Alta. Valentina i Vittorio mieli wizję przyszłości. Do Vittoria należało pół kamienicy przy via San Lorenzo – parter i pierwsze piętro. To właśnie tam mieli wspólnie zamieszkać i otworzyć biznes. Coś się jednak popsulo.

Co? Chodziło o Vittoria. Powinnam powiedzieć – to on się popsul, a właściwie był popsuty, chyba od zawsze lub od bardzo dawna. Nie zadałam mu kilku ważnych pytań, choć sądzę, że nawet gdybym je zadała, nie odpowiedziałby. Nie mnie. Kilku rzeczy dowiedziałam się od Valentiny – prosiła, by nic mu nie mówić. Udawałam więc niewiedzę, ale więcej rozumiałam. Wiedziałam, dlaczego ona od niego odeszła i dlaczego on nie wytrzymałby z nią długo, nawet gdyby tego nie zrobiła. Właśnie przez świadomość, jakim jest człowiekiem. Za dobrze go znała. Czowała, co się w nim rozwinie. A Vittorio jednocześnie wstydził się i bał. Wstydził – że powiedział jej o swoim dzieciństwie. Bał się – że nie będzie w stanie jej kontrolować i że będzie się musiał hamować. A tym samym nie zazna ulgi. Valentina była silna, przebojowa, mądra i pogodna. Miała też wsparcie w rodzinie. Jej rodzice prowadzili hotelik w starej kamienicy przy via Suardi, blisko średniowiecznych murów otaczających Città Alta. Nie było to luksusowe miejsce, żadne pięć gwiazdek. Dwa piętra, sześć pokoi. Na dole mała jadalnia i hall z kanapą, na której można było wypić szybką kawę i przeczytać gazetę. Pokoje bez szczególnych udogodnień, ale czyste i przytulne, do tego śniadanie i obiadokolacja w rozsądnej cenie. Matka Valentiny gotowała jak mistrzowie w najlepszych restauracjach. Nadal zresztą gotuje.

Hotel Saviów przy via Suardi wciąż istnieje. Jeśli chcesz, możesz go odnaleźć. To rodzinny biznes – nie zatrudniają nikogo z zewnątrz, wszystkim

zajmują się sami. Gotowaniem, sprzątaniem, zaopatrzeniem, remontami, księgowością. Valentina ma dwóch braci i jedną siostrę, jej rodzice są w świetnej formie, do niedawna żyła nawet jej babcia, która mieszkała na ostatnim piętrze i robiła dla wszystkich swetry na drutach. Taka rodzina daje poczucie bezpieczeństwa. Człowiek nie boi się, że zostanie sam, nie zna w ogóle tego typu lęku. Bo przecież zawsze ktoś będzie. We Włoszech rodzina naprawdę coś znaczy, zwłaszcza rodzina żyjąca zgodnie z tradycją. Valentina wzrastała właśnie w takim poczuciu bezpieczeństwa, ze świadomością, że nikt nie może jej skrzywdzić, a jeśli nawet to się stanie – ten ktoś, kto podniesie na nią rękę, dostanie odpowiednią zapłatę. Jako najmłodsze dziecko była oczkiem w głowie nie tylko rodziców, ale i starszych braci. Gdyby Valentinie przytrafiło się coś złego, wiedziała, gdzie uzyskać pomoc. Czuli się nietykalni i Vittorio o tym wiedział. Potrzebował kogoś innego. Kogoś niepewnego siebie, zagubionego, bez rodziny. Osamotnionego tak, że lgnie do drugiego człowieka na oślep, byle tylko przez chwilę poczuć bijące od niego ciepło. Potrzebował mnie. Ofiary.

Od początku wydawał mi się chłodny i szorstki. Spotkaliśmy się w Voltri, bo tam przywiodło go poszukiwanie „inspiracji”. Prowadził swój butik sam, od niedawna, i chciał coś zmienić. Zamierzał wyjechać z Lombardii i podpatrzeć, jak takie interesy prowadzi się gdzie indziej, zaobserwować pomysły, rozwiązania, trendy. Nie wystarczył mu internet. Planował przy okazji pozwiedzać, powłóczyć się – zrobić sobie zasłużony urlop. To dziwne, że w poszukiwaniu „inspiracji” zawędrował do Genui, skoro blisko Bergamo miał Mediolan, stolicę mody. I że wyjechał z bogatej Lombardii, by podpatrywać pomysły i rozwiązania w biedniejszej Ligurii. Nic nie mówiłam. A słowo „inspiracja” biorę w cudzysłów, bo Vittorio nigdy nie był artystą. Nie umiał się niczym inspirować. Był dobry w interesach, znał się na rachunkach, podatkach, sprzedaży, reklamie, no i na szyciu. Na tym, na czym z kolei zupełnie nie znałam się ja. Dobry biznesmen. Dobry rzemieślnik.

Nie wiem, co rzeczywiście udało mu się zaobserwować w Genui, ale znalazł tam mnie. Widział, że jestem w kompletnej rozsypce. To był ten moment, o którym wspominałam – wróciłam z centrum Genui, nie miałam pieniędzy, nie miałam Iman. Musiałam zacząć od nowa, sama zarobić na

utrzymanie, kupić jedzenie, opłacić mieszkanie, po prostu zorganizować sobie pracę i życie. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Wcześniej pracowałam dobrze, zasuwałam po plaży jak mróweczka, odpoczywałam dopiero wieczorem. Ale niczego nie organizowałam. Nie sprowadzałam towaru, nie składałam zamówień, z nikim się nie kontaktowałam. Iman zajmowała się wszystkim i tylko ciągle powtarzała, że musi mnie wreszcie w to porządnie wprowadzić, przedstawić ludziom, wyjaśnić, jak to działa. Ja mogłam tylko znowu pójść do biur i supermarketu, żeby sprzątać. Nie potrafiłam się zmusić, by spróbować czegoś innego. Nie umiałam nawet podejść do jednego z mężczyzn handlujących na plaży okularami i poprosić o pomoc. Znałam ich przecież z widzenia, a oni znali mnie. Pamiętali Iman. Po jej śmierci witali mnie smutnymi uśmiechami i mówili, że im przykro. Mogłam się zgłosić do któregoś z nich. Gdyby nic z tego nie wyszło, miałabym przynajmniej świadomość, że próbowałam. Ale nie próbowałam.

Sprzątałam i malowałam, i byłam sama. Czulałam ogromną niemoc, która krępowała mi ręce i tępiła umysł. Przyłgnęłam do Vittoria. Wydawał się solidny, miał ustabilizowaną sytuację – i zainteresował się mną. Myślałam, że złapałam Boga za nogi. Taki mężczyzna, własny interes, dom w Bergamo, pieniądze, perspektywy na przyszłość. I ja. Ja nie miałam przecież nic. Czy rzeczywiście powinnam była odgadnąć, o co mu chodzi i jaki jest? Nie myślałam wtedy w ten sposób. Nie chciałam być podejrzliwa, szukać dziury w całym. Dlaczego w tym pięknym planie miałby być jakiś haczyk? Nie mogłam zatruwać umysłu złymi myślami. To była dla mnie szansa na nowe życie – w nowym miejscu, z dala od bolesnych wspomnień. Życie niewypełnione ciężką fizyczną pracą, w którym nie musiałabym oszczędzać na jedzeniu i kupować melonów na promocji w supermarkecie. Pozwoliłam sobie marzyć. O malowaniu. O skończeniu szkoły, może nawet pójściu na studia. Zachwyciałam się Bergamo, które wydało mi się takie czyste, zadbane i spokojne, zwłaszcza Città Alta, gdzie mieszkaliśmy. Małe placyki, puste wąskie uliczki, stare domy z kamienia, średniowieczne grube mury. Weneckie lwy, fontanny i funicolare, kolejka, która jechała prawie pionowo i wiozła mnie na wzgórze San Vigilio. Stamtąd patrzyłam na góry, falujące wzgórza, piękne wille, wysmukłe drzewa i zielone łąki. Nie wjeżdżałam na San Vigilio

za często, ale robiłam to zawsze wtedy, kiedy mogłam. Kiedy Vittorio miał lepszy humor. I chodziłam po mieście. Oglądałam freski i arraszy w bazylice Santa Maria Maggiore, zadzierałam głowę, by patrzeć na chudego drewnianego Jezusa, o którym sam pisałeś. Widziałam studentów malarstwa ze szkicownikami na piazza Vecchia. Czulałam, jak coś we mnie kipi. Ja też chciałam malować. Wszystko wyrywało się we mnie do malowania. Kiedy zamykałam oczy, widziałam swoje przyszłe obrazy, wiedziałam dokładnie, jak powinnam malować i co. To już się we mnie dokonało. Stałam się artystką.

Vittorio nie dawał mi żadnych pieniędzy i nie zgadzał się, żebym poszła do pracy. Kiedy więc miewał lepszy humor, pytałam nie tylko o pozwolenie na wyjście na spacer po mieście, lecz także prosiłam o kredki, farby, papier lub płótno, blejtramy, terpentynę, tusz, lakier, werniks, fiksatywę. Z rzeczy, które można było dostać za pieniądze, nie chciałam niczego innego. Dziwne pragnienia. Nie marzyłam o kosmetykach, fryzjerze i zagranicznych wakacjach, tylko... o tym. Któregoś dnia się zgodził. Powiedział, że mogę malować w piwnicy. Z wdzięczności chciało mi się płakać. Wysprzątałam tam, przewietrzyłam, próbowałam naprawić zacinające się drzwi, ale nie dałam rady. Kilka razy się zatrzasnęłam i wołałam Vittoria, by mnie wypuścił. Za każdym razem robił to dopiero rano. Spędzałam noc w piwnicy, wśród zapachu farb, prawie bez zdrowego powietrza, którym można normalnie, bezpiecznie oddychać. Kładłam kilka płócien na podłodze i na nich spałam. Podłoga była zimna, a powietrze gorące. Po każdej takiej nocy czulałam ból w klatce piersiowej, promieniujący aż do kręgosłupa. Zasypiałam nie wiadomo kiedy, budziłam się zmęczona. Myślałam: „To już ostatni raz. Odejdę”. Nigdy tego nie zrobiłam. Vittorio wypuszczał mnie z piwnicy i był bardzo miły. Kiedy zaczęłam pilnować, by drzwi się nie zatrzasnęły, on wykorzystywał moje skupienie na obrazie i sam je zamykał. Spodobało mu się to. Musiałam przecież jakoś zapłacić za możliwość malowania.

Wydaje Ci się to niedorzeczne, prawda? Powinnam była odejść, każdy na moim miejscu by odszedł. Ale czy rzeczywiście? Moje życie z Iman było spokojne, a w naszej kamienicy nie mieszkała żadna patologiczna rodzina, niemniej widziałam i słyszałam wiele. Od kilku koleżanek w szkole, od dziewczyn, które razem z nami sprzątały biura, wreszcie od samej Iman. Ona

rzeczywiście odeszła od swojej rodziny. Ale pomyśl, co musiało się wydarzyć, zanim to zrobiła. I jeszcze – jak wiele kobiet w takiej samej sytuacji nie odeszło. Możesz powiedzieć, że miałam mieszkanie w Voltri, które wynajęłam, więc jednak otrzymywałam jakieś pieniądze. To nie tak. Mieszkania w Voltri nie wynajęłam – wynajęliśmy je. Razem, po ślubie. Nie dostawałam za nie wiele i wszystko trafiało do Vittoria. Uważałam, że skoro nie mam nic innego, co mogłabym mu zaofiarować, tak właśnie należy postąpić. Przygarnął mnie. W tym momencie, kiedy wydawało mi się, że upadnę i już się nie podniosę. Czułam się wtedy dziwnie, bo z jednej strony odkrywałam w sobie malarzkę, docierało do mnie, że może faktycznie mam talent i powinnam jakoś go wykorzystać, a z drugiej strony czułam się coraz głupsza, mniej wartościowa i nieporadna. Zwykle życie – regularna praca, rachunki, zakupy, dbanie o dom – wydawało mi się czymś abstrakcyjnym. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym tak po prostu po nie sięgnąć. Iman szybko popchnęła mnie ku dorosłości, ciężkiej pracy i rozprawieniu się ze złudzeniami co do świata, a jednocześnie nie nauczyła mnie samodzielności. Jediną rzeczą, jaką zrobiłam bez niej, był wyjazd do centrum Genui i malowanie. Nie myślałam o kurczących się oszczędnościach. Moje mieszkanie w Voltri było przytulne i bardzo je lubiłam, ale nie mogłam nazwać go ani szczególnie wygodnym, ani przestronnym. Widzisz więc, że naprawdę nie miałam nic i nie jest to w żaden sposób przesadzone. Ode mnie usłyszysz tylko całą prawdę. Vittorio codziennie sprawiał, że czułam się śmieciem, ale o nic nie musiałam się starać. On organizował mi świat, za jego pieniądze jadłam, pod jego dachem spałam, chodziłam w ubraniach, za które zapłacił. Co bym zrobiła, gdybym odeszła? Wróciła do Voltri, żeby sprzedawać okulary? Nie byłam wykształcona, nie skończyłam nawet szkoły średniej, nie znałam języków obcych, niczego właściwie nie umiałam. Jakie rysowały się przede mną perspektywy?

Tak, ktoś naprawdę ukradł mi zwyczajne życie. Może to ja sama je sobie ukradłam, może ktoś inny na moim miejscu wziąłby się w garść, rzucił wyzwanie światu. Ja nie potrafiłam. Znosiłam więc to, co musiałam. Vittorio każdego dnia przypominał mi o moich wadach. Mówił, jaka to głupia jestem, jak to niczego nie rozumiem i jak długo trzeba mi pewne rzeczy tłumaczyć.

Miał rację, byłam głupia. Nie znałam się na prowadzeniu sklepu, nie umiałam rozmawiać z klientami, słabo mi szła obsługa kasy i komputera. Zaciskałam zęby i wszystkiego próbowałam się nauczyć. Przetykałam pogardliwe uwagi. Trawiłam awantury o to, że postawiłam filiżankę nie w tym miejscu, w którym powinna stać, i nie obróciłam jej uchem w stronę ściany. O to, że zostały na stole dwa okruchy po śniadaniu. O to, że on zbił talerz, bo ja na pewno źle go włożyłam do szafki. Że nie wytarłam kurzu z jednej półki. Że została smuga na oknie. Że makaron gotował się minutę za długo. Że włożyłam za krótką sukienkę i za długo uśmiechałam się do jednego z klientów, i taka ze mnie właśnie dziwka, nie mogę się powstrzymać, nie mogę pohamować swojej suczej natury, wdzięczę się, szczerzę się, trzepoczę rzesami, odrzucam włosy na plecy jak jakaś kurwa z genueńskiej uliczki, i skoro tak bardzo tego chcę, to on mi to da, on mi pokaże, jak się traktuje takie kurwy... Często mi pokazywał, jak się traktuje takie kurwy.

Widzisz? Wylewam żółć. Dlatego już przestanę. Uspokoję się i resztę napiszę Ci w kolejnym liście. Przepraszam. Po prostu postaraj się zrozumieć. Poza tym miałam Ci chyba opowiedzieć o Valentinie. Ona właśnie wspomniała, że Vittorio miał na pozór normalną rodzinę, ale matka wiecznie go krytykowała, a kiedy się naprawdę wściekała – zamykała go w piwnicy. W tej piwnicy. Oczywiście to nie było żadne wytłumaczenie. Zrozumiałam jednak, że chciał mnie ukarać, bo nie mógł ukarać swojej matki. Tak jak nigdy nie byłby w stanie uczynić ofiary z Valenty. Rzuciła go, kiedy pewnego dnia się posprzeczali i on złapał ją za nadgarstek. Miała wrażenie, że dostał jakiegoś skurczu, tak mocno zaciskał palce. Przestraszyła się. A później powiedziała, że to był pierwszy i ostatni raz. Na szczęście do kłótni doszło w domu Valenty i gdy usiłował ponownie na nią krzyknąć i ponownie ją szarpnąć, do pokoju wpadł jeden z braci. Ten drugi, nie Roberto Savio. Vittorio stracił nie tylko dziewczynę, ale i górną jedynekę. Zbierał potem długo pieniądze na implant.

Obserwowała mnie. Rzadko wychodziłam z domu bez żadnego powodu, a kiedy już mi się to udawało, byłam jak pijana. Szłam na oślep, skręcałam w kolejne uliczki, biegłam w stronę murów, wracałam, kluczyłam, i zawsze na koniec trafiałam na piazza Vecchia. Patrzyłam albo na studentów malarstwa,

albo na miejsce, w którym wcześniej siedzieli. Chciało mi się płakać, ale nie umiałam. Coś się we mnie zablokowało. Wewnątrz mnie wrzał wulkan, ale najgorsze było serce. Bolało tak, że dostawałam mdłości, niespodziewanie zaczynało bić szybko, a ja traciłam oddech, ciemniało mi przed oczami, drętwiały ręce, miękkły nogi. Może płacz przyniosłby mi ulgę. Nie wiem, bo nie płakałam. Valentina zaczęła mnie właśnie tam, na piazza Vecchia, kiedy pod wpływem nagłego bólu skuliłam się i walczyłam o kolejny wdech. Powiedziała: „Odprowadzę cię do domu”, a ja krzyknęłam: „Nie, nie!”. Nie była zaskoczona. Zabrała mnie do kawiarni, kupiła wodę i ziołową herbatę, po czym oznajmiła, że od pewnego czasu mnie obserwuje. Przechodziła któregoś dnia pod butikiem Vittoria i zobaczyła, jak wychodzę z domu. Mój wygląd jej się nie spodobał. Wiedziała oczywiście, że Vittorio się ożenił, bo teraz jest internet i wszyscy wszystko wiedzą, a poza tym mieli wspólnych znajomych. Milczaliśmy dłuższą chwilę, aż wreszcie ona się odezwała: „Wiem, co to za człowiek”. Opowiedziała mi o incydencie ze ściśniętym nadgarstkiem, a później o piwnicy. zaproponowała, że jeśli nie ma mi kto pomóc, to ona to zrobi. Odmówiłam. Ale wymieniliśmy się numerami i spotykałyśmy, kiedy się dało. Do niej także przyłgnęłam. Nie wiem, czy nie przeżyłam dzięki niej, bo kilka razy naprawdę chciałam umrzeć. Myślałam, że należy skorzystać z jej propozycji, przyjmując pomoc. A jednak – zwyczajnie się bałam. Przecież raz już przyjąłam pomoc – od Vittoria.

Valentina zrobiła dla mnie coś jeszcze. To właśnie jej po kryjomu przynosiłam płótna. Kiedyś namalowałam swój autoportret, a mój mąż chlusnął w niego czarną farbą. Od tej pory bałam się zostawiać obrazy w domu. To, co było naprawdę wartościowe, suszyłam, zwijałam i dawałam Valentinie. Na via San Lorenzo zostawiałam tylko kiepskie rysunki, a Vittorio mógł sobie do woli kpić z mojego miernego talentu i wielkich wyobrażeń o sobie samej. Któregoś dnia Valentina wręczyła mi kartę bankomatową i karteczkę z pinem. Powiedziała, że założyła nowe konto w banku, na swoje nazwisko, bo na moje przecież nie mogła, ale to właśnie ja miałam z niego korzystać. Były tam moje pieniądze. Moje. Nie wiedziałam, skąd się wzięły, a wtedy ona zdradziła, że sprzedała obrazy. Wszystkie. Przez internet. Obrazy, których autorką była niejaka „Greta di Biase”. To Valentina

wymyśliła mnie od nowa. Wcześniej nazywałam się Angelica Tucci, ale w tamtej chwili stałam się Gretą. Valentina powiedziała, że mam malować dalej, malować, ile mogę, a ona wszystko sprzeda. Wreszcie zbieram taką kwotę, dzięki której poczuję się pewniej i nie będę się bała odejść. Ona mi pomoże. Ona zawsze mi pomoże, kiedy tylko będę tego potrzebowała. Uosabiałam los, którego ona uniknęła – chyba o to chodziło.

Zrobiłam tak, jak zaleciła. Malowałam. Prawie nie jadłam, nie spałam, miałam wrażenie, że moje serce bije już szybko przez cały czas, że za mostkiem nieustannie czuję potworny ból, większy niż ten, do którego przywykłam. Ale malowałam. Vittorio był coraz gorszy, a ja każdą noc spędzałam zamknięta w piwnicy. I wtedy też malowałam. Schudłam tak bardzo, że wszystkie ubrania wisiały na mnie jak na wieszaku. Nie tylko ja to widziałam. Mój mąż pewnego razu oświadczył, że ludzie zauważyli, jak zmizerniałam, i zaczynają gadać różne „dziwne” rzeczy, więc lepiej, bym „zaczęła coś żreć”. Nie wiem, dlaczego tak mu wtedy odpowiedziałam. Nie mogłam się powstrzymać. Rzuciłam: „Jutro wyjeżdżam. Wrócę pojutrze”. A on na to: „Chyba śnisz”. Nic już więcej nie powiedziałam. Tej nocy nie poszłam do piwnicy, położyłam się w sypialni, zniosłam to, co musiałam znieść, a później leżałam z szeroko otwartymi oczami aż do piątej. Wstałam, ubrałam się po cichu i wyszłam.

Umówiliśmy się z Valentiną na dworcu autobusowym. Zjadłyśmy śniadanie, wypiliśmy szybką kawę i po szóstej siedziałyśmy już w autobusie jadącym do Sarnico. Wspaniale się czułam! To były najpiękniejsze dwa dni mojego życia. Tamtego życia. Valentina prosiła mnie, bym nie wracała do Bergamo. Powiedziała, że wszystkim się zajmie, pójdzie po moje rzeczy, jeśli trzeba – z pomocą braci. Ale ja przecież nie zostawiłam w domu nic, co byłoby cenne. Nic oprócz czterech obrazów, których nie zdążyłam wysuszyć... Jednym z nich była „Pieta”, o której Ci opowiadałam.

Miałabym się gdzie zatrzymać na tym ewentualnym wygnaniu. Valentina pokazała mi swój domek po babci, na Monte Isoli. Maleńki, zaledwie pokój z kuchnią i łazienką na parterze, ciasna sypialnia na piętrze i poddasze, na którym nie dało się stać wyprostowanym. Bardzo zniszczony, z dziurawym sufitem i grzybem na ścianie. Ale jaki widok roztaczał się z okien! Mogłabym

na tej wyspie spędzić resztę życia. Patrzeć na jezioro, malować, czuć spokój i wsłuchiwać się w niemal obezwładniającą ciszę.

Zgodziłam się tam na trochę zamieszkać. Valentina obiecała, że przyprowadzi braci i szybko odnowią w domu, co się da. Kilka nocy wytrzymam z grzybem na ścianie i dziurawym sufitem. Oczywiście, wytrzymałabym. Ale nie o to mi chodziło. Powiedziałam, że zanim tu zamieszkać, muszę wrócić i powiedzieć mu w oczy: „Odchodzę”. Zdobyć się na ten akt odwagi, zrobić to dla siebie samej. Nie chciałam myśleć, że uciekłam, i oglądać się za siebie, bać się, że on mnie znajdzie. Być może było to głupie, ale pamiętałam Iman. Jej wieczny lęk, że odnajdzie ją rodzina. Musiałam to zakończyć twarzą w twarz. Pokazać, że mam siłę, o jaką nigdy mnie nie podejrzewał. Poza tym – zostawiłam przecież obrazy. Zostawiłam „Pietę”!

Tamtego dnia, kiedy wracaliśmy z Monte Isoli, poszliśmy jeszcze w jedno miejsce. Była to Accademia Carrara. Pierwszy i ostatni raz odwiedziłam ją właśnie z Valentiną. Ona niespecjalnie interesowała się sztuką, ale ponieważ sama miała rękę do rysowania, wyobraźnię i pięknie szkicowała swoje kreacje, umiała to i owo docenić. Mówiąc wprost – wiedziała, czy obraz jest dobry, czy nie, nawet jeśli samo oglądanie nie bardzo ją ekscytowało. I czuła, że mnie, owszem, ekscytowało. Umiałam malować, ale nie znałam się na malarstwie. Głupie, prawda? Przechowywałam jedynie wspomnienie tego, co widziałam w Genui. I obrazów w tamtym kościele, w Voltri. Przeglądałam oczywiście internet i katalogi, ale na co dzień ledwo znajdowałam czas na malowanie, musiałam kraść chwile dla siebie i czerpać z nich energię, przetykać nimi godziny spędzone w sklepie i z Vittoriem. Chodziłam też do Santa Maria Maggiore, ale tam otaczało mnie głównie średniowiecze, ikony, święci, krzyże i Matki Boskie. Potrzebowałam widzieć coś innego, obserwować zmiany zachodzące w sztuce na przestrzeni wieków. Starłam się uczyć, nadrabiać braki. Valentina podrzucała mi książki, czasem rozmawiałyśmy o malarstwie, mimo że ona wykazywała wobec niego średni entuzjazm. Robiła to dla mnie.

Kochała mnie. Nie do końca w taki sposób, w jaki ja kochałam ją, ale to nie ulegało wątpliwości. Nigdy nie dała mi odczuć, że chce ode mnie czegoś

więcej niż tylko przyjaźni. A jednak tamtej nocy na Monte Isoli... byliśmy ze sobą. Chyba ja to sprowokowałam. Zaczęłam mówić o tym, że nigdy z nikim się nie kochałam. Nie skłamałam. Vittorio z początku się hamował, nie pokazał od razu swojej prawdziwej twarzy, ale trudno powiedzieć, by się ze mną kochał. Odebrał mi dziewictwo, a później uprawiał ze mną seks. On uprawiał ze mną. Tak, żeby sprawić sobie przyjemność. A później, jak już pisałam, przede wszystkim pokazywał mi, „jak się traktuje takie dziwki”, które za szeroko się uśmiechają i noszą za krótkie sukienki. To mu sprawiało największą przyjemność. Oszczędzę Ci szczegółów. W każdym razie – choć w żadnym wypadku nie byłam dziewicą – powiedziałam Valentinie, że nigdy z nikim się nie kochałam. Nie wiedziałam, jak smakuje taka przyjemność, co się wtedy czuje. Znałam tylko Vittoria.

Valentina zaprowadziła mnie do małej sypialni, z której roztaczał się niesamowity widok na jezioro. Zastanawiałam się wtedy, czy ktoś, kto codziennie podziwia taki widok z okna, może być nieszczęśliwy. A później zrozumiałam, że może. W tamtej chwili jednak wydawało mi się, że ten dom to prawdziwy azyl. Tutaj nic mi się nie stanie, spotkają mnie same dobre rzeczy. I przez tę jedną noc tak było. Kochałam się z Valentiną. Ona pokazała mi, że mogę coś poczuć, pokazała mi wszystko. Byłam nieporadna i bierna, ale o nic nie pytała i na nic nie narzekała. Miałam wrażenie, że straciłam rozum. Poddawałam się jej pieszczotom z coraz większą swobodą, przyjmowałam je coraz chętniej. Płakałam z rozkoszy i chyba ze szczęścia.

Rano piekła mnie skóra, a podbrzusze pulsowało. Powiedziałam jej jednak, że ja... nie jestem taka. Nie wiedziałam, jak to inaczej ująć, i okropnie się wstydziłam. Było mi też przykro. Miałam wrażenie, że ją wykorzystałam, że ona na coś z mojej strony liczyła. Nie doceniłam Valentiny. Uśmiechnęła się tylko i powiedziała: „Wiem”.

A ja musiałam wrócić na via San Lorenzo, na chwilę, na kilka minut.

I wróciłam. Następnego dnia, późnym wieczorem. Czekał na mnie w piwnicy.

Dziś nie mogę już o tym pisać. Powinnam poczekać kilka dni, zebrać się w sobie, dokończyć opowieść i przesłać Ci ją w całości. Ale wtedy musiałbyś jeszcze dłużej czekać. Chciałam, byś wiedział, że o Tobie nie zapomniałam.

Myślę o Tobie każdego dnia. O tym, czy naprawdę możesz mnie zobaczyć, cień mnie, moje resztki. Nie wiem.

Daj mi jeszcze trochę czasu. Nawet jeśli będziesz w Bergamo – nie spiesz się.

Napiszę niedługo i obiecuję, że wtedy już dowiesz się wszystkiego.

A później przyjedź do mnie.

Greta

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: Co mam teraz zrobić?

Greto...

Co mam teraz zrobić? Napisałaś mi o tym wszystkim, a tak naprawdę – jak się domyślałam – nie napisałaś jeszcze nic. Rozumiem, że trudno Ci o tym opowiadać, ale postaw się w mojej sytuacji. Przerwałaś w najgorszym momencie, zostawiłaś mnie z obrazami, które podsuwa wyobraźnia. Wiem, że Twój mąż nie żyje, zabił się wtedy, kilka dni po pożarze. Ale co się stało? Co dokładnie się stało? Chcę wiedzieć wszystko. Domyślałam się, że coś przecież musiało się stać i stąd ta anonimowość, ta samotna wyspa, z której do mnie piszesz...

Monte Isola. Tam mieszkasz, prawda? Tam się ukrywasz. I właśnie tam mógłbym zacząć Cię szukać. Znalazłbym Cię, mam rację? Sprawdziłem wszystko w internecie. Ściągnąłem mapę wyspy, obejrzałem zdjęcia, dowiedziałem się, kiedy kursują promy i skąd. Wiosną i latem nawet łatwiej tam dotrzeć niż jesienią i zimą, kiedy traghetti pływa rzadziej. Całą wyspę można obejść bez problemu, dziewięć kilometrów, dwie godziny piechotą, nawet mniej, jeśli się idzie szybko. Nie napisałaś mi, kiedy Cię o to pytałem, co widzisz z okna i czy Twoje powietrze pachnie czasem deszczem. Teraz wiem, że widzisz jezioro, a deszcz pada zwłaszcza wczesną wiosną i jesienią.

Wiem, że zimy nie są ostre, ale wilgoć daje się we znaki, i wiem, że na wyspie robi się wtedy pusto i cicho, popołudniami ulice stają się wyludnione, wieje wiatr, na przystaniach nie widać turystów i nie słychać ich rozmów. Woda ma faktycznie taką barwę, jak na Twoim obrazie. Już rozumiem. Tam odzyskałaś spokój, rysy Twojej twarzy się wygładziły, nie musisz się bać. „Greta w srebrnym welonie” przedstawia Gretę z Bergamo, z via San Lorenzo, żonę Vittoria. Ten welon... Ciężki, gęsty, przytłaczający. Twoja wściekłość, którą można też wziąć za smutek. Dwie Greta. Powiedziałaś, że współlistnieją ze sobą, ustępują sobie miejsca. Rzeczywiście, pewnie masz rację. Nigdy nie stałaś się w pełni Gretą z Monte Isoli. Wciąż bywasz Gretą z Bergamo. Wciąż bywasz żoną Vittoria, schodzisz do tej piwnicy i wszystko dzieje się od nowa.

Coś jest nie tak z Twoją twarzą na tych obrazach. Coś nieustannie mi zgrzyta, nie pasuje do reszty. Jakbyś fragment swojej twarzy na obrazie z welonem namalowała inną techniką, a na obrazie z jeziorem – ten sam fragment celowo ukryła. Już Ci o tym mówiłem. Wciąż myślę o Twojej twarzy, analizuję w myślach każdy szczegół. Niczego nie wiem na pewno, ale są rzeczy, których mogę się domyślić. Wolalbym, abys powiedziała mi to wprost. Czego w tej chwili się boisz? Vittorio nie żyje. Chyba rozumiesz, że niezależnie od tego, co się stało przed pięcioma laty – chcę Cię zobaczyć. Chcę przyjechać. Jestem na to gotowy w każdej chwili. Wyraziłaś zgodę, jednocześnie nie podając żadnych konkretów.

Powiedz, gdzie mam się pojawić, a zrobię to. Jestem głupi, porywczy i nierozsądny? Oczywiście. Przyjechałem do Włoch, bo zafascynowały mnie słowa i twarz pewnej kobiety. Zaryzykowałem – a ja nigdy nie ryzykuję. Zabezpieczam się na wszelkie możliwe sposoby, nie wychodzę ze swojej skorupy, boję się tego, czego nie znam. Nie jestem spontaniczny. Planuję każdy krok, a później każdy krok analizuję. A jednak pojechałem do Włoch, zostawiłem wszystko, co mam, i postanowiłem Cię odnaleźć. A Ty przez cztery tygodnie kazałaś mi czekać na odpowiedź, po czym napisałaś właśnie TO. Wciąż mi nie ufasz. Rozumiem. Zostałaś skrzywdzona. Ale może spróbuj? Jeśli boisz się spotkać ze mną twarzą w twarz, poproś kogoś, by nam towarzyszył. Umówmy się w miejscu publicznym, może w kawiarni lub

restauracji. Są przecież takie na Monte Isoli, a teraz, w lecie, z pewnością nie świecą pustkami. Zrobię, co zechcesz, jeśli tylko uznasz to za pomocne. Nie jestem Vittoriem. I cokolwiek się stało wtedy w piwnicy – należy już do przeszłości. Minęło pięć lat. Może czas zacząć od nowa?

Co powinienem Ci jeszcze napisać? Że spędziłem trzy dni w Voltri, mieszkałem przy tej samej ulicy co Ty, i z kuchennego okna widziałem chyba to samo podwórko, ciasno stłoczone domy, nachodzące na siebie dachy, i jedno pomarańczowe drzewo? Tak, właśnie to wszystko. Mogę dodać od siebie, że po starych dachówkach przechadzały się dwa koty – jeden dorosły, rudy, i drugi mały, czarny. Blisko okna turkotał pociąg, słyszałem śpiew starej kobiety i trzaski zamykanych w południe okiennic. Byłem na wzgórzach, widziałem pałac księżnej di Galliera, sanktuarium, grobowiec, patrzyłem na las, który wtedy płonął. Mało tego. Spotkałem pewnego Włocha, który wyglądał na miejscowego, i zapytałem go o tamten pożar. Powiedział, że wszystko pamięta i że ktoś wtedy zginął. Że kiedy płonie las w górach, to prawie zawsze ktoś ginie. Widziałem też te koty, o których wspomniałaś. Być może to już ich dzieci. Masz rację, morze wygląda z góry ładniej, i port, i kontenerowce. I co jeszcze? Mam pisać, że chodziłem Twoimi ścieżkami, wyobrażałem sobie Ciebie obok, patrzyłem na sprzedawców parasolek i okularów słonecznych, gumowych basenów i kół ratunkowych, i wtedy także widziałem Ciebie, Twoją drobną figurę pod ciężarem towarów, zgięte plecy, pot spływający po czole, otartą skórę na ramionach? Kupiłem melony, usmażyłem bakłażany. Chyba oszalałem.

Może nie pasuję do tych czasów? Pisałem Ci o Heathcliffie i Catherine i zastanawiam się nad granicami, które człowiek sam sobie stawia i od zawsze stawiał. Kiedyś były konwenanse, klasowość, ściśle przestrzegany system społecznych reguł, których nie wolno łamać, liczyła się reputacja, w imię której powściągano własne emocje i pragnienia. Teraz wolno wszystko, ale poza pieniędzmi prawie nikt już niczego nie chce. Zarabiamy, płacimy rachunki, jemy, siedzimy w sieci, wchodzimy w płytkie relacje z ludźmi, których także znamy tylko z sieci, przyjaźń redukujemy do wymiany kilku zdań „na privie”, znajomość do kilku lajków pod zdjęciem, dyskusje do komentowania postów, każdą czynność rozpatrujemy pod kontem

Facebookowej przydatności. Po co robić rzeczy, o których nie można napisać i których nie można zilustrować odpowiednim zdjęciem? A poza tym? Co zostaje w prawdziwym życiu? Ile znaczy widok jeziora w środku lasu, nad które trafia się przypadkiem, po zboczeniu z głównego szlaku? Ile znaczy zdobycie górskiego szczytu, jeśli nikomu się tym nie pochwalimy? Ile znaczy dobre jedzenie, interesujące spotkanie przy kawie, oglądanie gwiazd w towarzystwie ukochanej osoby – jeśli wrażenia zarezerwowane są tylko dla nas?

A przecież właśnie to się powinno liczyć. Doświadczenia, które można z kimś dzielić naprawdę, to, co się czuje całym sobą, co dociera do głębi i szarpie za trzewia. Dlaczego za prawdziwe uważamy tylko złe emocje, tragedie i traumy? Dlaczego książki i filmy, które mówią o przemocy, uważamy za wartościowe, ale te, które mówią o miłości – za cliche, głupie i banalne? „Bo albo ze sobą będą, albo nie”. Czy to jest rzeczywiście mniej autentyczne lub mniej istotne od przemocy? Mam wrażenie, że o przemocy łatwiej się mówi, bo to powszechny problem, coś „ważnego”, na co należy zwracać uwagę i co trzeba piętnować. Zgadzam się. Ale dlaczego nie mówimy o tym, co jest na przeciwnym biegunie? Czy boimy się opowiadać o miłości dlatego, że to od nas czegoś wymaga? Na przykład pokazania, jak ważna jest ta druga osoba? I że nie jesteśmy samowystarczalni? Że człowiek, którego nikt nie kocha, usycha zupełnie tak, jak usycha roślina, której nikt nie podlewa? Miłość wygląda miękko i tandetnie. Miłością nie zajmują się poważni ludzie. Prawda? Poważni ludzie opowiadają o przemocy.

Myślę, że wielu z nas zwyczajnie nie potrafi kochać. Patrząc czasem na pary w różnym wieku i mam wrażenie, że większość z nich się nie znosi albo są sobą znudzeni. Jedno mówi, a drugie udaje, że słucha, później zamieniają się rolami, kiwają głowami, maskują ziewnięcia, popatrują w telefony. Niedawno widziałem starsze małżeństwo na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu, siedzieli na ławce, jedli kanapki, które przynieśli z domu, on czytał Knausgarda, ona Murakamiego. To właśnie tytuł „Kronika ptaka nakręcacza” zwrócił moją uwagę. Stałem nieopodal i udając, że podziwiam Odrę, popatrywałem na nich. Obracali kartki, czytali, żuli. Raz na jakiś czas odrywali wzrok od lektury, spoglądali na siebie, uśmiechali się,

zamieniali dwa słowa i dalej czytali. Ona wyjęła z torby termos, on dwa kubki. Napili się kawy. Później ona wyjęła pudełko z domowym ciastem, a on widelczyki. Mało rozmawiali, ale ich ruchy były tak pewne, tak idealnie zsynchronizowane, że naprawdę stanowili jedność.

Wiem, dlaczego tu przyjechałem. Przebiłem swoją skorupę, bo coś poczułem i uznałem, że to dobrze. Ludziom zawsze się wydaje, że jeśli coś czują – muszą z tym walczyć. A ja nie chcę. Chcę czuć. Tęsknota za Tobą boli, ale też sprawia, że żyję. Od dawna nie żyłem w taki sposób, tak prawdziwie, tak mało myśląc o samym sobie i przetwarzając świat według siebie. Miłość jest wrogiem egocentryzmu i karmi się, niekiedy naiwną, ufnością. Dlatego wydaje się głupia. Ja też wydaję się sam sobie głupi. A jednak cieszę się z tego, co udało mi się osiągnąć. Widzę coś więcej niż czubek własnego nosa. To bardzo ożywcze, naprawdę. I wydarzyło się dzięki Tobie. Być może wydarzało się wcześniej dzięki Zygmuntovi, Nicie, dzięki Basi, mojej matce, mojemu ojcu. Ale Ty to wyzwoliłaś albo może obudziłaś, nie wiem. Wiem jedno – Twój pierwszy list otworzył w moim umyśle drzwi, które od dawna pozostawały zamknięte. Brzmi to może tandetnie i banalnie, ale tak właśnie jest. Potrząsnęłaś mną. Uratowałaś mnie przed samym sobą. Dlatego pozwól mi teraz uratować Ciebie. Nie wiem, co mogę dla Ciebie zrobić, więc mi podpowiedz. Kilka tygodni temu z pewnością liczyłbym na coś w zamian. Pisałbym Ci, że wyobrażam sobie Ciebie nagą, że widzę, jak kochamy się w genueńskim mieszkaniu z widokiem na port, odsłaniam każdy fragment Twojego ciała, całuję wargi, przyciskam Cię do łóżka i przygniatał swoim ciężarem, że chcę Cię czuć. Ale teraz Ci tego nie powiem. Pozwól mi przyjechać i dać Ci bezpieczeństwo. Nie chcę niczego więcej i niczego w zamian.

Wyjeżdżam z Voltri. Jadę do Bergamo, teraz właśnie siedzę w pociągu i pokonuję tę samą trasę, którą pokonałem przed czterema tygodniami. Planowałem zostać w Voltri jeszcze przez dwa dni, może nawet usiąść na plaży ze szkicownikiem, wyobrazić sobie Ciebie i Iman, samą Ciebie, Ciebie z mężczyzną, którego poślubiłaś. Budzi się we mnie złość, kiedy o nim myślę, a przecież nigdy nawet nie poznałem tego człowieka. Jaką złość musiałaś czuć Ty? Możesz mówić, że to raczej strach, panika, rezygnacja. Ból, który

wrasta w nas tak mocno, że nie potrafimy nawet zlokalizować jego źródła. A jednak przede wszystkim to złość. Zrodzona z innej złości, z poczucia krzywdy, ze świadomości, że – no właśnie – ktoś Ci ukradł zwyczajne życie. Kiedy zginęła moja matka, ze złości powiedziałem mojej dziewczynie „spierdalaj”. Pół godziny temu, w pociągu jadącym z Voltri na piazza Principe, spotkałem młodą Hinduskę, która szukała swoich kluczy. Myślała, że zostawiła je na siedzeniu, ale nie pamiętała, gdzie dokładnie, bo wszystkie wagony były do siebie takie podobne. Rozejrzałem się razem z nią, zerknąłem pod kilka foteli, na półki, nawet do popielniczki. Nigdzie nie zobaczyłem żadnych kluczy i wydawało mi się, że dziewczyna musiała je raczej zgubić gdzie indziej. Była bardzo zdenerwowana, mówiła po angielsku, nieskładnie, z twardym akcentem, i wciąż patrzyła na boki. Na włosy zarzuciła kolorową chustę przetykaną złotą nicią, a jej końce nawijała na palce. I właśnie w ten akt włożyła całą swoją złość. W końcu oba jej palce wskazujące zsiniały, tak mocno owinęła sobie wokół nich materiał. Wysiadła na piazza Principe bez kluczy i chwiejnie ruszyła wzdłuż peronu. Odniosłem wrażenie, że zgubienie kluczy było dla niej początkiem czegoś znacznie gorszego, ale o nic nie zapytałem. Nie zaoferowałem żadnej pomocy, zresztą nie sądzę, by chciała ją przyjąć od nieznanego obcokrajowca. Myślę, że na długo zapamiętam ten gest szarpania za końce kolorowej chusty. I posiniałe palce, do których nie dopływała krew.

Dlaczego Ci o tym mówię? Nie wiem. Zbliżam się do Mediolanu, w którym wsiądę w pociąg jadący do Bergamo. Ja również jestem zły. Na Twojego męża, przez którego cierpiałaś, na sytuację, w której się znaleźliśmy, i nawet na Ciebie, bo mam wrażenie, że próbujesz wszystko skomplikować. Nie komplikuj, jeśli nie musisz.

Powtórzę – powiedz, gdzie jesteś.

Niedługo znajdę się w Bergamo, będę bliżej Ciebie, jeśli wciąż przebywasz na Monte Isoli. Poprosiłaś, bym dał Ci jeszcze trochę czasu. Greto, dam Ci go tyle, ile potrzebujesz, ale przecież... kiedyś będę musiał wrócić do Wrocławia. Zwłaszcza jeśli nie dopuścisz do naszego spotkania. Moje samotne przebywanie we Włoszech, bez pracy, którą zostawiłem, i bez mieszkania, traci sens. Aby tu zostać, muszę mieć powód. Nie naciskam na

Ciebie, piszę prawdę. Któregoś dnia skończą mi się pieniądze. Już w tej chwili mam ich niewiele. I moje poszukiwanie Ciebie, a także samego siebie, przerwie zwykła codzienność.

Czekam na Twoją wiadomość.

Adam

13. Razem jest zawsze...

Bergamo z pewnością okazałoby się bardzo piękne, gdyby potrafił je dostrzec. Ale Adam widział raczej splot ulic i placów, labirynt kamienic i kościołów, zielone plamy skwerów i szkliste lustra fontann. Rejestrował nazwy, bo zawsze zapamiętywał detale, nawet jeśli się o to nie starał. Bez problemu znajdował drogę nawet wtedy, kiedy chciał się zgubić. Napisała, by dał jej jeszcze trochę czasu, a on był na tyle głupi, by posłuchać. Choć przecież nie powinien. Powinien zarezerwować pokój u Saviów przy via Suardi, a później biec do Città Alta, na via San Lorenzo, do butiku, z którym wiązało się tak wiele domysłów. I gdzie była Valentina. Ta Valentina, która doświadczyła czegoś, o czym on sam marzył. Za co byłby gotów oddać wiele, może nawet wszystko. Już przecież wszystko oddał. Przyjechał tutaj, nie odbierał telefonów od Zygmunta, zdawkowo odpisywał na jego wiadomości, ignorował pytania Nity, czy u niego w porządku, zapomniał o galerii, obrazach, rachunkach do zapłacenia. Poważnie naruszył sumę z konta oszczędnościowego – niezbyt wysoką kwotę na czarną godzinę – a pieniądze wydał na jedzenie, wynajem mieszkań w Genui i Voltri, pociągi, muzea i szkicowniki. Miał już siedem. Każdą stronę zapełniał wizerunkami Grety, rysował ją nawet wtedy, kiedy wcale tego nie chciał. Zwłaszcza teraz palce same odnajdywały drogę na papierze, kreśliły linie, zagłębienia i marszczenia, cieniowały i wyostrzały.

Powiedziała mu tyle – i znowu milczała. Miał ochotę zabić tego skurwiela, jej męża, ale przecież on i tak już nie żył. Adam napisał bardzo wyważony, a jednocześnie rozpaczliwy e-mail, w którym było mnóstwo zapewnień, obietnic i deklaracji, choć zanim to zrobił, musiało upłynąć kilka

godzin. Kilka godzin, podczas których krzyczał w poduszkę, drapał się do krwi po ramionach, biegł przed siebie chodnikiem wzdłuż ruchliwej ulicy, aż płuca odmówiły mu posłuszeństwa, i wreszcie – wszedł do morza. Wbiegłby i tam, ale uniemożliwiły mu to kamienie, na których potknął się i przewrócił. A zatem wszedł. Płynął przed siebie w ubraniu i czuł, jak materiał dżinsowych szortów zaczyna mu ciążyć. Płynął tak, jak płynął kiedyś mąż tamtej kobiety z piazza Caricamento w Genui – wciąż dalej i dalej, tak by się zmęczyć i nie móc wrócić. Tyle że Adam musiał wrócić. I wrócił. Dopłynął do brzegu ostatkiem sił, plując i krztusząc się słoną wodą, z załzawionymi oczami i uczuciem ciężkości w klatce piersiowej. A później leżał długo na kamieniach, wsłuchany we własny oddech i dudnienie w uszach.

Przywłaszczony życiorys. Prawdziwy życiorys. Życiorys Grety musiał być prawdziwy. Na samą myśl o tym, że ona mogła opowiadać nie swoją historię, pękało mu serce. Bo przecież wiedział doskonale, o co tu tak naprawdę chodziło. Nie tylko o osobę Grety, lecz także o jej historię. Jedyną i niepowtarzalną, tak jak jedyne i niepowtarzalne jest życie każdego człowieka. Myśląc o historii Grety, Adam zamieniał się na powrót w tamtego trzynastolatka z obozu wędrownego, który nagle zauważył wokół siebie innych i zrozumiał, że każdy nosi w sobie jakąś opowieść. Wciąż się rozwijającą i nieprzewidywalną. Zmierzającą do finału, który dla każdego jest wielką niewiadomą. Opowieść Grety pochłonęła go bez reszty. Chciał być częścią jej historii i dlatego miał nadzieję, że nie jest przywłaszczona. Nie wiedział jednak, na ile człowiek może być szczery w opowieści, którą snuje o sobie samym. I kiedy zaczyna się zastanawiać nad tym, jak widzą go inni.

A jednak to się wydarzyło – wydarzyło naprawdę, w butik w Bergamo. Vittorio Rossi się zabił, jego żona ucierpiała. Wybuchł pożar. To nie było zmyślane, tak jak nie była zmyślona Valentina Savio, która kochała się z Gretą na wyspie Monte Isola. Nie wiedział, co o niej myśleć, jak zbudować sobie jej obraz. Opowieść o tym, co wydarzyło się między kobietami w sypialni z widokiem na jezioro, najpierw obudziła w nim zazdrość i złość, a później – przepeliła go wdzięcznością. Wobec Valentyny. Bo dała Grecie coś cennego, prywatnego, coś, co mogła schować głęboko w sercu, by potem

czepać stamtąd siłę. Valentina pokazała Grecie, co powinna czuć kobieta, kiedy jest kochana. Adam mógł zalewać się żółcią z zazdrości, ale był gotów biec do *signoriny* Savio i dziękować jej za tamtą noc. I jeszcze za to, że nie oczekiwała niczego w zamian. Chciała tylko dać Grecie wolność i okazać jej miłość. Ofiarować coś, czego nie otrzymała nigdy wcześniej. Wolność i miłość. Adam był bliski konkluzji, że Valentina Savio rozumiała najlepiej, co jest w życiu najważniejsze. I wiedział już też, do jakich dwóch wydarzeń Greta zredukowała swoje istnienie. Do krótkiej podróży, którą odbyła z Valentina, i do tej chwili w piwnicy, o której mu jeszcze nie opowiedziała.

Każdego dnia przetykał wściekłość i gorycz. Przyjechał do Bergamo, wynajął pokój w dwuosobowym hostelu przy via Suardi, a z okien widział hotelik Saviów. Jego gospodarz – Albert – okazał się nad wyraz gościnny. Przynosił mu tosty i rogaliki na śniadanie, dżemy i nutellę, owoce i jogurty, soki i kawę. Wieczorem zaprosił go na grilla i zachęcał do jedzenia pieczonego mięsa, choć przecież Adam od lat spożywał głównie makaron i pomidory. Albert zaprosił również gości z drugiego pokoju i dwóch swoich przyjaciół. Jedli i pili wino, aż przestali liczyć, która to butelka. Nikomu nie chciało się spać. Rano, ze spierzchniętymi ustami i suchym gardłem, siedział na piazza Luigi Angelini i obserwował butik Valentiny. Widział, jak do środka wchodzi młoda dziewczyna, podnosi rolety, otwiera drzwi, zajmuje miejsce za kontuarem i wpatruje się w ekran komputera. To nie była Valentina.

Ona nie pojawiła się w swoim własnym butiku przez trzy dni. Adam nie mógł usiedzieć w miejscu. Włóczył się po mieście zupełnie tak, jak opisała to Greta. Nogi go niosły – na te same place, wzdłuż murów Città Alta, pod bazylikę Santa Maria Maggiore. Rzeczywiście – nad ołtarzem wisiał krzyż, a na nim chudy, zmaltretowany Jezus, symbol nie tyle świętości i boskości, ile potwornej, okrutnej śmierci. Zrobił zdjęcie i wysłał je Zygmunтови. W odpowiedzi otrzymał pytanie: „Kiedy Ty, do kurwy nędzy, wrócisz?”. Odpisał krótkim: „Przepraszam. Wszystko Ci wyjaśnię”. Mógłby dodać: „Daj mi jeszcze trochę czasu”, ale to byłby cytat z Grety, słowa, które wciąż wprowadzały go z równowagi.

Krążył między Città Alta i Città Bassa, jeździł kolejką, wypożyczył

rower, chodził, biegał, a wieczorami wpatrywał się w okno i pił wino.

Przywłaszczony życiorys.

Prawdziwy życiorys...

Razem jest zawsze łatwiej.

Mógł napisać to Grecie. Ponownie zacytować Zygmunta, przypomnieć jej, że z czymkolwiek musi się zmierzyć – razem będzie łatwiej. Ale przecież on sam nie wierzył w te słowa przez piętnaście lat. Dlaczego tak się dziwił, że nie chciała w nie uwierzyć Greta? Valentina musiała sobie wychodzić jej zaufanie, co zajęło kilka lat. Zaoferowała pomoc, dach nad głową, pieniądze. Nawet samą siebie. On dał jej tylko słowa. Chciał dać więcej, ale ona nie chciała tego przyjąć. Równie dobrze sama mogła się zastanawiać, czy nie przywłaszczył sobie niczyjej historii, czy naprawdę przeżył to wszystko – powódź, kokosowe draże na balkonie, „spierdalaj” wypowiedziane do Basi, szkicowanie na Torcello i żużel w towarzystwie Zygmunta. Czy był rzeczywiście taki, jakim siebie opisał, czy też tylko tak mu się wydawało.

Przecucie, że wydarzy się coś złego, jeszcze się nasiliło. Tym razem jednak dołączyła do niego obawa. A jeśli Greta di Biase już się nie odezwie? Nawet jeśli poprosiła o czas i zapewniała, że niebawem znowu napisze.

Trzeciego dnia, na widok tej samej dziewczyny, która otworzyła butik Valentiny Savio, Adam porzucił swój poranny punkt obserwacyjny na piazza Luigi Angelini, wrócił na via Suardi i poszedł na drugie śniadanie do hoteliku Saviów. Posiłek podała mu wysoka, okazała kobieta o energicznych ruchach, szerokim uśmiechu, zachrypniętym głosem i ciemnych włosach, przetykanych srebrnymi nitkami. Miała około siedemdziesięciu lat i była wciąż bardzo piękna. Postawiła przed nim kawiarkę, małą filiżankę do espresso i talerz z najlepszą bruschettą, jaką w życiu jadł. Intensywny smak pomidorów, czosnku, oliwy z oliwek i świeżej bazylii sprawił, że zrobiło mu się gorąco, a żołądek skurczył się w nagłym przypiływie wilczego głodu. Dawno już nie czuł takiego głodu i nie celebrował w taki sposób posiłku. Zupełnie jakby nagle obudzone miłość, wściekłość, zazdrość, pożądanie i tęsknota uruchomiły także bogaty repertuar innych doznań. Wypił kawę i zamówił na deser panettone – babkę z rodzynkami, którą poza świętami Bożego Narodzenia podobno trudno było dostać w całej Lombardii, ale którą

w hotelu Saviów podawano przez okrągły rok. W smaku odrobinę przypominała keks pieczony przez jego matkę.

Podziękował za posiłek, zapłacił, a kiedy wyszedł do małego, wyłożonego kamienną posadzką hallu, zobaczył mężczyznę i kobietę, nieco starszych od siebie, którzy kłócili się o gazetę, usiłując ją sobie wyrwać tak, by ostała się w jednym kawałku. Gospodyni wskazała ich kciukiem i mruknęła:

– Jak smarkacze. Starzy, a durni.

Domyślił się, że to jej dzieci. Na samą myśl o tym, że właśnie widzi przed sobą brata Valentyny, najpewniej tego brata, o którym w swoim liście wspominała Greta, zakręciło mu się w głowie. Bo przecież to nie był Roberto Savio. To był ten drugi, obrońca, który pojawia się wtedy, kiedy jest potrzebny. Adam mógłby go zapytać, czy wybił zęb Rossiemu, a później wyciągnąć dłoń i pogratulować. Mógłby zweryfikować kolejny element tej opowieści. Ale nie zrobił nic. Ominął ich, rozdygotany i z policzkami płonącymi z gorąca. Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie.

Niedaleko via Suardi znajdowała się Accademia Carrara, wystarczyło przejść parę przecznic w stronę murów Città Alta. Wiedział, że nie powinien iść tam w takim stanie ducha, jednak musiał przecież wypełnić sobie czas. Nie miał pojęcia, na co dokładnie czekał, ale jednego był pewien – nawet jeśli Greta postanowiła milczeć, Valentina powinna wreszcie pojawić się w pracy. I został jeszcze Roberto Savio. On był ostatecznością. Człowiekiem, do którego Adam zamierzał się zwrócić, gdyby wszystko inne zawiodło.

Trzeci dzień swojego pobytu w Bergamo zakończył zatem wizytą w Accademii, gdzie jak w amoku przechodził od sali do sali, myśląc jedynie o tym, co powinien napisać Grecie, kiedy stąd wyjdzie. Obiecał sobie, że nie odezwie się do niej, póki nie otrzyma odpowiedzi na poprzednią wiadomość, ale musiał przecież opowiedzieć o obrazach. Po to tu przyszedł. Nie dlatego, że – jak tłumaczył starcowi w foccerii – interesowało go każde miejsce, w którym były freski albo obrazy. W innych okolicznościach właśnie tym by się kierował, ale nie teraz. Teraz miał pretekst, by znowu napisać. Szukał więc medytującej Marii Magdaleny i smutnej Santiny Negri, szedł wzdłuż ścian, z których patrzyli na niego święci, Matki Boskie, legendarni

i historyczni bohaterowie, moi tego świata i plebs, arystokratki i wieśniaczki, starcy i młodzieńcy. Opanowało go to samo wrażenie, którego zawsze doświadczał w takich miejscach. Że przekracza wymiary, pokonuje czasoprzestrzeń i obcuje z duchami. Usiłuje dotknąć tej tajemnicy, którą każdy malarz szyfruje w swoich obrazach, i nie jest w stanie jej przeniknąć. Wie, że to się nigdy nie wydarzy. Bo jest właśnie tak, jak powiedziała kiedyś Greta i jak powiedział on sam – tajemnicę zamkniętą między tkankami płótna i warstwami farby artysta zabiera do grobu.

Kiedy przemierzał pomieszczenia w poszukiwaniu Santiny Negri, natrafiał na kolejne wymalowane twarze, których historie pragnąłby dopowiedzieć. Myślał też o dwóch kobietach na obrazach Grety i o samej Grecie z pędzlem w dłoni, o jej wrzących emocjach, bólu i wściekłości. Myślał o nich już wcześniej, każdego dnia, ale wtedy wyobrażenia o tym, co musiała czuć, były mgliste i niepewne. Nawet teraz opierały się na domysłach, bo przecież nie powiedziała mu jeszcze najważniejszego, ale te domysły miały solidniejszą podstawę. Wiedział, z czym musiała się mierzyć przez lata. Wiedział, kto ją niszczył, kto zabarwił twarz Grety w welonie rozpacz i wściekłością. I bał się o nią.

Zwiedził niemal całą Accademię, a wciąż nie znalazł portretu Santiny Negri. Natrafił jednak na inny obraz. Stała przed nim młoda czarnoskóra kobieta, z włosami zaplecionymi w mnóstwo małych warkoczy. Miała na sobie czerwoną sukienkę i zielone baletki. Wyglądała jak mak. I była przepiękna, ale nie w prosty i oczywisty sposób. Przez chwilę nie był w stanie oderwać oczu od jej prostego nosa i regularnych rysów, nieskazitelnie gładkiej skóry, dużych ust i jeszcze większych, ciemnych oczu. Pomiędzy lekko rozchylonymi wargami połyskiwały białe zęby, szerokie ramięczka opinały się na kształtnych ramionach, a na długiej, smukłej szyi lekko pulsowała błękitna żyła. Posłała mu leniwe spojrzenie, po czym wróciła do kontemplowania obrazu. Wreszcie i on przeniósł wzrok na płótno. Przedstawiało Paola i Francescę z *Boskiej Komedii* Dantego. Gaetano Previati namalował ich w dziewiętnastowiecznych, współczesnych sobie strojach, w śmiertelnych pozach, opartych o ogromne łoże. Martwa Francesca trzyma się za pierś i odchyła głowę, jej rozpuszczone włosy rozsypują się po

narzucie, oczy są zamknięte, twarz nieruchoma i pobladła. Można by pomyśleć, że śpi, gdyby nie mężczyzna, który się na nią osuwa. Nie widać twarzy Paola, a jedynie jego ciemne włosy, siną szyję, bezwładne ręce i sztylet wbity w plecy. Paolo i Francesca, kochankowie, którzy nie byli w stanie walczyć z uczuciami. Wiarołomni małżonkowie, pokonani przez miłość, która przyszła nie w porę. „Miłość nas o śmierć przyprawiła wspólną”*. Dante dał im miejsce w drugim kręgu piekła, przeznaczonym dla grzeszników z miłości, gdzie targani są przez wiatry, tak jak za życia pozwalali, by targały nimi zmysły, i unoszą się w powietrzu, by nigdy nie zaznać spoczynku. Adam wyobraził sobie Francescę z obrazu unoszoną w ciemnej przestrzeni przez silne wichry, z rozwianymi włosami i ustami, które układają się w słowa. „Miłość, co prawem tajemniczym skłania / Serca kochanych wzajem do kochania, / Tak mnie ku niemu nakłania nawzajem, / Że się, jak widzisz, nigdy nie rozstajem”*. Dantego zwiedzającego drugi krąg piekła te słowa doprowadziły do omdlenia. Kto okazał się gorszym człowiekiem? Paolo i Francesca, których niepohamowane uczucie spowodowało na drogę zdrady i kłamstwa, czy mąż Franceski, który ich oboje zamordował? Adam długo przyglądał się kochankom na obrazie Previatiego. Tutaj byli prawdziwi, niemal namacalni. Ich ciała, ich ból i ich śmierć. Dwie sylwetki chwilę przed tym, jak już na zawsze poderwie je wiatr.

Dziewczyna w czerwonej sukience pociągnęła nosem i wytarła policzki wierzchem dłoni. Przykucnęła, położyła torbę na podłodze i zaczęła w niej szperać. Wyciągała ze środka kolejne przedmioty – telefon, portfel, małą puderniczkę, przewodnik po Bergamo w języku angielskim, i wreszcie – książkę i paczkę chusteczek higienicznych. Adam zerknął na tytuł. *Boska Komedia*. Uśmiechnął się pod nosem. Dziewczyna wytarła oczy i dyskretnie wydmuchała nos. W sali dwudziestej siódmej oprócz nich i przechadzającego się wolnym krokiem kustosza nie było nikogo.

– Przepraszam – szepnęła, prostując się. – Przeszkodziłam panu.

Mówiła po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Nic się nie stało – odpowiedział cicho.

– Przyjechałam tutaj tylko dla tego obrazu. Piszę pracę dyplomową o przedstawieniach Paola i Franceski w sztukach plastycznych. Wersja

Previatiego jest moją ulubioną. Ale nie sądziłam, że kiedy zobaczę ją na żywo, poryczę się jak kretynka.

– Dlaczego jak kretynka? Previati na pewno się cieszy, niezależnie od tego, po którym kręgu piekła krąży. Od zawsze wydawało mi się, że najsmutniejszą rzeczą na świecie jest dzieło sztuki niebudzące emocji. Pozytywnych lub negatywnych, po prostu żadnych. Artysta, który tworzy takie dzieło, musi się czuć jak ktoś bezwartościowy, kto całą swoją ciężką pracę równie dobrze mógłby wyrzucić do śmieci. Ale skoro płaczesz, to wykonał swoje zadanie dobrze.

– Vanessa. – Dziewczyna wyciągnęła do niego swoją smukłą, wypielegnowaną dłoń, teraz lekko wilgotną.

– Adam.

– Myślisz, że Previati jest w którymś z kręgów piekła?

– Jak wszyscy artyści. Nie wiem tylko, który najbardziej do nich pasuje.

– Uwodziciele. Ósmy.

– Chyba masz rację.

Stali przez chwilę w milczeniu, wpatrzeni w figury Paola i Franceski, których śmierć zdawała się wciąż tak samo rzeczywista jak wcześniej. Prosta historia – kochankowie, zdrada, oszukany mąż, zazdrość, ostrze. Schemat powielany wielokrotnie, od zarania dziejów. Paolo i Francesca symbolizowali wszystkich tych, których miłość doprowadziła do przedwczesnej i tragicznej śmierci, tak jak twarz Santiny Negri mogła symbolizować nigdy niegasnący smutek po stracie bliskiej osoby.

– Dokąd teraz, Vanesso? – zapytał, przerywając milczenie.

– Galleria d'Arte Moderna, Mediolan.

– Mosè Bianchi?

– Tak. Namalował Paola i Francescę już po ich śmierci, unoszonych przez wiatr. I choć życie się dla nich skończyło, ten obraz wydaje mi się bardziej optymistyczny niż Previatiego. Bo mimo że Paolo i Francesca zeszedli do drugiego kręgu piekła, są razem. Targa ich wiatr, ale on obejmuje ją w pasie, przyciska policzek do jej żeber. I wszystko już wiedzą. Znają swój los, poddają się wiatrom, tak jak wcześniej poddawali się zmysłom. Najgorsze już za nimi. A Previati uchwycił ten moment, kiedy nic jeszcze nie

zostało ustalone. Żywi kochankowie zamieniają się w martwe ciała. I co dalej? Nie ma tutaj zaświatów, nie wiadomo, czy w ogóle coś jeszcze istnieje po śmierci. A może to już po prostu koniec? Przerwane życie i przerwana miłość, raz na zawsze? To mnie właśnie przeraża i zasmuca. Bezkompromisowy realizm tej sceny.

– Twoja praca dyplomowa będzie bardzo dobra – odparł.

– Tak, chyba będzie. – Vanessa roześmiała się głośno, ale natychmiast ucichła pod znaczącym spojrzeniem kustosza. – To co teraz? Adamie? Napijemy się kawy? Drinka?

– Chciałbym, ale... ale...

– Okej, rozumiem. Nie tłumacz się, bo to zawsze wypada słabo.

– Powodzenia w Mediolanie.

– Dzięki. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. Przy jakimś innym obrazie. Albo w którymś z piekielnych kręgów.

– Byłoby miło.

Vanessa odsunęła się od płótna, zrobiła kilka zdjęć bez flesza i ruszyła przez następną, ostatnią już, salę do wyjścia. Adam odczekał chwilę i poszedł w jej ślady. To właśnie tam, w sali dwudziestej ósmej, tuż przy drzwiach, odnalazł wreszcie portret Santiny Negri.

*

Nie napisał Grecie o tym, co widział w Accademii. Usiłował, przez pół nocy. Słowa nie chciały się ułożyć w sensowną całość, a myśli uporządkować. Czytał poprzedni e-mail, który do niej wysłał, i zastanawiał się, czy mógł napisać to wszystko jakoś inaczej. Teraz nie był już w stanie cofnąć ani jednego zdania i świadomość ostateczności okazała się przytłaczająca. Próbował pisać o Paolu i Francesce, ale ta opowieść również nie chciała płynąć. Może dlatego, że tak bardzo przypominała mu ich własną historię – w jakiś dziwny, nieuchwytny sposób. Schemat był może inny, ale emocje, którym nie sposób się oprzeć – chyba te same. Nie napisał do niej i nie położył się spać. Siedział przy oknie w swoim pokoju na via Suardi,

szkicował i słuchał muzyki. Patrzył w okna naprzeciwko, na ściany hoteliku Saviów, nieco już przybrudzone i nadgryzione zębem czasu, dwa balkony z kamienną balustradą i drewniane drzwi, z których łuszczyła się biała farba. Za szybami na parterze przez całą noc świeciły się lampy, co wydało mu się dość dziwne. Widział przesuwające się za firanką postaci, unoszące się ramiona, gestykulujące dłonie. Ktoś kogoś obejmował. I wreszcie, kiedy na dworze jaśniało, Adam zobaczył coś jeszcze. Z hoteliku Saviów wyszła Valentina.

Rozpoznał ją od razu. Miała ten sam charakterystyczny, złotobrazowy kolor włosów, który znał ze zdjęć, i atletyczną smukłą figurę sportowca – wąskie biodra, mocne ramiona, wyraźnie zarysowane łydki. Ubrana była w jedną ze swoich sukienek, które również widział wcześniej na fotografiach. Bawełnianą, przewiewną, układającą się miękko wokół talii, podkreślającą wszystkie atuty sylwetki. Wybrała kolor ciemnogrnatowy i to wydało mu się dość szczególne. Na żadnym zdjęciu nie widział jej ubranej na ciemno, fotografowała się zawsze w ubraniach o intensywnych barwach, którymi podkreślała swoją oryginalną urodę.

Wyszła z hotelu rodziców w towarzystwie mężczyzny. Jego nie rozpoznał od razu – dopiero wtedy, gdy ten zsunął z czoła czapkę z daszkiem i uniósł na chwilę głowę. Roberto Savio. Valentina i Roberto. Akurat oni. Nie powinien się zresztą dziwić – sam wybrał dla siebie pokój z widokiem na hotel ich rodziców. Nadarzył się kolejny idealny moment, by skrócić tę absurdalną, masochistyczną mękę. Wstać, podejść, zadać pytanie. Został na miejscu.

W progu hotelu pojawiła się kobieta, która niecałą dobę wcześniej podała Adamowi bruschettę. Objęła Valentine i trzymała ją w swoich ramionach bardzo długo. Później poklepała Roberta po plecach. Rodzeństwo odeszło w stronę Città Alta, a matka cofnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Adam długo analizował tę scenę. Nic z niej nie rozumiał, ale jego niepokój się wzmógł. Było coś osobliwego, przerażającego w tych figurach przesuwających się za firanką, w ciemnej sukience, długich objęciach, dziwnej ciszy o świcie.

Tamtego poranka już nie położył się do łóżka. Poczekał do śniadania,

pozwoił Albertowi napić się mocną kawą, opanował zawroty głowy, przyspieszony oddech, drętwienie rąk, drgającą powiekę i lęk przed wyjściem na zewnątrz. Kiedy kroczył już zalaną słońcem ulicą, wciąż mrowiła mu skóra wokół ust, a mięśnie ramion były tak napięte, że ledwo mógł unieść ręce. W ten właśnie sposób przeżył kolejne dwa dni swojego życia. Czwarty i piąty dzień pobytu w Bergamo. Pokonywał kolejne uliczki, zmierzając do Città Alta, kierował się na piazza Luigi Angelini, siadał na kamiennej ławce i obserwował butik przy via San Lorenzo. Widział Valentine, która wreszcie wróciła do pracy. Wiedział, o której otwierała sklep, gdzie siedziała, o której jadła drugie śniadanie i że dwa razy, zawsze o tej samej porze, wychodziła na papierosa. Stawała na zewnątrz, blisko wejścia do butiku, papierosa trzymała w prawej dłoni, a w lewej małą kryształową popielniczkę. Patrzyła na bruk pod stopami i sprawiała wrażenie zamyślanej. O dziewiętnastej zamykała drzwi i krzątała się jeszcze przez godzinę po wnętrzu, aż wreszcie gasiła światła, opuszczała rolety i znikwała. Domyślał się, że mogła wejść do swojego mieszkania bezpośrednio ze sklepu. Czekał, aż na piętrze rozbłyszczą światła. Niekiedy widział w oknie jej sylwetkę, a niekiedy – postać Roberta. O dwudziestej pierwszej wracał na via Suardi, pod drodze kupował pizzę na wynos i butelkę wina, po czym zamykał się w pokoju, jadł, pił, leżał długie godziny ze wzrokiem wbitym w sufit, zasypiał nad ranem, budził się po dwóch-trzech godzinach, szedł na śniadanie i wracał na piazza Luigi Angelini. I tak przez dwa dni.

Obserwował Valentine jak psychopata i przez cały czas przekonywał siebie, że to właściwy moment. Że powinien podejść do niej właśnie teraz. Drugiego dnia był blisko. Czekał, aż wyjdzie ostania klientka i Valentina przekręci klucze w zamkach. Chciał zapukać do drzwi, zachować się kulturalnie. Gdyby wszedł do sklepu, mogłaby się poczuć zagrożona i nie byłaby w stanie go wyprosić. Wolał nie stawiać jej w tak jednoznacznej sytuacji i nie zamierzał na nią naciskać, a przynajmniej – jeszcze nie teraz. Czekał więc. Ostatnia klientka opuściła butik, a Valentina usiadła za kontuarem, zamknęła laptopa, oparła łokcie na blacie i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramiona zadrżały i Adam wiedział, że płacze. Stał tam, wpatrzony w tę postać – znajomą i jednocześnie tak obcą, i nie mógł

wykonać żadnego ruchu. Czuł, że koszulka ponownie przykleja mu się do pleców, a oddech staje się ciężki, nie był w stanie przełknąć śliny, nawet mrugnąć. Oczy szybko zaszyły mu łzami. Wreszcie ostatkiem sił oddalił się od sklepu, znowu na piazza Luigi Angelini, znowu na kamienną ławkę. Pochylił się i łapczywie zasysał powietrze. Miał wrażenie, że traci resztkę sił.

Coś się stało. Coś złego.

Kiedy nieco się uspokoił, ruszył wolno w stronę via Suardi. Spacer pomógł mu rozluźnić mięśnie i wyregulować oddech. Nie wiedział, co powinien napisać Grecie. Może coś ważnego, może właśnie nie. A może powinien po prostu postawić na szczerość, niczego nie analizować i nie planować. Musiał jednak zrobić cokolwiek, popchnąć akcję, zmusić wydarzenia, by przyspieszyły.

Nie był w stanie dłużej czekać. Ani też przewidzieć, jaką otrzyma odpowiedź.

*

Od: Adam Dancer

Do: Greta di Biase

Temat: W Bergamo

Greto...

Od pięciu dni przebywam w Bergamo. Milczysz. Trudno mi to zrozumieć. Ogarnia mnie coraz większe z wątpienie.

Mieszkam w Città Bassa, na via Suardi, blisko murów. Ale nie w hotelu Saviów. Widzę go jedynie z okna i chciałbym Ci powiedzieć, jak często tamtędy przechodzę, co myślę, z kim rozmawiałem. Chciałbym napisać o swoich spacerach po via San Lorenzo i przesiadywaniu na piazza Luigi Angelini, o rozmowie, którą odbyłem z pewną Amerykanką w Accademii na temat „Paola i Franceski” Previatiego, o podglądaniu Valentiny Savio, która wydaje się schorowana, nieszczęśliwa albo może ma jakieś problemy. A jednak nie napiszę. Nie wiem, co powinienem Ci powiedzieć. Nie wiem, czy

w ogóle masz jeszcze ochotę czytać moje słowa. Obiecałaś, że zbierzesz się na odwagę i dokończysz swoją historię, a ja naprawdę nie chcę naciskać. Niemniej pograżam się w apatii i tracę nadzieję. Nie odezwiesz się już, prawda? Czuję to mocniej z każdym dniem.

Poczekam jeszcze. Dwie doby, może trzy. A później... później muszę spróbować Cię odnaleźć. Prowokuje mnie do tego jeszcze mocniej właśnie Twoje milczenie.

Jeśli nie chcesz już do mnie pisać – odezwij się chociaż, by mi o tym powiedzieć. Nie będę kłamał, że rozumiem Twoją decyzję albo że ją szanuję. Jestem zły, rozczarowany, zdezorientowany. Byłaś ze mną szczerą, zdradziłaś mi swoje największe sekrety, dopuściłaś mnie do swojego wewnętrznego życia, a ja dopuściłem Cię do swojego. Powiedziałem, że Cię kocham. I Ty podobno kochałaś mnie. Jeśli mówiłaś prawdę, nie mogłaś zmienić zdania po kilku dniach. Wiem, że na ostatnią wiadomość kazałaś mi czekać jeszcze dłużej, ale teraz jest jakoś inaczej. Cisza wydaje mi się bardziej ostateczna. Nie wiem dlaczego. Żadne sensowne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

Poszedłem do Accademii. Widziałem medytującą Marię Magdalенę i zrozpaczoną Santinę Negri. I jeszcze piękną w swojej brzydocie „Młodą dziewczynę z wachlarzem” Giacoma Cerutiego. Czy ty także ją widziałaś? To ciekawe, że akurat tę modelkę wybrał Ceruti. A może urzekła go właśnie jej brzydota? Nie można w nieskończoność malować tylko klasycznie pięknych kobiet. Mam wrażenie, że cierpi na tym warsztat. Wielką urodę trudno oddać na płótnie, ale niejednoznaczna, nieoczywista brzydota jeszcze trudniej. Podobnie jak trudno maluje się starość. Zmarszczki, bruzdy, linie wyżłobione przez wiek, wiotkość skóry, jej papierową cienkość, wrażliwość i suchość – to wszystko wymaga kunsztu większego niż przy gładkich policzkach, jędrnych ustach i błyszczących młodością oczach. Na pewno widziałaś tę na pozór nieładną dziewczynę z wachlarzem, jej rude włosy i lekko przygarbione plecy. I na pewno pomyślałaś, że w swojej brzydocie jest piękna, tak samo jak musiał o niej myśleć Ceruti.

Greto... napisałbym Ci więcej o tym, co widziałem w Accademii. Pisałbym Ci o każdym obrazie, tworzyłbym piętrowe teorie, snuł opowieści

o wyobrażonych losach modelek i modeli, bo to jest coś, co uwielbiam i czym żyję. Ale nie umiem. Nie potrafię zdusić w sobie obawy, że coś się skończyło, choć przecież obiecałaś napisać.

Moje kroki są coraz szybsze, myśli rozbiegane, ruchy nerwowe.

Odezwij się.

Adam

Od: Valentina Savio

Do: Adam Dancer

Temat: Bergamo, via San Lorenzo

Szanowny Panie Adamie,

wiem, że jest Pan we Włoszech, był Pan w Genui, a teraz przyjechał do Bergamo. Później pewnie zechce Pan pojechać do Sarnico i popłynąć na Monte Isolę. Wiem, w jakim celu chce Pan to zrobić. Greta o wszystkim mi opowiedziała. Jak już Pan słyszał, to moja przyjaciółka. A raczej – ja dla niej zawsze byłam przyjaciółką, ale ona dla mnie kimś więcej. No cóż. Nie można mieć wszystkiego, prawda? Zamierza ją Pan odnaleźć, mimo próśb, by dać jej jeszcze trochę czasu. Doskonale rozumiem, dlaczego chce Pan postawić na swoim i nie zamierza być posłusznym. Na Pana miejscu zrobiłabym dokładnie to samo. Próbowałam z nią rozmawiać, naprawdę. Przekonać ją, żeby nie zwlekała i nie kazała Panu czekać tak długo. Bo to po prostu nie może się dobrze skończyć. Jednak nie jest Pan z tych, którzy łatwo odpuszczają. Muszę przyznać, że z początku źle Pana oceniłam.

Niemniej zanim spotka się Pan z Gretą, musi Pan zobaczyć się ze mną. To konieczne. Muszę Panu kilka rzeczy wyjaśnić, nie tak, jak nieporadnie robi to Greta, ale konkretnie, bez owijania w bawełnę. Jej oględny sposób pisania nie wynika ze złośliwości czy wyrachowania. Są po prostu pewne sprawy, o których nie umie pisać. Ani mówić. A kilka kwestii musi Pan wiedzieć. I musi Pan to usłyszeć w normalnej rozmowie, przeprowadzonej

twarzą w twarz. Uważam, że Pan na to zasługuje. Tak będzie na pewno trudniej, ale damy sobie radę. Mnie również nie jest łatwo.

Kiedy będzie Pan gotowy, proszę do mnie przyjść. Zna Pan adres. Via San Lorenzo, butik Signorina Savio. Mieszkam z moim bratem, Robertem, z którym łączą Pana interesy i obrazy Grety. Wie Pan, jak wyglądam, bo wszyscy wiedzą takie rzeczy z internetu. Nie musi Pan mnie uprzedzać i się ze mną umawiać. Proszę po prostu przyjść. Jestem tam codziennie, wychodzę na chwilę tylko w porze sjęsty, żeby coś zjeść. Nie miniemy się.

Musi Pan przyjść koniecznie, jeśli chce Pan poznać Gretę.

Zalączę list, który zaczęła do Pana pisać. Niestety, nie potrafi go dokończyć.

Czekam na Pana. Wiem, że doskonale zna Pan drogę... Nie mylę się, prawda? Już Pan tam był. Człowiek zawsze czuje na sobie czyjś natarczywy wzrok.

Do zobaczenia.

*Z pozdrowieniami
Valentina Savio*

Adamie,

piszę. Przerywam, chodzę po pokoju i ponownie siadam przed klawiaturą. Muszę to wreszcie zrobić, bo zatruwa mi życie myśl, że Cię dręcę. Jesteś we Włoszech, tak blisko mnie, a ja zwlekam z odpowiedzią, każe Ci czekać. Może nawet masz już dość. Nie chcesz już do mnie pisać i nie chcesz czytać moich słów. Nie zdziwiłabym się. Chyba każdy na Twoim miejscu już by się poddał, a wielu z pewnością w ogóle nie zaczęłoby ze mną korespondować. Bałeś się, że nie jestem prawdziwa. Ale teraz już wiesz, że jestem.

Tamtego dnia, kiedy wracałyśmy z Monte Isoli, pojechałyśmy do Accademii. Obejrzałam obrazy, o których Ci wspominałam, widziałam Santinę Negri i analizowałam jej smutek, który stał się moim smutkiem. Ale

widziałam też coś jeszcze. „Młodą dziewczynę z wachlarzem” Giacomina Cerutiego. Portret rudowłosej dziewczyny, z równie rudymi jak włosy brwiami, krótką szyją, chudej i lekko przygarbionej. Oczy ma duże i odrobinę wyłupiaste, nos ciut nieforemny, usta duże i ładne, ale policzki zbyt pulchne i opływowe, jakby zabrakło w nich kości, solidnej konstrukcji, która je podtrzymuje. Skórę pokrywają rumieńce i drobne piegi. Ta dziewczyna jest niesamowita. Patrzy na Ciebie, jakby nie wiedziała, skąd się tam wzięła i dlaczego ktoś chciałby ją namalować. Kiedy oglądałam ten obraz, doświadczyłam tego, o czym mówiłeś. Myślałam o jej historii, której nigdy nie poznam. Przy Santinie Negri czułam to samo, ale ta ruda mała kobietka była inna. Nie rozumiałam jej emocji. Santina rozpaczała, a ruda była tak niejednoznaczna, że aż przerażająca. Zazdrościłam malarzowi, że widział ją na żywo, że może ze sobą rozmawiali. To jest właśnie jedna z tych tajemnic, które artysta zabiera do grobu. Cały świat może zobaczyć twarz rudowłosej dziewczyny z wachlarzem, ale nikt nic o niej nie wie. Jest jednym wielkim znakiem zapytania. Piękna brzydula. Co się z nią stało?

Myślałam też o tym, co się stanie ze mną. Chodziłyśmy z Valentiną po galerii w zgodnym milczeniu, bliskie sobie jak nigdy dotąd. Czułam rosnącą we mnie siłę, a jednocześnie wciąż powracało to pytanie. Co się stanie ze mną? Jeśli umrę – czy ktoś będzie mnie pamiętał? Czy ktoś spojrzy na mój obraz i zapyta – co się z nią stało? Kim była? Co czuła? To dlatego siebie malowałam. I to dlatego przyłgnęłam wreszcie do Ciebie. Bo zadałeś to pytanie. Bo chciałeś poznać historię kobiety z obrazu. Spełniło się moje marzenie. Mogłam wszystko – nawet umrzeć. Popuściłam wodze wyobraźni i fantazjowałam o tym, że ktoś za pięćset lat konserwuje mój obraz. Wydobywa zatarte i pociemniałe kolory, uważając, by nie uszkodzić powierzchni. I może przy okazji odkrywa, że barwy są żywsze niż przez lata sądzono, a moja Greta odzyska po pięciu wiekach swoją czerwoną pomadkę i srebrny welon, tak jak „Straż nocna” Rembrandta odzyskała światło, a Niebo na „Sądzie Ostatecznym” Michała Anioła soczysty błękit. Czy tak właśnie będzie? Oczywiście, że nie. Nowoczesna technika pozwala wszystko dobrze udokumentować, a o dzieła dba się właściwie, tak by nie traciły kolorów. A jednak – ktoś musiałby chcieć dbać o moje obrazy, by zachowały

się przez pięć kolejnych wieków w dobrej formie. Nie wiem, czy znajdzie się taka osoba. Nie mam pojęcia, czy za pięćset lat coś w ogóle jeszcze będzie.

Z Valentiną rozstałam się na wysokości mojego ukochanego piazza Luigi Angelini. Miała tam na mnie czekać. Usiadła na kamiennej ławce, splotła ramiona i powiedziała: „Niech Ci to nie zajmie za dużo czasu. Nie ma o czym gadać”. Była przestraszona. Drżała, ale uśmiechała się dzielnie i dodawała mi otuchy. Poszłam.

Kochany Adamie... Domyślasz się, dlaczego to zrobiłam? Oczywiście, już przecież pisałam. Musiałam spojrzeć mu w twarz i powiedzieć, że to koniec, by do końca życia nie oglądać się przez ramię. Ale – przyznaję to teraz otwarcie – bardziej zależało mi na obrazach. Paru płótnach, które zostawiłam w piwnicy. Jednym ukończonym i kilku prawie gotowych. Ten ukończony, jak mówiłam, to była właśnie „Pieta”, dziewczyna w zielonym płaszczu, która trzyma w dłoni marmur odlupany z rzeźby Michała Anioła. Rozumiesz chyba, że nie mogłam jej tam zostawić. Jednej z najlepszych rzeczy, jakie w życiu namalowałam.

Wspominałam już, że czekał na mnie w piwnicy. Straciłam czujność. Powinnam była stać w progu, nie wchodzić dalej. Jego ruchy były tak szybkie, że musiał je wcześniej przeciwwyczyć. Oczywiście próbowałam się z nim szarpać, ale był silny, a ja – słaba, niedożywiona i wychudzona. Syknął: „Wiedziałem, że wrócisz, kurwo”. Pchnął mnie mocno na podłogę i przygniół swoim ciałem. Nie mogłam oddychać, szamotałam się, moje serce znowu zaczęło wściekle bić i pociemniało mi przed oczami. Modliłam się, żeby nie zemdleć. Uderzył mnie mocno w twarz i złamał nos. Zaczęłam się krztusić krwią. Rozerwał mi bluzkę, podrapał skórę na piersiach i mocno ugryzł w szyję. Traciłam siły i właściwie nie wiem, jak to się stało, że na chwilę mnie puścił. Zanim jednak wstał, otrzymałam kolejny cios w twarz. Właściwie nie było już mojej twarzy, tylko szkarłatna plama. Obróciłam się na bok i wyplułam krew. Moją głowę rozsadzał ból i gorzej widziałam. Dostrzegłam jednak jego ruchy. Uniosłam się na łokciu i chciałam krzyknąć, ale z mojej krtani wydobył się tylko zwierzęcy charkot. Nie wiem, co myślał. Jak chciał później wybrnąć z tej sytuacji, skoro zaszedł już tak daleko? Podejrzewam, że nie chciał. Zamierzał mnie tam zabić, nie oglądając się na

konsekwencje. Tak zresztą powiedział, kiedy uniósł puszkę z lakierem nitrocelulozowym, a w jego drugiej dłoni błysnęła zapalniczka. „Zatłukę cię jak psa, ty szmato”. Najpierw jednak zamierzał zabić coś, co kochałam. Podpalił moją „Pietę”. A później także te trzy nieukończone obrazy, które chciałam stamtąd zabrać.

Chyba go zaskoczyłam, kiedy dźwignęłam się z podłogi, chwyciłam koc, którym zawsze przykrywałam się w nocy i podbiegłam do „Piety”. Chciałam ją ratować. Koc był ciężki. Z mojego nosa kapła krew i oddychałam z coraz większym trudem. Nie miałam nawet siły go unieść. Więc... zaczęłam bić o płótno otwartą dłonią...

W jednej chwili straciłam siłę do walki, przestałam myśleć o tym, że na piazza Luigi Angelini czeka Valentina, że zacznę nowe życie i uporam się ze wszystkim, tak jak uporała się kiedyś Iman, która zaznała przecież jeszcze gorszego losu. Nie wierzyłam już, że to możliwe.

Czułam ból pod czaszką i gorąco na skórze, przeraźliwe gorąco, którego wcześniej nawet nie potrafiłabym sobie wyobrazić.

Ushyzałam tylko: „Ty kretynko!”. A później trzasnęły drzwi.

Jak już wspominałam, czasem się zacinały, a czasem Vittorio zamykał je naumyślnie. Nie wiem, czy i wtedy się o to postarał, czy jednak się nie odważył.

Ale kiedy ostatkiem sił zdecydowałam się ratować siebie, a nie obrazy – drzwi były zamknięte.

Przycisnęłam do nich plecy.

* - Dante Alighieri, *Boska Komedia*, wers 678, tłum. Julian Korsak, nakładem i drukiem Wilhelma Zuckerkandla, Złoczów [brak daty wydania]. Tekst w tym tłumaczeniu dostępny również tutaj: <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/boska-komedia.pdf> [dostęp: 13.09.2017].

* - Tamże, wersy 674–677.

14. Dlaczego

E-mail od Valentiny przyszedł godzinę po tym, jak Adam wysłał wiadomość do Greta. Był zaskoczony widokiem jej nazwiska, a jeszcze bardziej faktem, że załączyła niedokończony list. Nie pomyślał, że powinien się jakoś przygotować. Zjadł właśnie sałatkę makaronową, którą kupił w supermarkecie, i jak co wieczór otworzył butelkę wina. Nie był głodny i nie miał ochoty na alkohol, ale pił i jadł, żeby zabić czas i poprawić sobie humor. Kolejna kompulsywna czynność. Słowa Valentiny zdenerwowały go tak bardzo, że od razu, bez wahania, kliknął w załącznik. A kiedy przeczytał ostatnie zdanie, pobiegł do łazienki i zwrócił całą zawartość żołądka. Torsje szarpały nim jeszcze wtedy, gdy żółć zaczęła palić krtani i gardło. Przepłukał usta zimną wodą i otworzył szeroko wszystkie okna. Na zewnątrz było gorąco i duszno, więc zamknął je na powrót i podkręcił klimatyzację. Przeczytał list jeszcze raz i ledwo powstrzymał się przed głośnym wrzaskiem.

Zrzucił piżamę, przebrał się w to, co akurat wpadło mu w ręce, i wybiegł z pokoju. Było już po północy, na uliczkach zrobiło się cicho i pusto, a światła w oknach po kolei gasły. Zaciskał zęby tak mocno, że rozboleła go żuchwa, a wkrótce całą głowę zaczęła ścisnąć obręcz. Pędził w stronę Città Alta, potykając się i tracąc oddech, mimo klucia w boku i coraz intensywniejszego kaszlu. Kiedy stanął na via San Lorenzo, przed butikiem Valentiny, pot lał się z niego strumieniami. Schylił się i na chwilę oparł dłonie na kolanach. Brukowany chodnik wirował mu przed oczami. Wreszcie wyprostował się z trudem i podszedł do domofonu. Wcisnął guzik przy nazwisku „Savio” i nie puszczał. W oknie na pierwszym piętrze rozbrzysło

światło. Zaszumił głośnik, ale nie padło żadne pytanie ani też nikt nie próbował na niego krzyknąć za zakłócanie ciszy nocnej. Usłyszał tylko: „Niech pan wejdzie”. I dźwięk odblokowanego zamka.

Valentina Savio czekała na niego w drzwiach. Przesunęła się, wpuściła Adama do środka i oparła się ciężko o ścianę. Miała na sobie bluzkę na ramiączkach i szorty, które najpewniej służyły jej za piżamę. Wyglądała, jakby dopiero podniosła się z łóżka – ale nie jakby przebudziła się ze snu. Była potargana, blada i nieumalowana, a oczy miała zaczerwienione i podkrążone. Patrzyła na niego przez chwilę uważnie. Wydawała się tak spięta i zmęczona, że jej twarz przypominała maskę.

– Wiedziałam, że pan przyjdzie od razu po przeczytaniu wiadomości. Powinnam być przygotowana, nie czekać w piżamie, a może nawet zawnoczę zaparzyć filiżankę herbaty. Zapraszam...

Zaprowadziła go do przytulnego pokoju z widokiem na wijącą się w dół, w stronę średniowiecznych murów, uliczkę. Kiedy przechodzili przez wąski korytarz, z innego pomieszczenia wysunął się, także ubrany w piżamę, Roberto Savio. Skinął lekko głową na powitanie i również nie wydawał się zaskoczony widokiem gościa. Chciał się chyba odezwać, ale Valentina tylko pomachała ręką. Brat wycofał się posłusznie do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

W saloniku *signorina* Savio stała przed chwilę przed oknem, za którym błyszczały uliczne latarnie. Wreszcie wzięła się w garść, wskazała kanapę, a sama usiadła w fotelu naprzeciwko. Adam zapadł się w miękkie poduszki. Serce tłukło mu się w piersi, a włosy przyklejały do czoła.

– *Signorina* – wycharczał. – Proszę...

– Mam na imię Valentina. Ja również będę się do ciebie zwracać po imieniu, dobrze?

– Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego tam poszła i... – Adam odchylił się na oparcie i zamknął oczy, które powoli wypełniały się łzami.

– Przyniosę ci chociaż wody.

– Nie! Powiedz. Dlaczego nie krzychała? Nie rzuciła się do ucieczki? Dlaczego pozwoliła, by ją zamknął?

Mocno potarł powieki i otworzył oczy. Valentina siedziała w swoim

fotelu niemal nieruchomo, tylko broda jej drżała i niespokojnie falowała klatka piersiowa. Uświadomił sobie, że ona też coś właśnie przeżywa. Nie tylko on. Są w tym doświadczeniu razem.

– Nie zamknął jej. Nie przekręcił klucza. Trzasnął tylko drzwiami, a zamek się zaciął, tak jak zacinał się wielokrotnie wcześniej – odpowiedziała. Po jej twarzy przebiegł skurcz.

– Ale ona... Dlaczego wcześniej nie próbowała uciec? Krzyczeć, zaalarmować sąsiadów? Dlaczego rzuciła się na ten płonący obraz?

– Zadawałam jej te pytania przez pięć cholernych lat. Pięć lat, które spędziła na wyspie, zamknięta w domu, wśród swoich obrazów. Dlaczego nie krzyczałaś, dlaczego nie próbowałaś uciec, dlaczego chciałaś ratować obraz? Nigdy nie potrafiła odpowiedzieć. Próbowала, ale nie potrafiła. Twierdzi, że nie pamięta, co wtedy czuła i myślała. To dlatego nie umiała skończyć tego listu. Wszystko, co zdołała napisać, musiała po części wymyślić od zera. Tak twierdzi. Mówi, że pamięta zdarzenia, ale nie pamięta siebie samej w tej sytuacji. Potrafi opowiedzieć czynności. W pewnym sensie nawet je umotywować. Tego ostatniego chyba się po prostu nauczyła. Wyciągnęła wnioski. Skoro zrobiłam to, musiałam czuć i myśleć to. Ale nie ma pewności. Rozumiesz?

– Nie do końca.

– No właśnie. To jest nas dwoje.

– Przecież sama mówisz, że rozmawiacie o tym od pięciu lat.

– Rozmawiamy! – Valentina wyrzuciła przed siebie ramiona i pokręciła głową. – Oczywiście. Rozmawiamy prawie o wszystkim, choć założę się, że gdyby posłuchał nas jakiś prawnik albo finansista z dużego miasta, uznałby, że rozmawiamy o niczym. Wiesz, co powiedziała Greta po waszej pierwszej wymianie e-maili? Że ty i ja jesteśmy do siebie trochę podobni, bo mamy w głębokim poważaniu prawa rządzące współczesnym światem i zupełnym przypadkiem udaje nam się utrzymać z własnych pasji. Tobie się to udaje, bo sprzedałeś mieszkanie po babce i zainwestowałeś pieniądze w galerię, a mnie udało się dokonać korzystnej... zamiany. Wcześniej, przed pożarem, nie prowadziłam swojego butiku. Pracowałam u kogoś i szyłam w domu. Moi rodzice są właścicielami hotelu, ale niewielkiego i o niezbyt wysokim

standardzie, zyski są średnie, a ja mam jeszcze dwóch braci i siostrę. Sam więc widzisz, że nie mogę liczyć ani na jakiś wielki spadek, ani na szczególną pomoc od rodziny.

– Finansową pomoc – dopowiedział.

– Tak, oczywiście. Mam na myśli pomoc finansową. Nie mogli nic mi dać, a pożyczyć – niewiele. Kilka lat temu jednak dokonałam tej korzystnej zamiany i przekulałam ją w swój sukces. Mój butik jest jednym z najchętniej odwiedzanych w całym Bergamo, sporo też sprzedaję przez internet. Miałam talent, ale brakowało mi podstaw, by zacząć dzięki niemu zarabiać.

– I Vittorio Rossi także nie był w stanie cię skusić pieniędzmi ani nieruchomością.

– Nie był. Nie wyszłabym za niego, nawet gdybym musiała głodować. Ale Greta wyszła. I to był jej życiowy błąd. Czasem wystarczy jeden, nie uważasz?

– Tak. Czasem wystarczy jeden. Niemniej ty trafiłaś tutaj. Tak czy inaczej. To o tej zamianie mówisz? Greta dała ci ten lokal i mieszkanie na piętrze, a ty dałaś jej w zamian dom na wyspie Monte Isola. Tobie ta transakcja opłacała się bardziej.

Valentina zmrużyła oczy i wychyliła się do przodu. Uniosła palec wskazujący, jak gdyby chciała mu pogrozić. Miał wrażenie, że jeszcze bardziej przy tym pobladła i jeszcze bardziej się spięła.

– Myślisz, że to był mój pomysł? – zapytała zimno. – To Greta nie chciała tu zostać. Czy ty naprawdę się jej dziwisz?

– Nie.

– Greta złożyła mi tę propozycję, a ja zwlekałam kilka miesięcy z decyzją. W tym czasie lokal stał zupełnie pusty, ona przebywała najpierw w szpitalu, a później u nas, w hotelu. Roberto remontował dom na Monte Isoli, chcieliśmy, żeby pojechała tam odpocząć. Ale ona powiedziała, że wolałaby tam po prostu zostać już na zawsze. I została. Była w złej formie. Ona nadal...

– Nadal jest w złej formie?

Valentina nie patrzyła mu w oczy, kiedy delikatnie skinęła głową. Umilkła na chwilę, a on nie chciał jej przynaglać. Powiódł wzrokiem po

ścianach, na których wisiały projekty strojów oprawione w proste ramki, zdjęcia ubrań, okładki starych modowych czasopism i antykwarycznych żurnali. Do tego dużo niewielkich fotografii rodzinnych, tych pożółkłych i spękanych, i tych całkiem nowych. Była też ściana, na której wisiał tylko jeden obraz. Średnich rozmiarów portret Valentyny, ubranej w ciemnoczerwoną bluzkę i ze słonecznikiem wpiętym w rozpuszczone włosy. Głowa ukazana na jednolitym, jasnym tle, które nie odwracało uwagi od modelki. To był piękny obraz, wykonany z dużą wrażliwością i subtelnością. I, o ile Adam się zorientował, przy zastosowaniu techniki *tratteggio*, polegającej na stawianiu obok siebie drobnych kresek. Nie miał pojęcia, czy Greta wiedziała, jak to się fachowo nazywa, ale często łączyła *tratteggio* z techniką pointylistyczną, co dawało ciekawe efekty. Malując Valentynę, ujednoliciła jednak styl i uzyskała bardzo realistyczny efekt. Nie zauważył tego portretu wcześniej chyba tylko dlatego, że przyszedł tutaj bardzo wzburzony.

Valentina także zerknęła na obraz i uśmiechnęła się smutno.

– Piękny, prawda? Zatyłowała go *Anioł*. Sprzeciwiałam się. Daleko mi do anioła. I chciałam jej zapłacić, ale się nie zgodziła, powiedziała, że to prezent. Więc ja również postanowiłam coś jej dać. Wspominała ci o *Matce*? Obrazie, na którym namalowała Iman w błękitnej chuście na głowie?

Potwierdził. Valentina podniosła się z fotela, zniknęła w korytarzu, a kiedy wróciła, przyniosła sporych rozmiarów płótno w wąskiej ramie. Postawiła je przed Adamem i oparła o stół. To był jeden z najlepszych obrazów Grety, jakie dotąd widział.

– Ty go kupiłaś?

– Odkupiłam. Oczywiście drożej.

– Naprawdę?

– Była smutna, kiedy rozstała się z tym płótnem. Jak nigdy wcześniej. I, mimo upływu czasu, to nie mijało.

– Dlaczego w takim razie wciąż jest u ciebie?

– W październiku wypadają jej urodziny, więc pomyślałam...

– Piękny gest.

– Skoro tak chcesz to nazwać.

– Opowiedz mi o butik. I waszej zamianie.

– Ach tak. Przerwałam tamten wątek. A zatem – zgodziłam się na zamianę, bo nie wiedziałam, co wymyśli, jeśli odmówię. Nie ukrywam też, że ten pomysł wydawał mi się najlepszy ze wszystkich, jakie rozważałam. Odnowiliśmy domek na wyspie, położyliśmy nowy dach, wymieniliśmy instalację, toaletę, prysznic, meble. Miała tam dobre warunki. Ma. Chcieliśmy jej pomóc, wszyscy, cała moja rodzina. Znali Vittoria, wiedzieli, na co było go stać. Nie przypuszczaliśmy jednak...

– Trudno przewidzieć akurat coś takiego.

– Nikt nie był w stanie tego przewidzieć, łącznie z samą Gretą. Spodziewała się po nim różnych rzeczy, ale chyba nie sądziła, że będzie w stanie posunąć się do najgorszego. Do rzeczy, z których się nie wykręci i których nie zatuszuje.

– Napisała, że chciał ją tam zabić.

– To niestety możliwe. Kiedyś już poplamiał jej autoportret czarną farbą. Ale czarna farba to nie ogień. Nie mogła przewidzieć akurat ognia. Przecież to był jego dom. A ona trzymała w piwnicy farby, lakiery, terpentynę, płótna, zagruntowane podobrazia... Różnie to się mogło skończyć. I oczywiście – nie mieszkali w kamienicy na odludziu, tylko w starym centrum Bergamo, wśród innych ludzi. Ktoś prędzej czy później musiał poczuć i zauważyć dym.

– Vittorio poszedł na całość.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że przestał wtedy nad sobą panować, po prostu puściły mu hamulce. To nie jest odosobniona historia, słyszy się o takich każdego dnia i słyszało od zawsze. Zaskoczyła go, wyjeżdżając ze mną do Sarnico. Nie wierzył, że to zrobi, bo przecież jej wyraźnie zabronił. A ona nigdy mu się nie sprzeciwiała, nawet kiedy chciała malować, pytała o zgodę.

– I pozwalała się za to karać...

– Karać! Dawała się zamykać w piwnicy jak więzień w lochu. Była sparaliżowana strachem. Przed nim i przed nowym życiem, którego nie potrafiła sobie wyobrazić, za które musiałaby wziąć odpowiedzialność. Przed szukaniem pracy i mieszkania, przed biedą. Wszyscy się tego boimy. Ona zamieniła jeden strach na drugi. Ale wreszcie mu się postawiła, a on kipiał ze

złości. I nie bez powodu czekał w piwnicy.

– Wiedział, po co wróci?

– Myślę, że wiedział. I wiedział jeszcze to, że ona wróci tak naprawdę tylko z powodu tych obrazów.

– Stąd jego wściekłość. Taka wściekłość.

Adam urwał i ponownie wpatrzył się w portret Valentyny, choć wcale nie myślał o ukazanej na nim postaci. Zastanawiał się nad wściekłością. Znał to uczucie. Pisał o nim Grecie. O swojej wściekłości na ojca, na Basię, na matkę, że umarła, na tamtą dziewczynę, która w Pobierowie zdradziła go z kumplem, na samego kumpla, któremu rozbił nos. Bywał wściekły na bogatych ludzi, których stać na drogie obrazy. Bywał wściekły na siebie, za to, że nie potrafi wrócić do normalności i że nie umie się do niej zmusić. Wściekły z powodu własnej wściekłości. Greta także to czuła. Pisała mu o wściekłości na plażowiczów, którzy opalali się w Voltri, mimo że nieopodal płonął las. Adam zadawał sobie pytanie, gdzie przebiega granica. Linia, po przekroczeniu której człowiek obojętnie na konsekwencje, przestaje myśleć i zmienia się w jeden wielki szal.

– Powiedziałaś ci – odezwała się cicho Valentina – że rozmawialiśmy o rzeczach ważnych. Między innymi o tobie. Ona powiedziała mi kiedyś to samo, co napisała w tym niedokończonym liście. Że się do ciebie odezwała, bo usiłowałeś przeniknąć tajemnicę zaszyfrowaną na obrazach. Wiesz, ja się zupełnie na takich sprawach nie znam, widzę, czy obraz jest dobry, czy nie, ale prawdę mówiąc – niewiele mnie one obchodzą. Ale obrazy Grety były świetne, a mnie obchodziła ona. Ty natomiast... Greta pokazała mi jeden list od ciebie, jeden jedyny. Żebym zrozumiała, co was połączyło. Ten o powodzi.

– I rozumiałaś?

– A ty to rozumiesz?

– Nie do końca.

– Otóż to. Ani ona nie rozumiała, ani ja, ani ty. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że to coś prawdziwego i ważnego. Takich listów nie pisze ktoś, kto udaje. A nawet jeśli z początku udaje, z czasem przestaje. Z wami też tak było. Flirtowaliście ze sobą, przerzucaliście się aluzjami,

sprawdzaliście wszystko do namiętności, seksu, sfery czysto biologicznej. Przeplataliście to fascynacją sztuką. Waszą wspólną wielką pasją. Kreowaliście przed sobą swoje wizerunki, oboje.

– Ale później przestaliśmy.

– Widzisz, mam rację. Przez kilka miesięcy żyliśmy w trójkącie. Mnie obchodziła Greta, ciebie obchodziła Greta, ty obchodziłeś Gretę. Byliśmy w tym razem. I, niestety, nadal jesteśmy.

Tym razem to Adam rzucił Valentinie przenikliwe i nieco chłodne spojrzenie. Nie podobało mu się to, że miała rację. Sam przecież jeszcze przed chwilą o tym myślał. O doświadczeniu, które ze sobą dzielą, czy tego chcą, czy nie. Nie mylił się i ona też to rozumiała. Wstała z fotela, podeszła do komody i wyjęła z szuflady małe kartonowe pudełko. Obracała je przez chwilę w dłoniach, które zaczęły lekko drżeć. Po chwili wróciła na fotel, a pudełko położyła na stoliku. Nie zachęciła go, by po nie sięgnął, więc tego nie zrobił. Widział, że zaczęła się bardziej denerwować i unikała kontaktu wzrokowego. Narzuciła sobie na ramiona dużą chustę, która wcześniej wisiała na oparciu. Było jej zimno. Tak jak jemu było zimno zawsze wtedy, kiedy czuł niepokój. W salonie zapadła cisza. Adam z trudem zapanował nad kolejną falą mdłości. Czuł potrzebę mówienia, słuchania i przede wszystkim – zadawania pytań. I miał nadzieję, że przynajmniej na niektóre z nich otrzyma odpowiedzi.

– Mówisz, że nie wiesz, dlaczego to zrobiła, i że ona sama nie wiedziała. Ale na pewno zastanawiałaś się nad tym wiele razy, wyobrażałaś sobie tę scenę, próbowałaś ją zrozumieć. I przede wszystkim – wiesz, co wydarzyło się później.

– Kazałam jej powiedzieć prawdę. Całą, od początku – przerwała mu szybko. – To najprostsze rozwiązanie, prawda? Musisz przyznać. Ale ona nie chciała. Wstydziła się. Opowiadała ci o tym swoim obrazie, *Dies Irae*? O kobiecie, którą namalowała? – Nawet jeśli była zdenerwowana, jej ton wydawał się pewny i stanowczy.

– Tak... Mówiła o tym, że nawet jeśli kobieta przeżyje, zbierze fałdy zakrwawionej sukni i gdzieś się ukryje, nigdy już nie upora się z przeszłością.

– I zawsze będzie odczuwała wstyd, choć nie ona zawiniła. To takie typowe. Wstyd. Ktoś się nade mną znęca, bo nie umiem sobie z nim poradzić. Nie umiem sobie poradzić z życiem. Jestem ofiarą i zawsze będę ofiarą. To dlatego, wszystko dlatego. Moja wina.

– Ona tak właśnie twierdziła?

– One wszystkie tak twierdzą. Próbowала ci o tym napisać i... odchorowała to. Dlatego ostatnio tak rzadko się odzywała. Miałam wrażenie, że przeżywa to wszystko od nowa i że to źle. Było, minęło, nie zmienimy przeszłości. A z drugiej strony – chyba właśnie tego potrzebowała. Przez całe pięć lat tkwiła we własnej skorupie, nie rozmawiała o życiu z Vittoriem i o pożarze z nikim poza mną. Nawet z Robertem. On zajmował się tylko jej obrazami, a ja przywoziłam jedzenie, pomagałam sprzątać, gotowałam obiad na trzy dni, bo inaczej pewnie by nic nie jadła, siedziałam z nią, rozmawiałam z nią lub milczałam, tuliłam ją, kiedy zaczynała nagle płakać, byłam obok, kiedy uciekała w ciszę i nie odzywała się tygodniami. Taka była moja rola.

– A wtedy, po pożarze?

– A wtedy, po pożarze, kazałam jej właśnie powiedzieć prawdę. W szpitalu, kiedy rozmawiała z policją, i później, podczas kolejnego, ostatniego przesłuchania.

– Zgodziła się?

– Kosztowało ją to kolejne tygodnie w szpitalu, ale tak. Nie wytrzymała nerwowo. Jej serce... Ty zresztą, z niedokończonego listu od Grety, nie dowiedziałeś się za wiele. I to ci niestety z jej strony musi wystarczyć.

– Nie powie mi więcej?

– Nie sędę. Masz rację. Wielokrotnie wyobrażałam sobie tę scenę. Ten moment, kiedy wkłada rękę w ogień i w taki głupi sposób usiłuje ratować obraz zamiast uciekać. Myślę, że była w szoku. To mało wyszukane wytłumaczenie, ale takie właśnie są zazwyczaj najprawdziwsze.

– I co było dalej? – zapytał cicho.

Valentina ponownie wstała i jeszcze raz podeszła do komody. Tym razem wyjęła z szuflady paczkę papierosów, dwie szklanki i butelkę grappy. Rozlała alkohol i zaproponowała Adamowi papierosa. Odmówił, ale chętnie

się napił. Poczul na języku intensywny smak i ciepło w przełyku. Jego pusty żołądek skurczył się po raz kolejny tej nocy i podszedł do gardła. Mimo to Adam odetchnął i przełknął kolejne dwa łyki. Valentina odpaliła papierosa i zaciągnęła się mocno.

– Przez pierwsze dni po pożarze Greta była w złym stanie. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co przyniosą kolejne doby. Dochodziła do siebie powoli, nie chciała jeść, nie chciała rozmawiać. Siedziałam wtedy codziennie w szpitalu, bo tylko ze mną zamieniała kilka słów. Wytrzymałam tak trzy tygodnie. Musiała zostać jeszcze przez jakiś czas na obserwacji, ale zdjęli jej już bandażę i... No, w każdym razie powiedziałam, że musi zacząć mówić, bo inaczej ta sprawa nigdy się dla niej nie skończy. A przecież musiała się skończyć. Ona żyła, a Vittorio umarł. Mogła zacząć wszystko od nowa. I prawdę mówiąc – ja też chciałam wiedzieć, co się stało. Bo przecież przez te trzy tygodnie nie miałam pojęcia. Sama zobaczyłam niewiele. Kiedy siedziałam na piazza Luigi Angelini, gdzie miałam na nią poczekać, zaczęłam się w końcu martwić. Greta długo nie wracała, a przecież miałyśmy do czynienia z Vittorioem. Nie spodziewałam się po tej sytuacji niczego dobrego i w ogóle nie powinnam była puścić jej samej.

– Poszłaś tam?

– Tak. Butik był oczywiście zamknięty, ale przed sklepem zebrało się kilka osób.

– Nie widziałaś ich wcześniej? Z tego placu widok na butik jest doskonały.

– Siedziałam po drugiej stronie. Rozmawiałam przez telefon z Robertem, opowiadałam mu o całej sytuacji, o tym, że trzeba przygotować domek na Monte Isoli. Dopiero kiedy pobiegłam pod sklep, zobaczyłam tych ludzi. Mówili coś o dymie, który wydobywa się z okienka piwnicznego od strony podwórka. Zanim zaczęłam wołać, żeby ktoś otworzył drzwi, w sklepie włączył się czujnik przeciwpożarowy. Mieszkańcy kamienicy zaczęli wybiegać na ulicę, ktoś dzwonił po straż. Dym wypełnił także butik. Musiałam jakoś tam wejść. Wybiłam szybę i przez sklep przedostałam się do mieszkania Grety i Vittoria, a stamtąd na schody prowadzące do piwnicy. Drzwi były zamknięte. To był ten moment, w którym wyobraziłam sobie

najgorsze. Nie wiedziałam, gdzie szukać zapasowego klucza, zaczęłam krzyczeć, pamiętam, że ktoś przyniósł łom, ale zanim zrobiono z niego użytek, pojawiła się straż. Kiedy wyważyli drzwi, Greta dosłownie wysypała się z piwnicy. Była do nich przyklejona plecami, osłaniała się jedną ręką od dymu... I tyle. Tyle widziałam. Skąd miałam wiedzieć, co się tam wydarzyło?

– Ale Greta wreszcie opowiedziała ci o wszystkim?

– Tak. W podobnej formie, w jakiej opowiedziała tobie. A ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego... Mogła spróbować. Mogła walczyć o siebie, ale nie zrobiła tego. Myślę, że już w chwili, kiedy biła dłonią o płonące płótno, była gotowa tam zginąć.

– A później zamknęły się drzwi – powiedział przez ściśnięte gardło. Mówił, bo kiedy wyrzucał z siebie słowa, nie analizował ich i nie łączył z wyobrażeniami.

Po twarzy Valentiny ponownie przebiegł skurcz, tym razem jeszcze boleśniejszy. Zgniotła papierosa w popielniczce i wypięła duszką swoją grappę, nawet się nie krzywiąc. Podwinęła nogi i położyła brodę na kolanach.

– Myślisz, że dla mnie to było łatwe? Kazać jej opowiadać o swoim życiu, o tym, co musiała znosić latami? Mówić o... A zresztą. Oszczędzę ci. W każdym razie – Greta z początku nie podejrzewano o nic strasznego, była przecież w piwnicy zupełnie sama, zamknięta, i oczywiście poważnie ucierpiała. Ale kilka dni później Vittorio się zabił, więc zrobiła się z tego sensacja.

– Rzucił się z murów.

– Tak. Idąc w dół via San Lorenzo, możesz dojść do miejsca, w którym ten mur jest naprawdę wysoki. Pisali o tym w internecie i gazetach. Na szczęście – nie tyle, ile by mogli. Ale zaczęły się pytania. Czy miał kłopoty, długi, czy chcieli razem podpalić butik, by wyłudzić odszkodowanie, a to, co się wydarzyło, było nieszczęśliwym wypadkiem... Rozumiesz? Należało z tym skończyć raz na zawsze.

– I dlatego zmusiłaś ją do mówienia. Uwierzyli wam?

– Po pierwsze – Vittorio nie miał żadnych długów. Po drugie... na ciele Greta, tam, gdzie skóra nie uległa poparzeniom, widniały siniaki

i zadrapania, a na szyi – ogromny ślad po ugryzieniu. Miała złamany nos i zakrwawioną twarz. Sama to sobie zrobiła? Zeznałam, że kiedyś spotykałam się z Vittorioem i wiedziałam, że jest brutalny. Potwierdziła to cała moja rodzina. Sąsiedzi widzieli, że Greta zmizerniała, wychudła i nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Adam... Po prostu po tym wszystkim nikt już niczego nie analizował. Wystarczyło im zmalretowane ciało młodej kobiety i opinia o zmarłym. Facet i tak rzucił się z murów. Odbiło mu. Kto by się tutaj jeszcze nad czymś zastanawiał?

– Dlaczego, jak sama powiedziałaś, tak mało o tym pisali? W prasie, internecie?

– Dlatego że, podobnie jak również sama powiedziałam, o takich przypadkach słyszy się ciągle. Czy Greta opowiadała ci o pożarze w Voltri?

– Tak.

– A szukałeś na ten temat informacji w sieci?

– Szukałem – przyznał po chwili, wiedząc już, do czego ona zmierza.

– I niewiele znalazłeś. Właśnie. Choć przecież spłonął las, a ludzie to pamiętają. I też ktoś zginął. A po zdarzeniu tutaj Greta i tak była już...

Valentina urwała i z trudem przełknęła ślinę. Spuściła głowę i zaczęła szarpać kosmyk włosów. Adam napił się grappy. Przez chwilę naprawdę miał nadzieję, że to wszystko tylko mu się śni. A jednak – nie śniło się. Musiał zadać jej jeszcze jedno pytanie. To, na które częściowo już odpowiedziała.

– Skończona?

Valentina drgnęła, ale nie uniosła głowy.

– To zamierzałaś powiedzieć? Że Greta i tak była już skończona? Napisałaś, że jeśli chcę się z nią zobaczyć, muszę najpierw spotkać się z tobą. Chcesz mnie na to przygotować, prawda? Nie tylko uzupełnić jej historię. Chodzi o ten pożar, o to, że ona została poparzona. Prawda? Valentina! Spójrz na mnie, do jasnej cholery! I po prostu to powiedz! Przecież ja i tak już wiem.

– Zajrzyj do pudełka. – Usłyszał jej stłumiony głos.

Zajrzał. Wyjął z niego zdjęcia, niewiele, zaledwie pięć kolorowych fotografii, wykonanych zwykłym cyfrowym aparatem. Na dwóch pierwszych zobaczył twarz, o której myślał przez ostatnie miesiące. Twarz, którą tak

dobrze znał. Twarz Greta di Biase. Kobiety, którą pokochał i którą kochał nadal, nawet jeśli zrobiła coś, co zatruiło jej resztę życia. Wpatrywał się długo w te dwie fotografie, w burzę ciemnych loków, delikatne rysy, ogromne oczy i drobne ramiona. Czerwone usta, których smak sobie wyobrażał. Obojczyki, po których chciał powieść palcem. Dłonie, których dotyk chciał poczuć. Greta istniała. Nie wymyślił jej.

Odłożył fotografie i sięgnął po trzy następne. Wstrzymał oddech. To była ciągle ona. Greta, którą kochał. Jej lewą rękę, szyję i połowę twarzy pokrywały blizny. Ale oczy pozostały te same. Wpatrywały się w obiektyw z jeszcze większą intensywnością, tak że trudno było wytrzymać jej spojrzenie. W tej chwili właśnie zrozumiał, dlaczego lewa strona twarzy Greta z obrazów wydawała mu się niewyraźna i o zatartych konturach. To był fragment jej dawnego ciała – ciała, które już nie istniało. Nie czuła go i nie znała.

Przycisnął zdjęcia do klatki piersiowej i zamknął oczy. Spod opuszczonych powiek popłynęły długo wstrzymywane łzy.

– Greta nigdy wcześniej nie była próżna i nigdy, mimo tego, co ją spotkało, nie próbowała się nad sobą uzalać – powiedziała głucho Valentina. – Ale po pożarze zamknęła się w domu na wyspie, odizolowała od ludzi. Nie chciała się leczyć, nie usiłowała szukać pomocy. Myślę, że żyła w głębokim poczuciu niesprawiedliwości. Bo to ją właśnie spotkało – niesprawiedliwość. Za dużo, za szybko i aż... Trafiła jej się wielka cholerna kumulacja. Tak już jest na świecie. Trudno tu oczekiwać jakiejś logiki.

Adam wytarł oczy rękawem koszulki, podniósł się i stanął nad Valentiną, która wciąż siedziała na fotelu z pochyloną głową i szarpała się za włosy.

– Gdzie ona jest? Zaprowadź mnie do niej.

Valentina uniosła głowę i wreszcie na niego spojrzała.

– Chcesz ją zobaczyć?

– Oczywiście! Myślałaś, że przestraszy mnie kilka blizn?

– To nie jest kilka...

– Gdzie ona jest?!

– Adam...

- Gdzie? – zapytał ponowie, siląc się na spokój.
- Cieszę się.
- Z czego tu się, do cholery, cieszyć?
- Z tego, że chcesz ją zobaczyć. Spotkaj się ze mną jutro o ósmej na dworcu autobusowym. Pojedziemy do Sarnico i stamtąd popłyniemy na wyspę. Jest jeszcze jedna rzecz, o której musisz się dowiedzieć.
- Powiedz mi teraz.
- Powiem ci jutro. I wtedy będziesz wiedział już wszystko.

*

Tej nocy Adam nie zmrużył oka. Na via Suardi przyszedł przed czwartą i od razu zabrał się za pakowanie. Zapłacił z góry za tygodniowy pobyt, ale wiedział, że już tutaj nie wróci. Pojedzie do Grety. Zobaczy ją. I zaakceptuje, razem z jej bliznami i bagażem, który dźwiga każdego dnia. Ze wspomnieniami, strachem i żalem, że nie podjęła walki z Vittorioem. Że mu się nie postawiła akurat wtedy, kiedy była tak blisko wygranej. Rossi niszczył ją każdego dnia, unicestwiał kawałek po kawałku, aż w końcu stała się nikim nie tylko w oczach człowieka, którego poślubiła, ale także w swoich własnych. I wreszcie zniszczył to, co kochała najbardziej, rzecz, której poświęciła się absolutnie. W jednym z listów napisała, że to dziwne uczucie, kiedy malarz oddaje komuś swój obraz. Bo przecież obraz jest jeden. Nie da się go stworzyć od początku i nie da się namalować dwóch takich samych. Zawsze będzie jakaś różnica, choćby sprowadzała się do jednej kreski lub jednej plamki. A jakie to uczucie, kiedy obraz znika? Kiedy znika praca, w którą włożyło się serce? I nie ma jej, zupełnie tak jakby nie było nigdy wcześniej? Kiedy razem z płótnem ogień trawi emocje, refleksje, układane w myślach narracje, opracowywanie kompozycji, rozmieszczanie poszczególnych elementów, dochodzenie do tego, co się właściwie chce powiedzieć? Jak to jest, kiedy w jednej chwili znikają tygodnie wewnętrznych monologów, zmagania się z materią, zwątpienia i nadziei, frustracji i radości?

Stąd się to wzięło. Greta mogła odzyskać nadzieję dzięki Valentinie i na chwilę poczuć się silna, ale kiedy znalazła się w pułapce, Vittorio wciąż miał nad nią władzę. W tamtej chwili pomyślała pewnie, że to się nigdy nie skończy. Gdziekolwiek pójdzie, zawsze będzie ją ścigał. Nigdy nie wyrzuci go z pamięci, bo nie można tak po prostu pozbyć się wspomnień. Zawsze będzie oglądała się przez ramię, układała równo sztućce i myślała, że inni uważają ją za głupią. Nie pozbędzie się wrażenia, że powinna zapracować na każdą przyjemność, że marnotrawi czas, siedząc w kawiarni z książką, że coś jest komuś winna i musi się odwdzięczyć. Że musi prosić o zgodę. Że ktoś o niej i za nią decyduje. To chyba tak właśnie działa. Człowiek staje się najpierw ofiarą drugiego człowieka, a później ofiarą samego siebie. Swoich wspomnień i wyobrażeń. Greta była więźniem Vittoria nawet wtedy, gdy ten już nie żył. I była więźniem samej siebie. Strachu, talentu, poczucia niesprawiedliwości. Oraz własnej twarzy w lustrze.

O szóstej wziął lodowaty prysznic, o siódmej poszedł do kuchni i zaparzył sobie kawę, a o wpół do ósmej szedł w kierunku dworca. Poranne powietrze było przyjemnie rześkie, ale czuło się już w nim zapowiedź nadchodzącego upału. Z każdym krokiem Adama ogarniało coraz większe zmęczenie, z którym zarówno mocna kawa, jak i zimny prysznic, uporały się zaledwie na chwilę. Valentina nie wyglądała lepiej. Opierała się o szklaną ścianę dworca i paliła papierosa. Oczy przysłoniła ciemnymi okularami, włosy związała w niedbały węzeł i włożyła na siebie workowatą czarną sukienkę, której nie zdążyła – lub po prostu nie miała ochoty – wyprasować. Była tak samo blada, jak przed kilkoma godzinami, kiedy rozmawiali w jej salonie. Przywitali się mało wylewnie, a po kwadransie, który spędzili w zgodnym milczeniu, wsiedli do autobusu. Nie odzywali się do siebie przez całą drogę. Adam nie czuł nawet potrzeby ani też wewnętrznego przymusu, by zagaić rozmowę. Wiedział, że to byłoby nie na miejscu i zupełnie nie pasowało do sytuacji, w jakiej się znaleźli. Czuł też opór przed poruszaniem tematów związanych z Gretą w zwykłym podmiejskim autobusie, w którym słychać było płynącą z radia włoską popową piosenkę, a współpasażerowie tak po prostu patrzyli w okna, telefony lub gazety. Salon Valentiny i słabe światło dwóch nocnych lampek stanowiły o wiele lepszą scenerię do takich

rozmów. Kiedy siedzieli ramię w ramię i jechali do Sarnico, a obok nich przesuwiał się krajobraz Lombardii, uświadomił sobie nagle, że jest jej ogromnie wdzięczny. Nie wyrzuciła go z domu, mimo że przyszedł w środku nocy, wzburzony, rozedrgany i zły. Mimo że go nie znała. Nie kazała mu się uspokoić i wrócić, jak ochłonie. Nie zbyła go kurtuazyjną gadką, nie pokazała nawet braku zaufania. A przecież musiała mu choć trochę nie ufać. I wreszcie – ucieszyła się, kiedy powiedział, że chce zobaczyć Gretę. To było dziwne. Czego jeszcze mu nie powiedziała? Czego jeszcze musiał się dowiedzieć, zanim wreszcie dojdzie do spotkania, które wyobrażał sobie tysiące razy?

„Chciał zabić coś, co kochałam”. To były słowa Grety. Vittorio musiał być chory, sam dla siebie okazał się największym wrogiem. Adam nie przygotował się na to wszystko, co usłyszał, choć pewnie powinien był. Wiedział przecież o pożarze, układał w myślach tę historię, dopasowywał do siebie jej elementy. Uważał jednak, że wcale nie o to chodziło. Nie o poznanie sekretu Grety, ale o sytuację, do której ta zagadka doprowadziła. Chodziło o nich i o wszystko, co dla siebie nawzajem zrobili. O snute opowieści, wydobywane z przeszłości wydarzenia, które się poddawało reinterpretacji, o rodzące się uczucie. I choć z początku w zupełnie inny sposób wyobrażał sobie znajomość z Gretą i powody, dla których chciała pozostać anonimowa – tliła się w nim jeszcze mała iskierka ekscytacji. Chciał ją zobaczyć i wesprzeć. Być dla niej. Chciał, by zrozumiała, jak wiele jest warta jej praca, talent i przemyślenia, sposób widzenia świata i ukazywanie go na płótnie. Jej wrażliwość. I wreszcie – ona sama. Że nie jest ofiarą. Jest wszystkim.

Z autobusu wysiedli po dziewiątej, a ponieważ prom na Monte Isolę odpływał dopiero dwadzieścia pięć po dziesiątej, postanowili zjeść lekkie śniadanie w knajpce z widokiem na jezioro. Adam starał się nie wspominać obrazu, na którym Greta prezentowała swój profil na tle wody, ale jego myśli i tak zaczęły wreszcie krążyć wokół płótna. Usiadł naprzeciwko Valentyny i zaciągnął się zapachem espresso. Zamówili ciepłe cornetti i przez chwilę pogryzali je, popatrując w stronę przystani promów. Valentina zjadła połowę swojego rogalika i wytarła usta serwetką.

– Przepraszam cię za to wszystko – powiedziała cicho, nie patrząc na niego. – Nie powinieneś się w ogóle na to zgodzić, tak po prostu, bez żadnych wyjaśnień. Mogłeś się przecież wczoraj zbuntować. Powiedzieć, że nie wyjdiesz, dopóki nie powiem ci wszystkiego.

– I powiedziałaś?

– Chciałam, żebyś tu ze mną przyjechał. Więc chyba nie miałabym wyjścia. Ale uznałam, że skoro jesteś typem człowieka, który jedzie setki kilometrów do innego kraju tylko dlatego, że wymienił kilka e-maili z kobietą, to mogę zaryzykować. I słusznie zrobiłam.

– Na co dzień tak nie postępuję.

– Jak?

– Nie jeżdżę setki kilometrów do innego kraju z powodu internetowej korespondencji. Ani też nie urządzam sobie wycieczek z obcymi kobietami na włoskie wyspy. Kursuję między domem a pracą i liczę każdy swój krok.

– Naprawdę?

– W dużym skrócie.

– W takim razie mam szczęście. I Greta.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że znajomość ze mną może się dla kogoś okazać szczęśliwa.

– No widzisz. Mało wiemy sami o sobie. Spójrz tam! Widzisz tabliczkę przy przystani promów? I napis?

– Jeśli kochasz łabędzie, nie karm ich – przeczytał, wysilając wzrok.

– I co jeszcze widzisz?

– Kobietę, która karmi łabędzie.

– Tak. Napis jest w dwóch językach, a gdyby ktoś nie rozumiał ani włoskiego, ani angielskiego, to zamieszczono nawet sugestywny rysunek. Cholera! Ludzie są strasznie głupi.

– Po prostu im się wydaje, że wszystko wiedzą najlepiej.

– Dostałeś ten obraz, prawda? Greta? – zapytała nagle, wciąż wpatrzona w kobietę karmiącą łabędzie. – Nosił chyba tytuł *Z głębi*.

– Łabędzie, które zanurzają szyje w wodzie i chwytają pokarm?

– Tak. W jeziorze Iseo mają ułatwione zadanie, bo woda jest dość czysta i rośnie sporo roślin. Zaraz podejdziemy do przystani i sam zobaczysz. Kiedy

byliśmy tu z Gretą, wtedy... Wiesz kiedy.

– Wiem.

Valentina nie podjęła tematu od razu. Spojrzała na łąbędzie z zanurzonymi szyjami, na ich białe, pierzaste kupry. Z daleka wyglądały jak obłoczki unoszące się na wodzie.

– Grecie wydawało się – powiedziała wreszcie – że łąbędzie znikają w innym świecie. Namalowała je później. To piękny obraz, prawda?

– Tak. Zwłaszcza woda. Sposób, w jaki ją oddała. Widać wyraźnie tę niesamowitą przejrzystość. A łąbędzie szyje, lekko prześwitujące przez tafłę, są powyginane i rozciągnięte. Przypominają mi postaci na niektórych obrazach El Greca.

– Nie wiem, czy Greta dobrze zna El Greca. Jej wiedza na temat malarstwa jest bardzo wyrywkowa. Przejdziemy się promenadą?

Nie zdążył odpowiedzieć. Valentina wstała, położyła na stole banknot i wyszła z kawiarni. Niemal od razu za progiem zapaliła papierosa. Dołączył do niej po drugiej stronie ulicy, kiedy oparła łokcie na balustradzie i spojrzała na wodę. Wokół przystani majestatycznie sunęły trzy łąbędzie. Jeden odłączył się od grupy i nadal łąpczywie pochłaniał chleb rzucony przez kobietę. Jego kompani radzili sobie sami. Najpierw zanurkował jeden, a później dwaj pozostali poszli w jego ślady. Adam oglądał na żywo scenę, którą znał z płótna Grety. Jezioro Iseo, zacumowane nieopodal łodzie, pomost, trzy unoszące się na wodzie pierzaste obłoczki i trzy długie szyje zanurzone w zielonkawych odmętach. Promienie słońca rysowały na powierzchni złociste wzory, a wiatr budził do życia łagodne fale. Poczł dziwne wzruszenie. Wkroczył w jej świat, patrzył na tę przestrzeń tak, jak widziała ją Greta. Słyszał niemal szuranie pędzla i czuł zapach farby, kiedy trudziła się nad najdoskonalszym odwzorowaniem przejrzystości wody. Artystyczna wizja to jedno, ale pewnym sprawom po prostu należy oddać sprawiedliwość. Widział jej dłoń omdlewającą ze zmęczenia i determinację w oczach, która nie pozwalała porzucić pracy. Sprzedał ten obraz dość szybko, uzyskał dobrą cenę. Teraz tego żałował. Przez ostatni rok sprzedał kilka obrazów Grety di Biase i żałował każdego. Miał wrażenie, że ją zawiódł.

Kiedy przechadzali się promenadą, słońce stało już wysoko i upał zaczął się dawać we znaki. Adam zawsze zapominał o kremie z filtrem i skóra schodziła mu płatami z nosa i ramion. Policzki miał czerwone z gorąca. Valentina zdawała się jednak odporna na upał. Dopaliła papierosa i opowiedziała mu o trasie Sentiero le Molere prowadzącej z Località Rocca do Località la Forcella. Że powinien wystartować z via Cerro Alto i po drodze wstąpić na szczyt, na którym ustawiono duży krzyż. Podejście jest dość trudne, ale rozciąga się stamtąd piękny widok na Sarnico i fragment jeziora. Można tam tak po prostu usiąść, patrzeć i zapomnieć o upływie czasu. Wiatr targa włoską flagą, którą zatknięto w pobliżu krzyża, woda wydaje się prawie srebrna, jeśli świeci słońce, lub szmaragdowa, jeśli jest pochmurnie. Później trzeba ruszyć dalej, wyżej. I bardzo uważać, bo przejście jest wąskie i niewyraźnie wytyczone, a zbocze po obu stronach strome. Warto pójść. Greta zawsze o tym marzyła. Kiedy tu przyjechały z Valentiną, snuły różne plany. Że kupią własną łódkę i będą pływać po Iseo. Babcia rodzeństwa Saviów zawsze mawiała, że jak ktoś mieszka na wyspie, powinien mieć własną łódkę. Chciały chodzić po okolicznych górach, objadać się polentą... Ale później Greta weszła do tej piwnicy i z planów niewiele wynikło. Albo – nic nie wynikło.

Adam ponownie poczuł wzruszenie. Wokół Iseo rzeczywiście wyrastały góry, tak jak je przedstawiła na obrazach i opisała. Odsunął się od barierki i spojrzał na Valentinę.

– To też namalowała – powiedział zaskoczony. – Dwa obrazy. Szczyt z żelaznym krzyżem i wąską górską drogę. *To, czego nie widziałam I* i *To, czego nie widziałam II*. Ona naprawdę tam nigdy nie poszła. Coś takiego właśnie sugerowała w jednym z e-maili. Mówiła, że Greta mogła sobie to wszystko tylko wyobrazić. Ale ja myślałem...

Valentina pokręciła głową.

– Nigdy tam nie poszła. Ja poszłam. Zrobiłam zdjęcia.

– Posłuchaj... Nie sądzisz, że ona może jeszcze osiągnąć to wszystko? Pójść w te miejsca, spełnić marzenia?

– Nie. Nie może.

– Valentino...

– Chodź. Przy płynął nasz prom.

Ruszyła w stronę przystani, nie oglądając się za siebie, tak jak przed kilkunastoma minutami wyszła z kawiarni. Kupiła dwa bilety w jedną stronę. A później zajęła krzesło na dziobie, zdjęła ciemne okulary i wystawiła twarz na wiatr. Oczy miała opuchnięte i zmęczone.

15. W domu Grety

Adam dał się prowadzić Valentinie i o nic nie pytał. Odniósł to samo wrażenie, jakie wcześniej prześladowało go w Bergamo. Że Monte Isola z pewnością okazałaby się piękna, gdyby potrafił ją dostrzec. I jeszcze – że coś się wydarzy, już niebawem, za chwilę. Szedł, rzucając roztargnione spojrzenia na wybrzeże i majaczącą nieopodal prywatną wysepkę Isola di San Paolo. Mijali przystanie, przy których kołysały się zacumowane łodzie, chłopca z wędką niebezpiecznie przechylonego w stronę wody, prywatne domy o kolorowych ścianach i taras ze stolikiem pokrytym kraciastą ceratą. Ktoś wychodził tu każdego dnia o poranku i o zmierzchu, stawiał na tej ceracie filiżankę z kawą i kieliszek z winem, robił to wszystko, co robią także inni, ale miał jeszcze ten widok. Ukradł dla siebie kawałek raję. Greta o tym pisała. Zastanawiała się, czy ktoś, kto ma taki widok z okna, nie jest choć odrobinę szczęśliwszy od reszty. A później sama wprowadziła się do domu z takim widokiem – i znalazła odpowiedź na swoje pytanie.

Minęli trawiastą, wąską plażę, kolejną przystań i kolejny port, dotarli do miejscowości Peschiera, gdzie Valentina oddaliła się od brzegu i skręciła w wąską uliczkę. Szedł za nią nadal posłusznie, jak gdyby prowadziła go na smyczy. Nie rejestrował, gdzie są, i celowo nie czytał nazw ulic. Nie chciał ich zapamiętać. Patrzył na ściany i stopnie kamiennych schodów, na bruk i wyrastające pomiędzy kamieni pojedyncze źdźbła trawy. Wreszcie zostawili za sobą zabudowania i znaleźli się między drzewami. Nie pamiętał, jak długo tak szli. Ocknął się z zadumy dopiero wtedy, gdy Valentina zatrzymała się przed niskim białym budynkiem, z czerwonymi okiennicami i małą werandą, na której stał także pomalowany na czerwono drewniany

fotel. Powiedziała, że to Greta wymyśliła właśnie taki kolor. Ciemnozielone i brązowe okiennice były tutaj o wiele popularniejsze, ale ona uparła się przy czerwonych.

Przez wąską i krótką sień weszli do największego pomieszczenia, które w tym domu pełniło jednocześnie funkcję salonu i pracowni. I wtedy Adam ją zobaczył. Siedziała bokiem, zasłaniając włosami lewy profil. Unosiła lekko ramię, patrzyła prosto przed siebie i odrobinę wyginała się do tyłu, odsłaniając niemal mlecznobiałą szyję. Była całkiem naga. Wyraźnie widział wszystkie linie jej ciała, zagłębienia i wypukłości, krągłość piersi i bioder, mocno zarysowane mięśnie brzucha i te kościste obojczyki, po których chciał wodzić palcem. Jej uda częściowo przysłaniał bordowy materiał. Za nią widniało otwarte na oścież okno i błękitna, płaska jak stół tafla wody. Adam obrócił się wokół własnej osi. To był właśnie ten pokój. I ten widok. Nawet bordowy materiał leżał skłębiony pod ścianą. Brakowało tylko Greta. Spojrzał ponownie na płótno. Było wykończone, gotowe do pokazania światu. Duży format, sylwetka naturalnych rozmiarów, tak rzeczywista, że można ją dotknąć i poczuć pod palcami dotyk ciepłej skóry.

Chciał zasypać Valentinę pytaniami, ale coś go powstrzymało. Coś w wyrazie jej twarzy, tak nagle zmienionej. Zerknął więc na pozostałe płótna, które przykrywały niemal każdy centymetr tego pokoju. Wiedział, że nie obejrzy wszystkiego od razu, że na to potrzeba dużo czasu i ciszy, by odpowiednio się skupić i poświęcić malowidłom należytą uwagę. Udał się więc za Valentiną do kolejnych pomieszczeń i zobaczył małą kuchnię z widokiem na równie mały ogródek, w którym kwitły cztery słoneczniki, a później wspiął się na piętro i wszedł do sypialni z widokiem na jezioro. Właśnie tej sypialni, w której przed pięcioma laty Greta po raz pierwszy odkryła, że ciało może odczuwać też coś poza bólem. Valentina przysiadła na brzegu łóżka i pogładziła narzutę. Było coś niepokojącego w jej milczeniu, w zgarbionych plecach i spuszczonego wzroku. Na szafce nocnej stał niebieski, wyszczerbiony kubek, a na poduszce leżała książka. *Dżuma* Alberta Camusa. Valentina dotknęła okładki, ale nie wzięła tomu do ręki.

Podniosła się po chwili i ruszyła z powrotem na dół. Poszedł za nią. Chciał nakrzyczeć na Valentinę, błagać, by powiedziała, o co tutaj właściwie

chodzi i gdzie jest Greta, skoro to przecież miała być jej wieczna kryjówka, więzienie i azyl. Dom zdawał się przeraźliwie pusty. Adam słyszał jedynie brzęczenie komara i czuł zapach farb, od którego wkrótce zakręciło mu się w głowie. Valentina nadal pełniła swoją funkcję przewodnika. Pokazała mu łazienkę z prysznicem, ręczniki na wieszaku pachnące proszkiem do prania i mydłem, duże lustro w zabytkowej ramie, kilka kosmetyków na półce i miękki szlafrok rzucony na pralkę. Na ten widok coś ścisnęło go za gardło. Spojrzał na Valentinę. Ona również mu się przyglądała. I choć podświadomie od jakiegoś czasu domyślał się prawdy, dopiero teraz wszystko w pełni zrozumiał. Objął to sobie w duchu tak, by nie mieć już żadnych wątpliwości, nie łudzić się dłużej i na nic nie liczyć. Poczł pieczenie w przełyku i nagły, rozsadzający ból w klatce piersiowej.

Ból, o którym Greta wspominała mu wielokrotnie.

Nie tak dawno zdał sobie przecież sprawę, że pisała o sercu, i uznał to za istotne. Powinien był poskładać wszystko w całość znacznie wcześniej. Człowiek zawsze jest głupi i ślepy, jeśli tylko tego chce.

Valentina wyszła przed dom, a on – oczywiście – podążył za nią. I ponownie patrzył pod nogi, liczył swoje kroki, obserwował ścieżkę, to, jak przekształca się w brukowany chodnik, a następnie w wylaną asfaltem wąską jezdnię. Szli pomiędzy domami, później po ich prawej stronie wyrosły drzewa, które po pewnym czasie ponownie ustąpiły miejsca zabudowaniom. Usilnie starał się nie zapamiętać tej drogi.

Kiedy dotarli do celu, czuł się tak, jak gdyby jego wnętrze zamieniło się w lód. Ruchy Valentiny stały się wolniejsze i mniej pewne. Wrażenie to pogłębiło się, gdy pchnęła żelazną bramę. Zrobiła krok do przodu i zastygła w bezruchu. Na cmentarzu, który był w zasadzie dużym ossuarium, panowała głucha cisza. Valentina zeszywniała i spojrzała prosto przed siebie. Ona także przypominała teraz nieruchomą w swej rozpaczycy Santinę Negri z obrazu Pellizy. Ostrożnie położył jej dłoń na ramieniu. Przypomniał sobie wszystkie te momenty, w których dawała się ponieść emocjom i zaczynała mówić o Grecie w czasie przeszłym.

– Już dobrze. Zaprowadź mnie – szepnął.

Ruszyła przed siebie i zatrzymała się dopiero przed tabliczką, na której

wypisano: Angelica Tucci. Data urodzin, data śmierci. Adam wreszcie dowiedział się, kiedy odeszła. Tydzień temu. W dniu, w którym wysłała do niego wiadomość po długim milczeniu, pierwszą część swojej „spowiedzi”. Kolejne elementy wskoczyły na właściwe miejsce. Milczenie Grety, nieobecność Valentyny w butik, jej nocna wizyta w hotelu rodziców i chwila w mocnych objęciach matki.

Zgiął się w pół i zacisnął powieki. Wydał z siebie dźwięk przypominający warkot, a później się rozplakał.

– Znalazłam ją. – Usłyszał głos Valentyny. – Greta dzwoniła do mnie poprzedniego wieczoru i powiedziała, że chciałaby ci o wszystkim napisać, ale nie do końca potrafi. Próbowałam skontaktować się z nią ponownie rano. Dzwoniłam kilkanaście razy z rzędu. Nie odbierała. Nie umiem ci tego wyjaśnić, ale już wiedziałam, że coś się stało.

– To było serce, prawda? – wymamrotał, wciąż skulony.

– Chorowała od dawna, prawdopodobnie od wielu lat, ale przecież nigdy nie chodziła do lekarza. Co najwyżej do pediatry w dzieciństwie. Na obowiązkowe szczepienia i w razie anginy. O problemach z sercem dowiedziała się, kiedy leżała w szpitalu po pożarze. Lekarz stwierdził, że z takim sercem się nie żyje.

– Czy coś było ją w stanie uratować?

– Najlepiej przeszczep. A jeśli nie przeszczep, to operacja. Poważna i ryzykowna. I niegwarantująca stuprocentowej poprawy.

– Nie zgodziła się...

– Oczywiście, że nie.

– Bo czuła rezygnację.

– Kiedy usłyszała diagnozę, wydawała się niemal szczęśliwa. To było to. Upragniona wolność, która miała nadejść już niebawem. A później po prostu zamknęła się tutaj i czekała na śmierć. Ale wciąż żyła. Nie spodziewała się chyba, że to potrwa tak długo. Często źle się czuła, kilka razy zemdląca. Pamiętam jedną chwilę, kiedy zsiniała, przewróciła się i po prostu leżała, z szeroko otwartymi oczami. Myślałam wtedy, że to już... już koniec. A jednak od tamtego wydarzenia upłynął prawie rok. Zgodziła się tylko przyjmować doraźnie lek spowalniający akcję serca. Myślę, że tak naprawdę

bała się śmierci, ale...

– Valentino. – Adam wyprostował się i ścisnął za brzuch. Przed sobą widział jedynie barwne plamy i rozmyte kontury. – Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?

– Bo co do jednej rzeczy jestem przekonana w stu procentach. Greta może i bała się waszego spotkania, ale bardzo chciała, żebyś tutaj przyjechał. A ja zapewniłam ją, że pewnego dnia przyjedziesz. I przyjechałeś.

Adam przemógł się i jeszcze raz skierował wzrok na kamienną tabliczkę. Angelica Tucci. Imię i nazwisko brzmiały obco i szorstko. Nie znał żadnej Angelici Tucci. Znał Gretę di Biase. Znał ją naprawdę.

*

Od: Adam Dancer

Do: Zygmunt Markiewicz

Temat: Jeszcze trochę

Cześć...

Greta di Biase nie żyje. Zmarła dziesięć dni temu, miała chore serce. Mieszkała na wyspie Monte Isola. To niesprawiedliwe, co ją spotkało. Tak bardzo niesprawiedliwe, że mam ochotę wrzeszczeć aż do zderzenia strun głosowych. Nie zasłużyła na to. Wszystko Ci opowiem. Kiedyś... kiedyś poznasz całą jej historię. Ale teraz muszę Cię o coś prosić – daj mi jeszcze trochę czasu. Muszę tu zostać. Niedługo. Jeszcze trochę. Proszę Cię o pomoc w galerii. A właściwie błagam. Zdajesz sobie sprawę, że zawsze przychodzi mi to z trudem, więc powinieneś wiedzieć, jak bardzo jestem w tej chwili poważny i jak bardzo zdesperowany. Pomóż mi. I nie dzwoń. Nie umiem teraz z nikim rozmawiać.

Wiem, że brzmię jak egzaltowany smarkacz i że właśnie na Twojej skroni pulsuje żyła. Zawsze tak się dzieje, kiedy jesteś bardzo zdenerwowany. Nie mam jednak wyjścia ani też nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić.

Naprawdę – wszystko Ci opowiem. Ale pomóż mi. I pozwól mi na ten

smutek. Pozwól mi być wściekłym i zrozpaczonym.

Przepraszam. Wiem, że proszę o wiele, i wiem, że przesadzam. Po prostu mi wybacz.

Adam

CZEŚĆ IV

16. Kto ze wstydu przelyka lzy?

Od: Anita Gostomska

Do: Adam Dancer

Temat: To nie fair!!!

Adam!

Na pewno wiesz, co chcę Ci powiedzieć. Jestem zła. Jestem cholernie, cholernie wściekła. Rozumiem, że chciałeś zostać na Monte Isoli. Wiem, że się nie ukrywasz – to nieduża wyspa, sprawdziłam w internecie. Zygmunt ma ochotę pojechać tam i wyciągnąć Cię za fraki z Twojej mysiej dziury. Kiedy przysłałeś tamten e-mail... zrozumieliśmy. Współczuliśmy Ci. Oboje uważaliśmy, że Twoja obsesja na tle Grety di Biase była czymś chorym, nienormalnym, w dodatku zbudowanym na jakimś pieprzonym złudzeniu. Ale mogliśmy się mylić. Nie wiedziałeś nawet, kim ona jest, a jednak pojechałeś do Włoch, rzuciłeś wszystko i postanowiłeś jej szukać. Tak właśnie było, prawda? Ty to zrobiłeś. Ty, który tak bardzo bałeś się zmian, że nawet jedzenie kupowałeś codziennie to samo. Wydawało nam się, że dobrze się stało. Zygmunt był z początku zadowolony, nawet jeśli Tobie mówił co innego. Uważał, że wreszcie pokazałeś jaja. I ja też zaczęłam się cieszyć, choć byłam zazdrosna. Nie będę Ci tego tłumaczyć ani się nad tym szczególnie rozwodzić. Dałam Ci jasno do zrozumienia, wtedy w lesie, co do Ciebie czuję, i że chciałam, abyś Ty spojrzął na mnie inaczej. Ale to się nigdy nie stanie. Szybko to do mnie dotarło. W porządku. Pozbierałam się.

Chciałam Ci pomóc i ty chciałeś pomóc mnie.

Spędzam teraz w galerii całe dni, zapłaciłam rachunki za zeszły miesiąc, sprzedałam kilka obrazów, sporo szkiców, bardzo dużo kartek pocztowych, ilustrowanych kalendarzy i przewodników po Wrocławiu. I hafty. Są wakacje, ludzie kupują różne rzeczy, żeby je potem przywieźć do domu i traktować jak pamiątki z kolejnej podróży. Robi się tutaj pusto... Zygmunt ma różne pomysły. Ponieważ milczysz, kupił kilka obrazów bez pytania Cię o zdanie. Na pewno się w tej sprawie odezwie. Ja nie wchodzę w szczegóły, bo zupełnie się na tym nie znam. Ale podobają mi się jego inicjatywy. Niemniej – nie wiem, co dalej robić. Nie znam danych, więc nie mogę zapłacić za Twoje mieszkanie. Codziennie zaglądam na skrzynkę, codziennie wybieram do Ciebie numer, a Ty milczysz. Nie odzywasz się od czterech tygodni. Cztery tygodnie! Adam! Czy Ty rozumiesz, że masz szczęście? Trafiłeś na nas. Na mnie i Zygmunta, nie cierpimy się nawzajem, ale jesteśmy wobec Ciebie lojalni. I być może jesteśmy też głupi i naiwni, a Ty nas wykorzystujesz. Chciałabym tak myśleć – byłoby mi łatwiej po prostu wstać i wyjść, zamknąć Twoją cholerną galerię, zająć się swoim życiem, które też jest w totalnej rozsypce.

Zygmunt chce malować, ma propozycję kolejnej wystawy. W Wiedniu. W Wiedniu! Był tam już dwa razy, ma naprawdę dużo pracy. Zamierza rzucić etat, ale ciągle myśli o kredycie. Nie jest nam łatwo, jak widzisz. Nikt nie zajmuje się naszymi sprawami, tak jak my zajmujemy się Twoimi. Galeria funkcjonuje dzięki nam, ale wiedz, że jest coraz gorzej. Pieniądze się kończą, niczego nowego nie zamówiłeś, a pomysły Zygmunta na pewno zaprocentują – w przyszłości. Tylko co się stanie teraz? Co mam sprzedawać, kiedy skończą się kalendarze, przewodniki i haftowane serwetki? Szkice i akwarelki, które tak lubią turyści? Skąd mam wziąć towar? Jak to załatwić? Nie zostawiłeś instrukcji, powiedziałeś, że niedługo wrócisz i wszystkim zajmiesz się sam.

Adam. To nie fair! Nie możesz nas tak traktować. Nie wiem, co robisz, i czy jesteś sam. Ale nawet jeżeli budujesz sobie tam nowe życie i są wokół Ciebie ludzie, wobec nas jesteś niesprawiedliwy. Zachowujesz się tak, jakbyś miał to wszystko w dupie. To, co dla Ciebie robimy, to, przez co razem

przeszliśmy. Masz w dupie przeszłość, która nas połączyła. Tak Twoim zdaniem wygląda przyjaźń? Mnie nie musisz traktować jak przyjaciółki, znam swoje miejsce. Ale odezwij się chociaż do Zygmunta. Po prostu to zrób.

Jesteś skończoną świnią – skończoną i chyba nieszczęśliwą. Nie rozumiem Cię, działasz mi na nerwy. Ale był taki moment, kiedy we mnie uwierzyłeś i mi zaufałeś. Zostawiłeś swój dobytek w rękach prostytutki. Śmiałam się z Ciebie w duchu. Czy ktoś inny postąpiłby tak samo na Twoim miejscu? Dałeś mi szansę, bym zaczęła od nowa. Dlatego ode mnie także masz jeszcze jedną szansę. Ostatnią. Skorzystaj z niej.

Nita

Od: Zygmunt Markiewicz

Do: Adam Dancer

Temat: Może byś mnie przestał wkurwiać?

Dancer!

Tak szczerze to mi się, kurwa, nie chce nic pisać. Jesteś cholernym dupkiem! Ja wiem! Ogarnąłeś się albo może wdepnąłeś w całkiem inne gówno niż to, w którym grzęzłeś wcześniej. Ale świadomość, że nie kręcisz się między Rynkiem i Jezierskiego i nie dostajesz palpacji na myśl o wejściu do pociągu, jest pocieszająca. Nie, nie... Ty na pewno czujesz palpacje. Robisz w gacie przed każdym wejściem do pociągu, kawiarni i innych miejsc, których nie będziesz znał i w których ktoś może się do Ciebie odezwać. To nie minie, prawda? Ale zrobiłeś coś. Wyrwałeś się. Byłem z Ciebie dumny, aż sam się z siebie śmiałem. Nie jesteś moim synem ani młodszym bratem, jak Ci próbowałem wcisnąć na lotnisku. Ale myślałem, że jesteś, do kurwy nędzy, moim przyjacielem.

Jesteś?

Cztery tygodnie. Siedzisz cicho od czterech pieprzonych tygodni, ale chyba żyjesz, bo Twój telefon nie jest poza zasięgiem i odbierasz maile. Albo

ktoś loguje się na Twoją skrzynkę i czyta je za Ciebie. Żyjesz, prawda? Choć bardzo mnie wkurwiasz, nie chcę, żebyś wykitował na jakiejś wyspie, o której w życiu nie słyszałem. Będę musiał zawiadomić Twojego ojca, jechać po Twoje zwłoki... Bo kto to niby zrobi? Szczerze? Nie chce mi się. Nita wspominała o wystawie w Wiedniu? No właśnie. Ja wiem, myślisz, że Adam Dancer jest pępkiem świata i wszystko się kręci wokół niego. Adam ma nerwicę i jest taki biedny, Adam stracił matkę, Adam wściekł się na ojca, Adam sypiał z prostytutką, Adam wszystkiego się boi, Adam z wieloma rzeczami sobie nie radzi, Adam tak ma, kurwa, w życiu ciężko. Otóż głównie prawda! Adam powinien się wreszcie ogarnąć. Każdy ma w życiu ciężko! Nie rozumiesz? To nie zależy od kasy, rodziny, pracy i innych takich pierdoletów. Każdy ma „coś”. Każdy. Nawet jeśli nie widać tego gołym okiem. Życie to nie jest amerykański serial o rodzinie z przedmieścia, o mężu, który czyta gazetę pod krawatem, i żonie, która robi sałatkę w szpilkach, o dzieciach, które jeżdżą do liceum samochodami, mają markowe ciuchy i egzystencjalne problemy w stylu: „Nie wiem, co chcę robić w przyszłości”. Wygłaszam truizmy może? Ja pierdołę.

Rozumiem, Dancer. Jesteś lekko jebnięty, ale naprawdę rozumiem, że mogłeś zabijać się w tej kobiecie. Każdego kręcą takie rzeczy. Tajemnica, podteksty, dziwne porozumienie i inna cholerna komunia dusz. No naprawdę. Pojmuję. Zwłaszcza Ty mogłeś się dać temu porwać, jak tylko dostrzegłeś u kogoś większą traumę niż u siebie. To też było niezłe. Wcześniej miałeś każdego w dupie. Problemy moje, problemy Nity, apatię Twojego ojca. Tylko Dancer się liczył. A jednak pewnego dnia pojawiła się wirtualna Greta i coś w Dancerze pękło. Dobrze. Teraz ona nie żyje, a Ty się nie możesz pozbierać. To także rozumiem. Ale kurwa...

Świat nadal istnieje. Widzisz go może?

Trzydziestego sierpnia jest aukcja w Warszawie. To za trzy dni. Kupiłem katalog aukcyjny, przejrzałem go i wydaje mi się, że mógłbyś, tak jak zawsze marzyłeś, nabyć kilka dobrych obrazów. Takich naprawdę dobrych. A później kupować więcej. Pojedynczo. Aż zbiera się z tego coś sensownego, co będzie można pokazać ludziom. Dało mi do myślenia Twoje obstawanie przy niesprzedawaniu portretów Greta. Byłeś na tym stratny, ale wcale nie

musiałeś. Można by pomyśleć o większej liczbie bubli, na których się zarabia, i wyskrobać raz na jakiś czas pieniądze na dobry obraz. Już masz kilka niezłych płócien u siebie w mieszkaniu. A Grety są najlepsze, są absolutnie doskonałe. To perelki. Każdy je doceni. Nie chcesz sprzedawać – okej. Ale dlaczego nie chcesz ich pokazać?

W katalogu zwróciłem uwagę na „Portret mężczyzny” Romana Kramsztyka. Wyceniony na sześć-osiem tysięcy, cena wywoławcza pięć. Sangwina, papier żeberkowy. Na Nikifora „Portret artysty przy pracy”, wywoławcza tysiąc osiemset, wyceniony maksymalnie na trzy. „Wizytę” Bronisławy Rychter-Janowskiej, olej na tekturze, wywoławcza pięć sześćset, estymacja siedem dwieście do dziewięć sześćset. Ten Ci się spodoba. Dwie kobiety pogrążone w rozmowie, jedna w białej sukience, druga w turbanie na głowie, w tle obrazy, obok słoneczniki, kontury rozmyte, trochę impresjonizm, trochę realizm, ale najbardziej ujmujący jest spokój, który bije z tej scenki. Można się zastanawiać, czy to prawdziwe, czy pozorne, i o czym rozmawiają kobiety. Ułożyć cały scenariusz. Jesteś w tym dobry, umiałbyś pogadać o tym obrazie tak, żeby zainteresować ludzi. Jest jeszcze „Nokturn” Wiktora Koreckiego, wywoławcza trzy pięćset, olej na płótnie – znowu coś dla Ciebie, noc, księżyc odbity w wodach jeziora, szare niebo, drzewa o zatartych konturach, wokół pustka, jak gdyby zatrzymał się świat. I wreszcie – Wlastimil Hofman „Starość i młodość”, olej na tekturze, na odwrocie jest nawet nalepka z fragmentem druku warszawskiego Domu Sztuki. Problem tkwi w cenie – wywoławcza dziewięć, estymacja – dwanaście do piętnastu. Nie stać nas na niego, spójrzmy prawdzie w oczy. Chyba że się zadłużymy. Może warto? Obraz jest piękny, na pierwszym planie starzec i młoda dziewczyna – odnosisz wrażenie, że spojrzenie dziewczyny jest nieruchome i puste, podczas gdy oczy starca, czerwone i zmęczone, wciąż błyszczą. Koleżanka malarka mówi mi, że dziewczyna wcale nie ma pustego spojrzenia i gówno się znam, ale ja obstaję przy swoim.

Są też drogie rzeczy. Malczewski za sto dziesięć tysięcy, portret siostry artysty, świetna rzecz. Jacek Sienicki „Widok z okna” za trzydzieści trzy, Styka „Scena z Odysei – Odyseusz w krainie Kimeryjczyków” za osiemdziesiąt pięć, a pójdzie pewnie za ponad sto czterdzieści. Na to nas nie

stać, nawet jeśli bardzo się zadłużymy. Ale warto marzyć. I zacząć od czegoś mniejszego.

Zastanów się.

I daj znać. Po prostu podaj tytuł, jeśli się zgadzasz. Masz tam internet w tej swojej dziurze, przecież wiem. Podejrzyj je. Jeśli nie masz, na wszelki wypadek wrzucam Ci fotki z katalogu aukcyjnego. Powiedz coś. Zrób coś.

Jak widzisz – jeszcze się w kwestii Ciebie nie poddałem.

Ale przestań mnie już wkurwiać, co?

Zyg.

17. Wewnętrzne lato i zewnętrzna zima

Adam nauczył się doskonale rozpoznawać fakturę powierzchni i przedmiotów. Wiedział, co poczuje, kiedy dotknie drewnianej podłogi i stołu, bawełnianej pościeli, ażurowych firanek, ceramicznych kubków, z których jeden był wyszczerbiony, płócien i kartonów, szorstkich, grubych kartek szkicownika Greta i gładkich, cienkich notatnika, sukienek w szafie, koszulek, miękkich swetrów na ciepłe, lecz wilgotne, wietrzne i dokuczliwe zimy, szczotki do włosów i szczoteczki do zębów. Warstw farby na obrazie, na którym widział jej twarz. Powierzchni lustra, w którym widział tylko siebie. Trzy i pół tygodnia, prawie cały sierpień, sprowadził do dotyku, smaku i zapachu. Dzięki życzliwości Valentyny, która przywoziła mu zakupy, jadł tylko to, co wcześniej jadła Greta. Ona również kompensowała sobie w ten sposób, przynajmniej chwilowo, jej nieobecność. Mogła się kimś zająć, miała świadomość, że domek na Monte Isoli nie stoi pusty, a ten, kto w nim mieszka, oddaje należyty szacunek przestrzeni i przedmiotom. Teraz ufała Adamowi w pełni. Nie mogła nie ufać, widząc, w jakim był stanie. Nie spodziewała się po nim takiej reakcji, a już na pewno nie przewidziała tego, że zechce tak długo zostać. A może nie powinna mu ufać, skoro on nie ufał samemu sobie? Był jak szaleniec, który nie odróżnia dnia od nocy, rzeczywistości od wyobrażeń i jawy od snu. Patrzył na dwa najnowsze portrety Greta, analizował detale i uczył się ich na pamięć. Każdego dnia przeglądał inne jej obrazy i szkice, jak gdyby oglądał wciąż te same sceny dobrze znanego filmu. Coraz rzadziej krzyczał w poduszkę. I czytał jej zapiski. Najtrudniejsze okazało się właśnie to, że Greta była prawdziwa. Nie wymyślił jej, nie przywłaszczyła sobie cudzej historii, a jednak się z nią

rozminął.

Valentina, która powiedziała mu wszystko, nie kłamała. Zapiski Grety nie były prawdziwym pamiętnikiem, uporządkowanym i prowadzonym zgodnie z ogólnie przyjętymi regułami, ze wstępem, zakończeniem, z datami i godzinami. To były raczej luźne notatki, refleksje dotyczące miejsc, ludzi, zjawisk, ale przede wszystkim – malarstwa. Greta zapisywała również tytuły czytanych przez siebie książek i cytowała fragmenty, dodając na marginesie swoje uwagi. Tuż przed śmiercią czytała Alberta Camusa. Cytaty opatrzyła własnymi adnotacjami, na widok których Adamowi szybciej zabiło serce.

Pisała o tym, że świat bez miłości jest martwym światem i w chwili ostatecznej człowiek zawsze pragnie zobaczyć twarz ukochanej osoby. „Twarz, twarz, twarz. Moja twarz, której już nie ma. Czy coś, co istnieje tylko we wspomnieniach i tylko na zdjęciach, jeszcze w ogóle istnieje?” – przeczytał. Nauczyła się czekać na Adama z coraz większą cierpliwością, bo wiedziała, że w końcu przyjedzie. Z każdym dniem i z każdym napisanym przez niego słowem stawała się pewniejsza. Usiłowała patrzeć w lustro bez dreszczu, tłumaczyć samej sobie, że nie o twarz chodzi. Nawet jeśli od twarzy – tej na obrazach – wszystko się zaczęło.

Zrozumiała, że ma przyjaciół, którzy zapłakaliby po jej śmierci. Dawniej nigdy nie zastanawiała się nad przyjaźnią, nie miała na nią czasu lub też nie marnowała na nią energii. Bo zawsze była Iman i praca, którą należało wykonać. Okulary do sprzedania, pieniądze do zarobienia i rachunki do zapłacenia. Więcej sprzedanych okularów i słomkowych kapeluszy oznaczało więcej szkicowników, lepsze węgle i pastele. A może nawet bawełnę i farby – jeśli udało jej się wcisnąć komuś dodatkowo parasole, dmuchane baseny, kilka par kłapek i ręczniki plażowe. Przyjaźń była towarem luksusowym przeznaczonym dla tych, którzy zajęli wygodne miejsca po drugiej stronie barykady, siadywali na schodkach przy wejściu na plażę, słuchali muzyki – dawniej z przenośnego radia, później z YouTube’a – i opowiadali sobie o tym, co wydarzyło się w szkole, na uczelni, w pracy.

Teraz jednak pisała: „Angelica bez przyjaciół to dawna ja. Ja pomiędzy śmiercią Iman i pojawieniem się Valentyny. To był ten moment, w którym moja śmierć nikogo by nie zmartwiła i nikomu nie spletała figla. Chyba że

Vittorio... On byłby niepokieszony. Szukanie nowej ofiary zajmuje sporo czasu, a przecież nikt nie nadawał się do tej roli tak dobrze jak ja. Może byłby zły. Może powinnam była się zabić, by zrobić mu na złość. Ale później nie potrafiłam. Myślałam o Valentinie. Że ją zawiodę, że ona po mojej śmierci będzie cierpiała naprawdę. Nie splątam jej figła, lecz złamię serce. To ożywcza refleksja, która dodawała mi energii i nadal dodaje. Każdego dnia myślę o śmierci, o tym, że nie umiem patrzeć na swoją twarz w lustrze, bo jestem upiorem z wyspy Monte Isola. Tak, to wszystko, czym się stałam. Kilka razy zdarzyło się, że jakiś turysta dotarł w pobliże mojego domu. Nic dziwnego, roztacza się stąd ładny widok. I te kilka razy nie zdołałam uciec do środka. Widziałam jego spojrzenie – mieszaninę współczucia i obrzydzenia. Ale nie to jest najgorsze. Nie moja twarz jest najgorsza. Wiem, co tkwi w środku. Złość i niezgoda. Bunt i śmierć. Chciałam odejść, wielokrotnie, ale powstrzymywała mnie i powstrzymuje myśl o Valentinie, a teraz także o Adamie. Tyle tylko, że on nigdy mnie nie widział. Wyobraża sobie Gretę z obrazów i tą Gretą jest zauroczony. Kiedy mnie zobaczy, wszystko może się zmienić. Na pewne sprawy ludzie po prostu nic nie poradzą. Nie rozstanę się z życiem, bo wielokrotnie myślę o tym, że nikt nie płakał po Vittorio. Ale może po mnie ktoś będzie”.

„Czy to prawda, że przyzwyczajenie się do rozpacz jest gorsze niż sama rozpacz? Czy to prawda o mnie? A może rozpacz, gniew i poczucie niesprawiedliwości zaczęły w jakiś dziwny, pokrętny sposób sprawiać mi przyjemność? Tak jak człowiek torturowany, pod wpływem absolutnego wycieńczenia i rezygnacji, zaczyna darzyć uczuciem swojego oprawcę?” – pytała.

„Boże, dawno nie rozmawialiśmy. Ty pewnie nie tolerujesz takich rzeczy. Podobno jesteś wyrozumiała wobec ludzi, wybaczasz błędy i grzechy. Ale trudno Ci, kiedy ktoś o Tobie zapomina. Być może stąd właśnie biorą się nieszczęścia? To przecież doskonały sposób, by ludziom o sobie przypomnieć. Kiedy nie masz siły stać, uklęknij... Mam rację? Otóż, Boże, ze mną wygrałeś. Nie mam siły stać, więc klękam. Modlę się za tych, którzy wokół mnie zostali, byś im przynajmniej dał spokój. Nie obchodzi mnie, czy jesteś Bogiem, w którego wierzyła Iman, czy tym, w którego mnie

uczono wierzyć, ale proszę, wyjaśnij mi to, co się teraz dzieje. A kiedy się spotkamy – może dasz mi jakąś ulgę? Czytałam gdzieś o takim specjalnym bilecie wstępu. Jeśli ktoś cierpi za życia, to po śmierci powinien dostać fory. I na koniec tej dziwnej modlitwy chcę Ci podziękować. Za talent i za moje obrazy. To Ci się udało. Dałeś radę, Boże. Staram się zrozumieć, że na innych polach coś musiałam stracić. Bo przecież ważna jest równowaga” – notowała.

I jeszcze: „Mam wrażenie, że zawsze otaczała mnie zima, nawet wtedy, gdy w upale przemierzałam plażę Voltri. Ale teraz wiem, że lato mogę odnaleźć w sobie i w innych ludziach. Są tacy. Valentina. Adam. Oni także mają w sobie lato. Czerpię z nich ciepło. Nie umiem dobrze pisać – kiedy się staram, mam wrażenie, że moje słowa układają się w tanie aforyzmy, złote myśli dla głupców, którzy potrzebują cudzych refleksji jako motta do swoich działań. Moje zdania są kwieciste, okraszone miernej jakości ozdobnikami. Nie umiem inaczej. A czasem muszę pisać, wtedy kiedy nie potrafię o czymś mówić. Kiedy się wstydzę powiedzieć, co myślę. Poza tym rozmawiam tylko z Valentiną, ale i tak znacznie częściej – sama ze sobą. Jak długo tak można? Ile jeszcze? Lata wewnątrz i zimy na zewnątrz?”.

Adam czytał słowa Grety i czuł się coraz bardziej bezsilny. Ale kiedy doszedł do pewnej notatki dotyczącej sztuki, miał wrażenie, że coś w nim pękło. Coś się zmieniło. Zmusiło do działania. Greta zanotowała, że w historii sztuki wszystkie nazwiska są zapisane ołówkiem. I każde łatwo wymazać. Ilu nazwisk ludzkość nie zdołała zapamiętać? Ilu nigdy nie poznała? Kto nie miał tyle szczęścia, by trafić na listę ważnych artystów, i kto nie miał go na tyle, by zostać z niej skreślonym? Zwłaszcza teraz, kiedy każdy szuka nowych środków wyrazu, sposobu przekazania światu swoich myśli i uczuć – po prostu siebie? Kogo jeszcze obchodzą obrazy? Kto idzie do galerii dlatego, że chce, by coś nim szarpnęło, a może go nawet w pewnym stopniu zmieniło? Kto ze wstydu przetyka łyżę? Kto idzie na wystawę tylko po to, by odhaczyć jakiś punkt na liście rzeczy, które się powinno...? Kto patrzy na płótno i zastanawia się nad losem przedstawionych na nim ludzi i obiektów? Kto czyta nazwisko artysty w rogu malowidła i zadaje pytanie: Kim jesteś? Kim byłeś? W jakim momencie

swojego życia malowałeś kształty, na które patrzę? Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

Kto? Kto?

Kto ze wstydu przełyka łzy?

Accademia Carrara... Adam przypomniał sobie piękną Murzynkę, która szukała chusteczki przed *Paolem i Francescą*. Pomyślał o sobie, kiedy po raz pierwszy zobaczył *Judytę z głową Holofernesa* Artemizji Gentileschi i ugiął się pod ciężarem własnych emocji, pod twardym spojrzeniem zdeterminowanej kobiety, która pozbawia życia mężczyznę i nie waha się nawet przez moment. Dopiero później przeczytał, że jako młoda dziewczyna Artemizja została zgwałcona, a po tym wydarzeniu wielokrotnie oddawała się swojemu oprawcy, licząc na małżeństwo. To był właśnie los zgwałconej kobiety. Poślubić oprawcę, by w oczach świata nie uchodzić za zhańbioną. Mężczyzna wygrywał dwukrotnie, kobieta dwukrotnie przegrywała. To właśnie widział w tym obrazie. Determinację skrzywdzonej kobiety, która nie ma absolutnie nic do stracenia. Podobne emocje dostrzegął na płótnach Grety.

Pomyślał o chwili, kiedy po raz pierwszy na własne oczy zobaczył *Pietę watykańską* Michała Anioła i wyobraził sobie małego chłopca, który dostaje solidne cięgi od ojca, bo ten nie chce, by syn hańbił się pracą rąk i zdeklasował. Wyobraził sobie wyszczekanego młodzieńca, który kpi z mniej zdolnego kolegi, otrzymuje za to cios w twarz i zostaje na zawsze oszpecony. Widział mężczyznę zafascynowanego kamieniem i wykuwającego z tego kamienia niezwykle kształty, zdolnego zmienić dzieło natury w dzieło sztuki. Geniusza, który dokonywał skomplikowanych obliczeń, choć nikt go nie uczył wyższej matematyki. Pilnego ucznia, który nie tylko wzorował się na dziełach mistrzów i podziwiał skomplikowaną budowę żywych ludzkich ciał, lecz także spędzał godziny nad ciałami martwymi, przecinając skórę, analizując tkanki, ścięgna, mięśnie, zaglądając do wnętrza organizmów, w których serca przestały pompować krew, a także przenikając ich tajemnice.

Czy Michał Anioł kiedykolwiek uodpornił się na zapach? Czy kiedykolwiek czuł obrzydzenie na widok zapadłych policzków i sinych

warg? Co się z nim działo, gdy po raz pierwszy zobaczył szklane, nieruchome spojrzenie? I dlaczego uważał, że wykonywanie za młodu sekcji zwłok było grzesznym występkiem, który sprowadzi na niego wieczne potępienie? A to właśnie wiecznego potępienia bał się najbardziej. Dlaczego był złośliwy, wybuchowy i trudny, dlaczego żył w pojedynkę i tylko sztuce – swej jedynej wybrance – dochował wierności do grobowej deski? Adam wyobrażał sobie człowieka, który godzinami stoi na rusztowaniu i maluje sufit kaplicy Sykstyńskiej, wygina plecy pod nienaturalnym kątem i swoim sylwetkom każe skręcać i wyginać swoje ciała, odsyła współpracowników i wszystko tworzy sam, wykańcza każdy detal, pospieszany, denerwuje się i żuje chleb, zamiast tracić czas na pełny posiłek, a wieczorami jest tak zmęczony, że nie ma siły rozebrać się do snu.

Czy jednak rzeczywiście od razu zasypia? A może usiłuje zmierzyć się z bólem kręgosłupa, sztywnością barków, skurczami mięśni, oddychać przez nozdrza zaklejone farbą, która przez cały dzień kapała mu na twarz? Może myśli o swojej samotności, o napięciu, dla którego nie znajduje ujścia, o kolejnym spędzonym w taki sam sposób roku, o sukniach i fryzurach, których nie cierpi malować, o Bogu, któremu ofiarowuje różne twarze, o kolorach i o pleśni, z którą należy walczyć. Próbuje rozprostować palce dłoni, a te uparcie zginają się, jakby chciały pochwycić pędzel. Wciąż mówi sam do siebie, że nie jest malarzem, tylko rzeźbiarzem, że malować nie umie, chciałby już chwycić dłuto i stanąć przed marmurowym blokiem. A kaplicę niech może lepiej pokryje farbą Rafael, bo on to robi szybciej, lepiej, umie współpracować z grupą, rozdzielać obowiązki, nie czuje presji, by wszystko wykonać własnoręcznie.

Widział Adam człowieka, który zaszczepił innym wyrazistą wizję Sądu Ostatecznego. I który przez całe dekady rzeźbił piety na własny grób. Myślał, że umrze po sześćdziesiątce, a żył dziewięćdziesiąt lat. Jego ostatniej, nieukończonych piety, która zapowiadała już nowoczesny realizm, a nawet turpizm, przez długie lata nikt nie rozumiał, bo postaci Matki Boskiej i Jezusa są brzydkie, surowe, wątle i wyniszczone cierpieniem. Stała samotnie na dziedzińcu pałacu Rondanini, ukryta tam ze wstydu, że oto talent mistrza bezpowrotnie upadł. Michał Anioł pracował nad nią jeszcze kilka dni

przed śmiercią. Być może, jako stojący nad grobem prawie stuletni starzec, uznał, że cierpienie i opłakiwanie utraconego syna nie jest piękne, że to trudne emocje, które nie dają się pokazać przez gładkość, miękkość i regularność, że wyrażają się raczej przez kanciastość, chropowatość i niedoskonałość. To właśnie wyobrażał sobie Adam, kiedy przed laty w zamku Sforzów stał przed Pietą Rondanini. Rzeźbą wykonaną przez człowieka, który choć umarł, nadal żył.

Czy Greta zasypiała od razu, gdy kładła się zmęczona na podłodze w swojej piwnicy? Czy walczyła o oddech w dusznym pomieszczeniu wypełnionym zapachem farby, czy bolało ją całe ciało, a palce mechanicznie próbowały pochwycić pędzel? Czy myślała o tym, że chciałaby czasem, tak jak łabędzie w Sarnico, zanurzyć głowę w zimnej wodzie, ale w przeciwieństwie do nich nigdy już jej nie wynurzyć? Czy kiedy po raz pierwszy sięgała po ołówek, przeczuwała, do którego punktu dotrze? Że będzie malowała wspomnienie siebie i dojdzie do – mało już teraz odkrywczego – wniosku, że sztuka jest wieczną szarpaniną między rzeczywistością i kreacją, między prawdą i wyobraźnią? Zrozumiała to, mimo że nikt jej nigdy niczego nie tłumaczył. Sama nauczyła się patrzeć na świat przez pryzmat płótna i barw. Czy jak Michał Anioł przyjmowała nienaturalne pozy, by oddać każdy detal, zdając sobie sprawę z jego znaczenia? Czy wiedziała, że trudne emocje są chropowate i kanciaste, a nie gładkie i opływowe? Tak, wiedziała.

Adam każdego dnia patrzył na ostatni portret Grety. Namalowała na nim obecną siebie. Nie tę młocznobiałą i piękną, na tle otwartego okna i gładkiego jeziora, ale kobietę, której lewy policzek i fragment czoła pokrywają głębokie blizny. Z pomarszczonej skóry na głowie wyrastają kępki krótkich włosów, a ręka zwisa wzdłuż tułowia, różowa, usiada bruzdami, niemal bezwładna. Greta jest naga, chuda, o wąskich, kościstych biodrach i małych piersiach. Na prawe ramię spływają ciemne włosy. Jej oczy są szeroko otwarte i nieruchome. Trudno powiedzieć, co się w nich czai – czy jest to smutek, przerażenie, czy może rezygnacja i pokora. W wyprostowaną, prezentującą się w całej okazałości sylwetkę, wpisuje się zgoda na przypisany jej los. Greta nie kuli się, nie ukrywa mankamentów własnego ciała, nie maskuje

blizn. Unosi dumnie brodę i choć usta ma zaciśnięte, zdaje się mówić: „Oto ja. Taka właśnie jestem. Tak wyglądam. Wygrałeś ze mną, Boże”. To jest ta sama Greta, którą przytłaczał gęsty welon. Świadoma, że nie może na zawsze pozostać tamtą kobietą znad Iseo, przez chwilę naprawdę szczęśliwą, wbudowaną w nowy kontekst, oderwaną od tego, co konsekwentnie ją niszczyło. I jeszcze ten tytuł. *Ja, w połowie*. Bardzo dwuznaczny, bo przecież obie połowy są prawdziwe, jedna zastąpiła drugą, co nie znaczy, że ją wymazała i uczyniła nieważną. Obie Grety istniały. Istniały dwie historie, których nie dało się od siebie oddzielić. Jej skóra była tego żywym symbolem, mleczna gładkość i blizny, jedno przy drugim, na tym samym ciele. Ja, w połowie. Moje dwie twarze i moje dwa sumienia. Przeszłość, w której byłam ofiarą, i terażniejszość, w której jestem... kim? Oto ja, Greta di Biase. Malarka.

Adam przypomniał sobie Ansaldo Pisę, genialnego surrealistę, który zginął w obozie w Ferramonti i teraz nie miał nawet grobu. O którym mówiło się: „Mógł dokonać”; „Mógł zrobić”; „Mógł osiągnąć”; „Mógł przeprowadzić”. Mógł, ale nie dokonał, nie zrobił, nie osiągnął i nie przeprowadził. Bo wybrał lasy nad jeziorem Como, grupkę przestraszonych Żydów i szlak prowadzący do Szwajcarii. Bo dostał pasiak i numer.

Pomyślał też o Zygmuncie, Nicie, Kindze z różą na szyi. O Joannie, która pięknie haftowała, o wszystkich tych ludziach, którzy zatrzymywali się na dłużej przed obrazami, pochłonięci ich magią. Bo przecież byli jeszcze tacy na tym świecie.

Nie mógł zawieść Grety.

*

Zanim podjął ostateczną decyzję, wypożyczył rower i zjeździł całą wyspę. Greta mieszkała na niej pięć lat, ale nigdy niczego tak naprawdę nie zobaczyła. Zwiedził każde miasteczko i każdą wioskę, dotarł do odosobnionych domostw i prywatnego pałacu, kościoła położonego w najwyższym miejscu, z którego roztaczał się widok na jezioro i okoliczne

góry, do gospodarstw i zakładów, w których budowano łodzie i tkano sieci rybackie. Dziesiątki razy obchodził wyspę dookoła, o różnych porach dnia, robił zdjęcia i szkicował, choć jego rysunki przy tym, co tworzyła Greta, były słabe. Znał i akceptował własne ograniczenia. Pływał w jeziorze do utraty tchu, wypożyczył łódź i wiosłował do Lovere i Pisogne tylko po to, by zaraz wrócić na Monte Isolę. Po pierwszej wyprawie nie mógł ruszać rękoma, a w klatce piersiowej czuł taki ból, że z trudem oddychał. Ale później było już łatwiej. Z początku myślał, że robi to wszystko dla niej, a tak naprawdę robił także dla siebie. Dla nich. Robił to, czego nie zdążyli – a może nawet nie mogliby nigdy – zrobić wspólnie. Na wszystko patrzył jej i swoimi oczami. Formułował w myślach wypowiedzi, które do niej by skierował, prowadził z Gretą wyimaginowane, niekończące się dialogi. Kiedy zagłębiał się w ten niezwykły krajobraz, do wściekłości doprowadzała go świadomość, że ona już nigdy niczego nie zobaczy i nie namaluje. A także przekonanie, że mógłby jej o wszystkim opowiedzieć. Mógłby przynieść jej ten pejzaż, by przetworzyła go po swojemu.

Wspiął się na górę z krzyżem i włoską flagą, która rzeczywiście łopotała na wietrze, kiedy tak po prostu tam siedział i patrzył na jezioro. Szedł trasą Sentiero le Molere aż do Forcelli, choć po kilku burzach było tam niebezpiecznie, grunt uciekał spod stóp, a zbocze – tak jak mówiła Valentina – okazało się bardzo strome. Nie zrezygnował. Oglądał wszystko tak, jak chciała oglądać ona. Innym razem poszedł na plażę miejską w Sarnico i skakał do wody z krętego mola, biorąc coraz większy rozbieg, uderzając o wodę całym ciałem, tak że piekła go skóra. Chciał widzieć i czuć jak najwięcej. Chciał po prostu być. Leżał na trawiastym brzegu i patrzył w niebo na poły przesłonięte przez gałęzie drzewa, które rzucało na jego twarz przyjemny cień. Myślał o swoim własnym lęku przed światem. O swoim starym, dobrym przyjacielu, który na jakiś czas go opuścił, przepędzony przez inne, silniejsze emocje.

Próbował nowych potraw i win. Rozmawiał z ludźmi, którzy go zagadywali, i czerpał z tego przyjemność. Żył tak, jak sam zawsze chciał żyć, i tak, jak chciała żyć Greta. Był pewny, że zamknąłby się w domu, wśród jej obrazów, gdyby nie notatnik. Gdyby nie słowa o zapisanych ołówkiem

nazwiskach wielkich artystów i przypuszczenie, że ktoś po niej zapłacie.

Adam wiedział już, co powinien zrobić. I dlatego w dniu, w którym otrzymał e-mail od Zygmunta, chwycił za telefon i zadzwonił do Valentyny. A później usiadł do komputera.

*

Od: Adam Dancer

Do: Anita Gostomska

Temat: [re:] To nie fair!!!

Przepraszam. Masz rację – co do wszystkiego, poza jednym.

Zostawiłem swój dobytek w rękach prostytutki? Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Raczej w ten, że uczepiliśmy się siebie nawzajem, bo nie jesteśmy święci i szukamy zrozumienia. Będąc sobą, nie mogę potępić Twoich decyzji. I liczę na to, że Ty nie będziesz umiała tak całkiem potępić moich.

Postaram się wszystko naprawić. Obiecuję.

Adam

*

Od: Adam Dancer

Do: Zygmunt Markiewicz

Temat: [re:] Może byś mnie przestał wkurwiać?

Licytuj Hofmana. Zaryzykujmy. A jak się nie uda – „Nokturn” lub „Wizytę”.
Masz rację, to obrazy dla mnie.

Masz zupełną rację, tak ogólnie.

Świat istnieje i nie kręci się wokół mnie.

Wygłaszam truizmy może?

Adam

*

Od: Zygmunt Markiewicz

Do: Adam Dancer

Temat: Hofman!!!

Dancer!

Hofman jest nasz! Kupiłem go za trzynaście tysięcy. Nie jesteśmy tak całkiem w ciemnej dupie i może nie będziemy musieli jeść własnych skarpetek. No i mamy to! Teraz tylko wróć już, co?

Jeśli nie wrócisz, będę musiał Cię zamordować.

Zyg.

18. Samotność ma zawsze jakąś barwę

Pierwszego dnia września Adam i Valentina wybrali się do Carzano. Usiedli na wybetonowanym nabrzeżu, skąd mieli widok na wysepkę Isola di Loreto, zjedli sałatkę ze wspólnego pudełka, wypili kawę z termosu i białe, lekkie wino. Valentina wyglądała nieco lepiej niż przed miesiącem, ale między jej brwiami wciąż rysowała się głęboka pionowa zmarszczka, a twarz nie odzyskała zdrowych kolorów. Adamowi przypomniały się tamte zapiski Greta, inspirowane Camusem – że przyzwyczajenie do rozpacz jest gorsze niż sama rozpacz i że można odnaleźć wewnątrz siebie lato. Greta była udęconą duszą, postacią, która wydawała się żywcem wycięta z kart jakiejś antycznej tragedii. Ale oni – Adam i Valentina – byli po prostu zwykłymi ludźmi. Tak właśnie określił ich w duchu. Zaraz jednak przypomniał sobie tamtego chłopaka, który odkrył, że każdy człowiek jest jak osobna historia. Rozwijająca się przez lata fabuła, o chaotycznej strukturze, nieuchronnie zmierzająca do finału. Ukształtowana z doświadczeń i emocji, spośród których każde ma swoją barwę. Szczęście, smutek, samotność. To również Greta zapisała w swoim notesie. „Samotność ma zawsze jakąś barwę”.

Zerknął na Valentine, która obracała w dłoniach paczkę papierosów, ale wyraźnie powstrzymywała się przed zapaleniem.

– To nie jest dawny nałóg, prawda? – zapytał.

Ocknęła się z zamyślenia i potrząsnęła głową.

– Zaczęłam palić po pożarze. Na początku tylko... odpalałam zapalniczkę lub zapałkę i wpatrywałam się w płomień. Z moją głową chyba też nie wszystko było wtedy w porządku. Nigdy nie paliłam przy Grecie, nie cierpiała tego. Ale czuła ode mnie papierosowy dym. Nic nie mówiła, tylko

patrzyła znacząco.

– Myślałaś kiedyś o życiorysach artystów?

– Których artystów?

– Różnych. Na przykład Fridy Kahlo.

– Biedna kobieta, wiele wycierpiała na tym cholernym świecie. Na ostatnią wystawę przyniesiono ją na łożku.

– Artemizja Gentileschi została zgwałcona, Egon Schiele zmarł na hiszpankę, Rembrandt popadł w ruinę, odciął się od świata i stracił prawie wszystkich swoich bliskich, Giuseppe Pellizza stracił siostrę, żonę i syna, po czym popełnił samobójstwo, Degas ośleplł, Cezanne zaziębił się podczas burzy i kilka dni później zmarł na zator płuc, dramatyczne życie Modiglianiego zakończyło gruźlicze zapalenie opon mózgowych, a dzień później jego ciężarna kochanka rzuciła się z okna i zginęła na miejscu.

Valentina odłożyła paczkę papierosów i obróciła się powoli w stronę Adama.

– Do czego zmierzasz? – zapytała ostrożnie. – Bo do czegoś zmierzasz, prawda?

– Nie wydaje ci się czasem, że nad artystami ciąży fatum?

– Wielu z nich miało całkiem normalne życie.

– Chciałaś chyba powiedzieć – niektórzy mieli.

– Może i tak. Adam... Próbujesz mi uświadomić, że biografia Grety bardzo pasuje do tego tła, które przed chwilą nakreśliłeś, prawda?

– Chciałbym urządzić jej wystawę.

– I napisać życiorys?

– O tym też pomyślałem.

– Nie ma nic lepszego dla obrazów niż legenda artysty i tajemnice, które zabrał do grobu. Bo zawsze jakieś zabiera.

– Zawsze.

– Zrób to.

Adam drgnął i spojrział na nią zaskoczony. Odwróciła wzrok i na powrót utkwiała go w Isola di Loreto. Uśmiechnęła się lekko.

– Mówisz teraz poważnie? – upewnił się.

– Oczywiście. Powinieneś się tym zająć. Obrazy Grety w świetle prawa

należą do mnie, uparła się, żebym w razie jej niespodziewanej śmierci otrzymała wszystko, co kiedykolwiek namalowała i co jeszcze nie zostało sprzedane lub zakontraktowane. Podpisała odpowiednie papiery, już dawno temu, krótko po pożarze. Wiesz, że umiemy z Robertem sprzedawać jej płótna, tak jak to robiliśmy do tej pory. I tak by mogło zostać. Ale do czego to doprowadzi? Sprzedamy obrazy Greta albo je zatrzymamy i powiesimy sobie na ścianach. Dla nas będą miały zawsze wartość sentymentalną. Nie ekscytujemy się sztuką, nie czujemy jej. Nic więcej nie możemy dla Greta zrobić. A przecież ona zasługuje na więcej. Dlatego ty powinieneś się tym zająć. Może na początek zrób coś u siebie, w Polsce?

– Jesteś tego absolutnie pewna?

– Czy ty naprawdę chcesz mnie zdenerwować? Wiesz, ile mnie to kosztuje? Kiedy Greta zaczęła do ciebie pisać, zżerała mnie zazdrość. Kiedy rozpaczła, że boi się waszego spotkania, zżerała mnie zazdrość. Kiedy przyjechałeś i płakałeś na cmentarzu, też zżerała mnie zazdrość. I złość. Bo w duchu liczyłam na to, że okażesz się cholernym dupkiem i pozostanę jedyną naprawdę oddaną Grecie osobą. Ale ty, o dziwo, nie okazałeś się dupkiem. Właściwie łatwo mogłabym cię znienawidzić.

– Ale...?

– Ale jednak nie umiem. Bo, tak jak już kiedyś wspomniałam, siedzimy w tym razem. Greta nas połączyła i nic na to nie poradzimy. To jak? Mogę na ciebie liczyć w kwestii obrazów? Oczywiście ci ich nie oddam, ale chciałabym, żebyś zorganizował wystawę. I napisał o Grecie. Jeśli się zgodzisz, zajmę się formalnościami od razu po powrocie do Bergamo.

– O pożarze też mam napisać? Wszystko? W takiej formie, jak sam usłyszałem?

– Coś wymyślisz. Greta by ci zaufała, więc ja też chyba nie mam wyjścia. Pozwól jej zabrać niektóre tajemnice ze sobą.

Bo zawsze się jakieś zabiera, dodał w duchu. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i więcej już o tym nie rozmawiali.

*

Do: Greta di Biase

Od: Adam Dancer

Temat: Jutro

Droga Greto,

obiecuję sobie, że jutro stąd wyjadę. I tak od miesiąca. Wsłuchuję się w melodię domu, który zdaje się żyć własnym życiem. Niekiedy mam wrażenie, że ktoś wspina się po wąskich schodach na piętro, innym razem, że sunie pędzlem po płótnie, przewraca strony książki, oddycha. Widzę wtedy Ciebie. Widzę Twoje włosy i Twoją twarz. Profil, który pokazujesz na tle jeziora Iseo, i ten drugi, który widziałem tylko na zdjęciach. Valentina twierdzi, że mówiłaś o sobie „upiór z Monte Isola”. Mnie również pisałaś o swojej izolacji, ale nic nie zrozumiałem, bo wyrażałaś się tak niejasno. Wspominałaś o samotnej wyspie, o ogrodzie, do którego wychodzisz wieczorem, popijając wino. Wszystko to odbierałem jak metaforę. Myślałem, że mówisz po prostu o samotności. I rozumiałem Cię. Ja również często mam wrażenie, że przebywam na wyspie, wokół mnie jest tylko woda, a ludzie stoją na drugim brzegu, przyglądają mi się z oddali, czasami machają, czasami widzę światła ich latarek, czasami słyszę pokrzykiwania. Niekiedy brzmi to jak: „Kim jesteś?”, a innym razem jak: „Chodź do nas!”. Chyba posłucham tego drugiego. Wiem, że jeśli zostanę tutaj, oszaleję. Mówię do Ciebie, kiedy próbuję malować. Puszczam muzykę, Vivaldiego albo „It’s All Coming Back to Me Now”, i wydaje mi się, że z Tobą o niej rozmawiam. Myślę o Heathcliffie, który wykopał Catherine z grobu. Ja robię to samo. Codziennie wykopuję Cię z grobu, wyciągam Twoje obrazy, oglądam je, szczególnie po szczególe. Te dwa, które skończyłaś, zanim odeszłaś, są najlepsze. Nie wiem, czy to dlatego, że malowałaś je z poczuciem ostateczności, ze świadomością, że muszą być najdoskonalsze, bo być może nigdy już niczego więcej nie stworzysz. Czy raczej, tak jak sama pisałaś, robiłaś to z myślą o mnie. Chciałaś mi dać najpiękniejszą siebie.

Dałaś mi najpiękniejszą Gretę. Wiem, że taka właśnie kiedyś byłaś i taka chcesz być zapamiętana. Mam do Ciebie żal. Na pewno nie muszę Ci niczego tłumaczyć, ale zrobię to i tak, z nadzieją, że prawdy, które się wypowie,

łatwiej oswoić. Mogłaś napisać do mnie wcześniej. Mogłaś wszystko mi powiedzieć – o swojej chorobie, o tym, że nie chcesz się leczyć i lada chwila nastąpi koniec. Musiałaś żyć z tą świadomością, a jednocześnie znajdowałaś w sobie siłę, by malować i by do mnie pisać. Ten ostatni, niedokończony list czytam wciąż i wciąż od nowa, zastanawiam się nad słowami, których byś użyła, gdyby udało ci się go dokończyć. Valentina mówi, że dzięki mnie byłaś szczęśliwa – że tak naprawdę były to najszczęśliwsze chwile Twojego życia, bo poczułaś się wolna i znalazłaś kogoś, kto myślał tak samo. I rozumiał Cię, choć nigdy się nie spotkaliście. Ty również dałaś mi szczęście. Dzięki Tobie wiem, że coś jeszcze we mnie zostało, coś prawdziwego i ludzkiego. Dzięki Tobie chciałem się zmienić, znalazłem siłę do walki z samym sobą, z tym, co od lat napawało mnie lękiem. Chciałem żyć. Chcę. Wiem, że nigdy nie będę do końca zdrowy, bo nerwica jest jak odchudzanie. Zawsze może nastąpić efekt jojo. Niemniej poradzę sobie. Będę po prostu żył.

Złożyłem Valentinie pewną propozycję, a ona się na nią zgodziła. Na dodatek zrobiła to chętnie, uznała mój pomysł za dobry. Wiem, jaka była między Wami umowa i że ona wraz ze swoim bratem pomagali Ci bezinteresownie. Obracam w dłoni tę kartkę, którą podpisałaś, tuż pod imieniem i nazwiskiem notariusza. Testament. Cały Twój dobytek, wszystko, co miałaś, przekazałaś im. Swoim najbliższym przyjaciołom, których – tak jak słusznie podejrzewałaś – obeszła Twoja śmierć. Obrazy. Dwadzieścia płócien, wśród których mieszkam od miesiąca. Greta, jezioro, wyspa Monte Isola, Sarnico, nurkujące łabędzie, strome górskie ścieżki, zacumowane łodzie, wysepki Isola di Loreto i San Paolo, Genua, morze, czarnoskórzy chłopcy w porcie, wąskie uliczki, kobiety lekkich obyczajów, kamienista plaża i kolejna wersja pożaru w Voltri... Należą teraz do Valentiny, a po części i do mnie. Za chwilę zdradzę Ci dlaczego.

Moje własne dwie Grety, pozostawione we Wrocławiu, nigdy nie zostaną sprzedane. Powiedziałaś, że Valentina i Roberto mogą zrobić z obrazami, co zechcą. Nie zgłosiłaś żadnych zastrzeżeń, nie postawiłaś warunków. Nie chciałaś być sławna, nie potrafiłabyś tego udźwignąć, a ja wreszcie wszystko rozumiem. Teraz jednak będziesz sławna. I po prostu musisz mi to wybaczyć. Użyłaś właśnie takich właśnie słów: „Co zechcecie”. Zróbcie z tymi

obrazami, co zechcecie. I tak właśnie postąpimy.

Zorganizuję Ci wystawę. Zygmunt mi pomoże, kiedy go o to poproszę, nie odmówi, ucieszy się. I opowiem Twoją historię. O nic nie musisz się martwić – nie zrobię z Twojego życia taniej sensacji. Uważam jednak, że nie powinnaś odejść. Musisz zostać na tym świecie już na zawsze, tak jak zostali Monet, Pellizza, Degas, Michał Anioł, Modigliani i Egon Schiele. Tak jak został Rafael i jego „La Velata”. Tak jak została Santina Negri. Rozmawialiśmy o tym, że niektóre tajemnice artysta zabiera ze sobą do grobu i nigdy nie poznamy wszystkich szczegółów na temat danego obrazu. To prawda. Tak też będzie w Twoim wypadku. Niemniej nie powinnaś zabierać ze sobą wszystkiego. Zrobię, co mogę, by oddać Ci sprawiedliwość, i nie zdradzę intymnych fragmentów. Nie wejść w tę historię głębiej, byś nie poczuła, że straciłaś swoją prywatność, że zabrałem Ci Twój sekretny świat. Mam Twój notatnik i listy. Wiem, ile mi wolno i co powinienem zachować dla siebie.

Będiesz miała wystawę, moja Greto. Zaslżyłaś na nią.

Gdybyś powiedziała mi wcześniej... Gdybyś nie bała się mojej reakcji i nie uznała, że się przestraszę. Gdybyś mi zaufała... Czy naprawdę sądziłaś, że pół Twojej twarzy może cokolwiek zmienić? Wiesz, czego najbardziej się bałem przez ostatnie miesiące? Że nie jesteś prawdziwa i że nie jest prawdziwe to, co piszesz. Że możesz być tylko moim wyobrażeniem, tworem ukształtowanym w konkretnym celu, by ze mnie szydzić. Że zmyślasz. Ale nie zmyślałaś. Byłaś prawdziwa i pisałaś prawdę, byłaś kimś, kogo pokochałem i nadal kocham. Uwierzyłem w Twoją historię i nie mogłem znieść myśli, że mogłabyś ją tak po prostu, od początku do końca, wymyślić. Z drugiej jednak strony niełatwo wyznać o sobie całą prawdę. Nawet jeśli próbujemy, zawsze natkniemy się w tej opowieści na fragmenty, przez które trudno przebrnąć, które budzą nasz wstyd, zażenowanie, poczucie winy. Albo których nie rozumiemy i zwyczajnie nie potrafimy ubrać w słowa. Być może dlatego tak wielu z nas przywłaszcza sobie cudze historie? Bo wydają nam się ciekawsze, a może po prostu łatwiej nam snuć opowieści o życiu innych. Łatwiej rozłożyć akcenty, nadać wydarzeniom tempo, a postaciom charakter. Łatwiej pewne sprawy objaśnić. Szczerze mówiąc – nie wiem.

Uważałaś, że Twoje bliźny coś zmienią. Nic by nie zmieniły. Mogłaś mi o nich napisać i pozwolić, bym przyjechał. Pewnie nie byłibyśmy w stanie odwrócić losu, ale zyskalibyśmy chwilę dla siebie. Dotknąłbym Cię i usłyszał. Poczulbym Cię. Kochalibyśmy się w tej sypialni z widokiem na jezioro, a później leżeli obok siebie, wsłuchani we własne oddechy. Może byłbym Ci w stanie pomóc, kiedy...

A jednak nie napisałaś i nie pozwoliłaś mi przyjechać. Tak naprawdę miałaś nadzieję, że nie zdążę Cię odnaleźć. Rozminęliśmy się.

Nie udało mi się opowiedzieć Ci o mojej matce. Pamiętasz? Kiedyś mówiłaś, że życie niektórych ludzi redukuje się do jednego wydarzenia. Albo dwóch. U Ciebie były dwa. Ten dzień, w którym Valentina zabrała Cię do Accademii, a później pojechałyście do Sarnico i zostałyście na noc na Monte Isoli. Zobaczyłaś wtedy jezioro i wyspę. Kiedy wróciłaś, Twój mąż był zły, że go nie posłuchałaś. Wiedziałaś, że będzie zły, a i tak do niego poszłaś. I coś się wtedy wydarzyło, coś, co potem działo się jeszcze wielokrotnie w Twojej głowie, choć niczego nie można już było zmienić. Pisałaś, że nie chodziło o to, jak się przeobraziła Twoja twarz, ale kim się stałaś. Niosłaś ten ciężar do samego końca. Wydaje mi się, że rozumiem emocje, które Tobą kierowały, i choć Tobie się to nie udało, staram się pojąć, dlaczego tak wtedy postąpiłaś. Byłaś zdesperowana i nieszczęśliwa, żyłaś w przekonaniu, że nie możesz odejść, bo nie masz żadnej alternatywy. Ale alternatywa jest zawsze. I Ty chciałaś po nią sięgnąć, a jednak w ostatniej chwili zrezygnowałaś. Wybrałaś obraz – to, co kochałaś najbardziej. Skoczyłaś za nim w ogień, tak jak każda matka skoczyłaby za dzieckiem. Mam rację?

Kiedyś pisałem, że żyję z myślą o słowie „gdyby”. I Ty też żyłaś z myślą o tym słowie. „Gdybym spróbowała uciec. Gdybym wcześniej odeszła. Gdybym naprawdę rozumiała, że miałam szansę zacząć od nowa”.

Twoje życie zostało zredukowane do jednej wycieczki i jednego pożaru. Wiem, że bałaś się ognia, bo pisałaś mi o tym w swoim wcześniejszym liście, kiedy opowiadałaś o płonących lasach w Voltri. Stałaś oko w oko ze swoim największym koszmarem. Mam nadzieję, że nasza korespondencja przyniosła Ci choć częściową ulgę, tak jak przyniosła mnie.

Moje życie zredukowało się do prostego wydarzenia. Takiego, jakie

przytrafia się ludziom na całym świecie. Mnie to jednak wystarczyło, by pogrążyć się w żalu i nie chcieć ruszyć do przodu. Być czuć wściekłość i okazywać tę wściekłość każdemu, kogo spotykałem. Na pierwszy ogień poszła Basia, choć przecież nie zrobiła niczego złego. A później moimi ofiarami padali ludzie, których spotykałem na swojej drodze. Wszyscy. Do nikogo nie poczułem sympatii, nikogo nie umiałem pokochać. Aż wreszcie pojawił się Zygmunt, a ja byłem już bardzo zmęczony. I moja wściekłość zamieniła się w lęki i obsesje. Wiesz, co się wydarzyło?

Moja matka miała wypadek. Pojechała do Paryża na konferencję, była ortopedą, opracowała własną metodę leczenia schorzeń stawów skokowych. Uparła się, by dotrzeć tam autem, choć nie prowadziła pewnie. Wcześniej latała samolotami, ale teraz mówiła o wycieczce, zwiedzaniu, kilkudniowym urlopie. Nigdy nie jeździła do Francji samochodem, a już zwłaszcza sama. Myślę, że była podekscytowana tą perspektywą. Od wielu lat jej życie kręciło się wokół pracy i domu. Rzadko miała okazję pobyć sama, z dala ode mnie i ojca. I pojechała. Rozbiła się pod samym Paryżem, tak blisko celu. Padał ulewny deszcz, wpadła w poślizg, uderzyła w auto jadące z naprzeciwka. Kierowca tamtego samochodu został sparaliżowany, a matka zginęła na miejscu. Trwało to kilka minut. Kilka minut, które zmieniły absolutnie wszystko.

Wcześniej matka bardzo bała się o moje bezpieczeństwo, w ogóle o moje życie. Nie ograniczała mi wolności, ale musiała wiedzieć – gdzie jestem, co robię, czy wszystko jest w porządku. Kiedy odeszła, poczułem się tak, jak gdyby to moje bezpieczeństwo i dobre samopoczucie, i w ogóle życie, straciły sens. Nikt się już o to nie dopytywał, nikt się nie martwił. Poczulem pustkę. A później dowiedziałem się, że mój ojciec od lat miał kochankę. Była to jego koleżanka z pracy, nauczycielka niemieckiego. Któregoś dnia w pokoju nauczycielskim zaczęli rozmawiać o szkole, programie, zarobkach, dorabianiu sobie po godzinach tłumaczeniami. Rozumieli się, mieli podobne doświadczenia. Ona opowiadała mu o tym, jak na studiach czytała Goethego w oryginale, a on jej opowiadał o Szekspirze. Rozmawiali też o książkach, które tłumaczyli wieczorami i po nocach, o trudach związanych z oddaniem stylu autora, zachowaniem melodii tekstu i doбором odpowiednich słów.

O tym, że tłumacz też musi być trochę pisarzem.

Matka tego nie rozumiała. Zawsze dobrze się z ojcem dogadywali, ale w pewnym momencie musieli się od siebie oddalić, stracić zainteresowanie sobą nawzajem. Po prostu przestali iść w tym samym kierunku. Moja matka była zbyt skupiona na mnie i swojej metodzie leczenia stawu skokowego, by zauważać takie rzeczy. Mój ojciec spotkał kogoś, kto pomógł mu to zrozumieć. Powiedział mi, że zamierzał się rozwieść, nosił się z tą myślą od dawna, zastanawiał się, jak tę sprawę załatwić. Właśnie takich słów użył. „Tę sprawę”. Tak podsumował dwadzieścia sześć lat małżeństwa z moją matką. A zaraz po wypadku... Po wypadku powiedział: „Teraz jestem wolny, a mimo to nie mogę... czuję się winny...”. Wolny. Jeden wyraz, który obudził we mnie agresję. Ja byłem „sierotą”, ale on był „wolny”. Zwinąłem dłoń w pięść i go uderzyłem. Własnego ojca. Moja babcia mówiła kiedyś, że jeśli dziecko podniesie rękę na rodzica, to ta ręka powinna mu uschnąć. Nie odzywałem się do niego przez rok, aż wreszcie przyszedłem, wypiliśmy herbatę i obejrzelśmy telewizję. Od tej pory powtarzaliśmy ten rytuał prawie dokładnie co rok. Czasem piliśmy kawę, czasem herbatę, a czasem jedliśmy skromny obiad. Zawsze niewiele mówiliśmy i zawsze oglądaliśmy telewizję. Ojciec nie ożenił się ponownie, rozstał się ze swoją kochanką. Właściwie byłem tym zaskoczony. Staliśmy się samotnikami, każdy na swój sposób.

Pamiętasz mój czerwony karton? Wspominałem o nim w jednych z pierwszych listów. Są tam zdjęcia, na których się uśmiecham, pamiątki z mojego dawnego życia. Żałuję, że nie zdążyłem Ci ich pokazać. Kiedy wrócę do domu, otworzę ten karton i zajrzę do środka.

Oto moja historia. Teraz wiesz wszystko. Pójdę do Ciebie, Greto, już za chwilę. Zaniosę kwiaty na cmentarz, po drodze spojrzę na jezioro. Nie mogę, jak Heathcliff, wykopać Cię z grobu, bo jesteś teraz garstką popiołu zamkniętą w urnie. Oddałaś swoje ciało płomieniom. Akurat płomieniom.

Jest już połowa września, kończy się lato, a mnie skończyły się oszczędności. Karmi mnie Valentina i mieszkam pod jej dachem. Zygmunt i Nita robią, co mogą, by utrzymać Chiare, ale to już nie potrwa długo. Galeria jest moja i to ja powinienem się nią zająć. Muszę wrócić. Muszę zorganizować Twoją wystawę. To będzie teraz moja nowa obsesja, baza

całego mojego życia.

Zabieram Cię ze sobą.

Adam

*

Niebo nad górami wydawało się pomarańczowe. Adam wciągnął do płuc gorące, ciężkie powietrze wciąż jeszcze letniego wieczoru. Valentina posłała mu uśmiech. Wszystko załatwili. Transport płócien do Wrocławia, formalności. Oddał jej klucze do domku na Monte Isoli i powiedział, że odezwie się, kiedy wystawa będzie gotowa. Skinęła głową. Jako dumna właścicielka obrazów nie mogła nie przyjechać. Myśl o tym, że prawdopodobnie rozstają się na bardzo długo, wydała mu się zaskakująco przykra. Znowu przywiązywał się do ludzi. Tych, którzy obrócili się we wspomnienie, i tych, którzy nadal żyli.

Pożegnał się z nią i ruszył w stronę bramek. Na lotnisku w Bergamo było jak zwykle dużo ludzi i do odprawy ustawiła się kolejka. Po długim oczekiwaniu zdjął wreszcie plecak z taśmy i zarzucił go z powrotem na ramię, po czym odbył przymusowy spacer wśród sklepów ze słodyczami i alkoholami. Do odlotu pozostała już niecała godzina. Przy wyjściu powoli gromadzili się podróżni. Nikt nie chciał wsiąść do samolotu na końcu, bo ci, co wsiadali na końcu, zawsze musieli szukać miejsca na swój bagaż podręczny. Uroki tanich linii lotniczych.

On sam również ustawił się w kolejce. Zajął miejsce tuż przy szybie i mógł wciąż patrzeć na góry, pomarańczowe niebo i startujące samoloty. Otaczał go gwar rozmów prowadzonych w różnych językach. Dopiero po chwili zorientował się, że słyszy także dźwięk swojego telefonu. Dzwonił Zygmunt. Miał zachrypnięty głos, mówił cicho i z rezygnacją.

– Dancer. Odebrałeś.

– Tak.

– To jest ten moment, w którym pakujesz manatki i wracasz do domu.

Rozumiesz?

– Rozumiem.

Zapadła cisza. Zygmunt chrząknął.

– Naprawdę rozumiesz? – upewnił się.

Adam poprawił zsuwający się plecak.

– Jestem już na lotnisku – odpowiedział.

OD AUTORKI

Drogi Czytelniku!

Przede wszystkim powinnam Ci powiedzieć, co w mojej powieści jest fikcją, a co prawdą. Fikcyjna jest postać Grety di Biase vel Angeliki Tucci i jej obrazy. Choć oczywiście, zanim wykreowałam tę postać, czytałam biografie znanych artystów, rozmawiałam z malarzami, zapoznałam się z wieloma publikacjami dotyczącymi sztuki, historii malarstwa i rzeźby, i przede wszystkim – zwiedziłam niezliczone galerie i muzea, w których spędziłam długie godziny. Trudno mi powiedzieć, kiedy zaczęłam zbierać materiały do tej powieści, bo mam wrażenie, że trwało to... od zawsze. Włożyłam w tę książkę swoją pasję. Nie jestem malarką, ale malarstwo kocham miłością obsesyjną, ogromną i nieprzemijającą. I – co uważam za najważniejsze – budzi ono we mnie wciąż nowe emocje. Fikcyjne są obrazy Grety di Biase, choć nie do końca – żyją w mojej głowie i namalowałabym je, gdybym sama miała do tego talent. Fikcyjna jest wreszcie postać włoskiego surrealisty Ansalda Pisy, który zginął w obozie koncentracyjnym w Ferramonti. Ale i tego, epizodycznego przecież, bohatera ukształtowałam dzięki połączeniu zasłyszanych legend i faktów historycznych. Kiedyś pewien Grek – tak, Grek, nie Włoch – opowiedział mi historię pewnego włoskiego poety, który zaczął tworzyć w latach trzydziestych, ale zanim jego pierwsze wiersze doczekały się publikacji, wybuchła wojna. Uchodził za bardzo zdolnego i mógłby ponoć wnieść nową jakość do światowej poezji, gdyby pewnego dnia nie zaginął w lasach nad jeziorem Como, wraz z grupką włoskich Żydów, usiłujących przedostać się do Szwajcarii. Słuch po człowieku zaginął, podobnie jak zaginęły wiersze, i w tej chwili o poecie prawie nikt już nie pamięta. Grek, który opowiadał mi tę historię, nie znał

nawet jego nazwiska. Była to więc opowieść w rodzaju: „Dawno temu żył pewien książę...”. Miała jednak w sobie i urok, i uniwersalną prawdę. Nazwiska artystów i dzieła sztuki odchodzą w zapomnienie, jeśli nie ma tych, którzy by o nie dbali i wieść o nich przekazywali innym.

Zainspirowana tą legendą z czasu wojny, stworzyłam postać Ansalda Pisy, malarza, który mógł osiągnąć wiele w malarstwie, a który osiągnął wiele po prostu w byciu człowiekiem. Obóz koncentracyjny w Ferramonti (Tarsia) istniał naprawdę i przetrzymywano w nim dysydentów politycznych, a także mniejszości etniczne. Nie był to obóz niewolniczej pracy ani obóz śmierci. Motyw braci bliźniaków, z których tylko jeden zostaje wielkim artystą, zaczerpnęłam z biografii Wojciecha Kossaka. Nic mi jednak nie wiadomo o tym, by Tadeusz Kossak, major kawalerii Wojska Polskiego, był chorobliwie zazdrosny o talent brata. Historia o bombardowaniach kościoła Santissima Annunziata del Vastato jest prawdziwa – w budynku można zobaczyć tablicę ze zdjęciami przedstawiającymi zniszczenia po obu nalotach – z 1942 i 1943 roku. Prace renowacyjne zakończyły się niedawno, ale wciąż nie odrestaurowano wszystkich dzieł sztuki. Kiedy zwiedziałam ten kościół, *Sąd Ostateczny* Procacciniego był akurat w konserwacji i rzeczywiście widziałam puste miejsce na ścianie. *Niepokalane Poczucie* Domenica Pioli, na punkcie którego oszalał Giacomo Pisa, jest prawdziwe, podobnie inne malowidła Pioli w kościele Annunziata del Vastato. I nie tylko jego. Aby uważnie obejrzeć wszystkie freski i malowidła w tej świątyni, potrzeba całego dnia. A nie wiem, czy i to wystarczy.

Fikcyjna jest postać Zygmunta Markiewicza i jego obrazy, choć one – podobnie jak dzieła Grety – żyją w mojej wyobraźni. Zwłaszcza *Faust i On*. Poza tym wszyscy artyści, o których wspominałam, i wszystkie obrazy, są prawdziwe. Zachęcam zwłaszcza do odwiedzin prześwietnej galerii Accademia Carrara w Bergamo, w której znajdują się między innymi właśnie *Paolo i Francesca* Previatiego, *Ritratto di Santina Negri* Pellizy i *Maddalena in meditazione* Giampietrina, a także *Ritratto di fanciulla con ventaglio* (*Portrait of Young Girl with Fan*) Cerutiego, czyli portret rudej „pięknej brzyduli”, który zrobił na mnie duże wrażenie. Prawdziwe są również informacje o zniszczeniach słynnych dzieł sztuki – w tym ta

o zadaniu ponad pięćdziesięciu ciosów młotkiem *Piecie watykańskiej* Michała Anioła. Prawdziwe jest malowidło *Nascita della Madonna* (*Narodziny Marii*) G.A. de Ferrari w kościele Parrocchia Sant’Ambrogio w Voltri, podobnie jak sanktuarium Nostra Signora delle Grazie, w którym znajduje się grobowiec księżnej di Galliera, pochodzącej z możnego genueńskiego rodu Brignole. Naprawdę widać stamtąd lasy i naprawdę, stojąc tam pewnego dnia, patrzyłam, jak płoną... Widziałam też samoloty, które czerpały wodę z morza, i helikopter z balonem. Na drugi dzień spoglądałam na ludzi opalających się na plaży, mimo że las nadal płonął i wciąż kursowały strażackie samoloty. I naprawdę nie znalazłam o tym zbyt wielu informacji w lokalnej prasie i internecie.

Wrocławska malarka Paulina Korbaczyńska, o której wspominam w tej powieści i której kazałam współpracować z Adamem, to osoba z krwi i kości, prawdziwy jest również jej obraz przedstawiający Fridę Kahlo – piękny, doskonale wykonany i skłaniający do refleksji. Paulina zgodziła się podzielić ze mną informacjami na temat swojego procesu twórczego, stosowanych technik, narzędzi, których używa, nawyków, w które ucieka podczas pracy, a także wieloma cennymi refleksjami na temat własnej twórczości. To od niej pożyczyłam dla Grety stół kreślarski. A także szpachlę remontową, którą woli od profesjonalnej, malarskiej. Zdaję sobie świetnie sprawę, jak trudno twórcy mówić o swojej pracy i patrzeć na ten proces z zewnątrz, przekazać wszystkie myśli dotyczące tak złożonego zjawiska, jakim jest uprawianie sztuki. Dlatego ogromnie ważne są dla mnie właśnie konsultacje z Pauliną. Warto dodać, że to nie tylko wspaniała artystka, ale też osoba o wielkim sercu, zawsze gotowa przygarnąć jakiegoś porzuconego, osieroczonego pieska. Paulina, wielkie dzięki! A Ciebie, Czytelniku, zachęcam do zajrzenia tutaj: <https://www.flickr.com/photos/paulinakorbaczynska/>.

Wszystkie miejsca opisane w tej książce są prawdziwe, poza hotelikiem Saviów. Istnieje oczywiście via Suardi i nawet budynek, który przerobiłam w swojej powieści na ten hotel, ale żadna rodzina Saviów, o ile mi wiadomo, nie ma z nim nic wspólnego. Istnieje natomiast mansarda w starej kamienicy w Voltri, przy via Lemerle – mieszkałam w niej przez dwa tygodnie, patrzyłam przez okno na pomarańczowe drzewo i spacerujące po dachu koty.

Inspiracją do ulokowaniu wątku Grety na Monte Isoli był stary, zniszczony i opuszczony dom, który widziałam właśnie na tej wyspie. Stałam przed nim długo i nietrudno mi było wyobrazić sobie, jaki widok musiał roztaczać się z okien. A jednak – ktoś to miejsce, nawet pomimo widoku, opuścił. W Sarnico widziałam nurkujące łabędzie i skakałam do wody z krętego mola, byłam też na „górze z krzyżem” (Croce Gosnell) i na trasie Sentiero Le Molere, miałam sposobność kluczyć wąskimi uliczkami genueńskiego *centro storico* i zaobserwować w jednym z zaułków panie lekkich obyczajów, które stawiały się w pracy – jak najbardziej – w biały dzień. Choć fakt, że w te akurat miejsca promienie słoneczne docierają z trudem. I wreszcie – oglądałam delfiny w Acquario di Genova, drewnianego Chrystusa w Santa Maria Maggiore w Bergamo i kontenerowce wypływające z portu w Voltri. Widziałam czarnoskórych sprzedawców okularów przeciwsłonecznych i parasolek, wśród których na pewno była niejedna Iman. Zastanawiałam się, jakie są ich historie.

Na skrzyżowaniu via San Lorenzo i via Gambito w Bergamo naprawdę znajduje się butik. Nie nazywa się jednak *Signorina Savio*, a prezentowany w nim towar jest nieco inny od tego, który proponuje Valentina Savio. W Bergamo istnieje wiele małych, prywatnych sklepów odzieżowych, oferujących oryginalne, często ręcznie wykonane ubrania.

Pracując nad tą powieścią, obeszłam wszystkie małe galerie na wrocławskim Rynku i w jego okolicach. Zwracałam uwagę na towar i ceny, a także zadawałam – często na pewno niezbyt mądre – pytania. Bardzo przepraszam pracowników i właścicieli za zawracanie głowy. Jeśli przypominacie sobie lekko bladawą i przygarbioną dziewczynę, która przyglądała się obrazom i robiła notatki w telefonie – to byłam właśnie ja. Na wrocławskim Rynku jest pewna galeria, którą szczególnie lubię odwiedzać. Częściowo pożyczyłam jej lokalizację Chiarze. Może ktoś z Was będzie w stanie odnaleźć to miejsce?

Dom Aukcyjny Rempex i Dom Aukcyjny Polswiss Art istnieją naprawdę. Namiętnie zaglądam na ich strony i kupuję katalogi aukcyjne. W Polswiss Art w maju faktycznie sprzedano *Głowę konia* Piotra Michałowskiego za siedemset tysięcy złotych, a w Rempexie *Starość*

i młodość Wlastimila Hofmana poszła za trzynaście tysięcy (choć nic mi nie wiadomo, by kupił ją jakiś Zygmunt Markiewicz). *Portret Zosi Wyspiańskiego*, o którym wspomina Zygmunt, nie został sprzedany w ogóle. Obraz *Madonna of the Cherries* Giampietrina naprawdę widać na jednej z fotografii przedstawiających Roberta M. Edsela, współautora książki *Obrońcy skarbów* i autora książki *Na ratunek Italii*. I rzeczywiście na aukcji w Sotheby's dzieło sprzedano za prawie trzy miliony dolarów (dwa miliony siedemset siedemdziesiąt tysięcy pięćset). Ten sam Giampietrino namalował najwierniejszą i najsłynniejszą kopię *Ostatniej wieczerzy* Leonarda Da Vinci. Obecnie płótno znajduje się w The Royal Academy of Arts w Londynie.

Pieta Rondanini Michała Anioła – rzeźba, nad którą artysta pracował do końca życia, nawet gdy był już stary, schorowany i sam siebie określał jako worek kości i kłębek nerwów – odbierana jest jako pożegnanie mistrza zarówno z życiem, jak i ze sztuką. Obecnie można ją oglądać w zamku Sforzów w Mediolanie, w skrzydle, które w szesnastym wieku było lazaretem dla żołnierzy hiszpańskiego garnizonu, chorych na dżumę. *Pieta* – symbol oczekiwania artysty na swoją własną śmierć, stoi teraz w miejscu, gdzie inni także na tę śmierć czekali.

Czy zdarza Wam się czasem wzruszać podczas oglądania dzieł sztuki? Istnieje jedno takie, przy którym jeszcze nigdy nie byłam w stanie przełknąć łez. I jest to właśnie *Pieta watykańska* Michała Anioła. Nie ma znaczenia, czy oglądam ją zupełnie sama, czy też w czyimś towarzystwie.

Daniele da Volterra faktycznie otrzymał przydomek „Il Braghettone”, czyli „Majtkarz”. Po postanowieniach Soboru Trydenckiego został zatrudniony do zamalowania nagości na *Sądzie Ostatecznym* Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej. Nie mogę sobie wyobrazić, by jako jego uczeń zrobił to ze szczególnie wielkim entuzjazmem. *Sacco di Roma*, czyli złupienie Rzymu, to również prawdziwe wydarzenie, które, jak się uważa, położyło kres epoce odrodzenia w Rzymie. Zaangażowany przez Klemensa VII do namalowania *Sądu Ostatecznego* Michał Anioł miał się po części inspirować tym dramatem.

Interpretacje obrazów i przemyślenia z nimi związane, jakie zawarłam

w tej powieści, są moje własne, ale tam, gdzie moja wiedza nie wystarczała, podpierałam się literaturą. Do najważniejszych pozycji zaliczam książki: *Wielcy mistrzowie sztuki włoskiej* Eleny Capretti, *Historia mody* François Bouchera, *Szaleństwo katalogowania* Umberta Eco, *Gawędy o sztuce* Bożeny Fabiani, *Wojciech Kossak. Malarz polskiej chwały* Araela Zurliego, *Listy Paula Cézanne’a*, *Na ratunek Italii* Roberta M. Edsela. Korzystałam także z pism poświęconych sztuce, które czytam regularnie od dawna: *Artysta i Sztuka* oraz *Arteon*.

W powieści *Twarz Greta di Biase* ważna jest korespondencja. Ja sama, za ważną, inspirującą i bogatą korespondencję dotyczącą literatury i sztuki, dziękuję przede wszystkim Wioletcie Leśków-Cyrulik (w szczególności za refleksje dotyczące artystów „stojących okrakiem”) i Tomaszowi Radochońskiemu (Murakami i wszyscy jego samobójcy!).

Natalii i Pawłowi Warnickim dziękuję za użyczenie Adamowi swojego mieszkania, łącznie ze ścianą z cegieł, a także przepraszam za to, że zrobiłam Wam tam bałagan i wstawiłam brzydkie meble. A właściwie to nie ja, tylko Adam! Natalii dodatkowo dziękuję za dzielenie się wiedzą dotyczącą szycia.

Mojemu Mężowi dziękuję za to, że namiętnie ogląda ze mną obrazy, odwiedza muzea i galerie, a także kościoły, w których są freski – choć nie robił tego, zanim się poznaliśmy. I jeszcze za wysłuchiwanie moich niekończących się monologów na temat sztuki i literatury, a także tolerowanie zupełnego „zglupienia” podczas pisania ostatnich rozdziałów każdej (!) książki.

Dziękuję, Czytelniku, za to, że sięgnąłeś po moją powieść.

M.K.

Twarz Grety di Biase

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-971-7

© Magdalena Knedler i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrułik

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



PPNT Gdynia